

Gambit królowej

Diana A.S. Stuckart

Przekład

KAMIL KURASZKIEWICZ

Tytuł oryginału

The Queen's Gambit

Mojemu mężowi Gerry'emu.

On wie, dlaczego.

Kiedy sądziłem, że uczę się, jak żyć,
uczyłem się, jak umierać.

Leonardo da Vinci Codex Atlanticus

Mediolan, Lombardia, rok 1483

Karmazynowa plama, która wykwitła na białym jak alabaster brokacie, powiększała się wzdłuż krawędzi przywodzących na myśl płatki kwiatu, przybierając zarazem nieco jaśniejszy odcień. Fragment kurdybanu wokół tych rubinowych płatków utworzył przypadkowy wzór, jakby ktoś pociągnął raz czy dwa zanurzonym w farbie pędzlem. Moje oko artysty doceniło kontrast bieli i czerwieni, podkreślonych soczystą zielenią trawnika. Gdybym miał odtworzyć tę scenę przy sztalugach, dodałbym kilka jasnych wiosennych liści na ciężkiej tkaninie i może naszkicowaną kilkoma liniami perłową gołębicę na pobliskim głązie.

Na pewno jednak pominąłbym wąski sztylet, którego rękojeść sterczała niczym makabryczna łodyga ze środka krwistoczerwonego kwiatu.

Miałem mnóstwo czasu, by przeanalizować kompozycję tej niepokojącej martwej natury, bo to właśnie ja znalazłem zabitego. Leżał w otoczonym wysokim murem ogrodzie, maleńkiej enklawie spokoju na terenie rozległej posiadłości Sforzów. Obecnie panujący książę Mediolanu Ludovico Sforza - zwany II Mo-

ro od śniadego koloru skóry i obdarzony kilkoma mniej miłymi przydomkami z racji okrucieństwa - był księciem tylko z nazwy,

7

gdyż dopiero przed kilku laty pozbawił tytułu swego małoletniego siostrzeńca i jeszcze nie został namaszczoney przez papieża.

Teraz zamek Sforzów był również moim domem, choć nie miałem tu wysokiej pozycji. Jako uczeń nadwornego inżyniera i artysty, Leonarda Florentyńczyka - zwanego również Leonardem da Vinci - zajmowałem w pałacowej hierarchii miejsce równe chłopcu stajennemu. Wraz z rzeszą innych młodzieńców wykazujących większy od przeciętnego talent w posługiwaniu się pędzlem od świtu do zmierzchu trzymałem się w pracowni Mistrza. Gromadziłem próbki tkanin, mieszałem pigmenty i czyściłem palety, a jeśli zdarzył się szczęśliwy dzień, mogłem pod okiem Mistrza nakładać kolor na jakiś fresk lub płycinę.

Na szczęście jednak dla odbywających się w tym dniu uroczystości to nie chłopiec stajenny, lecz ja - uczeń znany wszystkim jako Dino - dokonałem tego ponurego odkrycia. Gdyby stało się inaczej, w jednej chwili zostałby wszczęty alarm. Po chwili wszyscy - od chłopca czyszczącego nocniki po samego księcia - znaleźliby się w ogrodzie, aby zobaczyć ciało. Takie wydarzenie z pewnością zakłóciłoby partię żywych szachów,

którą tego właśnie popołudnia rozgrywano na głównym trawniku przed zamkiem.

Partia ta była dodanym w ostatniej chwili uzupełnieniem trwających przez cały tydzień rozrywek zorganizowanych dla uhonorowania goszczącego u księcia francuskiego posła, pana Villasse'a. Między księciem i jego gościem doszło do sprzeczki o pewien obraz, do którego obaj rościli sobie prawa. Zamiast rozstrzygnąć konflikt w sposób mogący urazić którąkolwiek ze stron, Ludovico zdecydował, że rozegrają partię jakiejś gry wymagającej użycia intelektu, a malowidło będzie nagrodą dla zwycięzcy.

Rozmowa odbyła się poprzedniego ranka w pracowni Mistrza. Książę i poseł stali naprzeciwko siebie pośrodku podłogi z nierównych desek niczym przeciwnicy w czasie pojedynku. Obaj byli ubrani w niebiesko-czerwono-złociste, obszyte aksamitem doblety z rozcięciami i wielobarwne pończochy. Książę miał karmazynowy aksamitny beret wyszywany klejnotami,

8

który podkreślał surowość rysów jego smagłej twarzy. Wysoki niebieski kapelusz posła ładnie się komponował z jego miękkimi siwymi włosami i ciemnymi oczami.

Bogactwo ich stroju tworzyło ostry kontrast z prostą brązową tuniką i ciemnozielonymi spodniami Mistrza, który ubierał

się jak jego uczniowie. Stał w pewnej odległości od obu, jakby obojętny na zakłócenie porządku dnia, i obserwował szlachetnych gości z uprzejmym uśmiechem, nie przeszkadzając im w rozmowie.

Pozostali uczniowie, ja także, tłoczyli się za niedokończonymi malowidłami, zachowując pełny szacunku dystans. Udawali, że nie podsłuchują, lecz wyteżali słuch, by uchwycić choć kilka słów.

- Może szachy? - podsunął poseł w odpowiedzi na propozycję Ludovica. Na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech. Zapewne wyobrażał sobie, że zasiądą przy szachownicy przed kominkiem w głównej sali zamku i będą przesuwając figury z kości słoniowej, sącząc przednie wino.

Il Moro jednak miał inny pomysł.

- Szachy... dobrze, ale pozwólmy sobie na coś odrobinę bardziej wyrafinowanego - rzekł. - Legenda głosi, że pewnego razu dwaj szlachcice z Wenecji zabiegali o względy tej samej młodej damy. Zamiast rozstrzygnąć spór przy użyciu mieczy, rozegrali partię żywych szachów, w której rolę figur odgrywali ich dworzanie. Zwycięzca pojedynku zyskał także narzeczoną.

Zawiesił głos i wskazał przedmiot ich sporu, portret urodzivej niewiasty stojący na sztalugach przed nimi.

- My także walczymy o kobietę, dlaczegóż więc nie mieli-

byśmy rozstrzygnąć sprawy w podobny sposób?

- To ciekawy pomysł, wasza wysokość - rzekł Villasse, wzruszając ramionami - ale czy można zorganizować takie widowisko, mając tak niewiele czasu?

- Oczywiście. Poznaliście już, panie, mojego nadwornego artystę. On przygotowuje wszystko do jutra. Dasz radę, Leonardo, nieprawdaż?

9

Wyjrzawszy zza zasłaniających mnie płócien, zobaczyłem, jak Mistrz zbliża się do nich. Nawet w tych kilku krokach dał się zauważyć jego wrodzony wdzięk. Wysoki i smukły, o ciemnych, lekko rudawych włosach, które opadały mu na ramiona niczym lwia grzywa, i przystojnej twarzy okolonej gęstą brodą, wydawał mi się bardziej majestatyczny od nich obu. Na jego obliczu jak zawsze gościł miły uśmiech, lecz ja pracowałem pod jego opieką dostatecznie długo, by dostrzec, jak strzelił palcami, co było wyrazem lekceważenia lub zniecierpliwienia... a często jednego i drugiego.

- Naturalnie, wasza wysokość - odparł gładko, jak przystało człowiekowi, który wie, kto jest jego dobroczyńcą. Ponieważ był odpowiedzialny za organizację wszelkich dworskich uroczystości, czyli rozmaitych widowisk i festiwali, nie dziwiły go

żadne książęce kaprysy, co jednak nie czyniło zadania łatwiejszym. - Jutro w południe wszystko będzie gotowe do rozegrania partii żywych szachów. Zakładam, że figurami będą dworzanie waszej wysokości?

Kiedy książę wydawał szczegółowe rozkazy, wypowiedane tonem tak uprzejmym, że brzmiały jak zwykle sugestie, nachylił się ku mnie Vittorio, najmłodszy z uczniów.

- Myślisz, że Mistrz skorzysta z okazji, by pokazać swojego mechanicznego lwa? - spytał szeptem, potrząsając niesfornymi jasnymi lokami.

- Być może - odszepnąłem z uśmiechem, rozumiałem bowiem ekscytację chłopca.

Mistrz pozwolił nam zobaczyć to cudowne stworzenie, które niedawno zbudował. Dzięki skomplikowanemu systemowi ciężarków i wielokrażków mosiężny lew otwierał paszczę, wydając ryk, a jego pierś otwierała się, odsłaniając bukiet świeżych kwiatów. Uważałem to za wspaniały wynalazek i jego prezentację przed całym dworem miałem nadzieję wkrótce zobaczyć.

Lecz tym razem mechaniczny lew nie miał się pojawić.

Przez całą noc pod okiem Mistrza książęcy ogrodnicy trudzili się przy świetle pochodni, przycinając trawę na kwadratowym

obszarze tuż przy głównej bramie, aby wyglądał jak ogromna szachownica. Przez całą noc pracowała też cała armia służących, krawców i szwaczek. Ich zadaniem było przygotowanie odpowiednich - czarnych i białych - strojów dla dworzan, którzy mieli się wcielić w poszczególne figury.

Ja, tak jak wszyscy uczniowie, miałem przez cały czas pozostawać u boku Mistrza, gotowy wykonać każde jego polecenie.

Nie byłem zaskoczony, kiedy wczesnym przedpołudniem przygotowania zostały ukończone. Tam, gdzie wcześniej rozciągał się zwykły trawnik, teraz wielobarwne namioty, stoły i ławy tworzyły karnawałowy nastrój. Dla księcia wzniesiono okazały pozłacany pawilon, z którego wraz z posłem mógł wygodnie obserwować przebieg gry. W drugim pawilonie mieli zasiąść członkowie książęcej rodziny, wysokiej rangi dworzanie i najznamienitsi goście, tacy jak bawiący właśnie z wizytą arcybiskup Mediolanu. Nieopodal ustawiono przykryte czarnym i białym jedwabiem ozdobne sztalugi, na których spoczywał portret będący nagrodą dla zwycięzcy. Dwaj uczniowie trzymali przy nich straż, na wypadek gdyby któryś z widzów chciał zajrzeć pod jedwabną zasłonę.

Leonardo - co wkrótce miało się okazać przedziwną ironią losu - postanowił wprowadzić pewną zmianę wśród figur na szachownicy. Zamiast zgodnie z tradycją ustawić po obu stro-

nach króla i królowej chorążych, nalegał, aby mieli oni stroje biskupów*. Twierdził, że takie kostiumy będą bardziej interesujące i że tak właśnie grywano na angielskim dworze. Owa zmiana nie miała większego znaczenia dla nas, pomocników, gdyż nie znaleźliśmy tej gry, będącej rozrywką możnych. Ja sam potrafiłem wówczas tylko rozpoznać poszczególne figury.

Kiedy w samo południe rozległy się fanfary, przebrani dworzanie zajęli wyznaczone miejsca na szachownicy. Zarówno przystrzyżony trawnik, jak i kostiumy uczestników spotkały się

* W języku angielskim szachowy goniec to biskup, skoczek to rycerz, hetman to królowa. Pozostawienie nazw oryginalnych podyktowane zostało wymogami fabuły (przyp. tłum.).

11

z entuzjastycznym przyjęciem widzów, którzy zebrali się, by obejrzeć to niezwykle widowisko. Mistrz był bardzo zadowolony z ich reakcji. Twierdził wprawdzie, że jedynym źródłem satysfakcji jest dla niego służba księciu, lecz my, jego uczniowie, wiedzieliśmy, jak ogromną przyjemność sprawia mu uwielbienie publiczności, nawet jeśli nie wyrażała swoich pochwał bezpośrednio.

Ludovico grał białymi figurami, co - jak się dowiedziałem - dawało mu prawo wykonania pierwszego ruchu. Otocze-

ni grupą doradców książę i poseł przekazywali polecenia dworzanie, którego Leonardo wyznaczył na mistrza gry. Ten szczupły, siwobrody mężczyzna o twarzy pełnej dostojeństwa zasiadał w mniejszym pawilonie udrapowanym czarnym i białym jedwabiem, a jego zadanie polegało na głośnym wykrzykiwaniu poleceń, aby wszyscy mogli je usłyszeć.

Każdy ruch odbywał się z wielką pompą i przy dźwięku rogów, toteż przejście gracza z jednego pola na drugie mogło trwać nawet kilka minut. Wędrówka czarnego skoczka na środek szachownicy zajęła niemal godzinę; aby mógł tam dotrzeć, przyprawiono czarnego rumaka, na którym przesunął się o trzy pola.

Chociaż po dwóch godzinach z szachownicy zeszło zaledwie kilka figur, widowisko przykuwało uwagę wszystkich obecnych. Gdybym był mniej senny po długiej, pracowitej nocy, zapewne podzielałbym ich entuzjazm. Tymczasem dołączyłem do kilku innych uczniów za jednym z pośpiesznie ustawionych ekranów z namalowanymi żywoplotami, które oddzielały szachownicę od widzów. Zamknąłem oczy tylko na chwilę i... podobnie jak pozostali natychmiast zasnąłem.

Obudził nas donośny dźwięk trąbek sygnalizujących przerwę w grze. Dworzanie przebrani za figury zeszli z szachownicy, aby nieco odpocząć. Ogłoszenie przerwy ze szczególnym zadowoleniem przyjęli czterej mężczyźni, którzy jako białe

i czarne wieże nosili na sobie rusztowania z drewna i płótna wyobrażające wieże oblężnicze. Ja dołączyłem do pozostałych uczniów, by czekać na polecenia Mistrza.

12

Kłopoty zaczęły się, kiedy po wznowieniu rozgrywki biały goniec nie zajął swego miejsca wśród innych figur. Ogłoszono kolejną przerwę, ja zaś, jako że stałem najbliżej Mistrza, otrzymałem zadanie odszukania zaginionego gońca.

- Poszukaj go w ogrodzie, Dino, i nie ociągaj się! - rzekł Leonardo, po czym kazał dwóm innym uczniom, Paolowi i Davide'owi, przeszukać pałac.

Najpierw sprawdziłem namiot bankietowy i latryny - bez powodzenia - i dopiero potem poszedłem do ogrodu. Gdyby nie wyraźne polecenie Mistrza, nigdy nie ośmieliłbym się zajrzeć w miejsce, do którego wstęp mieli tylko najwyżsi rangą dworzanie.

Otoczony murem ogród, choć położony na tyle blisko szachownicy, że słyszałem głosy widzów oczekujących wznowienia gry, pozostawał zaskakująco zaciszny. Może za sprawą grubego muru albo szumu liści poruszanych przez lekki wietrzyk. Spowił mnie intensywny aromat kwitnących róż, plusk wody spływającej do wąskiego kamiennego zbiornika pełnego różo-

wych i żółtych lilii wodnych tłumiał odgłosy z zewnątrz, tworząc atmosferę spokoju i zadumy.

Nic dziwnego, że ogród ten mógł służyć i jako ustronny azyl, i jako doskonałe miejsce do popełnienia morderstwa. Niewątpliwie bowiem było to morderstwo, skoro sztylet tkwił w ciele ofiary między ramieniem a szyją. Co więcej, śmiertelny cios musiał zostać zadany ze znaczną siłą, gdyż przebił gruby brokatowy płaszcz nałożony na tunikę i ornat.

- Na krew świętych - wyszeptałem i przeżegnałem się; nie tyle z pobożności, ile dla odpędzenia złych mocy. Czując się nieco pewniej, podszedłem bliżej, ukląknę na wilgotnej trawie i przyjrzałem się leżącemu mężczyźnie.

Był człowiekiem, którego szukałem, gdyż miał na sobie śnieżne szaty biskupa - kapryśnego białego gońca. Mitra - wysoki, spiczasty kapelusz, jaki noszą najwyżsi rangą duchowni - leżała obok niego. Zapewne spadła mu z głowy, kiedy napastnik powalił go na ziemię. Biały drewniany krzyż, niemal

13

tak wysoki jak on, też leżał na trawie. Szybko zrozumiałem, że temu biskupowi książęcy medyk nie może już pomóc. Zastanawiałem się, co teraz powinienem uczynić.

Z tego, jak chłodno oceniałem sytuację, ktoś mógłby wy-

wnioskować, że przywykłem do znajdowania zabitych dworzaków, tak jednak nie było. Aż do tego momentu w moim stosunkowo krótkim życiu doświadczenie w obcowaniu ze zmarłymi ograniczało się do garstki krewnych i sąsiadów, z których żaden nie zginął gwałtowną śmiercią. Znalezienie zwłok człowieka, którego spotkał tak straszny koniec, było dla mnie wstrząsającym przeżyciem. Tylko zmuszając się do patrzenia na tę scenę jak na coś, co miałoby zostać namalowane, zdołałem się opanować i nie uciec w przerażeniu. Kiedy jednak minął pierwszy szok, myślałem przede wszystkim o powiadomieniu Mistrza.

Podniosłem się z wilgotnej trawy i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że ten, kto popełnił ów straszny czyn, wciąż może być w pobliżu i obserwować mnie z jakiegoś mrocznego zakątka ogrodu. Moje życie mogło być w niebezpieczeństwie!

Spokojna atmosfera panująca w ogrodzie nagle wydała mi się posępna. Cichy plusk wody przerodził się w złowieszcze mamrotanie niewidzialnych głosów, a delikatny zapach kwiatów stał się prostacką zasłoną niemiłych woni emanujących z martwego ciała. Brzęczenie owadów latających wokół zwłok zagłuszyło szmer wiatru, a dające miły chłód cienie w ogrodzie zdawały się schronieniem dla nieznanego, podstępnego wroga.

Oglądając się trwożnie za siebie, wyszedłem z ogrodu. Modliłem się w duchu, bym nie musiał nigdy więcej tu wracać. Za-

trzymałem się tylko na chwilę i patykiem zablokowałem bramę, aby nikt, przechodząc tędy przypadkowo, nie odkrył ukrytego w ogrodzie ponurego sekretu. Zadowolony, że jestem bezpieczny, pobiegłem odszukać Mistrza.

Przechadzał się niespokojnie wzdłuż krawędzi szachownicy, a widzowie i żywe figury dreptali wokół równie nerwowo. Widząc, że wracam sam, ruszył ku mnie niemal biegiem. Jego rudawe włosy powiewały niczym peleryna.

14

- Dino! - krzyknął. - Dlaczego tak dużo czasu zajmuje ci znalezienie jednego zabląkanego człowieka? Nie możemy wznowić gry bez gońca. Gdzie jest hrabia, kuzyn jego książęcej mości? Więc nieboszczyk był kuzynem II Moro?

Poczułem, że blednę. Choć jedynym, co wiązało mnie ze śmiercią tego człowieka, była niefortunna rola tego, który znalazł jego ciało, doskonale zdawałem sobie sprawę, iż możni są skłonni obwiniać posłańca przynoszącego złe wieści. A książę wręcz lubował się w karaniu ciężką ręką drobnych występków. Wprawdzie nie byłem nawet świadkiem samej zbrodni, lecz odkrycie zabójstwa książęcego krewniaka mogło mieć dla mnie bardzo przykre konsekwencje.

Mistrz musiał zauważyć wzburzenie malujące się na mojej

twarzy, gdyż spytał nieco łagodniejszym tonem:

- Powiedz mi, drogi chłopcze, co wiesz o losie hrabiego?

- Nie żyje - wyszeptalem. - Został zamordowany.

Inny mistrz zacząłby mną szarpać, domagając się wyjaśnienia, ale nie Leonardo. Przez chwilę pocierał brodę kciukiem i palcem wskazującym, jakby rozważał moje słowa, a następnie, nie okazawszy zdziwienia w żaden inny sposób poza lekkim uniesieniem brwi, przywołał do siebie najstarszego z uczniów, Constantina.

- Obawiam się, że muszę udzielić pomocy naszemu zaginionemu białemu gońcowi - rzekł. - Przekaż moje instrukcje mistrzowi gry. Niech wezwie na szachownicę żonglerów i muzykantów, aby zapewnili widzom rozrywkę na kilka dodatkowych chwil. Byłoby dobrze włączyć jakieś sztuczki z ogniem albo coś równie emocjonującego. Kiedy tylko goniec będzie w stanie wrócić, wznowimy grę. A gdyby tymczasem pojawili się Davide i Paolo, powiedz im, że mają dołączyć do pozostałych uczniów.

- Możesz na mnie polegać, Mistrzu - odparł chłopiec, przejęty wagą powierzonego mu zadania. Wyprężył pierś, uklonił się i ruszył pospiesznie w stronę pawilonu, w którym zasiadał mistrz gry.

Leonardo znów spojrzał na mnie.

- Chcę wiedzieć wszystko, ale nie opowiadaj o niczym, dopóki nie znajdziemy się poza zasięgiem uszu gości. Po prostu zaprowadź mnie do hrabiego.

Kiedy odwróciłem się i żwawym krokiem ruszyłem w stronę ogrodu, poczułem uścisk jego silnej ręki na ramieniu.

- I starajmy się nie zwracać na siebie uwagi, Dino. Dobrze?

Skinąłem głową i już wolniej zacząłem przedzierać się przez tłum, Mistrz zaś spokojnie szedł za mną. Od czasu do czasu zaczepiali go ludzie znający jego pracę, a on każdemu odpowiadał uśmiechem i kilkoma ciepłymi słowami. Dopiero gdy dotarliśmy do ogrodu, na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej determinacji.

- No dobrze, chłopcze. Powiedz mi, gdzie jest hrabia i co wiesz o jego losie.

- J-jest tam - wyjąkałem, wskazując ręką bramę, która, jak stwierdziłem z ulgą, nadal była zamknięta. - Ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Już nie żył, kiedy go znalazłem, i nie widziałem tam nikogo innego. Nic nie mogłem dla niego zrobić, więc wróciłem do ciebie, Mistrzu.

- Słusznie postąpiłeś. - Skinąłem głową z aprobatą, spoglądając na patyk, którego użyłem jako zasuwę. - Teraz muszę sam

zobaczyć hrabiego i ocenić sytuację.

Poszedłem za Leonardem do budzącego grozę ogrodu. Przez chwilę miałem nadzieję, że wszystko było tylko wytworem mojej zmęczonej wyobraźni, tak się jednak, rzecz jasna, nie stało. Mężczyzna w białych szatach biskupa leżał na trawie tam, gdzie go zostawiłem.

Leonardo ukląkł i bezceremonialnie, niczym wieśniak oglądający zabita owcę, przewrócił nieboszczyka na plecy. Głowa hrabiego opadła bezwładnie, a ja zadrżałem, widząc jego puste, na wpół przymknięte oczy i język wystający lekko spomiędzy warg. Zobaczyłem, że ręce ma zaplamione własną, zasychającą już krwią. Pewnie przyciskał nimi ranę, daremnie próbując zatamować krwotok.

16

Pomyślałem o jego ostatnich chwilach. Musiał być zaskoczony atakiem, potem poczuł silny ból... i wreszcie strach, gdyż z pewnością zdawał sobie sprawę, że rana jest śmiertelna. Czy zabójca stał spokojnie obok swojej ofiary i patrzył, jak umiera, czy też uciekł natychmiast po zadaniu ciosu?

Pełny współczucia dla zabitego pozwoliłem sobie dokładniej mu się przyjrzeć. Szczupły, o jasnej cerze i modnie przystrzyżonych czarnych włosach był bez wątpienia przystojnym

mężczyzną. Znacznie młodszym i znacznie atrakcyjniejszym od swojego starszego kuzyna, lecz teraz jego twarz wykrzywił przedśmiertny grymas.

Mistrz, niewzruszony tym widokiem, przyłożył dłoń do szyi nieboszczyka, a następnie chwycił go za nadgarstek.

- Tak, dla niego jest już za późno - rzekł i układając zwłoki w poprzedniej pozycji, kontynuował: - Ale ciało wciąż jest elastyczne i tylko trochę chłodniejsze, niż zwykle bywa za życia. Zobacz, mogę nacisnąć - nacisnął palcem wskazującym odsłoniętą łydkę mężczyzny - i nie zostaje ślad po palcu. Poza tym wiemy, że hrabia jeszcze żył, kiedy ogłoszono przerwę w grze, możemy więc być pewni, że zasztyletowano go nie wcześniej niż przed godziną. Jeśli zaś chodzi o przyczynę śmierci, odpowiedź jest oczywista, nieprawdaż?

Przełknąłem z trudem ślinę i skinąłem głową. Krótco po tym, jak zostałem przyjęty do pracowni Mistrza, usłyszałem od innych uczniów powtarzane szeptem plotki, jakoby signor Leonardo poznał anatomię, badając... zwłoki ludzi i zwierząt. Ponoć rozcinał ciała tylko po to, by zobaczyć, jak wyglądają w środku. Widząc chłodne zainteresowanie, z jakim teraz oglądał leżące przed nim zwłoki, bez trudu uwierzyłem w te opowieści.

- Jeśli chcemy się dowiedzieć, kto to uczynił - ciągnął

tym samym spokojnym tonem - warto dokładnie obejrzeć nóż tkwiący w ciele hrabiego Ferrary. Zdaje się, że coś jest wyryte na rękojeści, a także na ostrzu. Może dzięki temu ustalimy, do kogo należy sztylet.

17

Zacisnąłem zęby, pewien, że Mistrz wyciągnie nóż z ciała nieszczęśnika, on jednak zostawił narzędzie zbrodni tam, gdzie tkwiło. Wstał z wdziękiem - jak to możliwe, że klęcząc, nie zamoczył pończoch? - i zwrócił się do mnie:

- Poczekamy do czasu, aż jego książęca mość zostanie zawiadomiony o tym, co się wydarzyło - oznajmił. - Obawiam się, że będę musiał oderwać go od gry i sprowadzić tutaj. Zostań na straży, dopóki nie wrócę.

Przez moment stałem oniemiały. Opuszczając ogród poprzednim razem, przysiągłem sobie, że nigdy do niego nie wrócę, a jednak znalazłem się tu znowu, i to zaledwie kilka minut później. Co gorsza, mój Mistrz prosił, bym został sam z ciałem zamordowanego człowieka!

- Nie bój się, drogi chłopcze - odezwał się, widząc moje wahanie, i strzelił palcami w geście zniecierpliwienia. - Ze strony zmarłego nic ci nie grozi, a ten, kto popełnił tę zbrodnię, już dawno oddalił się stąd, aby jego czyn nie został wykry-

ty. Wierzę, że jesteś wystarczająco odważny do tego zadania... czy może powinienem wezwać którąś z dziewczek służebnych, by cię zastąpiła?

Jego ostatnie pytanie rozwiało moje obawy, choć z innych powodów niż sądził. Skrzyżowałem ręce na piersi i uniosłem dumnie głowę.

- Nie trzeba, Mistrzu. Dopilnuję, by nikt nie naruszył tego miejsca, dopóki nie wrócisz z księciem.

- Dobrze więc. Wkrótce przyjdę z jego książecą mością. Miejmy tylko nadzieję, że ta paskudna sprawa nie odbije się na nas.

Ledwie Mistrz zamknął za sobą bramę, popędziłem w stronę muru, chcąc znaleźć się jak najdalej od ciała hrabiego. Przywarłem plecami do zimnych kamieni, aby nikt - żywy czy martwy - nie mógł zajść mnie od tyłu. Dla pewności zrobiłem jeszcze znak krzyża i odmówiłem szeptem Ojcze nasz. Mistrz miał rację, mówiąc, że zmarli nie mogą nikogo skrzywdzić, ale nie do końca przekonało mnie jego zapewnienie, że zabójcy hrabie-

18

go Ferrary nie ma już w pobliżu. Nie była to wszak przypadkowa zbrodnia... A może była?

Na szczęście nie ja miałem rozstrzygnąć tę kwestię. Wkrót-

ce nie będę miał nic wspólnego z całą tą sytuacją. Tymczasem, aby się czymś zająć, sięgnąłem do sakiewki przy pasku i wyjąłem najcenniejszą rzecz, jaką miałem.

Był to mały plik kartek, który dostałem od sprzedawcy używanych ubrań tuż po przybyciu do zamku. Dałem mu za nie starą tunikę, a następnie pieczołowicie zszyłem cenne arkusiki kawałkiem sznurka. Odtąd każdej nocy notowałem drobnym pismem na olśniewających białą stronach najważniejsze rzeczy, jakich się nauczyłem.

Zacząłem pisać ten - jak go nazwałem - notatnik, naśludując w tym Mistrza. Obserwowałem z podziwem, jak codziennie zapępiał liczne luźne kartki papieru różnej wielkości różnymi zapiskami. Sporządzał je dziwnym odwróconym pismem, bardzo trudnym do odczytania. Widziałem jednak maleńkie rysunki zdobiące wiele notatek i podziwiałem, jak ledwie kilkoma pociągnięciami ołówka potrafił naszkicować skrzydło ptaka w locie albo postać człowieka przy pracy. Doszedłszy do wniosku, że jego geniusz po części wynika z faktu, iż nieustannie przelewał swoje pomysły na papier, uznałem, że postępując podobnie, jak także zyskam nieco geniuszu. A jeśli nie, moje zapiski staną się relacją o dokonaniach Mistrza. Nawet jeżeli nie zostanę wielkim malarzem, i tak będę miał z tego jakąś korzyść.

Znalazłszy notatkę, której szukałem, na narożniku jednej ze stron - tak jak Mistrz wykorzystywałem każdy skrawek wolnego miejsca, pisząc nowe linijki nawet w poprzek starych - przejrzałem listę odcieni zieleni, aby sprawdzić, ile z nich udało mi się znaleźć w ogrodzie. Nie było to marnowanie czasu, lecz ćwiczenie, jakie Mistrz polecał nam wykonywać w wolnych chwilach.

- Jeśli poproszę was, żebyście opowiedzieli na przykład o kolorze niebieskim, oczekuję, że wymienicie tuzin albo więcej

19

jego odcieni - mówił. - Powinniście umieć dokładnie opisać każdy z nich, a także uzyskać te odcienie na palecie.

Niekiedy pozwalał któremuś ze starszych uczniów położyć odrobinę farby w odpowiednim odcieniu na powstającym obrazie, ale tylko wtedy, gdy ów uczeń udowodnił, że potrafi uzyskać ten kolor. Dwa tygodnie wcześniej, ku zazdrości moich kolegów, Mistrz pozwolił mi położyć nieco szafiru na szatę anioła. Aż zarumieniłem się z zadowolenia, kiedy porównał mój szafir z farbą, którą sam przygotował, i oznajmił, iż udało mi się uzyskać odcień niemal tak samo doskonały jak jego.

Kiedy powtórzyłem w myślach podstawowe odcienie zieleni, takie jak szmaragdowy, bluszczowy i oliwkowy, po czym

przeszedłem do bardziej subtelnych, jak grynspan i beryl, usłyszałem zgrzyt zasuw. Wsunąłem notatnik do sakiewki, poderwałem się na nogi i byłem przy ciele hrabiego, zanim w bramie ogrodu stanął książę w otoczeniu gwardzistów. Ruchem ręki polecił swoim ludziom zostać przy bramie i skinął głową, dając Mistrzowi do zrozumienia, by podążył za nim.

Złożyłem głęboki ukłon, cofając się z szacunkiem przed nadchodzącym Il Moro. On jednak nie zwrócił na mnie uwagi; minął mnie jak powietrze i zatrzymał się dopiero przy ciele kuzyna.

Gdybym oczekiwał, że okaże żal, przeżyłbym ogromne rozczarowanie. Książę trącił zwłoki elegancko obutą stopą, fuknął z niesmakiem i zwrócił się do Mistrza:

- Jakimż głupcem musiał być Orlando, by dać się zabić w taki sposób - pokręcił głową, a jego śniada twarz jeszcze bardziej pociemniała. - Jak pewnie słyszałeś, Leonardo, właśnie mianowałem hrabiego moim posłem do Francji. Za dwa tygodnie miał wyruszyć do Paryża, by dokładniej rozważyć z królem Ludwikiem kwestie, które zaczęliśmy omawiać w czasie wizyty pana Villasse'a. Teraz moje plany dotyczące Mediolanu mogą się skomplikować. Mam wystarczająco wielu kuzynów, by przeboleć stratę jednego z nich, ale następnego posła łatwo nie znajdę.

- To istotnie wielce niefortunne - przyznał pełnym szacunku tonem Mistrz. - Czy wasza książęca mość podejrzewa, że jego kuzyn został zamordowany właśnie dlatego, iż miał prowadzić negocjacje z królem Francji?

- Tak - odparł książę. - Ale nie powinniśmy ograniczać się do jednego wyjaśnienia, nie mając konkretnych dowodów.

Przerzucił czerwony aksamitny płaszcz przez ramię i pochyliwszy się nad ciałem kuzyna, wprawnym ruchem wyciągnął nóż. Przyglądał się przez chwilę zakrwawionemu ostrzu, po czym rzucił sztylet tak, że wbił się w ziemię u jego stóp. Broń zadrgała niczym rozjuszony wąż.

Spojrzałem na księcia. Na jego twarzy malował się przede wszystkim gniew, zauważyłem jednak przebijające spod tej maski inne uczucia. Niedowierzenie... może nawet strach?

Dziwna reakcja u tak bezwzględnego człowieka. Jego jeszcze bardziej bezwzględny starszy brat został zamordowany przed kilku laty, zostawiając wdowę, która przyjęła funkcję regentki swojego małoletniego syna. Il Moro nie dopuścił, by sukcesja przebiegła właściwym torem. Przemocą odsunął od władzy bratową oraz prawowitego dziedzica i przejął kontrolę nad księstwem. Nieprzypadkowo herb Sforzów przedstawiał wiją-

cego się węża. Nikt lepiej niż Ludovico nie znał morderczej - również dosłownie - polityki książęcego pałacu.

Ale usłyszawszy następne słowa księcia, zrozumiałem jego obawy.

- Kimkolwiek był zabójca, nie użył własnej broni. Na tym nożu widnieje mój herb, więc pochodzi on z mojego stołu.

21

2

Ta królewska gra jest bitwą w miniaturze...

i życiem w miniaturze.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

Włówiąc to, Sforza potarł dłonią o dłoń, jakby chciał usunąć wszelkie ślady kontaktu z narzędziem zbrodni. Skrywane uczucie, którego przeblysłk pojawił się na jego obojętnej twarzy, zniknęło, kiedy zwrócił się do Mistrza.

- Musimy znaleźć winowajcę - oznajmił. - Będę więc potrzebował twojej pomocy. Jeśli śmierć Orlanda nie była pospolitym morderstwem, lecz zabójstwem politycznym, jej konsekwencje mogą się okazać bardzo poważne.

Leonardo skinął głową.

- Rozumiem. Ale wasza książęca mość z pewnością wolałaby, aby to któryś jego człowiek, a nie przybysz z daleka, taki jak

ja, odkrył prawdę.

- Chcę ciebie, właśnie dlatego, że jesteś człowiekiem z zewnątrz - odparł książę. - Dopóki nie poznam przyczyny śmierci mojego kuzyna, nie będę mógł ufać nikomu na dworze.

Mordercą może być jeden z moich ludzi, może nawet któryś z moich krewnych. Ty musisz wykryć sprawcę i ustalić, czy ja jestem następnym na jego liście.

- Czuję się zaszczycony zaufaniem waszej książęcej mości - rzekł Mistrz i ukłonił się dwornie. - Rozpocznę śledztwo natychmiast i poinformuję cię, panie, o jego rezultatach naj-
szybciej, jak to będzie możliwe.

Książę przywołał gestem dowódcę swoich gwardzistów.

- Niech twoi ludzie zanoszą ciało hrabiego Ferrary do jego pokojów. Ustaw strażę przed drzwiami i nie pozwól, by ktokolwiek go zobaczył, nawet jego żona. Gdyby ktokolwiek pytał, powiedz, że hrabia zapadł na wielce zaraźliwy syfilis. Ani

22

ty, ani żaden z twoich ludzi nie ma prawa powiedzieć choćby słowa na temat jego śmierci, dopóki nie wydam oficjalnego oświadczenia. - Wykrzywił usta. - Bądź pewien, że jeśli wieść rozejdzie się wcześniej, każdy, kto nie zachowa dyskrecji, zostanie surowo ukarany.

- To bardzo rozsądny plan, panie - ocenił Leonardo, a gwardziści wymienili zaniepokojone spojrzenia. - Lecz im dłużej będziemy zwlekać z ogłoszeniem wieści o zabójstwie, tym bardziej jego sprawca będzie przekonany, że może czuć się bezpiecznie. Jeśli mógłbym coś doradzić, niech ludzie waszej książęcej mości zadbają o przykrycie ciała, nim zanoszą je do zamku.

Gdy książę energicznym skinieniem głowy przyznał mu rację, Mistrz zwrócił się do dowódcy gwardzistów:

- Obrus z któregoś ze stołów bankietowych w pobliżu szachownicy byłby idealny.

Dowódca skinął na jednego ze swoich podwładnych i ten natychmiast wybiegł z ogrodu. Wrócił po kilku chwilach z długim obrusem lekko poplamionym tłuszczem i winem. Gwardziści owinęli ciało w ten prowizoryczny całun, podnieśli je i opuścili ogród. Gdy zamknęli za sobą bramę, książę ponownie zwrócił się do Mistrza.

- Pokładam w tobie wielkie nadzieje, Leonardo, ale wiedz, że oczekuję zakończenia tej sprawy w ciągu kilku dni. - Zawiesił głos i uśmiechnął się krzywo. - A teraz wracajmy do naszej partii szachów. Nie mogę sobie pozwolić na przegraną, zamierzam bowiem zdobyć twój obraz jako nagrodę.

Powiedziawszy to, książę ruszył w kierunku bramy, lecz po zaledwie kilku krokach zatrzymał się i spojrzał na mnie. Po-

chyliłem głowę. Przeszedł mnie dreszcz, gdy poczułem na sobie jego obsydianowe spojrzenie.

- Ktokolwiek powie coś o tej zbrodni wcześniej, niż ja to uczynię, poniesie poważne konsekwencje. Jestem pewien, że będziesz o tym pamiętał, Leonardo.

Mówił do Mistrza, ale wiedziałem, że jego słowa są skierowane do mnie. Nie ośmieliwszy podnieść wzroku, przygarbiłem

23

się i tkwiłem tak, patrząc w ziemię, dopóki książę nie wyszedł z ogrodu. Gdy jego chlebodawca znalazł się poza zasięgiem głosu, Mistrz westchnął cicho i rzekł:

- Cóż, Dino, wygląda na to, że musimy wykryć mordercę hrabiego. Proponuję zacząć śledztwo natychmiast, zanim wszyscy dowiedzą się o zabójstwie i stracimy przewagę, jaką daje nam zaskoczenie.

- My? - spytałem niepewnie, gdyż ostrzeżenie księcia wciąż dźwięczało mi w uszach. - Wybacz moją śmiałość, Mistrzu, ale czy chcesz powiedzieć, że życzysz sobie, abym ci pomagał?

- Ależ naturalnie - odparł. - Ja wprawdzie potrafię myśleć logicznie, co pozwoli połączyć wszystkie poszlaki, jakie znajdziemy, lecz czekają nas także bardziej przyziemne zadania, którymi powinien się zająć ktoś mniej utalentowany. No i będę potrzebo-

wał kogoś, kto mógłby się kręcić tu i ówdzie niezauważony. Ty, jako zwykły uczeń, nie będziesz zwracał na siebie uwagi.

Wprawdzie słowa Mistrza trudno byłoby uznać za pochlebne, jednak na samą myśl o czekających mnie zadaniach poczułem dreszcz podniecenia i zapomniałem o wcześniejszych lękach. Zaledwie kilka chwil temu byłem zwykłym terminatorem, jednym z całej rzeszy uczniów kształcących się w warsztacie Mistrza. Teraz miałem pracować z samym wielkim Leonardem przy arcyważnym śledztwie. Ilu młodzieńców spotkał taki zaszczyt?

- Przestań śnić na jawie, Dino - ostry głos Leonarda wytrącił mnie z samozadowolenia. - Pospiesz się, bo musimy wrócić do szachownicy. I znaleźć nowego białego biskupa. Podniósłszy z ziemi mitrę i krzyż, wyszedł z ogrodu, a ja, na wpół biegnąc, starałem się dotrzymać mu kroku.

- Kto zastąpi hrabiego? - zagadnąłem, gdy szliśmy w stronę tłumu widzów. - Każdy, kogo o to poprosisz, Mistrzu, będzie chciał wiedzieć, dlaczego hrabia nie może dokończyć gry.

- Właśnie dlatego wybrałem kogoś - odparł - kto już wie o zabójstwie i komu mogę ufać, że zachowa milczenie na ten temat.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Znajdź krawca Luigiego - polecił - i powiedz mu, żeby niezwłocznie przebrał cię za białego biskupa. Gdy tylko będziesz gotowy, zajmij właściwe miejsce na szachownicy.

- Ale ktoś na pewno zauważy, że nie jestem hrabią Ferrary - zaprotestowałem słabo.

Mistrz podał mi mitrę i krzyż, które trzymał w dłoniach.

- Zamiana nie będzie od razu rzucać się w oczy - rzekł. - W kostiumie i z daleka możesz być wzięty za kuzyna księcia, bo masz tak jak hrabia jasną karnację, ciemne włosy i smukłą budowę ciała. Ale z bliska będzie wyraźnie widać, że nie jesteś nim. Dlatego powinieneś dokładnie zapamiętać, jak będą reagowali ludzie, kiedy się zorientują.

Leonardo ujął mnie za łokieć i poprowadził do namiotu nieopodal szachownicy. Właśnie tam czekał krawiec, w razie gdyby podczas gry trzeba było naprawić któryś z kostiumów.

- Ci, którzy nie wiedzą, jaki los spotkał hrabiego, będą po prostu chcieli wiedzieć, dlaczego zająłeś jego miejsce - mówił Mistrz. - Jednak jeśli w pobliżu jest zabójca, to widząc cię, w pierwszej chwili pomyśli, że jego ofiara przeżyła atak. Będzie się usilnie starał podejść do ciebie na tyle blisko, by móc ustalić, czy na pewno jesteś kuzynem księcia. To właśnie będzie człowiek, którego szukamy. Ale zapamiętaj każdego, kto będzie zwracał na ciebie większą uwagę, niż wynikałoby to z sytuacji.

Jak także będę obserwował reakcje ludzi.

- A co, jeśli...

Przerwał mi energicznym gestem.

- Jeśli twoja figura będzie miała wykonać ruch, mistrz gry powie ci, co masz robić. I pamiętaj, gdyby ktokolwiek cię wy-
pytywał, powiedz mu tylko, że słyszałeś, że hrabia nie może
dalej grać i że nadworny mistrz uroczystości polecił ci zająć je-
go miejsce. Zrozumiałeś?

- Tak, Mistrzu. Będzie, jak sobie życzysz - odparłem z re-
zygnacją.

Dotarliśmy do ozdobionego kolorowymi wstążkami na-
miotu, z którego właśnie wyjrzał Luigi. Na jego pyzatej twarzy

25

malował się wyraz zaciekawienia, ale uwagę skupiał wyłącznie
na Mistrzu; jako nadworny krawiec i lokaj uważał się za kogoś
ważniejszego od zwykłej pałacowej służby, wliczając w to nas,
uczniów Leonarda. Podejrzewam wręcz, że uważał się za lep-
szego nawet od samego Mistrza.

- Ach, signor Leonardo, jestem do pańskich usług - rzekł słu-
żalczym tonem. - Czy mamy problem z którymś z kostiumów?
A może któraś z twoich licznych tunik wymaga naprawy?

- Poniekąd.

Zanim krawiec zdążył zaprotestować, Mistrz gestem ręki odesłał jego dwóch młodych pomocników, którzy siedzieli przed namiotem i wypruwali szwy z kawałków płótna. Następnie, niemal wpychając mnie w pulchne ramiona Luigiego, oznajmił:

- Przekazałem mojemu uczniowi pewne instrukcje dla ciebie w związku z grą. Wypełnij je co do joty.

To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i żwawym krokiem ruszył w stronę pawilonu, w którym siedział mistrz gry. Luigi zgiął się w ukłonie za odchodzącym, po czym zaciągnął mnie do zagraconego namiotu. Kiedy tylko znaleźliśmy się w środku, porzucił wszelkie pozory uprzejmości.

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem, wypuścił z uścisku i spytał opryskliwie:

- A więc, chłopcze, czego oczekuje ode mnie wielki Leonardo?

- Mam być nowym białym biskupem - odparłem, czując, że to zadanie zaczyna sprawiać mi przyjemność już choćby z tego powodu, iż przygotowanie do niego przysporzy pracy niemiłemu krawcowi. - Hrabia Ferrary nie może kontynuować gry i Mistrz polecił mi zająć jego miejsce. Powiedział, że musi to być zrobione natychmiast, gdyż beze mnie nie można wznowić rozgrywki.

- Zwykłem ubierać książąt, nie służących - oświadczył Luigi, a jego podwójny podbródek zatrzęsł się, gdy wznosił ramiona ku niebu. - I jak mam stworzyć identyczny kostium z niczego?

26

Czemu nikomu nie przyszło do głowy odebrać kostium od hrabiego? Na świętego Michała, otaczają mnie głupcy.

Wciąż mamrocząc do siebie, odebrał mi mitrę i krzyż, po czym zajął się przerzucaniem stosu ubrań ułożonych na stole w głębi namiotu. Ja tymczasem rozglądałem się dookoła z zaciekawieniem, zdumiony bogactwem tkanin zgromadzonych w tym niewielkim pomieszczeniu.

Między słupkami podtrzymującymi namiot rozciągnięto grube sznury, na których wisiały obszyte futrem aksamitne opończe, jedwabne tuniki z rozcięciami, kolorowe pończochy i powłóczyste wełniane płaszcze. Wokół mnie znajdowało się tyle strojów, że wystarczyłyby do ubrania wszystkich ludzi w zamku! Na potrzeby dzisiejszej partii szachów każda sztuka odzienia była biała lub czarna, a ten kontrast czerni i bieli sprawiał, że cały namiot wydawał się pulsować i musiałem na chwilę przymknąć oczy, by nie zakreśliło mi się w głowie.

- Masz.

Na dźwięk pełnego irytacji głosu krawca otworzyłem oczy

i zobaczyłem, że rzuca w moją stronę naręcze śnieżnobiałych ubrań. Zdołałem je złapać, zanim spadły na zielone wełniane kobierce, którymi przykryto podłogę namiotu.

Nalana twarz Luigiego wykrzywiła się w uśmiechu, gdy dostrzegł, jak zachwiałem się pod niespodziewanym ciężarem.

- Twój pan ma szczęście, że zostało mi dość białych szat, by skompletować kostium dla drugiego białego biskupa. A teraz zdejmuj tunikę i włóż to, żebyś mógł dopasować, co trzeba.

- Nie!

Moja gwałtowna odpowiedź sprawiła, że jego krzaczaste czarne brwi na chwilę zniknęły pod przetłuszczonymi włosami opadającymi mu na czoło. Spłonąłem rumieńcem i natychmiast się poprawiłem.

- Chodziło mi o to, signor Luigi, że wolałbym zachować moją tunikę pod szatami biskupa.

- Jak chcesz - rzucił cierpko. - Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli będzie ci gorąco po godzinie w pełnym słońcu. Dalej,

27

ubierz się, zanim signor Leonardo zacznie się zastanawiać, czemu to trwa tak długo.

Z pomocą mistrza krawieckiego szybko włożyłem na siebie tuniki i płaszcze składające się na strój biskupa. Zanim wresz-

cie włożył mi na głowę spiczastą mitrę i wcisnął do ręki krzyż, zdążyłem nabrać jeszcze większego szacunku do duchownych i królów, którzy muszą nosić tak ciężkie szaty.

Luigi cofnął się o krok, by ocenić mój wygląd, i wydał mięsiste usta.

- Twój Mistrz powinien być wdzięczny za mój talent, dzięki któremu zwykły terminator może wyglądać szacownie. Spójrz na siebie.

Wskazał mi zwierciadło z polerowanego brązu zawieszona przy wejściu do namiotu. Zerknąłem na swoje odbicie i aż wstrzymałem oddech, widząc przyglądającą mi się nieznaną postać. Krawiec miał rację. W tym wspaniałym stroju mógłbym uchodzić za szlachcica; mógłbym nawet uchodzić za duchownego, za którego byłem przebrany. Co więcej, pewne podobieństwo, jakie łączyło mnie z hrabią Ferrary, teraz było jeszcze wyraźniejsze, więc z daleka nikt nie powinien zauważyć dokonanej zamiany.

- Wielkie dzięki, signor Luigi - powiedziałem. - Jestem pewien, że mój Mistrz będzie ci wdzięczny za przysługę, jaką mu oddałeś.

Krawiec parsknął tylko, odwrócił się do mnie plecami i zaczął ostentacyjnie poprawiać wiszące na sznurkach szaty. Zostawiwszy go wśród morza czarnych i białych tkanin, wybieg-

łem z namiotu i czym prędzej ruszyłem w kierunku szachownicy.

Wśród widzów rozległ się radosny okrzyk, kiedy zająłem miejsce na polu gońca królowej pośród innych odzianych na biało postaci. Trzej żonglerzy, który rzucali płonącymi pochodniami, niezwłocznie je pozbiali i opuścili pole, zostawiając za sobą smugę dymu. Zerknąłem w stronę mistrza gry. Leonardo, stojący obok niego, ledwie zauważalnie skinął mi głó-

28

wą, nim dał znak książęcym muzykantom. Rozległ się dźwięk fanfar i jeszcze głośniejszy aplauz, kiedy mistrz gry wstał z miejsca.

Unióśł ręce, prosząc o ciszę, i zawołał:

- Teraz czarne wykonają następny ruch!

Gra toczyła się w takim samym niespiesznym tempie jak wcześniej; każdy ruch był odrębnym maleńkim widowiskiem, zwłaszcza kiedy zbijano figury. Mój początkowy lęk przed wejściem między książęcych dworzan zaczął słabnąć, gdy przekonałem się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Byliśmy rozmieszczeni w takiej odległości od siebie, że nawet gdyby któryś z moich towarzyszy nabrał ochoty na konwersację, trudno byłoby spokojnie porozmawiać wśród gwaru widzów i rozlega-

jących się co chwila fanfar. Ponadto wydawali się oni przede wszystkim znudzeni i zmęczeni koniecznością stania na baczność na polach szachownicy w niewygodnych kostiumach.

Uśmiechnąłem się w duchu do własnych myśli. Wyglądało na to, że ciężar obowiązku usunął w cień arystokratyczne przywileje... w tym przypadku obowiązek ten polegał na spełnieniu kaprysu księcia, który zapragnął zagrać w żywe szachy. Zapewne żaden z tych dworzan nie ośmieliłby się obrazić II Moro odrzuceniem zaproszenia do udziału w widowisku. Pozycja terminatora nie była więc taka zła.

Wkrótce jednak zacząłem ulegać podobnemu znużeniu jak ludzie obok mnie. Moja figura jeszcze nie wykonała żadnego ruchu, więc nie pozostawało mi nic innego niż możliwie najdyskretniej przestępować z nogi na nogę. Ale niechętnie musiałem przyznać, że Luigi słusznie przestrzegał mnie przed wkładaniem kostiumu biskupa na tunikę. Na otwartym polu było znacznie goręcej niż w ogrodzie i pod warstwami ciężkich tkanin robiło mi się coraz bardziej niewygodnie.

Najgorsza była mitra, tak wielka, że opierała mi się na uszach. W odróżnieniu od mojego prostego wełnianego bere-tu to wysokie nakrycie głowy miało tendencję do zsuwania się przy każdym ruchu, obawiałem się więc, że może spaść,

gdybym się gwałtowniej poruszył lub pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Co się zaś tyczy krzyża, to choć można by się na nim oprzeć niczym na lasce, za przykładem drugiego biskupa ustawiłem go przed sobą i dzierżąc za poprzeczkę, starałem się utrzymać pionowo.

Jedynym pozytywnym aspektem tej sytuacji było to, że miałem doskonały widok na imponującą budowlę, która na pewien czas stała się moim domem.

Pochodziłem z małego miasteczka, toteż gdy pierwszy raz ujrzałem wspaniały warowny zamek przylegający do murów miejskich Mediolanu, widok ten wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Ogromną twierdzę z czerwonej cegły wzniesiono na planie czworoboku, z dwiema cylindrycznymi wieżami z szarego kamienia z przodu i dwiema kwadratowymi z tyłu. Z rozległego dziedzińca spoglądać mogłem na podwójne rzędy łukowych okien biegnące wzdłuż wewnętrznych murów. W czasie wojny zajmowali tam posterunki żołnierze; w czasach pokoju pomieszczenia i korytarze wykorzystywano jako magazyny i kwatery dla kupców oraz dodatkowej służby.

Za dziedzińcem wznosiła się część mieszkalna. Tam mieściły się olśniewające apartamenty, w których mieszkali Il Moro i jego rodzina, a także kuchnie, stajnie i pomieszczenia dla służ-

by. Za sobą miałem główną bramę - wielkie, zwieńczone łukiem wrota umieszczone w wieży zegarowej, dwukrotnie wyżej niż mury twierdzy. Gdybym miał okazję wspiać się po spiralnych schodach aż na wieńczącą wieżę kopułę, mógłbym zobaczyć ciągnące się we wszystkich kierunkach pola, łagodnie falujące wzgórza, a może nawet miasteczko, z którego pochodzę.

- Biały biskupie królowej, przejdź dwa pola na ukos.

Słowa mistrza gry, po których rozległ się dźwięk fanfar, wyrwały mnie z rozmarzenia. Miałem wykonać pierwszy ruch!

Rozejrzałem się dookoła niepewny, czy powinienem od razu ruszyć z miejsca, czy też czekać na dalsze instrukcje. Nie miałem przynajmniej wątpliwości, w którą stronę iść, gdyż biały pion wcześniej przesunął się o jedno pole naprzód, zosta-

30

wiając przede mną wolną drogę. Odetchnąłem z ulgą, widząc trzech młodych paziów w białych strojach ministrantów, którzy niosąc zapalone świece niemal tak wysokie jak oni sami, podchodzili ku mnie spoza szachownicy.

Na szczęście oni wiedzieli, co mają zrobić. Stanęli rzędem przede mną, a gdy rozległy się kolejne fanfary, ruszyli wolnym krokiem, jak w czasie procesji na rozpoczęcie mszy. Najdostojniej jak umiałem podążyłem za nimi w stronę pola, na którym

miał stanąć biały biskup. Kiedy się na nim znalazłem, chłopcy ze świecami okrążyli mnie kilka razy, po czym zeszli z szachownicy. Widzowie przyjęli ten spektakl uprzejmymi oklaskami.

Później zmieniłem położenie jeszcze dwukrotnie. Zbiłem nawet czarnego rycerza, który wdał się ze mną w pozorowaną walkę, i byłem wielce podekscytowany, gdy w końcu mój krzyż pokonał jego miecz. Lecz w następnym ruchu czarna królowa - zasuszona wdowa z rodu Sforzów, której powłóczyście czarne szaty podkreślały kredową biel raczej szpetnej twarzy - rzuciła się na mnie niczym sęp na padlinę.

Niemal zdążyłem zapomnieć, dlaczego tu jestem, kiedy nagle zorientowałem się, że stoję z nosem przy jej czole - starucha była o głowę niższa ode mnie - i dostrzegłem podejrzliwość w jej przymrużonych ciemnych oczach.

- Ty nie jesteś moim stryjeczynym wnukiem. Gdzie jest Orlando?

- Nie mogłem dalej uczestniczyć w grze i signor Leonardo poprosił mnie, bym zajął jego miejsce - wykrztusiłem, bardziej zaskoczony niż przestraszony atakiem starej damy.

Splunęła na przystrzyżony trawnik.

- Niegodziwy chłopak! Sam to na siebie sprowadził!

Z siłą niespodziewaną u osoby tak wątłej postury wypchnęła mnie poza pole.

Zachwiałem się i musiałem przytrzymać mitrę, by nie spadła, widzowie zaś nagrodzili wyczyn starej damy gromkimi bra-
wami. Pokonawszy mnie symbolicznie, z istic królewską god-
nością stanęła pośrodku trawiastego pola, które zajmowałem
31

jeszcze przed chwilą, kłaniając się na wszystkie strony w po-
dziękowaniu za aplauz.

Poprawiłem przekrzywioną mitrę i z krzyżem w ręku do-
stojnie odmaszerowałem na bok. Tam stały już inne zbite figu-
ry i szukały pocieszenia, racząc się winem. Przełknąłem powi-
talny kielich, kiedy u mojego boku pojawił się Mistrz.

- Doskonale, Dino. Co masz mi do powiedzenia? - spytał
półgłosem.

Pokręciłem głową i odparłem równie cicho:

- Obawiam się, że nic istotnego. Tylko czarna królowa za-
uważyła, iż nie jestem hrabią, a i to jedynie dlatego, że był on
jej stryjecznym wnukiem. Wydawała się zaskoczona, że zają-
łem jego miejsce, i pytała, gdzie jest.

- To musiała być markiza d'Este - rzekł Mistrz. - Z tego, co
słyszałem, ma istic diabelskie usposobienie, ale chyba nie jest
wystarczająca silna do popełnienia takiego czynu. I, jak sam
powiedziałeś, spodziewała się zobaczyć hrabiego, a nie oczeki-

wałaby tego, gdyby go zamordowała.

Potarłem dłonią posiniaczone ramię i już miałem wyrazić sprzeciw wobec jego oceny siły markizy, lecz dostrzegłem jakieś zamieszanie na szachownicy. Po moim odejściu z gry nastąpiły szybko po sobie dwa ruchy i teraz czarna królowa walczyła z białą. Markiza w czarnych szatach szarpała się z piękną młodą kobietą w bieli, która sprawiała wrażenie zdecydowanej dokończyć ruch i zbić przeciwniczkę mimo jej zacieklej protestów.

Zerknąłem na Leonarda, który widząc te zmagania, pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- To nie moja sprawa, drogi chłopcze - stwierdził, wzruszając ramionami. - Mistrz gry musi to rozstrzygnąć.

Ledwie skończył mówić, siwobrody mężczyzna wyszedł ze swojego pawilonu i ruszył ku walczącym niewiastom. Między nim a obiema królowymi nastąpiła ożywiona wymiana zdań, tymczasem widzowie okrzykami starali się dodać mu otuchy. Mistrz gry najwyraźniej nie bez powodu zajmował wysoką pozycję wśród doradców księcia, gdyż po kilku minutach odprowa-

32

dził udobruchaną już markizę poza szachownicę. Biała królowa wśród gromkich oklasków stanęła dumnie na spornym polu.

Ten ruch doprowadził do mata, gdyż czarny król francuskie-

go posła nie mógł w żaden sposób obronić się przed zaszachowaniem. Mistrz gry wrócił na szachownicę, aby ogłosić zwycięstwo księcia. Jego słowa wywołały burzę oklasków i radosnych okrzyków. Najgłośniej krzyczeli dworzanie, którzy tkwili na swoich polach od kilku godzin. Czarne i białe figury zajęły miejsca po obu stronach szachownicy, a książę i poseł spotkali się pośrodku, by wymienić ukłony. Na twarzy pana Villasse'a malował się wyraz spokojnej aprobaty, natomiast oblicze Il Moro odzwierciedlało bardziej przyziemne uczucie triumfu.

Mistrz już wcześniej przeniósł sztalugi na środek szachownicy, lecz obraz wciąż pozostawał przykryty. Dopiero teraz teatralnym gestem zerwał czarno-białą jedwabną płachtę, odsłaniając portret zamyślanej młodej damy trzymającej śnieżnobiałego gronostaja. Wśród aplauzu publiczności Mistrz uroczyście wręczył obraz Ludovicowi.

Książę i ambasador jeszcze raz wymienili ukłony, po czym przy dźwiękach fanfar zeszli z pola. Żywe figury i widzowie skierowali się tymczasem do namiotów, w których czekały rozmaite potrawy i napoje. Z westchnieniem ulgi zdjąłem niewygodną mitrę. Skoro gra dobiegła końca, Mistrz zapewne pozwolił mi zdjąć biskupie szaty.

Widziałem migającą w tłumie jego rudawą grzywę, zanim jednak zdążyłem skierować się w jego stronę, ktoś chwycił

mnie za rękę. Zaskoczony wypuściłem z rąk mitrę i obróciwszy się, ujrzałem piękną złotowłosą kobietę w średnim wieku.

Jej zimne jak lód błękitne oczy były szeroko otwarte, domyśliłem się więc, że mój widok zaskoczył ją nie mniej niż mnie jej napaść. Gwałtownie puściła moją dłoń.

- Przepraszam - szepnęła. - Szukałam innego białego biskupa.

Oddaliła się pospiesznie, ja jednak zachowałem na tyle przytomności umysłu, by podnieść mitrę i ruszyć za nią.

33

Przedzierałem się przez tłum, torując sobie drogę drewnianym krzyżem. Mój pościg zakończył się kilka chwil później, gdy zobaczyłem, jak złotowłosa niewiasta podchodzi do drugiego biskupa, w podobnych do moich białych szatach. Spojrzał na nią z wyrazem miłego zaskoczenia, po czym oboje odeszli w stronę namiotu z winem. Zadowolony, że to spotkanie było wynikiem pomyłki, ruszyłem na poszukiwanie Mistrza.

On jednak znalazł mnie pierwszy.

- Pospiesz się, Dino. Teraz, gdy wszyscy są zajęci, wrócimy do ogrodu kontynuować nasze śledztwo.

- Czy mogę zdjąć kostium? - spytałem z nadzieją.

Pokręcił głową.

- Niestety nie. Nie chcę jeszcze oddawać tych szat naszemu przyjacielowi Luigiemu. Mogą być potrzebne w dalszym śledztwie.

Westchnąłem i otarłszy pot z czoła, ruszyłem za nim w stronę ogrodu. Biesiada stawała się coraz bardziej radosna, proporcjonalnie do ilości wina, które płynęło nieprzerwanym strumieniem. Zerknąłem tęsknie na chorągwie, namioty i roześmianą tłum. Wiedziałem, że nieprędko będę miał okazję uczestniczyć w podobnej uczcie, w dodatku u boku dworzan.

Nie pozostawało mi jednak nic innego niż porzucić myśli o rozrywkach i skupić uwagę na poważniejszych sprawach. Słyszałem, jak książę polecił Mistrzowi znaleźć zabójcę hrabiego, i zdawałem sobie sprawę, że Il Moro nie toleruje porażek. Jeśli mogłem w jakikolwiek sposób pomóc Mistrzowi, było to nie tylko moim obowiązkiem, lecz i najszczerzym pragnieniem. Ponadto jako ten, który znalazł ciało hrabiego, czułem, że nie mogę pozwolić, by tajemnica jego śmierci pozostała nierozwiązana.

Upewniwszy się, że nikt nas nie widzi, wślizgnęliśmy się przez ciężką drewnianą bramę do zacisznego ogrodu, w którym hrabia Ferrary spędził swoje ostatnie chwile. Dni były coraz krótsze, ale mimo wydłużonych cieni zapowiadających rychły zmierzch to skalane miejsce budziło we mnie znacznie mniejszy lęk teraz niż wczesnym popołudniem, gdy znalazłem ciało.

Mistrz jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby takie przyziemne odczucia nie miały do niego dostępu.

- Chciałbym cię prosić, byś położył się w tym samym miejscu i w identycznej pozycji, w jakiej znalazłeś hrabiego - rzekł.

Spojrzałem na ów skrawek trawnika z obawą. Już samo znalezienie zabitego człowieka wytrąciło mnie z równowagi, a myśl o położeniu się w miejscu, w którym wydał ostatnie tchnienie, była nieporównanie bardziej niepokojąca. Ale czy miałem jakiś wybór? Dobrze chociaż, że kostium hrabiego wchłoniął większość krwi i trawa w miejscu, gdzie leżał, wydawała się nieskalana. Mimo to nie potrafiłem powstrzymać dreszczu obrzydzenia, gdy przystępowałem do wypełnienia polecenia Mistrza.

- Zaczekaj.

Leonardo pochylił się i podniósł nóż mordercy, który wciąż tkwił tam, gdzie wbił go księżę. Oczyszczył nóż z ziemi, a gdy zakrwawione ostrze zaśniło w przyćmionym świetle słońca, skierował go w moją stronę.

- Jak powiedziałem, chcę, żebyś położył się na ziemi - rzekł z uśmiechem. -Ale obawiam się, że najpierw... będę mu-

siał cię zabić.

3

... niech linia krwi daje się rozpoznać po kolorze i spływa krętą strużką z ciała na ziemię.

Leonardo da Vinci Manuskrypt 2038

Zabić mnie?

Patrzyłem na Mistrza z niedowierzaniem. Czyżby mój ukochany nauczyciel wypił w za dużo wina, czy może szok, jakim

35

była śmierć hrabiego, przywiódł go do szaleństwa? Cofnąłem się o krok i w tej samej chwili Leonardo wybuchnął śmiechem.

- Mój drogi chłopcze, naprawdę sądziłeś, że zamierzam cię skrzywdzić? - spytał, opuszczając nóż. - Może więc powinienem być ująć to inaczej: musimy odtworzyć zabójstwo hrabiego, a w tym celu będę potrzebował twojej pomocy.

Uważnie przyjrzał się trawie, po czym skinął głową, jakby usatysfakcjonowany tym, co zobaczył.

- Musisz stanąć w tym miejscu. - Chwycił mnie za ramię, odprowadził kilkanaście kroków dalej i ustawił przy wielkim głazie. - A teraz odwróć się plecami do mnie.

Zrobiłem, co kazał, zerkając na niego przez ramię. Mistrz trzymał nóż w lewej ręce, którą najczęściej się posługiwał. Po

chwili pokręcił głową i przełożył go do prawej.

- Powinniśmy założyć, że morderca, tak jak ogromna większość ludzi, jest praworęczny - wyjaśnił, unosząc nóż na wysokość twarzy. - A teraz, Dino, udam, że cię pchnę. Odwróć wzrok i stój spokojnie.

Udało mi się nie drgnąć, kiedy koniec ostrza dotknął mojej skóry w połowie odległości między ramieniem a szyją. Poczułem falę zimna promieniującą z zakrwawionego metalu, lecz tłumaczyłem sobie, że to wrażenie jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Nie potrafię powiedzieć, jak długo Mistrz trzymał ostrze przy mojej skórze; słyszałem, że mruczy coś o kątach, si-
le i łukach. Wreszcie cofnął nóż.

- Doskonale, zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć. A teraz przejdź tam, gdzie hrabia upadł.

Idąc, zauważyłem na trawie ślady krwi. Przyjrzałem się uważniej i dostrzegłem, że ciągną się przerywaną linią aż do miejsca, gdzie znalazłem ciało. Zatrzymałem się tam i spojrzałem na Mistrza.

Skinął głową.

- Bardzo dobrze, Dino. Jak widzę, zauważyłeś, że hrabia wyzionął ducha tam, gdzie stoisz, lecz został pchnięty nożem przy głazie. Tak, czynimy znaczne postępy w naszym śledz-

twie. A teraz połóż się na ziemi w takiej pozycji, w jakiej znalazłeś ciało.

Spełniłem polecenie. Czułem się nieswojo, odgrywając rolę zmarłego, chociaż rozumiałem, dlaczego jest to potrzebne. Starałem się ułożyć w odpowiedniej pozycji, ale biskupie szaty utrudniały mi ruchy. Zażęknąłem za swobodą, jaką dawała mi moja prosta tunika. Mistrz najwyraźniej podzielał moje zniecierpliwienie.

- Nie, nie tak - powiedział, odsuwając moją rękę nieco dalej od ciała i układając kolano pod innym kątem. - Teraz dobrze. Postaraj się nie ruszać. Muszę cię obejrzeć ze wszystkich stron.

Leżałem nieruchomo, on zaś krążył dookoła, zatrzymując się co chwila lub pochylając, by pod takim czy innym kątem popatrzeć na moje ciało. Wprawiało mnie to w zakłopotanie, i to nie tylko dlatego, że udawałem trupa. Odkąd przybyłem do zamku, nauczyłem się trzymać na odległość wyciągniętej ręki od Mistrza i innych terminatorów, by unikać wszelkiego fizycznego kontaktu. W mojej sytuacji nie mogłem pozwolić nikomu się do mnie zbliżyć, teraz jednak Mistrz nie tylko stał o pięć ode mnie, ale popychał mnie i przesuwiał niczym bryłę gliny.

Na szczęście skupiał się nie na moim ciele, lecz na problemie, który sobą wyobrażałem. Po kilku minutach stanął i gestem polecił mi się podnieść.

- Możesz już wstać, Dino. Dowiedziałem się tego, czego chciałem.

- A co to takiego, Mistrzu? - ośmieliłem się spytać, wstając i otrzepując szaty z drobin ziemi i trawy.

Znałem jego skrytą naturę, nie byłem więc zdziwiony, kiedy odparł:

- Dowiedziałem się, że nieroztropnie jest przewidywać odpowiedź przed poznaniem wszystkich przesłanek. Na razie skończyliśmy z ogrodem. Możesz oddać kostium signorowi Luigiemu i wrócić do swoich zwykłych obowiązków.

37

Zostawiłem Leonarda oglądającego trzymanym w ręce nóż i wyszedłem z ogrodu z mitrą i krzyżem pod pachą. Cieszyłem się, że pozbędę się niewygodnego kostiumu, lecz równocześnie byłem rozczarowany, iż moja rola w śledztwie się skończyła... tak jak możliwość dołączenia do biesiadników. W stroju biskupa czułem się równy każdemu z dworzan. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że bycie arystokratą nie polega na przebraniu. Tylko ktoś taki jak Leonardo - z ogromną wiedzą i pewnością

cią siebie - mógł swobodnie poruszać się między tymi dwoma światami. Ta umiejętność przyczyniła się do sukcesu, jaki odniósł na dworze. Niewątpliwie będzie też stanowiła klucz do rozwiązania tajemnicy śmierci hrabiego, jeśli jej rozwiązanie w ogóle jest możliwe.

Ale przecież umiejętność prostego terminatora - takiego jak ja - wtopienia się w tłum niczym gobelin na ścianie mogłaby być nader użyteczna przy zbieraniu informacji!

Wróciłem do namiotu krawca, zdjąłem kostium biskupa i zostawiłem go jednemu z uczniów Luigiego, gdyż jego samego nie udało mi się znaleźć. Przeciskałem się przez radosny tłum w moim zwykłym stroju, ciesząc się swobodą ruchów, którą mi zapewniał, a którą przez ostatnie tygodnie przyjmowałem jako rzecz naturalną. Nieopodal zauważyłem białego biskupa pograżonego w rozmowie z dwoma czarnymi pionami. Kobiety, która omyłkowo wzięła mnie za niego, a potem z nim odeszła, nigdzie nie było widać.

Biskupowi najwyraźniej nie brakowało jej towarzystwa, przemawiał bowiem z ożywieniem do swojej nowej publiczności, wymachując przy tym trzymanym w ręce kubkiem, z którego pociągał raz po raz. Wybrał czerwone wino, na co wskazywały karmazynowe plamy zdobiące obficie jego śnieżnobiałą sutannę, coraz liczniejsze z każdym kolejnym łykiem. Ten wi-

dok przypomniał mi o losie, jaki spotkał hrabiego, i przeszedł mnie dreszcz. Czym prędzej odsunąłem od siebie przykre myśli, wyobrażając sobie minę signora Luigiego, kiedy odkryje, jak potraktowane zostały szaty drugiego białego biskupa.

38

Wróciłem do pracowni, by przyłączyć się do pozostałych uczniów przy wieczornym posiłku. Ale jedynym, którego zastałem, był Vittorio. Właśnie zamiatał podłogę - jako najmłodszemu przydzielano mu najgorsze zadania - wzbijając przy tym w powietrze tyle kurzu, że zacząłem kichać.

Usłyszawszy to, podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Przepraszam, chciałem jak najszybciej skończyć i dołączyć do reszty. Wszyscy poszli już do kuchni na kolację. Dlaczego nie jesteś z nimi?

- Pomagałem Mistrzowi - odparłem, na co Vittorio wzdrygnął ramionami.

Takie ogólne wyjaśnienie było wystarczające dla każdego z nas. Wszyscy wiedzieliśmy, jak dziwaczne zadania potrafi wyznaczać Leonardo. Mógł to być zwykły spacer po zamkowych ogrodach w poszukiwaniu różnych żółtych kwiatów lub... udawanie trupa w nadziei na poznanie tożsamości jego zabójcy. Oczywiście nie wspomniałem o tym ani słowa, tylko

usiadłem na drewnianej ławie i czekałem, aż Vittorio skończy swoją pracę.

Miotła śmigła niczym kogut ścigany przez jastrzębia, Vittorio przemknął przez całą pracownię i niemal wpadł na rząd przykrytych płótnem niedokończonych malowideł. Naprzeciwko stał długi, wąski stół, a na nim pojemniki z pęczkami zwierzęcej sierści do wyrobu pędzli i z minerałami służącymi do wyrobu barwników oraz miski pełne świeżych jajek, z których żółtek wymieszanych z pigmentem robiliśmy tempery. Na stole były także deski czekające na oszlifowanie i pokrycie warstwą blejtramu, aby można było na nich malować. Na półkach na ścianie za stołem leżały woskowe odlewy różnych części ludzkiego ciała - rąk, stóp, dłoni, a nawet nosów - których używaliśmy jako wzorów, kiedy nie było żywych modeli. I stół, i prosta drewniana podłoga nosiły ślady zapachu, z jakim wykonywaliśmy swoje zajęcia - ich powierzchnie znaczyły plamy we wszystkich barwach występujących w przyrodzie. Ta wibrująca kolorami mozaika ożywiała skromne wnętrze,

39

w którym spędzaliśmy całe dni. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem wystroju był brązowy wełniany koc zawieszony w głębi pracowni i oddzielający część, w której sypia-

liśmy.

Sięgnąłem po mosiężny moździerz i dla zabicia czasu zacząłem się rozbijaniem na czerwony proszek znajdującej się w nim odrobiny hematytu. Moja nauka obejmowała opanowanie wszelkich umiejętności niezbędnych do prowadzenia warsztatu rzemieślniczego takiego jak nasz. Chociaż są to czynności na pozór proste, szybko przekonałem się, że wymagają nie mniej sprawnej ręki niż namalowanie portretu. Moi koledzy i ja mieliśmy jednak mnóstwo czasu na ich doskonalenie, gdyż naszemu Mistrzowi nigdy nie brakowało zleceń. Oprócz machin wojennych i rzeźb, które zaprojektował dla Il Moro, miał także każde pomieszczenie książęcego pałacu ozdobić wizerunkami świętych i grzeszników. Wobec tak ambitnych planów księcia my, uczniowie, mieliśmy zajęcie przez wszystkie dni tygodnia. Pracowaliśmy niemal bez wytchnienia od świtu do zmierzchu, z zaledwie dwiema krótkimi przerwami na posiłek o dziesiątej rano i piątej po południu, a zwykle były jakieś rzeczy do dokończenia, zanim mogliśmy położyć się spać.

Vittorio dotarł ze swoją miotłą na koniec pracowni. Zebrał na kawałek starej deski zgromadzoną kupkę śmieci i wyrzucił ją przez okno.

- Gotowe - oznajmił z satysfakcją. - Chodź, Dino. Idziemy jeść.

Wzięliśmy nasze miski oraz noże i tylnymi drzwiami wyszliśmy na mały dziedziniec, do którego przylegały kuchnia oraz kwatery służby. W odróżnieniu od brukowanego głównego dziedzińca tu chodziło się po twardej, ubitej ziemi. Dusząca woń dochodząca z pobliskich stajnie mieszała się z zapachami dobiegającymi z kuchni. Niedaleko sterty śmieci stała altana mieszcząca proste stoły z desek i rzędy nieheblowanych drewnianych ław. Właśnie tu spożywaliśmy posiłki my, terminatorzy, oraz służba.

40

Constantin i inni już siedzieli przy stołach, pożywiając się potrawką z baraniny, która moim zdaniem z baranem miała niewiele wspólnego. Podeszedłem wraz z Vittoriem do drzwi kuchni, gdzie jedna z dziewcząt napełniała miski zamkowej służbie. Stanęliśmy na końcu kolejki i cierpliwie czekaliśmy, aż przyjdzie pora na nas. Szkoda, że nie mogłem zatrzymać nieco dłużej kostiumu biskupa, pomyślałem, gdy zerknąłem w głąb zadymionej kuchni i dostrzegłem, że moźni będą się dziś pożywiać przepiórkami i dziczyzną.

Wreszcie dotarłem na początek kolejki.

- Witaj, Dino - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem ciemnowłosa służąca, napełniając moją miskę. - Pamiętasz mnie?

Jestem Marcella. Właśnie zaczęłam pracować w kuchni. Może zostaniemy przyjaciółmi.

- Oczywiście - odparłem i czując, że się rumienię, odszedłem pośpiesznie. To jedna z rzeczy, na które nie byłem przygotowany, zostając uczniem Leonarda: odpieranie zalotów dziewcząt służebnych. Już wcześniej musiałem rozwiać nadzieje pewnej młodej kobiety pracującej w pralni; powiedziałem jej, że jestem związany z dziewczyną z mojej wioski. Gdyby Marcella okazała coś więcej niż przyjacielskie zainteresowanie, musiałbym powtórzyć tę samą historię.

Usiadłem obok Constantina, który niestety usłyszał moją krótką rozmowę z podkuchenną.

- O co ci chodzi, Dino? Boisz się kobiet? - spytał, a ja zaczerwieniłem się jeszcze bardziej. - Podobasz się chyba wszystkim, bo jesteś taki ładny. Na twoim miejscu bym to wykorzystał.

- Ja też - wtrącił Vittorio z szerokim uśmiechem. - Zobacz, ona dała ci nawet trochę prawdziwego mięsa. Musiałeś bardzo jej się spodobać.

- Po prostu chciała być miła - mruknąłem, kiedy zamieszawszy moją potrawkę, stwierdziłem, że istotnie pływają w niej kawałki baraniny.

Koledzy zaczęli chichotać i trącać się łokciami, a gdy spojrzałem na Marcellę i zauważyłem, jak szeroko się do mnie

uśmiecha, humor jeszcze bardziej im się poprawił. Czym prędzej spuściłem wzrok i zająłem się jedzeniem.

Jeden z uczniów, Paolo, pochylił się nad stołem.

- Mniejsza z tym! - rzekł konspiracyjnym szeptem, a jego rumiana twarz nagle spoważniała. - Pamiętacie, jak Davide, Dino i ja zostaliśmy wysłani na poszukiwanie zaginionego białego biskupa? Okazało się, że ktoś z rodziny księcia nie żyje. Może to właśnie ten człowiek!

- Nie żyje? - powtórzył Vittorio i jęknął, gdy Paolo zasłonił mu dłonią usta.

Wstrzymałem oddech. Jak to możliwe, że wieść już się rozeszła, skoro książę nakazał dochowanie tajemnicy? Może któryś z gwardzistów się wygadał? Kogo Il Moro obwini o wyjawienie sekretu? Modliłem się, żeby nie mnie.

Tymczasem Paolo posłał Vittoriowi miażdżące spojrzenie i rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie usłyszał słów chłopca. Dopiero kiedy uznał, że nie, zdjął dłoń z jego ust.

- Słyszałem od lokaja, któremu powiedział o tym jeden ze służących, że ludzie Il Moro tylnymi drzwiami wnieśli do pokoiów książęcej rodziny jakieś ciało - opowiadał z przejęciem. - Stało się to niedługo po tamtej długiej przerwie w grze.

Mówili, że to nagły atak syfilisu.

Powiódł spojrzeniem po wszystkich przy stole, aż w końcu zatrzymał wzrok na mnie.

- Dino, nie było cię jeszcze długo po tym, jak Davide i ja wróciliśmy i czekaliśmy na Mistrza. Powiedz nam, co wiesz?

- Nic. Mistrz kazał mi sprawdzić jeszcze kilka miejsc i dlatego tak długo nie wracałem.

Nie było to do końca nieprawdą, a jednak pospiesznie napełniłem usta potrawką, aby nie musieć mówić nic więcej. Dobrze, że chociaż plotka już rozeszła się po zamku, była to ta sama historia, którą wymyślił książę dla ukrycia prawdy. Może więc uda się uniknąć konsekwencji, którymi groził nam II Moro.

Ale moje słowa nie wszystkim trafiły do przekonania.

42

- Nie wierzę ci - odparł jeden ze starszych terminatorów, Tommaso. - Słyszałem od ucznia krawca Luigiego, że po skończonej grze oddałeś mu biały kostium biskupa. A jeden z żonglerów twierdził, że biały biskup, który wrócił na szachownicę po przerwie, nie był tym samym, który z niej zszedł.

- To brzmi podejrzanie - przytaknął Paolo, a ja poczułem ciarki na plecach. - No dalej, Dino, powiedzże nam, co wiesz.

- Poczekaj - w piskliwym głosie Constantina pojawił się władczy ton, jak przystało najstarszemu wśród nas. Spojrzał karcąco na Tommasa i mówił dalej: - Jeśli Dino cokolwiek wie, to możesz być pewien, że Mistrz kazał mu zachować milczenie. Co dzieje się poza pracownią, to nie nasza sprawa. Jesteśmy tutaj, żeby uczyć się od Leonarda i tyle. Pomówmy więc o czymś innym.

Usłyszałem słabe protesty jednego czy dwóch kolegów, lecz słowa Constantina odniosły skutek i rozmowa przeszła na fresk, który planował namalować Mistrz. Spojrzałem z wdzięcznością na starszego kolegę i wróciłem do jedzenia potrawy. Kiedy opróżniłem miskę, nikt już nie pamiętał o plotce Paola. Wymknąłem się z altany, starannie unikając spojrzenia Marcelli, i skierowałem z powrotem do pracowni.

Zachodzące słońce pogrzyżyło pomieszczenie w ponurym półmroku, zapaliłem więc kilka ogarków, by rozprędzić ciemności. Wkrótce pozostali uczniowie zaczęli małymi grupkami wracać do pracowni. Nikt nie musiał przydzielać nam zadań, gdyż wszyscy wiedzieliśmy, co trzeba zrobić, zanim ułożymy się do snu. Postanowiłem pomóc Vittoriowi i Davide'owi szlifować ułożone w niewielki stosik deski.

Godzinę później Constantin oznajmił, że praca przewidziana na ten wieczór została ukończona, więc przed snem

możemy robić, na co mamy ochotę. Większość uczniów zajęła się grą w kości o kamyki i kawałki szkła, żaden z nas nie miał bowiem pieniędzy, które mógłby postawić. Gdy atmosfera w pracowni stała się bardziej swobodna, Tommaso chwycił swą podniszczoną lutnię i zaczął grać wesołą melodię, zaskakująco

43

zrećnie przebierając grubymi palcami po drewnianej szyjce instrumentu.

Nie przyłączyłem się do kolegów, lecz usiadłem przy pale-nisku w rogu, gdzie wciąż jeszcze tliły się resztki ognia. Wyjąłem z sakiewki mój notatnik i na drewnianej ławie spisywałem najważniejsze wydarzenia dnia. Robiłem to codziennie, rzadko zastanawiając się nad doborem słów, chyba że było to konieczne ze względu na brak miejsca na stronie. Dziś jednak starannie ważyłem każde słowo, na wypadek gdyby moje notatki wpadły w niepowołane ręce. Kilka wyrazów - ogród, biskup, nóż - oraz inicjały pozwalające zidentyfikować osoby biorące udział w dramatycznych wydarzeniach wystarczyły, żebym mógł sobie później wszystko dokładnie przypomnieć. Jednocześnie notatka była na tyle niejasna, że ktoś czytający ją nie mógłby się zorientować, o co w niej chodzi.

Przygasanie dopalających się świec skłoniło nas do zakoń-

czenia wieczornego posiedzenia. A że zużyliśmy większość tygodniowego przydziału łożu, nastąpiło to dość wcześnie. Właśnie kreśliłem ostatnie linie do maleńkiego szkicu ogrodu z zaznaczonym miejscem spoczynku nieszczęsnego hrabiego, kiedy świeca stojąca najbliżej mnie zgasła z cichym sykiem.

- Pora spać - oznajmił Constantin wśród teatralnych westchnień i jęków pozostałych. Wcześniejsze rozmowy pozwalały mi jednak przypuszczać, że tego wieczoru wszyscy mieli ochotę szybko znaleźć się w łóżkach, zwłaszcza że poprzednią noc spędziliśmy, pomagając w przygotowaniach do szachowej rozgrywki.

Tommaso zakończył swój utwór dramatycznym akordem, a Paolo i Davide schowali do kieszeni kości. Włożyłem notatnik do sakiewki przy pasie i wraz z kolegami ruszyłem do prowizorycznej sypialni za kocem.

Ta wełniana bariera oddzielała zaskakująco obszerną przestrzeń na tyłach pracowni. Wzdłuż jej ścian ciągnął się rząd płytkich nisz, które niegdyś zapewne wykorzystywano do przechowywania czegoś. Teraz każda mieściła wyłożoną słomą

44

wąską drewnianą półkę, służącą jako łóżko. Wnęki nie były zbyt głębokie, toteż prycze wystawały na środek pomieszcze-

nia i pozostawało między nimi tylko wąskie przejście. Jednak nisze te dawały złudzenie pewnej prywatności, niemal nieznannej innym ludziom o naszej pozycji. Udało mi się zająć łóżko w najdalszym kącie, dzięki czemu zyskałem jeszcze większe odosobnienie.

Gdyby nie fakt, że każdej nocy leżeliśmy w tych niszach upakowani niczym skrzynie, zapewne nie zdołałbym tak długo utrzymać mojego oszustwa w tajemnicy!

Poczekalem, aż wszyscy uczniowie zajmą swoje miejsca, a Constantin zdmuchnie ostatnią świecę. Teraz pomieszczenie oświetlała księżycowa poświata wpadająca przez wąskie okienka umieszczone wysoko w ścianach. To wystarczało, bym widział zarys dłoni, jeśli trzymałem ją tuż przed nosem, lecz nic więcej. Kiedy upewniłem się, że nikt nie zobaczy moich poczynań, usiadłem po turecku na łóżku i sięgnąłem pod tunikę, aby odwinąć pas płótna, którym były ściśnięte moje piersi.

Odetchnęłam głęboko po raz pierwszy od chwili, gdy bładym świtem ja, Delfina, owinęłam się płótnem, które ukrywało moje kobiece cechy i pozwalało udawać chłopca - Dina. Powtarzałam ten rytuał każdego ranka, zanim pozostali uczniowie zaczynali się budzić. Sięgnęłam ręką do włosów i pozwoliłam sobie na chwilę próżności, oplakując ich stratę. Niegdyś gęstymi kruczoczarnymi falami opadały aż do bioder, lecz teraz,

ostrzyżone po chłopięcemu, ledwie sięgały ramion. Była to pod pewnymi względami największa i najtrudniejsza z ofiar, jakie musiałam ponieść.

Ale utrata włosów i ukrywanie mojej kobiecości nie były wysoką ceną za możliwość uczenia się malarstwa u wielkiego Leonarda... możliwość, której nie miałabym jako kobieta.

Oczywiście przekonanie ludzi, że jestem mężczyzną, wymagało czegoś więcej niż włożenia chłopięcego ubrania i obcięcia długich loków. Dla dopełnienia iluzji musiałam obniżyć tembr głosu, aby brzmiał mniej kobieco. Podawałam się też za

45

młodsza niż w rzeczywistości, żeby moje gładkie policzki i delikatne rysy nie zwracały niepotrzebnie niczyjej uwagi.

Co prawda przez pierwsze dni po przybyciu tutaj, byłam obiektem nieszkodliwych żartów, kiedy nie chciałam się rozebrać ani załatwiać naturalnych potrzeb w obecności innych uczniów, lecz zainteresowanie moją przesadną skromnością minęło i już nikt o tym nie wspominał. Na szczęście nam, terminatorom, nie wolno nosić skandalicznie krótkich tunik wystawiających na pokaz dolne partie ciała, co zdarza się niektórym arystokratom. I podczas gdy ci panowie prezentowali swoje męskie atrybuty, ilekroć wchodzili po schodach lub do-

siadali konia, moja sięgająca kolan tunika dawała pewność, że nikt nie zauważy u mnie braku pewnych szczegółów męskiej anatomii.

Z czasem odkryłam, że taka maskarada jest stosunkowo łatwa, albowiem ludzie z reguły widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Twierdziłam, że jestem mężczyzną; dopóki więc nic nie zakłóciło tego złudzenia, byłam postrzegana jako mężczyzna.

Schowałam starannie złożony pas materiału pod łóżkiem, by nikt go nie mógł zobaczyć, zamieniłam chłopięce ubranie na długą nocną koszulę i wsunęłam się pod koc, wyczerpana po trudach ostatniej nocy. Jednakże myśli o martwym człowieku znalezionym w ogrodzie nie pozwalały mi zasnąć.

Kto go zabił i dlaczego? Czy zbrodnia ta została popełniona w chwili uniesienia, czy też była celowa i zaplanowana? Jak Mistrz i ja możemy wykryć sprawcę, skoro jedynymi świadkami byli najwyraźniej ofiara i morderca? I czy ktokolwiek opłakuje hrabiego... czy może reszta rodziny, tak jak księżę, uważa jego śmierć za niepotrzebną komplikację?

Jęknęłam cicho, przeklinając los, który wciągnął mnie w tę ohydną sieć. Znając upartą naturę Mistrza, wiedziałam, że nie spocznie, dopóki zbrodniarz nie zostanie wykryty, zwłaszcza że księżę powierzył mu owo zadanie. To zaś oznaczało, iż również ja w najbliższym czasie nie zaznam dużo odpoczynku. Niepo-

koilo mnie także, że ze względu na zaangażowanie w śledztwo

46

niebezpiecznie dużo czasu będę spędzać w towarzystwie Mistrza. Byłem jednym z wielu jego uczniów, więc dotychczas nie zwracał na mnie większej uwagi. Lecz przebywając z nim sam na sam, stanę się obiektem uważnej obserwacji. Człowiek obdarzony tak niebywałą spostrzegawczością jak Leonardo bez trudu przejrzy moją grę, jeśli nie zachowam nadzwyczajnej ostrożności.

Wizję martwego hrabiego zastąpiły w moich myślach dramatyczne sceny, w których Mistrz odkrywa moją prawdziwą tożsamość i wyrzuca ze swojej pracowni... oraz z zamku. Gdyby do tego doszło, nie miałabym gdzie się podziać. Z pewnością nie mogłabym wrócić do domu, zważywszy na okoliczności, w jakich przed kilkoma tygodniami go opuściłam.

Muszę dodać, że nie wdałam się rozmyślnie w tę awanturę ani też nie zamierzałam przebierać się za mężczyznę. I jedno, i drugie narzuciły mi okoliczności.

Pierwsze ukłucie niezadowolenia poczułam pewnego ranka, gdy ja starałam się przydźwigać do domu stos świeżo wypranej bielizny, a tymczasem moi dwaj młodsi bracia spędzali dzień, ucząc się stolarki pod okiem ojca, który był mistrzem

tego rzemiosła.

Zdałam sobie wtedy sprawę, jak szczęśliwi są moi bracia, mając jasno określoną drogę życiową. Kiedy skończą naukę, wstąpią do cechu, pewnego dnia sami zostaną mistrzami, znajdą sobie żony i będą mieli dzieci. Możliwości wyboru mieli wprawdzie niewielkie, lecz ich przyszłość rysowała się obiecująco. W mojej przyszłości nie było tak wyraźnych drogowskazów, odkąd zesłam ze ścieżki przewidzianej tradycyjnie dla kobiety o skromnej pozycji społecznej.

Moja matka, Carmela, nie aprobowała niekonwencjonalnych decyzji ani mnie do nich nie zachęcała. Sama już wspięła się w górę hierarchii społecznej, poślubiając mojego ojca, i miała nadzieję dodatkowo wzmocnić swą pozycję, wydając jedyną córkę za mężczyznę jeszcze wyższego stanu. Potem, rozmawiając z przyjaciółkami o dzieciach, mogłaby uśmiechać się

47

z satysfakcją i podkreślać, jak dobrze jej córka - czyli ja - wyszła za mąż. Niestety, ku jej ogromnemu strapieniu zaaranżowanie odpowiedniego małżeństwa okazało się o wiele trudniejsze, niż sądziła. Prawdę mówiąc, już dawno przekroczyłam wiek, w którym powinnam była wyjść za mąż, gdyż właśnie minęły moje osiemnaste urodziny. Odkąd skończyłam dwana-

ście lat, przedstawiała mnie rozmaitym kandydatom w nadziei, że któryś z nich zwróci na mnie uwagę. Kilku złożyło nawet pewne propozycje, lecz żadna nie usatysfakcjonowała mojej matki. Nie żebym miała nieprzyjemną powierzchowność; przeciwnie - wiele osób mówiło, że jestem bardzo podobna do matki, która dzięki wyrazistym oczom i gęstym ciemnym włosom uchodziła za młodą za prawdziwą piękność. Jednak obsesja na punkcie farb i pędzli, jaką miałam od dzieciństwa, płoszyła co bogatszych konkurentów.

Gdybym ograniczyła się do malowania nieszkodliwych bukietów, może nie zwracano by uwagi na moje dziwactwo czy wręcz je aprobowano. Na nieszczęście po naszym miasteczku rozeszła się wieść, że Delfina della Fazia umie malować tak, jak nie potrafi żadna kobieta, i spod jej pędzla wychodzą pełne dramatyzmu wizerunki świętych i wojowników, świadczące o talencie, który wywoływał równie często pochwały, co potępienie. A żaden mężczyzna dbający o swoją reputację nie chciał małżonki zwracającej na siebie uwagę w tak niestosowny sposób.

Matka próbowała zabronić mi malowania, lecz znalazłam sojusznika w ojcu. Jako artysta tworzący w drewnie rozumiał moje potrzeby i uznawał, że powinnam realizować swoje powołanie, jeśli naprawdę tego właśnie pragnę. Był to jeden z nie-

licznych przypadków, gdy łagodny zwykle ojciec wykorzystał prawa przysługujące mu jako głowie rodziny, o co matka nigdy nie przestała mieć do mnie pretensji.

Sytuacja stała się napięta, kiedy - kilka tygodni przed tym, jak opuściłam rodzinny dom - przyjaciółka matki zobaczyła moją interpretację kuszenia Chrystusa. Bystrooka dama zwró-

4S

ciła uwagę na podobieństwo między którymś z pomniejszych demonów na obrazie a jednym z najbardziej wpływowych obywateli naszego miasteczka, signorem Niccolem, kupcem w średnim wieku, powszechnie znanym z wrednego charakteru. Pogłoska o tej zniewadze rozeszła się po mieście i w końcu sam signor Niccolo zażądał pokazania mu obrazu.

Na szczęście przewidziałam taki rozwój wypadków. Gdy tylko owa niewiasta opuściła nasz dom, przerobiłam obraz, nadając demonowi mniej charakterystyczne rysy. Dla pewności umieściłam też signora Niccola na płótnie, lecz tym razem jako jednego z broniących Chrystusa aniołów. Kiedy więc malowidło zostało zaprezentowane wściekłemu mężczyźnie, ojciec zdołał go przekonać, że cały incydent był zwykłym nieporozumieniem. Kupiec był tak zadowolony z faktu przedstawienia go jako sługi Pana, że natychmiast zaproponował ojcu kupno

obrazu.

Na tym całe zamieszanie mogłoby się zakończyć, gdyby nie to, iż następnego dnia signor Niccolo złożył mi za pośrednictwem ojca propozycję małżeństwa.

Jakiś dźwięk przerwał moje rozmyślenia i przywrócił do rzeczywistości. Najpierw usłyszałam szelest tkaniny, gdy zasłona oddzielająca naszą sypialnię od pracowni rozsunęła się na moment, a potem dobiegł mnie stłumiony odgłos stąpania po drewnianej podłodze. Natychmiast rozpoznałam te kroki, Mistrz bowiem często przechadzał się między nami nocą.

Miał nieprzyjemny zwyczaj wzywania tego czy innego spośród uczniów, by towarzyszył mu w spacerze po zamku, kiedy wszyscy od dawna byli pogrążeni we śnie. Niektórzy mówili, że kieruje nim lubieżność, ale moje doświadczenie wskazywało, iż to nieprawda. Kilkakrotnie byłam wyrywana ze snu, by dotrzymać mu towarzystwa. Raz po prostu szłam za nim przez pogrążone w ciemnościach ogrody, podczas gdy Mistrz wskazywał różne konstelacje na nocnym niebie i zastanawiał się, czy w przyszłości ludzie będą umieli budować latające maszyny, które zabiorą ich do gwiazd. Innym razem pomagałam

mu wykopać miniaturę zamkowej fosy na skrawku ziemi przed pracownią. Potrzebował jej, by przetestować różne wersje zwozonego mostu, który zaprojektował dla księcia.

Prawda była taka, że Mistrz bardzo mało sypiał, ponieważ nieustannie obmyślał nowe wynalazki. Ale wrodzony geniusz pozbawił go nie tylko snu. Uniemożliwił mu również realizację najbardziej podstawowej z ludzkich potrzeb - potrzeby towarzystwa. Z kim bowiem Leonardo mógł rozmawiać jak z równym sobie, skoro nawet sam Il Moro nie był w stanie w pełni go docenić? Nie poprawiał sytuacji także fakt, iż Mistrz emanował pewnością siebie graniczącą wręcz z arogancją. W rezultacie ludzie albo czuli wobec niego taki podziw, że lękali się odezwać w jego obecności, albo traktowali go jak szaleńca, nie potrafili bowiem zrozumieć jego szczegółowych objaśnień na temat anatomii, budowy maszyn czy teorii malarstwa.

Lecz nawet człowiek obdarzony tak wieloma talentami potrzebował kontaktu z bliźnimi. Byłam pewna, że właśnie nocami, gdy nie mógł zasnąć, najboleśniej odczuwał swoją samotność. I pragnąc wypełnić tę pustkę, prosił nas, uczniów, byśmy towarzyszyli mu w nocnych wędrówkach.

Dziś jednak nie samotność sprowadziła Mistrza do naszej

sypialni. Dlatego nie byłam zdziwiona, kiedy jego cień padł na moje łóżko i poczułam dotknięcie na stopie.

- Chodź, Dino, przecież nie śpisz - szepnął, potrząsając moją nogą. - Zapomniałeś, że czeka nas śledztwo? Ubierz się czym prędzej, i spotkamy się przed pracownią.

- Teraz, Mistrzu? - spytałam, ziewając; zmęczenie dodało mi odwagi niezbędnej, by zadać takie pytanie. - Czy nie lepiej poczekać, aż wzejdzie słońce, zamiast pracować przy świecy?

Leonardo parsknął na tyle głośno, że śpiący naprzeciwko Tommaso poruszył się niespokojnie i na kilka chwil przestał chrapać.

- Tam, dokąd idziemy, nie musisz się martwić o światło, drogi chłopcze - rzekł łagodnie. - Zabieram cię bowiem na ucztę.

50

4

Jak to jest, że gwałtowna śmierć wyzwala nawet w najbardziej ograniczonych ludziach najbardziej nieprzyzwoite ze wszystkich uczuć, niepohamowaną ciekawość?

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

Kilka minut później wyszłam przed pracownię, gdzie Leonardo przechadzał się po ścieżce jak wielki kot, którego obraz

przywodziło na myśl jego imię. Sierp księżycyca wiszący nad odległymi wzgórzami dawał dość światła, bym mogła zauważyć, że nie był już, jak zwykle, ubrany niczym rzemieślnik. Włożył krótką szatę ze szmaragdowozielonej satyny obszytą czarnym aksamitem i wielobarwne pończochy. Przez rozcięcia w szerokich, sznurowanych rękawach ubioru, zgodnie z wymogami najnowszej mody, widać było biały doblet, który miał pod spodem. Strój uzupełniał czarny aksamitny kapelusz.

Tak przyodziany bez trudu mógł uchodzić za arystokratę, pomyślałam z podziwem, czując się jak obdartus w mojej prostej tunice i spodniach. Mistrz nosił modny strój ze swobodą człowieka przywykłego do wytworności. Zastanawiałam się przez chwilę, czy dorastał wśród luksusów i porzucił je dla sztuki, czy też owa swoboda wynikała z wrodzonego wdzięku, który wydawał się stanowić nieodłączną część jego geniuszu.

Nie zauważając - lub nie okazując tego - mojego zachwyczonego spojrzenia, niecierpliwym gestem dał mi znać, bym poszła za nim. Nie obejrzał się nawet, by sprawdzić, czy nadążam, szybkim krokiem ruszył do głównego skrzydła zamku. Stłumiłam ziewnięcie i posłusznie dreptałam za nim, ciekawa, co zamierza. Ponieważ nigdzie w zasięgu wzroku nie było signora Luigiego, miałam nadzieję, że przynajmniej ta przygoda nie będzie wymagała ode mnie przebierania.

Niestety, wkrótce okazało się, że się myłę.

51

Zatrzymaliśmy się przed kuchnią, gdzie wcześniej pożywia-
łam się wraz z innymi uczniami. Drzwi były otwarte, a z lic-
nych pieców bił blask, który sprawiał, że w kuchni było jasno
jak w samo południe. Żar buchał w chłód nocy niczym gorący
oddech byka. Kuchnia jest miłym miejscem w mroźny zimo-
wy poranek, lecz kiedy indziej wydawała się diabelskim pale-
niskiem. Podczas dzisiejszej wieczornej uczyty służbę czekały
długie godziny pracy w tym piekle, gdzie przygotowywano wy-
szukane potrawy dla szlachetnych mieszkańców zamku oraz
ich gości.

Pomodliłam się w duchu, dziękując za to, że jestem ucz-
niem wielkiego malarza, a nie kucharza albo piekarza... cho-
ciaż nawet taka rola byłaby dla mnie dostępna tylko w chło-
pięcym przebraniu. Kobiety uważa się za nie dość silne, by
mogły podołać ciężkiej pracy w zamkowej kuchni. Skłonna do
flirtu Marcella była jedną z nielicznych niewiast, jakie tu pra-
cowały.

Większość pracowników kuchni stanowili chłopcy, którzy
nosili wodę, czyścili garnki i zajmowali się podtrzymywaniem
ognia, a nieco bardziej doświadczeni młodzieńcy ugniatali cia-

sto na chleb i skubali drób. Ci o przyjemnym wyglądzie mogli z czasem osiągnąć rangę służących, których zadaniem było noszenie gotowych dań do jadalni, a także podawanie potraw i nalewanie napojów. Tej funkcji, choć należała do najbardziej pożądanых w kuchni, nie mógłby pełnić człowiek o słabych nerwach lub mięśniach.

Mistrz zatrzymał się przy kuchennych drzwiach, a na jego twarzy pojawił się wyraz chłodnego namysłu. Po chwili, z charakterystycznym strzeleniem palcami, odwrócił się do mnie.

- Tutaj właśnie, mój drogi Dino, zaczniemy następną fazę naszego śledztwa. Wielka liczba potencjalnych podejrzanych zbierze się w głównej sali, aby wziąć udział w zaplanowanej na dzisiejszy wieczór uczcie. Księżę poinformował mnie, że jeszcze nie ogłosił publicznie wieści o śmierci swojego kuzyna. Nawet jego rodzina wciąż nie wie nic o tym, co się wydarzyło.

52

- Ależ Mistrzu - odezwałam się. - Ja już słyszałem plotki...

- Że ktoś padł ofiarą syfilisu? Zamek to nader podatny grunt dla takich pogłosek, ale nie lękaj się, tajemnica nadal jest bezpieczna. Księżę zamierza wydać oświadczenie o morderstwie podczas uczty. Musimy być w pobliżu, żeby zobaczyć, kto będzie naprawdę zaskoczony tą nowiną, a kto tylko uda

zdziwienie.

Zmarszczyłam brwi.

- Więc uważasz, Mistrzu, że mordercą hrabiego jest ktoś z dworu, a nie spoza zamku?

- To kwestia prostej dedukcji, mój drogi chłopcze. - Sięgnął do rękawa i wydobyl nóż, którego wąskie ostrze zaślniło złowieszczo. - Wyryty na nim herb świadczy, że nóż należy do księcia. Zawodowy morderca z pewnością użyłby własnego noża i nie zostawił na miejscu zbrodni tak oczywistego dowodu. Ten - stuknął lekceważąco ostrze, które odebrało życie hrabiemu - został stworzony do krojenia kurczaka i wołowiny, a nie ludzi. Jako narzędzie zbrodni posłużył przez przypadek.

A jednak okazał się skuteczny w funkcji, do jakiej go użyto. Samo wspomnienie sprawiło, że nerwowo przełknęłam ślinę. Lecz rozumowanie Mistrza było logiczne, skinęłam więc głową z aprobatą.

Leonardo, usatysfakcjonowany, włożył nóż na powrót do rękawa.

- A teraz, Dino, muszę jeszcze raz cię poprosić, byś odegrał pewną rolę. Nie powinniśmy pochopnie zakładać, że mordercą był któryś z wielmożów. Równie dobrze mógł to być baron, jak chłopak z kuchni. Dlatego też, kiedy ja zasiądem przy stole wraz z innymi gośćmi, ty wmieszasz się w tłum pracujący w kuchni.

Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, by sprawdzić się w roli podającego do stołu?

Nalanie wina z ciężkiego metalowego dzbana do kielicha, gdy stoi się kilka metrów od niego, wymaga pewnej ręki. A żeby napełnić kielich, którym jego właściciel wymachuje,

53

opowiadając ekscytującą historię swoim sąsiadom przy stole, potrzeba umiejętności znacznie większych od moich. Niestety, przekonałam się o tym dopiero, gdy oblałam winem młodego szlachcica, który domagał się dolania wina, lecz nie chciał rozstać się ze swoim kielichem na czas potrzebny do jego napełnienia. Mamrocząc słowa przeprosin z powodu czerwonych plam, jakimi teraz poznaczony był rękaw jego płaszcza w kolorze kości słoniowej, przycisnęłam w połowie opróżniony dzban do piersi i uciekłam.

Na szczęście ów szlachcic był już tak upojony winem, że zrugał mnie za brak zręczności bez większego przekonania.

- Ochłap mnie jeszcze raz, a każę przybić twoją skórę do drzwi wartowni! - ryknął wprawdzie, lecz jego sąsiedzi przy stole tylko roześmiali się na tę pogrózkę.

Przywołana do porządku skryłam się w kuchni i pomyślałam, że może lepiej poradzę sobie z czymś, co trudniej roz-

lać. Roztropnie wymieniłam dzban na półmisek ze słodyczami i trzymając go mocno, włączyłam się w strumień służących, który płynął korytarzem prowadzącym do sali biesiadnej. Tutaj, w przejściu łączącym oba skrzydła, powietrze było nieco mniej duszne. Zatrzymałam się na chwilę i otarłam rękawem twarz, aby moje rumieńce i spocone czoło nie zwracały niepotrzebnie niczyjej uwagi.

Jak się obawiałam, kuchnia była strasznym miejscem. Ogień płonął w piecach najróżniejszej wielkości, od ogromnych, które mogły pomieścić całego wołu nadzianego na rożen, po małe, proste piecyki do wypiekania pysznego chleba. Każde palenisko służyło do innego celu, zależnie od tego, w której części kuchni się znajdowało. W jednej części wypiekano tylko ciasta; w innej pieczono i gotowano wszelkiego rodzaju mięsa i drób; w jeszcze innej przygotowywano masło i sery.

Przylegające do głównego pomieszczenia spiżarnie pękały w szwach od zapasów żywności, napojów i przypraw wartych tyle, co całe wsie, a kredensy mieściły ogromną liczbę sztuców i naczyń. W kuchni nie marnował się ani skrawek prze-

54

strzeni, nawet z sufitów zwieszały się pęki warzyw i worki z suszonym mięsem. Pod podłogą z kamieni - o wiele łatwiej-

szą do utrzymania w czystości niż staroświeckie klepiska przykryte trzcina - znajdowała się piwnica, w której spoczywały beczki piwa i wina. Oczywiście ja tylko słyszałam o tym miejscu. Wstęp do piwnicy miało jedynie kilku uprzywilejowanych pracowników.

Włodarze kuchni często chełpili się, że ich włości funkcjonują równie skutecznie, jak armia Il Moro. I właśnie ogromna liczebność oraz różnorodność personelu sprawiła, że dołączenie do niego okazało się zadaniem znacznie łatwiejszym, niż początkowo sądziłam. Awans z funkcji ucznia Leonarda na służącego kuchennego wymagał tylko zdobycia biało-niebieskiej tuniki, którą włożyłam na swoje ubranie, i wzięcia do ręki dzbana z winem.

Nie bałam się, że moje oszustwo zostanie wykryte. W kuchni pracowało tak wielu młodych mężczyzn, że przełożeni nie byli w stanie spamiętać ich twarzy ani imion. Czując się coraz pewniej w swojej roli, byłam już w połowie długości krętego korytarza, kiedy przez panujący tam gwar usłyszałam:

- Krew.

Z wrażenia omal nie upuściłam półmiska, zdołałam się jednak opanować. Spojrzałam w stronę, z której dobiegło to ponure słowo. Jakieś dwadzieścia kroków przede mną dwaj młodzi służący - każdy z koszem chleba niemal tak wielkim jak

on sam - rozmawiali z ożywieniem, idąc w stronę jadalni. Pamiętając o swojej roli szpiega Leonarda, wyteżyłam słuch, by usłyszeć jak najwięcej z ich rozmowy. Wiedziałam, że książę jeszcze nie ogłosił wiadomości o śmierci kuzyna. Czy ci młodzieńcy mogli się o tym dowiedzieć wcześniej?

Przyspieszyłam nieco kroku - na tyle, aby moje poczynania nie były zbyt oczywiste - oni jednak byli tak pochłonięci dyskusją, że nie zwrócili na mnie uwagi, nawet gdy znalazłam się kilka kroków od nich. To, co usłyszałam, utwierdziło mnie w podejrzeniach.

55

- ...wszystko szło zgodnie z planem- powiedział starszy, wykrzywiając usta w kpiącym uśmiechu. Krępy, rudowłosy, sprawiał wrażenie gotowego w każdej chwili wdać się w bójkę. Ścisnął kosz tak mocno, że aż zbieleły mu dłonie. - Chyba mieliśmy szczęście, że to się wydarzyło.

- Czy ktokolwiek widział, jak wchodziłeś albo wychodziłeś? - spytał drugi z wyraźnym niepokojem. Był wyższy i sporo szczuplejszy od swego towarzysza, a czarne włosy opadały mu na czoło, choć wciąż je odgarniał.

Słuchałam ich rozmowy, a serce biło mi coraz szybciej. Może Mistrz miał rację i mordercą hrabiego nie był któryś z ary-

stokratów. Wstrzymałam oddech, czekając na odpowiedź starszego z młodzieńców.

Wzruszył ramionami tak energicznie, że aż bochenek chleba wypadł z jego kosza.

- Raczej nie. Lecz w każdej chwili ktoś może się na niego natknąć, a wtedy zaczną się poszukiwania.

- Powinniśmy się ukryć albo uciec - zasugerował młodszy, teraz już wyraźnie wystraszony.

Jego kolega pokręcił głową.

- Nie możemy. Jeszcze nie skończyliśmy naszej pracy.

Kiedy dotarliśmy do zakrętu korytarza, za którym znajdowała się jadalnia, zauważył moją obecność. Odwrócił się gwałtownie i musiałam cofnąć półmisek, aby się z nim nie zderzyć.

- Ożeż ty! - warknął, a furia w jego głosie była tak wyraźna, że dla bezpieczeństwa odsunęłam się o krok. - Co tu robisz? Podsluchujesz naszą rozmowę?

- Niczego nie słuchałem - zaprotestowałam tonem urażonej niewinności, który kłócił się z moim zdenerwowaniem.

Rudzielec był starszy i znacznie bardziej muskularny, niż mi się wydawało w pierwszej chwili. Poza tym teraz on i jego ogromny kosz blokowali mi drogę. Kontynuowałam, siłąc się na pojednawczy ton:

- Kazano mi zanieść tę tacę do jadalni. Nic nie poradzę, że

idziecie w tę samą stronę.

56

- Nie, ale możesz się postarać nie wtykać nosa w cudze sprawy - burknął czarnowłosa, stając ramię w ramię z kolegą i patrząc na mnie groźnie.

Bałam się nawet myśleć, do czego może dojść, lecz moją skórę uratował jeden z zarządzających kuchnią, który nieoczekiwanie pojawił się w korytarzu. Jego czerwona twarz lśniła od potu.

- Czemu stoicie beczynnie?! - wrzasnął. - Szybciej, zanieście to do jadalni! Wiecie, że księżę nie cierpi opóźnień.

Podziękowałam w duchu za tę niespodziewaną interwencję. Jeśli ci dwaj odegrali jakąś rolę w zabójstwie hrabiego, z pewnością nie zawahaliby się mnie skrzywdzić, gdyby nabrali podejrzeń, że ich wykryłam. Na razie jednak byłam bezpieczna. Napastnicy niechętnie usłuchali polecenia przełożonego, wcześniej jednak rudowłosa mruknął przez ramię:

- Będziemy mieli na ciebie oko, więc lepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Nic nie odpowiedziałam, lecz skierowałam się w najdalszy koniec sali, gdzie szybko rozdzieliłam słodycze między gości, starając się równocześnie wśród nich ukryć. Kiedy już opróżniłam tacę, dyskretnie odłożyłam ją obok pustego krzesła i schro-

niłam się za białą kamienną kolumną, którą tymczasem jakiś starszy pan wykorzystywał, by ulżyć swojej potrzebie. Odsunęłam się na stosowną odległość, nie wychodząc jednak zza kolumny. Stąd miałam dobry widok na całą jadalnię i wszystkich gości księcia.

Podwójny rząd stołów ciągnął się wzdłuż sali od drzwi aż do większego stołu, ustawionego poprzecznie na podwyższeniu. Układ ten przypominał literę T z dwiema nóżkami; przy każdej siedziało około pół setki gości, uszeregowanych od pomniejszych szlachciców po krewnych księcia. Wyżsi rangą zajmowali miejsca w pobliżu stołu na podwyższeniu, przy którym na honorowym miejscu siedział Il Moro, mając po bokach najbliższą rodzinę i honorowego gościa - francuskiego posła. Kolumna, za którą się ukryłam, znajdowała się niedaleko tego miejsca, miałam więc doskonały widok na wszystko, co się tam

57

działo. Dostrzegłam Mistrza zajmującego jedno z zaszczytnych miejsc w pobliżu głównego stołu. Choć sprawiał wrażenie pochłoniętego ożywioną rozmową, wiedziałam, że bacznie obserwuje każdego z sąsiadów.

Zauważyłam też coś niepokojącego: nie wszystkie miejsca przy stole księcia były zajęte.

Kilka miejsc dalej, po prawej ręce Il Moro, przed pustym krzesłem stały nietknięty talerz i kielich. Z jednej strony pustego miejsca siedziała moja nemezis z partii szachów, odziana na czarno markiza d'Este, z drugiej zaś - młoda kobieta o dość pospolitej twarzy, ciemnych włosach i wielkich jasnobrązowych oczach. Miała na sobie tunikę bez rękawów z różowego brokatu włożoną na wyszywaną złotem koszulę w jaśniejszym odcieniu różu i wydawała się o zaledwie kilka lat starsza ode mnie.

Domyśliłam się, że puste krzesło między tymi damami było przeznaczone dla hrabiego Ferrary, że młoda kobieta to jego żona. Najwyraźniej nic nie wiedziała o losie swojego męża, popijała bowiem wino z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy. Także markiza nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej nieobecnością stryjecznego wnuka i pochłaniała posiłek z zapamiętaniem kontrastującym z jej drobną figurą.

Uważnie przyjrzałam się innym gościom, wypatrując wszelkich oznak lęku lub wyrzutów sumienia. Lecz winowajca - jeśli rzeczywiście znajdował się wśród nich - dobrze ukrywał swoją winę.

Z miejsca, gdzie stałam, miałam znacznie mniejsze niż w korytarzu szanse na usłyszenie choćby strzępów rozmowy. Słowa, zagłuszane przez szcęk licznych półmisków, talerzy i sztuców, składały się na zgiełk przypominający miejskie tar-

gowisko o poranku.

W sali nie było gobelinów, które tłumią hałas. Zamiast nich, na polecenie księcia Leonardo zaczął malować ciąg fresków, które miały przyćmić wszelkie tego rodzaju dekoracje. Niektóre fragmenty ścian już mieniły się barwnymi wizerunkami uciśnionych śmiertelników i posepnych świętych oraz wyobraże-

58

niami zastępów niebieskich, przedstawionych pośród łagodnych wzgórz przypominających krajobraz rozciągający się za murami zamku.

Nastrój panujący wśród biesiadników był znacznie weselszy niż na malowidłach. Kiedy wcześniej nalewalam wina, słyszałam pochlebne uwagi gości na temat partii żywych szachów, która była główną rozrywką tego popołudnia. Staralam się zapamiętać te pochwały, aby móc później powtórzyć je Mistrzowi. Początkowo niepokoiło mnie, że będę obsługiwać ludzi, którzy wraz ze mną brali udział w rozgrywce. Z ulgą jednak zauważyłam, że nie rozpoznają mnie w obecnej roli... najprawdopodobniej dlatego, że żaden z nich nie zaszczycił mnie - tak jak nikogo innego ze służby - czymś więcej niż przelotnym spojrzeniem.

To była dla mnie interesująca, sytuacja. Z jednej strony, roz-

koszowałam się anonimowością sługi, z drugiej zaś, oburzało mnie tak lekceważące podejście. Ale Mistrz powierzył mi ważne zadanie i nie miałam czasu na rozmyślanie o urażonej dumie.

Przypomniawszy sobie o tym, rozejrzałam się w poszukiwaniu służących, których rozmowę podsłuchałam wcześniej. Żadnego nie było widać wśród młodzieńców w biało-niebieskich tunikach krzątających się pośród gości. Musieli więc wrócić do kuchni... chyba że uciekli z zamku. Zmarszczyłam brwi. Nie znałam ich imion, lecz twarze dobrze utkwily mi w pamięci. Bez wątplenia rozpoznałabym ich, gdybym ich znowu zobaczyła. A biorąc pod uwagę to, co usłyszałam, nie miałam wątpliwości, że Mistrz będzie chciał obu wypytać o śmierć hrabiego.

Właśnie rozważałam możliwość powrotu do kuchni w nadziei, że zdołam ustalić ich tożsamość, kiedy od stołu księcia dobiegł mnie szmer. Ten dźwięk szybko rozprzestrzenił się po sali, a głowy zaczęły się odwracać w stronę Il Moro. Księżę wstał i pełnym dostojeństwa ruchem uniósł dłoń; gest ten uciszył wszystkich gości równie skutecznie jak dźwięk trąbki.

Widząc to, kuchenny nadzorca, który wcześniej nieświadomie mi pomógł, dał podobny sygnał swoim podwładnym.

Armia podających do stołów rozdzieliła się i młodzi ludzie

stanęli na baczność w czterech rogach sali. Opuściwszy moją kryjówkę, pospiesznie dołączyłam do najbliższej grupki służących, niecierpliwie wyczekując słów księcia.

- Miło mi widzieć, jak wszyscy dobrze się bawicie przy moim stole - zaczął Il Moro łagodnym tonem.

Nieoczekiwany w jego przypadku przejaw cieplejszych uczuć natychmiast wzbudził moje podejrzenia i aż się pochyliłam, by lepiej słyszeć następne słowa.

- Jak wiecie, zebraliśmy się, aby uhonorować naszego gościa, francuskiego posła pana Villasse'a. Przybył on jako przedstawiciel naszego przyjaciela króla Ludwika, w nadziei na zawiązanie sojuszu między naszymi krajami.

Il Moro mówił w podobnym duchu jeszcze przez chwilę, wychwalając Francuzów i ich króla, i dodając kilka lekceważących zdań o Wenecjanach, z którymi Mediolan toczył zacieklą wojnę. Reakcją na jego słowa były pomruki aprobaty ze strony zgromadzonych wielmożów i krzywy uśmiech francuskiego posła, który - jak mi się wydało - nie całkiem odwzajemniał rzekomą sympatię księcia. A może po prostu jeszcze nie wybaczył Ludovicowi przegranej partii szachów. Zauważyłam, że nagroda dla zwycięzcy - portret młodej kobiety z gronostajem - stał na sztalugach tuż za księciem, co miało przypominać, kto triumfował w dzisiejszej grze.

Tymczasem Il Moro przeszedł do wychwalania uczestników rozgrywki, szczególnymi pochwałami obsypując Mistrza za zorganizowanie widowiska w ciągu kilku zaledwie godzin. Leonardo uśmiechnął się skromnie i skinieniem głowy podziękował księciu za słowa uznania, choć sędzę, że wolałby bardziej namacalne wyrazy wdzięczności.

Następne słowa Il Moro przywróciły mnie do rzeczywistości i przypomniały powód, dla którego się tutaj znalazłam.

- Niestety, to radosne popołudnie zakłócił pewien incydent - ciągnął książę, a przyjacielską nutę w jego głosie zastąpiła surowość. - Zapewne niektórzy z was już słyszeli, że mój ku-

60

zyn, hrabia Ferrary, rozchorował się w czasie gry. Z przykrością jednak muszę wam powiedzieć... muszę powiedzieć jego żonie, mojej drogiej kuzynce Beatrice... że nie to się wydarzyło.

Spojrzał na młodą kobietę o pospolitej twarzy, w której trafnie rozpoznałam hrabinę Ferrary. Zamarła z kubkiem wina w połowie drogi do ust, a jej blade usta wykrzywił grymas zaskoczenia. Pełna współczucia dla hrabiny, przygryzłam wargi. Czy teraz książę opuści gości, aby wziąć ją na stronę i na osobności poinformować o zabójstwie męża, czy też będzie na tyle okrutny, by przekazać wieść, iż została wdową, przed całym

dworem?

Jak można było oczekiwać po człowieku tak bezwzględnym, że pozbawił władzy syna swego zmarłego brata, zanim chłopiec osiągnął wiek pozwalający mu objąć tron, Il Moro wybrał drugie rozwiązanie.

- Powodem, dla którego mój kuzyn Orlando nie ucztuje teraz z nami wszystkimi - rzekł - jest to, iż właśnie dzisiaj został brutalnie zamordowany przez nieznanego sprawcę i teraz leży martwy w swoich pokojach.

Rozległo się zbiorowe westchnienie, przerywane pojedynczymi okrzykami zaskoczenia i protestu. Hrabina drgnęła gwałtownie, wychlapując wino ze swego pucharu, i głęboka czerwień rozlała się po gorsecie jej sukni niczym groteskowa imitacja plamy krwi na szatach jej męża. Po tej odruchowej reakcji znieruchomiła na krześle, jakby i ją dosięgło tchnienie śmierci. Wiekowa markiza siedziała równie nieruchomo i tylko przekrzywiła głowę, jakby poraził ją nagły paraliż.

Ludovico natomiast rozglądał się po sali z miną, którą mogłam zinterpretować tylko jako wyraz satysfakcji z chaosu, jaki wywołało jego oświadczenie. Ponownie uniósł dłoń, poczekał na zupełną ciszę i dopiero wtedy kontynuował:

- Jeszcze nie znamy imienia niegodziwca, który zabił mojego kuzyna. Nie wiemy nawet, czy był nim jeden z nas - za-

wiesił głos i spojrzał na francuskiego ambasadora, który przybrał stosowny do sytuacji zboląły wyraz twarzy - czy też ktoś

61

przysłany z jakiegoś zagranicznego dworu. Wkrótce jednak dowiemy się, kto to taki, a wtedy własnym życiem zapłaci za swoją zbrodnię.

Poseł zerwał się na równe nogi, przewracając przy tym kubek z winem.

- Zapewniam cię, wasza wysokość - wykrzyknął - że lud Francji nie przyłożył ręki do tego strasznego uczynku! Jego królewska mość Ludwik XI... a także jego syn Karol... planowali obsypać hrabiego wszelkimi zaszczytami w czasie wizyty, która niestety nie dojdzie do skutku. Lecz bądź pewien, książę, że nasz chrześcijański król będzie wstrząśnięty wieścią o tym, co się wydarzyło. On i cała Francja zaoferuje wszelką możliwą pomoc, aby znaleźć nikczemnego zabójcę twojego kuzyna.

- To nie będzie konieczne. Mam swojego człowieka, któremu powierzyłem zadanie wykrycia sprawcy tej zbrodni. Tymczasem jednak chciałbym, żeby wszyscy się dowiedzieli, jak zginął mój kuzyn.

To mówiąc, wyciągnął zza pasa nóż, którego użyto do zabi-

cia hrabiego, i uniósł go, aby ostrze zabłysło w blasku pochodni rozświetlających salę. Jego gest wywołał cichy jęk kobiet, mężczyźni zaś pochylili się nad stołami i szeptali między sobą. Niektórzy, jak choćby szlachcic, którego wcześniej oblałam winem, sięgnęli odruchowo do pasa, gdzie mieliby zawieszzone miecze, gdyby byli ubrani do bitwy, a nie na ucztę.

- Hrabiego spotkała niezbyt przyjemna śmierć - mówił dalej książę, spoglądając na trzymany w dłoni nóż. - Ośmielę się nawet powiedzieć, że była ona bolesna, choć mogę zapewnić jego ukochaną żonę, że cierpienie nie trwało długo. Rana, jaką mu zadano, musiała go uśmiercić w kilka minut. Zechciejcie zwrócić uwagę...

Odwrócił się w stronę malowidła na ścianie i nieoczekiwanie, po raz drugi tego dnia, cisnął nożem, który przeciął powietrze niczym jastrząb spadający na swoją ofiarę. Ostrze utkwiło w piersi jednego z namalowanych przez Mistrza aniołów

62

w białych szatach, którzy z uniesionymi rękoma przyglądali się scenie przedstawiającej udręczonych śmiertelników.

Hrabina krzyknęła przenikliwie i bezwładnie opadła na krzesło. Jej okrzyk powtórzyło mnóstwo dam, z których część pospieszyła mdlejącej na pomoc, inne zaś osunęły się na własne

krzesła lub w ramiona swych towarzyszy. Ale lamenty wstrząśniętych dam zagłuszył inny, bardziej niepokojący dźwięk.

Dopiero po chwili rozpoznałam w nim kobiecy śmiech. Zaskoczona, odwróciłam się gwałtownie w stronę, z której dobiegał, i mój wzrok padł na znajomą postać... tę samą złotowłosą kobietę, która po szachowej rozgrywce omyłkowo wzięła mnie za drugiego białego biskupa. Siedziała w połowie stołu, a jej strojna suknia miała identyczne odcienie błękitu i złota z jej oczami i włosami starannie ułożonymi, pod ozdobnym welonem. Piękną twarz wykrzywiał grymas rozbawienia, a z szeroko otwartych ust wciąż wydobywał się śmiech.

Gdy napotkała moje przerażone spojrzenie, roześmiała się jeszcze głośniejsze, wstała i wskazała palcem na mnie.

5

Równie wielkim błędem jest mówić dobrze o człowieku bezwartościowym, co mówić źle o dobrym.

Leonardo da Vinci Legat Forstera, manuskrypt II

W strzymałam oddech i spojrzałam z rozpaczą na Mistrza, ciekawa jego reakcji na ten nieprzewidziany rozwój wypadków. On jednak był najwyraźniej skupiony na czymś innym, więc rozejrzałam się po sali, sprawdzając, czy ktoś jeszcze zwrócił uwagę na to stworzenie z piekła rodem. O dziwo, wyglądało na to, że nie zauważył jej nikt oprócz mnie. Zupełnie jakbyśmy

były oddzielone od pozostałych. Ona wydawała się oczekiwać,
63

że wraz z nią będę się cieszyć z losu zamordowanego, ja zaś po prostu patrzyłam na nią i próbowałam przyjąć do wiadomości grozę sytuacji.

Wreszcie oderwałam od niej wzrok i pokręciłam głową w geście wyrażającym całkowite niezrozumienie. Dlaczego nikt poza mną nie dostrzegł nic niestosownego w tym przyprawiającym o dreszcz wybuchu wesołości pośród ogólnego wzburzenia? Książę powinien wezwać swoich ludzi, aby ją schwytali i przesłuchali w sprawie zabójstwa, albo przynajmniej wyrzucili z sali za grubiańskie zachowanie w obliczu rozpaczliwej hrabiny Ferrary.

Ledwo te myśli przemknęły mi przez głowę, śmiech złotowłosej przerodził się w krzyk przerażenia. Zauważyłam, że nie tylko nie wskazywała na mnie, ale i nie patrzyła w moją stronę. Wzniosła ręce ku niebu w geście rozpaczliwej, podczas gdy siedzący obok niej mężczyzna starał się ją pocieszyć. Teraz, kiedy minął pierwszy szok, nie miałam nawet pewności, czy odgłosy, które wydawała, w ogóle były śmiechem.

Przetarłam dłonią pokrytą zimnym potem twarz. Czy, mimowolnie uwikłana w poszukiwanie zabójcy, wyobraziłam sobie tylko, że widzę podejrzaną zachowanie? Może dramatyczny

występ Ludovica z nożem pobudził we mnie jakąś nieuświadomioną kobiecą skłonność do hysterii, której napad na chwilę pozbawił mnie jasności myśli?

Nie miałam czasu dłużej się nad tym zastanawiać, gdyż książę znowu uniósł dłoń, nakazując milczenie. Kiedy goście zaczęli się uciszać, zauważyłam z ulgą, że krzesło hrabiny stoi puste; najwyraźniej ktoś miał na tyle przyzwoitości, by w czasie zamieszania wyprowadzić ją z sali. Co do markizy - znowu była spokojna i zaabsorbowana spożywaniem posiłku, zupełnie jakby przed chwilą nie ogłoszono wiadomości o śmierci jej stryjecznego wnuka.

- Usiądźcie - polecił książę tym, którzy wciąż jeszcze kręcili się po sali. - Mój drogi kuzyn Orlando zapewne życzyłby sobie, byście cieszyli się pięknym wieczorem i odłożyli na później opłakiwanie go. Jedzcie więc i pijcie.

64

Powiódł wzrokiem po zgromadzonych, a jego śniada twarz przybrała jeszcze bardziej surowy wyraz.

- Wiedźcie jednak, że dopóki zabójca hrabiego Ferrary nie zostanie znaleziony, nikt nie wejdzie do zamku ani go nie opuści bez mojej zgody. Straże stoją przy bramie i na murach, pilnując, by moje rozkazy były przestrzegane. Każdy, kto spróbuje

złamać zakaz, zostanie uznany za współwinnego morderstwa i stosownie ukarany.

Tym razem pomruk, który przeszedł przez salę, był cichszy i pobrzmiwała w nim nuta gniewnej podejrzliwości, a goście zaczęli spoglądać na siebie ponuro. Podejrzewałam, że nie tyle przejmują się ustaleniem, kto spośród nich - jeśli ktokolwiek - popełnił morderstwo, ile raczej irytuje ich wymuszone ograniczenie wolności do czasu wyjaśnienia zbrodni. Większość gości miała własne posiadłości w okolicy i przybyła do zamku tylko na jeden dzień. Dłuższa nieobecność mogłaby się okazać kłopotliwa dla ich rodzin... nie wspominając już o garderobach.

A jeśli poszukiwania zabójcy potrwałają kilka dni lub nawet tygodni? Zakładając, że w ogóle uda się go znaleźć? Jak długo zamek będzie w stanie napęścić tyle dodatkowych brzuchów, zwłaszcza że każdy z gości przybył z własnym orszakiem? Wyobraziłam sobie imponujące zamkowe spiżarnie opróżnione do czysta w ciągu tygodnia i zastanawiałam się, czy Il Moro zdaje sobie sprawę, że może to być jedną z konsekwencji zamknięcia bramy.

Jeśli tak, najwyraźniej niezbyt się tym przejmował. Ponownie zajął się swym talerzem i wydawał się pochłonięty rozmową z wyraźnie niezadowolonym francuskim posłem.

Tymczasem kuchenny nadzorca dał służącym znak, by wró-

cili do obsługiwanego gości. Znalazłam porzucony dzban na wino i podniosłam go, szukając pretekstu, by zbliżyć się do Leonarda i powiedzieć mu o dwóch młodzieńcach i ich podejrzanym rozmowie, a także o tajemniczej złotowłosej kobiecie. Poza tym chciałam się dowiedzieć, czy on sam uznał kogoś za wartego sprawdzenia.

65

Dotarcie do Mistrza trwało dłużej, niż się spodziewałam, gdyż raz po raz dobiegały mnie głośnie wezwania, którym towarzyszyło machanie pustymi kubkami. Wyglądało na to, że goście księcia postanowili podczas przymusowego pobytu w zamku pić jeszcze więcej niż zwykle. Próbowałam podsłuchać, co mówi się o hrabi teraz, kiedy jego los był już wszystkim znany, lecz udało mi się pochwycić tylko strzępy rozmów.

- Porządny człek... kiepsko grał w kości, ale był dobrym jeźdźcem.

- Myślisz, że ktoś będzie próbował pocieszyć jego żonę?

- Dziwię się, że to trwało tak długo... myślałem, że wcześniej spotka się z nożem.

Zanim dotarłam do miejsca, gdzie siedział Leonardo, doszłam do wniosku, że dwór wprawdzie oplakiwał hrabiego, nie był jednak zaskoczony losem, jaki go spotkał. Za ledwie łyk wina został w moim dzbanie, jednak ostentacyjnie nalewałam Mistrzowi, a równocześnie pochyliłam się ku niemu, by szepnąć:

- Poczyliem pewne postępy w śledztwie. Czy mam teraz opowiedzieć, czego się dowiedziałem, czy porozmawiamy później?

Zamiast odpowiedzieć, uniósł kubek do ust i pociągnął łyk wina. Jego czarny aksamitny kapelusz był przekrzywiony, a rudawe włosy wyglądały, jakby wzburzył je palcami. Co więcej, jego wyraziste rysy częściowo przysłonięte brodą zdradzały oznaki emocji lub działania trunku. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby w nieładzie były nie tylko jego powierzchowność, ale i duch, zastanawiałam się więc, czy to nie przedstawienie, jakie książę odegrał z nożem, wytrąciło go z równowagi. Gdy wreszcie odezwał, jego głos brzmiał spokojnie i rzeczowo, choć słowa mnie zaskoczyły:

- Nasze śledztwo dobiegło końca, ledwie się zaczęło. Wiesz, mój drogi Dino, myślę, że wiem, kto dopuścił się tej odrażającej zbrodni.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia, zanim jednak Mistrz zdążył opowiedzieć coś więcej, wcisnął się między nas

kędzierzawy młodzieniec z tacą pełną maleńkich pieczonych ptaszków ułożonych w gnieździe z paproci i pierwiosnków.

Leonardo zareagował niespodziewanie gwałtownie.

- Nie, nie! - zaprotestował, wykrzywiając się z odrazą, jakby podsunęto mu półmisek padliny.

Długim, smukłym palcem odsunął od siebie tacę, mówiąc:

- Nie żywię się stworzeniami żyjącymi jak ja. Zabierz to obrzydlistwo i przynieś mi trochę owoców.

Chłopak wymamrotał przeprosiny i oddalił się pospiesznie, by spełnić życzenie Mistrza. Gdybym nie była zajęta czym innym, mogłabym go uprzedzić, że Leonardo nie jada mięsa ptaków ani innych zwierząt. Chociaż nie twierdzę, że rozumiem ten zwyczaj - sama nigdy nie odmawiam dobrze przyrządzonej porcji mięsa - nie wątpię, iż jego troska o bezbronne stworzenia wynika z głębokiego przekonania, a nie jest sztuczną pozą. Słyszałam nawet pogłoski, że Mistrz zwykł kupować na miejscowym targowisku ptaki w klatkach tylko po to, by wypuścić je na wolność. Widziałam też, jak kiedyś powstrzymał jednego z żołnierzy Il Moro przed uderzeniem kudłatego kundla za jakąś zbrodnię, której psiak rzekomo się dopuścił.

Ale teraz jednak zwyczaje żywieniowe Leonarda nie były

moim najważniejszym zmartwieniem

- Wiesz, Mistrzu, kim jest zabójca? - szepnęłam ze zdumieniem. - Powiedz mi, kto to taki?

- Wolę tego nie wyjawiać, dopóki nie będę miał dowodu.

Ale nie martw się: on jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że nie jest już myśliwym, lecz zwierzyną. Dopóki sądzi, że nie został wykryty, nie mamy się czego obawiać z jego strony.

Mówił z roztargnieniem i zauważyłam, że zerka raz po raz na pokrytą freskiem ścianę, w której tkwił nóż rzucony przez księcia. Najwyraźniej Mistrz mniej martwił się losem hrabiego niż faktem, że zniszczono jego dzieło. Westchnął.

- Dino, mój chłopcze, spisałeś się dziś wyśmienicie. Teraz możesz wrócić do łóżka, a o moich odkryciach porozmawiamy rano.

67

- Jak sobie życzysz, Mistrzu.

Skłoniłam się pospiesznie, próbując ukryć rozczarowanie, i z dzbanem w dłoni opuściłam salę. Rozumiałam, że Leonardo musi zachować ostrożność, zanim wysunie wobec kogoś tak poważny zarzut, lecz wolałabym, aby wtajemniczył mnie nieco bardziej w sprawy śledztwa. Pocieszałam się myślą, iż jego powściągliwość wynika nie tyle z dzielącej nas różnicy pozy-

cji, ile z faktu, że człowiek obdarzony jego geniuszem niechętnie dzieli się swymi przemyśleniami ze zwykłymi zjadaczami chleba. Gdyby to Il Moro wypytywał go o postępy w śledztwie, zapewne równie niechętnie udzielałby informacji.

W korytarzu przystanąłam na chwilę, aby się upewnić, że nie ma tam moich dwóch adwersarzy. Nawet jeśli nie mieli nic wspólnego ze śmiercią księcia, przynajmniej jeden z nich był uwikłany w coś niegodziwego, o czym mimowolnie się dowiedziałam. Gdyby więc znowu się na mnie natknęli, mogliby zrealizować swoje bliżej niesprecyzowane groźby. Dorastając z braćmi, zdobyłam pewne umiejętności bronięcia się przed atakiem i wiedziałam, że w starciu z tymi dwoma nie miałabym żadnych szans.

W korytarzu kłębiło się mnóstwo służby, lecz nie było żadnego z tamtych dwóch. Może po nieoczekiwanym spotkaniu ze mną oni także postanowili unikać kuchni. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, postawiłam dzban obok drzwi, przy których stały trzy beczki z winem przyniesione z piwnicy na dzisiejszą ucztę. Stałam za tą piramidą z drewna, zdjęłam biało-niebieską tunikę i wymknęłam się przez drzwi na znajdujący się za nimi dziedziniec.

Otulona gwiazdzistą ciemnością, wdychając chłodne nocne powietrze, miałam wrażenie, jakbym się uwolniła od czegoś więcej niż tylko stroju służącego. Tutaj, w mroku, mogłam

oddychać swobodniej, nie martwiąc się, że ktoś odkryje moją ostatnią maskaradę - co gorsza - dostrzeże oznaki kobiecości pod przebraniem terminatora. Nie musiałam też zachowywać nieustannej czujności na wypadek, gdyby ktoś wezwał mnie, domagając się wina lub czegokolwiek innego. I choć nadal my-

68

słałam o zabójstwie hrabiego, pocieszała mnie świadomość, że rozwiązanie tej tajemnicy jest zadaniem Mistrza, nie moim.

Idąc do pracowni, zorientowałam się, że mimo późnej godziny nie tylko ja nie śpię. Od strony pobliskich stajni dobiegało echo cichych głosów i szuranie kroków. Nieco głośniejszy był chrzęst żwiru pod obutymi stopami, kiedy ktoś przeszedł po ścieżce przecinającej zamkowe ogrody. Wysoko na murach widziałam sylwetki patrolujących okolicę żołnierzy Il Moro, przesłaniające chwilami wąskie szczeliny w blankach. Byli tam każdej nocy, lecz dziś niewątpliwie baczniej niż zwykle obserwowali teren zamku. W związku z rozkazem księcia żaden nie pozwoliłby sobie na drzemkę czy grę w kości. Przypuszczałam jednak, że gdyby ktoś naprawdę chciał wspiąć się na mury, uczyniłby to bez większego trudu, jeśli tylko działałby odpowiednio szybko i cicho.

Może powinnam czuć się nieswojo, wracając samotnie do pracowni, lecz tak nie było. Wprawdzie morderca wciąż krą-

żył gdzieś po zamku, ale przecież już dopadł swoją ofiarę. Nie miał powodu narażać się na schwytnie, zabijając po raz drugi tego samego dnia, i to bez żadnego powodu... oczywiście jeśli nie kierowały nim wyjątkowo niegodziwe pobudki i nie zabijał wyłącznie dla przyjemności.

Taka możliwość, choć mało prawdopodobna, rozwiała moje poczucie bezpieczeństwa i skłoniła do szybszego przebiegania nogami. Brakowało mi tchu, kiedy w końcu stanęłam przy drzwiach pracowni. Chociaż wewnątrz było jeszcze ciemniej, tutaj byłam bezpieczna, bo towarzysze pospieszyliby mi z pomocą, gdyby okazało się, że ktoś czai się w mroku.

Pamiętając, że wszyscy śpią, starałam się bezszelestnie stąpać po drewnianej podłodze. Kierowałam się bardziej dotykiem niż wzrokiem i odgłosami chrapania dobiegającymi z oddzielonej kocem sypialni. Pragnęłam przyłączyć się wreszcie do tego chóru. Do świtu było już niedaleko, a nie liczyłam na to, że Mistrz pozwoli mi na kilka dodatkowych godzin snu, zwłaszcza, że sam budził się rześki po odpoczynku jeszcze krótszym niż ten, jaki mnie czekał dzisiaj.

69

Dotarłam do łóżka bez większych problemów, jeśli nie liczyć bolesnego uderzenia w palec, kiedy potknęłam się o miot-

łę, której Vittorio nie odstawił na miejsce po skończeniu zamiatania. Posłałam w duchu pod jego adresem kilka co barwniejszych słów, które usłyszałam dziś w kuchni, i z rozkoszą wślizgnęłam się pod koc. Nie odważyłam się zdjąć tkaniny ścisnącej moje piersi, w obawie, że nie obudzę się na tyle wcześnie, by owinąć się nią na powrót, zanim pierwsze promienie świtu rozjaśnią naszą sypialnię. Morfeusz zapraszał, lecz byłam tak poruszona, że wzbraniałam się przed jego objęciami.

Kiedy tak leżałam, mimowolnie wróciłam do rozmyślań przerwanych wezwaniem Mistrza. Przypomniałam sobie inne objęcia, którym ostatnio stawiałam opór... widmo małżeństwa.

Matka była wniebowzięta, gdy dowiedziała się, że bogaty signor Niccolo chce wziąć za żonę pannę tak zaawansowaną w latach i tak niekonwencjonalną jak ja. Zastanawiałam się, jakie motywy nim kierują i nie przyszedł mi do głowy żaden inny powód poza tym, że pragnął kolejnych wizerunków siebie samego pod anielską postacią. Pewnie kupiecka zapobiegliwość podpowiedziała mu, że taniej będzie ożenić się z artystką niż zostać patronem kogoś takiego jak Leonardo albo Donatello. A może jednak zauważył mnie tamtego dnia, wychodząc z naszego domu, i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Niezależnie od powodu, dla którego pragnął pojąć mnie za żonę, nie zamierzałam się na to zgodzić.

Gdy poinformowałam rodziców o mojej decyzji, ojciec wy-

kazał zrozumienie, matka natomiast wpadła w furję. Krzy-
czała, że jestem głupia i niewdzięczna, odrzucając wspaniałą
ofertę, jaka nigdy więcej może się nie powtórzyć. Nim zapadł
zmierzch, prawie się uspokoiła, więc tego wieczoru kładłam się
do łóżka pewna, że nie będzie już na mnie naciskać, zwłaszcza
że ojciec stanął po mojej stronie.

Następnego ranka dowiedziałam się, że moje nadzieje były
próżne. Okazało się, że jestem zamknięta na klucz w maleńkim
pokoiku na trzecim piętrze, gdzie zwykłam sypiać.

70

- I zostaniesz tu, Delfino, dopóki nie odzyskasz rozsądku -
oznajmiła matka w odpowiedzi na moje wołania o pomoc. -
Cóż za głupota! Nie wyjdiesz za signora Niccola! Ha!

Ponieważ miała jedyny klucz, ojciec mógłby mnie uwolnić,
jedynie odbierając go matce siłą, czego nie chciał robić. Pora-
dził mi tylko przez drzwi, abym zachowała spokój.

- Za dzień albo dwa twoja matka się uspokoi - zapewnił. -
Wtedy poinformujemy signora Niccola o naszej decyzji. Na ra-
zie pozwólmy jej napawać się tym szaleństwem.

Moi bracia, posłuszni matce, trzymali straż przy drzwiach na
wypadek, gdybym próbowała uciec, ona zaś uchylała je dwa razy
dziennie tylko na tyle, by przez szparę podać mi posiłek i wodę.

- Matka ma rację - powiedział mój młodszy brat, Giorgio. - Nie możesz spędzić tu całego życia, malując. Co z tobą będzie, jeśli nie wyjdiesz za mąż?

Zadawałam sobie to pytanie wiele razy w ostatnich latach. Mój ojciec był mistrzem swego rzemiosła, a matka wniosła niewielki posag, mieliśmy więc dom na tyle przestronny, że mógł pomieścić warsztat na dole i dwa piętra mieszkalne nad nim. W odróżnieniu od większości sąsiadów pod naszym dachem mieszkała tylko najbliższa rodzina. Dziadkowie ze strony ojca, do których niegdyś należał dom, nie żyli, a rodzice matki mieszkali z jej starszą siostrą. Lecz sytuacja z pewnością się zmieni, kiedy za kilka lat moi bracia znajdą sobie żony. Przy najmniej jeden sprowadzi swoją nową rodzinę do domu i dla mnie zabraknie w nim miejsca.

Miałam mnóstwo czasu na szukanie odpowiedzi, bo uwięzienie z jednego przeciągnęło się najpierw do dwóch, trzech i wreszcie czterech dni. Rozwiązanie przyszło mi do głowy piątego dnia, kiedy otworzyłam okno, by wyłączyć zawartość nocnika na brukowaną ulicę w dole. Opróżniłam naczynie i już miałam zamknąć okno, gdy zwróciłam uwagę na prozaiczny, lecz obiecujący widok.

W domu sąsiadów z naprzeciwka ktoś powiesił do wyschnięcia uprane ubranie. Była to zwykła męska tunika, ale

powiewała lekko na wietrze i wydawała się żyć własnym życiem. Obserwowałam jej niemy taniec i wyobraźnia podsunęła mi obraz smukłej postaci młodzieńca o ciemnych włosach, który beztrąsko przechodzi ulicą. Nieoczekiwanie zdałam sobie sprawę, że widzę siebie ubraną w tę tunikę, z włosami przystrzyżonymi tak, abym wyglądała jak chłopak.

Ta wizja tak mnie zaskoczyła, że omal nie wypuściłam nocnika z rąk. Uniknęłam jednak katastrofy i pośpiesznie zamknęłam okno. Czując się bliska omdlenia, usiadłam na łóżku i zacisnęłam dłonie, aby zapanować nad ich drżeniem. W moich myślach skryształizował się cały plan. Uda mi się, przekonywałam samą siebie. To doskonałe rozwiązanie - pozwoli mi uniknąć wyjścia za signora Niccola i równocześnie zrealizować największe marzenie.

- Powiedz tacie, że chcę z nim porozmawiać! - zawołałam przez drzwi drugiego brata, Carla, na którego właśnie wypadła kolej trzymania straży.

Kilka minut później usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Drzwi uchylły się na tyle, by ojciec mógł wcisnąć się do środka, po czym natychmiast na powrót zatrzasnęły.

- Nie daj jej więcej niż minutę, Angelo - dobiegł surowy

głos matki i klucz znowu obrócił się ze zgrzytem, zamykając ojca w pokoju razem ze mną.

Westchnął bezradnie i uśmiechnął się do mnie smutno.

- Chyba musimy się pospieszyć. Powiedz mi, córko, czy przemyślałaś sprawę małżeństwa z signorem Niccolem?

- Tak - odparłam.

Na jego pocziwej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

Starannie dobierając słowa, gdyż wiedziałam, że matka podsłuchuje pod drzwiami, mówiłam dalej:

- Dobrze wiesz, papo, że nie musiałabym się martwić o małżeństwo, gdybym urodziła się chłopcem. Mogłabym zostać terminatorem u wielkiego mistrza malarstwa i zajmować się sztuką. Ale by znaleźć kogoś, kto mnie przyjmie, musiałabym opuścić dom i udać się do Mediolanu.

72

Zawiesiłam głos i spojrzałam na niego znacząco.

- Taka podróż byłaby łatwa dla chłopca - powiedziałam. - Rozumiesz mnie, prawda, papo? Dziewczyna nie mogłaby wyruszyć w taką podróż ani nie znalazłaby mistrza, który by ją przyjął, lecz chłopiec mógłby tego dokonać.

Wyraz zaskoczenia na twarzy ojca ustąpił miejsca niepewności. Wpatrywał się we mnie, oczekując dalszych wyjaśnień.

- Dziewczyna nie mogłaby zrobić czegoś takiego, ale chłopiec tak - powtórzyłam ciszej. - Byłoby mu smutno porzucić rodzinę, lecz pomyśl, jak byłby szczęśliwy, mogąc robić coś, co jest dla niego najważniejsze. I nikt nie dziwiłby się, widząc chłopca podróżującego samotnie, nawet gdyby wyglądał bardzo młodo. Nie sądzisz, papo, że to niesprawiedliwe, iż nie urodziłam się chłopcem?

Na jego twarzy wreszcie pojawiło się zrozumienie. Uniósłszy brwi, wolno skinął głową.

- To prawda, Delfino, chłopiec mógłby zrobić coś takiego - przyznał. - Słyszałem nawet, że słynny malarz, Leonardo Florentyńczyk, przebywa właśnie w Mediolanie na dworze księcia Sforzy. Podobno ma duży warsztat i pracuje dla niego wielu młodych uczniów. Nauka u człowieka takiego jak on byłaby dla ciebie wspaniałą okazją... oczywiście gdybyś urodziła się chłopcem.

- Gdybym urodziła się chłopcem - powtórzyłam znacząco. - Ale jestem tylko słabą kobietą, więc możesz powiedzieć mamie, że zgadzam się poślubić signora Niccola.

Zza drzwi dobiegł radosny okrzyk.

- To wspaniała nowina! - zawołała Carmela, otwierając je szeroko.

Wzięła mnie w ramiona z uśmiechem wyrażającym apro-

bate, jakiej nie zaznałam z jej strony od lat. Odwzajemniłam uścisk i zamrugałam, bo łzy napłynęły mi do oczu, gdy zdałam sobie sprawę, że minęły całe wieki, odkąd okazała mi jakieś cieplejsze uczucie. Zapomniałam, jak to jest cieszyć się bezwarunkową miłością matki; zbyt długo udawałam, że nie zauważam

73

atmosfery rozczarowania, jaka spowijała nas od dawna niczym stara oponcza, którą dzieliliśmy zmuszone przez okoliczności. A teraz, kiedy wydawało się, że wreszcie ją zrzuciliśmy, znowu miałam przynieść jej rozczarowanie.

Uwolniłam się sztywno z jej objęć, ale zdobyłam się na uśmiech.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona z mojej decyzji, matko. Proszę cię jednak o pewną przysługę. Poczekaj jeszcze dzień, zanim przekazesz signorowi Niccolo moją odpowiedź.

Zmarszczyła brwi i przeleżałam się, że może odmówić. Jutro mnie tu już nie będzie i nikomu nie stanie się krzywda, tylko ojciec będzie musiał wysłać do signora Niccolo list z uprzejmą odmową. Ale gdyby wieść o zaręczynach się rozeszła, porzucenie przeze mnie narzeczonego przysporzy mojej rodzinie kłopotów. Nie zmieniałabym z tego powodu swoich planów, nie chciałam jednak stawiać rodziców i braci w takiej sytuacji.

Ku mojej uldze matka rozpogodziła się i rzekła:

- Cóż, może to i dobrze, jeśli nie okażemy, że bardzo nam na tym małżeństwie zależy. Ale jutro twój ojciec, gdy tylko wstanie, pošle wiadomość signorowi Niccolowi.

Skoro kwestia zaręczyn została rozstrzygnięta, matka zaczęła z ożywieniem omawiać wszystkie sprawy, jakie trzeba będzie załatwić przed ślubem. Przycupnęłam na brzegu łóżka i słuchałam jej w milczeniu, ojciec zaś podał jakąś wymówkę i wyszedł, wcześniej jednak posłał mi znaczące spojrzenie i się uśmiechnął. Chociaż był to smutny uśmiech, wiedziałam, że mogę liczyć na pomoc taty w realizacji mojego planu.

Gdy wieczorem po kolacji wróciłam do pokoju, znalazłam włożoną między pościel starą tunikę, kurtkę i spodnie, należące do mojego młodszego brata.

Zanim zdmuchnęłam świecę, poświęciłam chwilę na napisanie pożegnalnego listu. Przez cały dzień obmyślałam jego treść, lecz kiedy przyszło przelać słowa na papier, przygotowane wcześniej sformułowania wydały mi się sztuczne i pompatyczne. W końcu zdecydowałam się na kilka lakonicznych

74

zdań, które, choć niezbyt serdeczne, były znacznie bardziej szczerze niż jakiegokolwiek kwieciste pożegnanie.

Muszę opuścić dom. Nie martwcie się o mnie. Prześlę wiadomość niebawem.

Delfina

Odłożyłam list, rozebrałam się i położyłam do łóżka. Udało mi się złapać kilka godzin niespokojnego snu, zanim wstałam na długo przed świtem. Przy małej świeczce zebrałam kilka drobiazgów, które chciałam ze sobą wziąć, i włożyłam męskie ubranie.

Było niewątpliwie odpowiednie dla młodego czeladnika. Tunika, choć znoszona i niemodna (w jednym tylko odcieniu błękitu, bez bufek i rozcięć na rękawach), nadawała się do użytku. Szkarłatne pończochy miały odcień, jaki lubiło wielu młodych mężczyzn. Zmagałam się chwilę z obcym mi strojem, lecz wkrótce byłam całkowicie ubrana. Czułam się prawie naga, nie będąc spowita w niezliczone warstwy spódnic. Pewnie musi minąć trochę czasu, nim przyzwyczaję się do męskiego przebrania.

W zakłopotanie wprowadził mnie kolejny problem. Mimo koszuli pod spodem tuniki i prostej brązowej kurtki na wierzchu charakterystyczna wypukłość nie pozostawiała wątpliwości co do mojej płci. Rozebrałam się czym prędzej i podarłam inną koszulę na kilka długich, wąskich pasów. Owinęłam nimi pierś tak ciasno, że kłopotliwe wypukłości stały się prawie niewidoczne.

Kiedy znowu włożyłam tunikę, efekt był jeszcze lepszy. Usatysfakcjonowana, przewiązałam się w pasie rzemieniem i przymocowałam do niego płócienną sakiewkę, do której włożyłam kilka monet i błyskotek. Większy worek miał pomieścić zmianę bielizny i inne osobiste przedmioty. W końcu zajęłam się ostatnią rzeczą, jaką należało załatwić, aby moja przemiana była kompletna.

Wprawdzie nigdy nie chlubiłam się przesadnie wyglądem, ale zawsze byłam dumna z moich bujnych ciemnych loków.

75

Rozpuszczone, spływały mi na plecy aż do bioder puklami tak gęstymi, że mogłabym owinać się tylko nimi i wciąż wyglądałabym skromnie. Najczęściej jednak splatałam je w gruby warkocz, który mogłam z pomocą wstążki lub chustki ułożyć w różne skomplikowane fryzury. Ponieważ dopiero co wstałam z łóżka, ciężki warkocz miałam dla wygody przerzucony przez ramię.

Chwycałam go jedną ręką, do drugiej zaś wzięłam mały nóż, który wcześniej ukryłam w fałdach ubrania specjalnie w tym celu. Krzywiąc się, zaczęłam ciąć.

Trwało to zaledwie kilka chwil. Przycisnęłam odcięty warkocz do piersi, bo czułam się, jakbym odcięła kawałek żywego

ciała. Po chwili, uwolniona od ciężaru włosów, do którego od tak dawna przywykłam, uświadomiłam sobie, że mogę się poruszać z dziecięcą swobodą. Odłożyłam przewiązany wstążką warkocz na łóżko i podeszłam ze świecą do lustra, by obejrzeć efekt mojej pracy.

Spowity cieniem lśniący owal pokazywał odbijający się w nim wizerunek ze wstrząsającą wyrazistością. Tyle że nie byłam to ja, Delfina. Moje spojrzenie napotkało młodzieńca o wielkich oczach i ciemnych włosach, którego zaledwie kilka lat dzieliło od wieku dziecięcego. Wyglądał jak nieco drobniejsza kopia moich braci. Piękny, lecz jego zaciśnięte usta świadczyły, że obca jest mu wszelka słabość. A co do płótna owijającego pierś, gdyby nawet ktokolwiek je zauważył, doszedłby do wniosku, że ubogi chłopiec próbuje w ten sposób naśladować bogatszych, którzy nosili pikowane tuniki nadające ich figurom nieco bardziej męskie kształty.

Zdałam sobie sprawę, że uśmiecham się z zadowoleniem, a w mojej skrepowanej piersi zakiełkowało podniecenie. Udam się, przekonywałam samą siebie. Oczywiście będę musiała nieustannie zachowywać czujność, zwłaszcza załatwiając naturalne potrzeby lub w czasie kąpieli, lecz poza tym wystarczy pozbyć się kobiecych odruchów. Naśladując sposób poruszania się i mówienia braci, bez trudu będę mogła uchodzić za chłop-

ca. Ostatnim elementem maskarady będzie przybranie męskiego imienia. Ale jakiego?

- Dino - szepnęłam do swojego odbicia, wybierając imię na tyle podobne do własnego, bym mogła na nie reagować, nie czując się nieswojo. - Jestem Dino i pewnego dnia zostanę wielkim malarzem... może nawet rywalem samego Leonarda.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, odległe dotąd pragnienie wydało mi się tak realne, że wprost nie mogłam się doczekać rozpoczęcia mojej przygody. Sięgnęłam po pelerynę i zawahałam się, widząc odcięty warkocz leżący niczym zwinięty w kłębek kot na prześcieradle. Mogłam go zostawić jako pamiątkę dla matki, lecz ona domyśliłaby się, co zrobiłam, by zmienić wygląd, i bez wątpienia wysłałaby moich braci na poszukiwania.

Podniosłam warkocz, na jego miejsce położyłam list, po czym wzięłam świeczkę i jak najciszej zeszłam po schodach do kuchni. W piecu żarzyło się jeszcze kilka węgla, rozgarnełam je, wzbudzając pomarańczowe płomienie, które zatańczyły przede mną. Przez chwilę nie potrafiłam oderwać od nich wzroku. W końcu wzięłam głęboki oddech i złożyłam w ofierze ogniewi ostatni symbol mojej kobiecości.

Płomienie żarłocznie pochłonęły warkocz, rozświetlając ca-

łe pomieszczenie, a ostra woń palonych włosów uderzyła mnie w nozdrza. Gdy ostatnie ślady mojej próżności obróciły się w popiół, a ogień przygasł nasycony ofiarą, poszłam do spiżarni. Choć było tam wiele nęcących smakołyków, zadowoliliłam się skromnym pożywieniem - bochenkiem chleba i kawałkiem sera.

Przez zamknięte okna kuchni usłyszałam ochryple pianie koguta, zbyt niecierpliwego, by czekać na pierwsze promienie słońca z rozpoczęciem porannej serenady. Najwyższa pora ruszać w drogę, jeśli chcę znaleźć się daleko od domu, nim ktoś zauważy moją nieobecność przy śniadaniu. Prawdziwą podróż mogłam rozpocząć dopiero o świcie, gdy zostaną otwarte bramy miasta, lecz godzinę, jaka została do wschodu słońca, zamierzałam przeczekać w jakiejś zacisznej stodole.

77

Otworzyłam frontowe drzwi - przy odrobinie szczęścia ojciec wstanie pierwszy, więc nikt nie zauważy odsuniętej zasuwki - i wyszłam w mrok. Lekki wiatr chłodził mi rozpalone policzki, lecz nie mogłam zrobić nic, by uspokoić serce, które waliło jak szalone, kiedy odwróciłam się, by po raz ostatni spojrzeć na dom, w którym spędziłam całe życie. Pomyślałam o moich rodzicach i braciach. Wiedziałam, że ojciec będzie

mnie bronił, ale co powie reszta rodziny, kiedy zrozumieją, że odeszłam? Będą mnie oplakiwać czy ucieszą się z pozbycia kłopotu? I, czy jeśli kiedykolwiek wrócę, przyjmą mnie z powrotem czy zamkną przede mną drzwi?

To pytanie dręczyło mnie teraz, gdy przewracałam się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Roztrząsanie przeszłości nie przynosi nic dobrego, skarciłam samą siebie. Wszak nie ja jedna opuściłam rodzinę, by zostać uczniem Mistrza. Vittorio, Constantin i większość pozostałych przebyła jeszcze dalszą drogę, żeby przyłączyć się do Leonarda. A niektórzy z nich byli wtedy młodszy ode mnie. Powinnam martwić się o ledwie kilka godzin snu, jakie mi zostało, zamiast uważać się nad sobą.

Zacisnęłam powieki, nie przejmując się łzą, która spłynęła mi z oka i zostawiła mokry ślad na policzku. Jeśli wnioski, jakie wyciągnął Leonardo, są słuszne, jutro sprawa zabójstwa hrabiego zostanie zakończona. Będę mogła porzucić nocne poszukiwania i wrócić do roli terminatora Mistrza.

Pokrzepiona tą perspektywą, pozwoliłam się ukoić cichemu chórowi pochrapywań kolegów. Zanim jednak zapadłam w sen, nieoczekiwana myśl przebiła się przez ostatnie przebłyski świadomości. Nie była na tyle niepokojąca, by odwieść mnie od ziewnięcia i zagrzebania się głębiej w pościeli, ale miała towarzyszyć mi we śnie.

Do świtu dręczyły mnie wizje czarnej królowej, przed którą uciekałam po mrocznych salach zamku Sforzów.

78

6

Mistrz jest dla ucznia tym, czym ojciec dla syna, tyle że mistrz i uczeń spotykają się celowo, a ojciec i syn przypadkiem.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

choć biel sama w sobie nie ma barwy, przybiera odcienie kolorów, na których tle się znajduje, zarówno w naturze, jak i na obrazie. Tak właśnie jest z szatą archanioła. - Leonardo wskazał pędzlem uskrzydloną postać na fresku, której pierś przebił poprzedniej nocy nóż Il Moro. - Ponieważ unosi się on na niebie, fałdy szaty wystawione na wschodzące za nim słońce będą odbijać to samo oślepiające światło. Reszta tkaniny będzie zabarwiona ledwie widocznym odcieniem błękitu z otaczającej go atmosfery. Kolor i odbicie... właśnie dlatego znający się na rzeczy malarz nigdy nie przedstawi żadnej rzeczy jako czysto białej. Zmieszaj więc kolory, Dino, abyśmy mogli przywrócić nasz niebiański zastęp do pierwotnej świetności.

Skinąwszy z powagą głową, skupiłam się na ostatnim z surowych żółtek, które wydobyłam ze skorupki. Obchodząc się z nim równie delikatnie, jak obchodziłabym się z pisklęciem,

którym mogłoby się stać, przetoczyłam pomarańczową kulę między dłońmi, aby usunąć z niej resztki białka. Kiedy żółtko było już suche, chwyciłam je kciukiem i palcem wskazującym za błonkę, delikatnie niczym matka Achilleśa trzymająca swego syna nad Styksem. Z taką samą ostrożnością przebiłam błonkę czystą drewnianą drzazgą i wylałam zawartość do małej miseczki zrobionej z muszli.

Pół tuzina muszli pełnych płynnego żółtka stało przede mną na stole, który poprzedniej nocy uginał się pod wszelkiego rodzaju smakołykami. Teraz jego wypolerowana powierzchnia służyła jako pulpity, na którym ułożyłam moje malarskie przybory. Sięgnęłam po pojemniczki ze zmielonymi pigmentami -

79

wśród nich lapisem, grynszpanem i hematytem - które przygotowałam zawczasu. Kolorowe proszki podgrzewały się na małym węglowym piecyku, który Mistrz wymyślił specjalnie do tego celu, twierdząc, że tempera lepiej się miesza, jeśli pigment jest podgrzany. Wiedziałam, iż muszę pracować szybko, gdyż przygotowana farba wysycha w bardzo krótkim czasie.

Kiedy kilka minut później pigment był wymieszany z żółtkiem, powstałą kleistą substancję rozcieńczyłam odrobiną gorącej wody - w sam raz, by farba spływała z pędzla. Odsunęłam

się na bok, a Mistrz, który wczorajszy wyszukany strój zamienił na zwykłą brązową tunikę, podwinął lewy rękaw i zaczął naprawiać zniszczony fresk.

Patrzyłam z zachwytem, jak jego pędzle - jedne ze świńskiej szczeciny, inne z sierści łasicy - śmigały po bliźnie na malowanym gipsie. Zaczął od bieli, potem zmienił pędzel i delikatnymi muśnięciami nałożył ton błękitu nieba. Następnie przebiegł całą tęczę moich farb, bądź używając ich w stanie czystym, bądź mieszając na drewnianej palecie plamy różnych kolorów, żeby uzyskać nowy odcień. Choć ta metoda mogła się wydawać przypadkowa, tak nie było. Gdyby musiał odtworzyć którykolwiek z odcieni, pamiętałby dokładnie, ile pociągnięć pędzla każdego koloru użył do jego uzyskania.

Już na samym początku mojego terminowania dowiedziałam się, że technika, którą teraz malował, to fresco secco - nakładanie tempery z żółtek na suchy gips, zwykle stosowane przy naprawianiu lub wykańczaniu fresków. Oryginalna scena na ścianie została wykonana zwykłą techniką, zwaną buon fresco. Zamiast używać tradycyjnych farb, artysta rozpuszczał pigmenty w wodzie i nakładał kolor na warstwę mokrego gipsu. Jest to bardzo żmudna technika, nie można bowiem pokrywać gipsem większej powierzchni ściany, niż da się pomalować w ciągu pół dnia, gdyż gips, wysychając, musiał wchłonać

kolor. Kiedy po kilku godzinach powierzchnia wysycha, pigment staje się częścią samego tynku, a nie stanowi jedynie nałożonej na niego warstwy.

80

Dowiedziałam się, że z powodu takich wymagań fresk musi być podzielony na segmenty odpowiadające kolejnym dniom pracy, zwane *giornata*. Jeśli są dobrze zaplanowane, łączą się ze sobą w naturalny sposób i całe dzieło sprawia wrażenie jednolitej całości. Ścienne malowidło zaczyna się od góry. Mistrz najpierw pracuje na rusztowaniu pod samym sufitem i z każdym dniem przesuwa się bliżej podłogi, aby przypadkowo nie zaplamieć części namalowanej poprzedniego dnia. Ten fresk składał się z dwudziestu dwóch segmentów, co oznaczało, że tyle właśnie dni trwała praca nad nim.

Byłam w gronie kilku uczniów, którzy codziennie przygotowywali ścianę do malowania. Gruba warstwa nierównego gipsu została wcześniej nałożona na całą powierzchnię, na której wykonano też szkic fresku, jaki miał powstać. Nasza praca polegała na położeniu ostatniej cienkiej warstewki gipsu w części, która miała być ukończona danego dnia. Następnym krokiem było przeniesienie szkicu tej części sceny, którą właśnie zakryliśmy gipsem, na powierzchnię ściany. W tym celu używaliśmy

rysunku wykonanego przez Mistrza na papierze. Po obrysowaniu jego konturów narzędziem robiącym małe dziurki otrzymaliśmy rodzaj szablonu. Wyżsi chłopcy trzymali rysunek przy ścianie, a mi zwykle przypadało zadanie przeprószania wzdłuż linii drobno zmielonego węgla drzewnego. Czarny pył przedostawał się przez dziurki w papierze i zostawiał na ścianie zarys postaci, który następnie poprawiano czerwonym tuszem, a na koniec malowano.

Większą część fresku malował Mistrz. Czasami jednak nagradzał nas za ciężką pracę, pozwalając któremuś z nas namalować chmurę, gałąź drzewa lub jakiś inny drobny element. Spojrzałam na scenę w dolnej partii ściany, gdzie jakiś pomniejszy święty odpoczywał w cieniu drzewa, unosząc do ust naczynie. Widoczna w pobliżu studnia, z której namalowana postać mogła zaczerpnąć wody, by ugasić pragnienie, była moim dziełem. Promieniałam z dumy, kiedy Leonardo oceniał ją w obecności innych uczniów.

- Zobaczcie, jak Dino dodał leżący tutaj kamień i mech na

tych skałach. Nadał swojej studni wygląd starej i zaniedbanej. Dlatego zastanawiamy się, czy nasz święty jest pierwszym człowiekiem, jaki od dłuższego czasu zaczerpnął z niej wody. Czy opiekun studni porzucił ją, czy tylko zaniedbał swoje obowiązki. Nasz młody uczeń pokazał, że nawet najdrobniejsze detale, odpowiednio przedstawione, mogą rodzić pytania w umyśle obserwatora.

Uśmiechnęłam się do swoich myśli, wspominając tę niezwykłą pochwałę ze strony Mistrza. Oczywiście najważniejsze było to, że moja praca stanowiła niezłą kopię jego stylu. To właśnie była najtrudniejsza część nauki: powściągnięcie własnego sposobu malowania, kiedy - tak jak pozostali terminatorzy - uczyłam się rysować techniką Leonarda. Dzięki temu mogliśmy mu pomagać przy większych pracach, takich jak freski, a elementy, które malowaliśmy, nie różniły się zauważalnie od tych, które wyszły spod jego ręki. Gdybym była tak młoda jak większość moich kolegów, byłoby mi znacznie łatwiej, gdyż nie musiałabym zapominać o wielu latach praktyki. Lecz zawsze szybko się uczyłam, a uczenie się naśladowania na pozór niemożliwej do podrobienia doskonałości stylu Mistrza było ekscytującym wyzwaniem.

Ponownie skupiałam uwagę na jego pracy. Wprawdzie freski wykonane techniką buon fresco były znacznie trwalsze, ale

secco było łatwiejsze i mniej wrażliwe na błędy, poza tym malarz mógł wprowadzać zmiany również w czasie nakładania koloru. Mistrz właśnie zmieniał pozę archanioła. Jego dłonie, wcześniej uniesione w geście adoracji, teraz spoczywały na piersi złożone do modlitwy. Czubki palców promieniały niebiańskim blaskiem, który rozjaśniał obszar wokół serca, jakby podkreślając czystość anielskiej istoty.

- Gotowe - oznajmił z satysfakcją Leonardo i odłożył pędzel. - Nieszczęsny akt wandalizmu księcia został naprawiony.

Co o tym sądzisz, Dino?

82

- Nie przypuszczałem, że ten fresk mógłby być doskonałszy - odparłam zgodnie z prawdą - lecz przyznaję, że wolę tę wersję archanioła, Mistrzu. Teraz wygląda bardziej...

- Pobożnie? - podsunął z uśmiechem, widząc, że szukam odpowiedniego słowa. - Być może ty tak go widzisz, lecz mi wydaje się zadowolony z siebie, jakby wiedział, że może wstać się u Boga za człowiekiem, lecz postanowił tego nie robić. Ale bądź tak miły i nie wyjaśniaj księciu, że tematem tego malowidła jest odrzucenie przekonania, iż człowiek nie jest godzien zwracać się bezpośrednio do swego Stwórcy. Według mojej teorii, oczywiście przy założeniu, że istnieje jakiś Bóg,

ludzie wszelkiego stanu mają dostęp do Jego ucha w każdej chwili, jeśli tylko zechcą do Niego mówić. Jestem przekonany, że ksiązę wierzy, iż ten fresk wyraża nieuniknione oddzielenie człowieka od Boga, z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, kiedy On ma ochotę słuchać.

- Och - to była jedyna odpowiedź, na jaką potrafiłam się zdobyć. Zdawałam sobie sprawę, że poglądy religijne Leonarda są, delikatnie mówiąc, nieortodoksyjne. Nie przeszkadzało mu to w przyjmowaniu zamówień na tradycyjne sceny przedstawiające świętych i grzeszników... choć najwyraźniej nie wahał się dodawać osobistych interpretacji do takich dzieł.

Byłam odrobinę zaszokowana brakiem pobożności Mistrza, lecz jego słowa przypomniały mi obraz, na którym kilka przemyślanych pociągnięć mojego pędzla zamieniło nieszczęsnego signora Niccola z demona w anioła. Podniosła mnie na duchu myśl, że nawet taki mistrz jak Leonardo podlegał kaprysom możnego patrona... i że, jeśli chciał, umiał znaleźć sposób na obejście cenzury.

Mistrz, który nigdy nie skupiał się długo na jednym zadaniu, stracił już zainteresowanie freskiem. Zmarszczył czoło i podniósł nóż, który wydobył ze ściany, nim przystąpił do pracy. Jego smukłe palce dotykały go nie jak kuchennego przyboru, którym był, lecz jak broni, którą stał się w przypadku hrabiego.

Niespodziewanie wbił ostrze w blat stołu. Aż podskoczyłam

83

i omal nie wypuściłam sproszkowanego hematytu, który wraz z innymi materiałami wkładałam do skrzynki.

Chwyciłam miseczkę, nim choćby odrobina cennego minerału zdążyła się wysypać, i pospiesznie odłożyłam ją na miejsce. Leonardo najwyraźniej nie zauważył tego wypadku, gdyż siedział przy stole i wpatrywał się z namysłem w drżące jeszcze ostrze noża.

Przypomniałam sobie jego zaskakujące wyznanie z poprzedniej nocy, kiedy powiedział, że wie, kto zabił hrabiego. Widok narzędzia zbrodni na nowo pobudził moją ciekawość, którą przez ostatnich kilka godzin udawało mi się trzymać w ryzach. Włożyłam ostatni z pędzli do skrzynki i czekałam, aż Leonardo się odezwie. Nie wyrzekł jednak ani słowa, zebrałam się więc na odwagę.

- Mistrzu, powiedziałeś mi wczorajszej nocy, że wiesz, kto jest zabójcą hrabiego. Czy wyjawisz mi jego imię?

- Nie mogę tego uczynić, jeszcze nie teraz. Widzisz, mój drogi Dino, wiedza i dowód to dwa zupełnie różne ptaki. - strzelił palcami, jakby odstraszać te metaforyczne pierzaste stworzenia. - Mogę być pewien, że znam tożsamość morder-

cy, ale jeszcze nie potrafię przytoczyć żadnych dowodów, aby pokazać, jak doszedłem do tego wniosku. Gdybym zaś przedstawił Ludovicowi moje podejrzenia, bez dowodów na ich poparcie, zbyłby mnie równie łatwo, jak zbywa żebraka na ulicy.

- A zatem musimy znaleźć te dowody- oznajmiłam stanowczo. - Powiedz, Mistrzu, jak mogę ci pomóc?

- Na początek odnieś pędzle i pigmenty, a potem możesz się ze mną spotkać w ogrodzie za stajniami.

Ukloniłam się pospiesznie i popędziłam zanieść skrzynkę, zostawiając Mistrza siedzącego przy stole. Przynajmniej nie spędzę kolejnej nocy na posyłkach, pomyślałam z ulgą, tłumiąc ziewnięcie. O ileż byłoby mi trudniej, gdyby Mistrz łaskawie nie powiedział Constantinowi, że należy mi się dodatkowa godzina snu po świcie. Ten przejaw faworyzowania, choć przeze
84

mnie przyjęty z wdzięcznością, wywołał kilka ostrych spojrzeń i szeptów ze strony innych uczniów, gdy w końcu do nich dołączyłam. Pomruki rozległy się na nowo, kiedy Leonardo odwołał mnie na stronę, abym pomogła mu w naprawianiu fresku, zostawiwszy pozostałych uczniów przy codziennych, przyziemnych zajęciach. O tym, że ich reakcja nie była zwykłym narze-

kaniem, przekonałam się, wróciwszy do pracowni.

- Wraca pieszczołek Mistrza - przywitał mnie Tommaso, składając szyderycki ukłon, kiedy przeciskałam się obok niego z ciężką skrzynką. Inni uczniowie spojrzeli na nas ciekawi, jak odpowiem na wyzwanie kolegi.

Pamiętając o mojej maskaradzie, wiedziałam, że muszę stosownie zareagować, jeśli nie chcę wzbudzić podejrzeń.

- Jeśli Mistrz mnie faworyzuje, to tylko dlatego, że mój talent jest większy niż twój - odcięłam się, wydymając usta i skierowałam w stronę półek. - Jeżeli rozwiniesz swoje niewielkie umiejętności, może i ty zasłużysz na większe zainteresowanie.

- Maluję równie dobrze jak każdy tutaj - burknął Tommaso, a jego blade policzki poczerwieniały. Rozejrzał się, szukając wsparcia kolegów. - Davide, Paolo, czy nie mam racji?

- Malujesz całkiem nieźle - przyznał z uśmiechem Paolo. - Ale Dino jest wyjątkowo utalentowany. Co ty na to, Davide?

Oczy wszystkich zwróciły się na Davide'a, który miał wśród uczniów opinię dyplomaty i rozjemcy. Zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

- Sądzę, że obaj są dobrymi artystami, lecz być może Dino lepiej rozumie podejście Mistrza do spraw technicznych.

- Ha! Rozumiem Mistrza równie dobrze jak Dino i każdy z was! - Tommaso z zaciśniętymi pięściami podszedł do miej-

sca, gdzie kucałam, odkładając na miejsca pędzle i pigmenty. -
Przepróś za to, co powiedziałaś.

Wstałam i oparłam ręce na biodrach, patrząc mu prosto w oczy - co nie było trudne, gdyż byliśmy równego wzrostu.

- Przykro mi, że poczułeś się urażony. A teraz daj mi spokój, bo Mistrz chciał, żebym wrócił do niego jak najszybciej.

85

- Wiem, dlaczego cię faworyzuje - parsknął Tommaso. - Dlatego, że jesteś gładki jak dziewczyna. Słyszałem, że Mistrz lubi ładnych młodych chłopców. - Zanim zdążyłam zareagować, wyciągnął rękę i uszczypnął mnie mocno w policzek.

Odepchnęłam energicznie jego dłoń i spiorunowałam go wzrokiem.

- To nieprawda. Mistrz zawsze traktował mnie jak ojciec i nic więcej. Twoje sugestie są obrzydliwe.

Tymczasem inni uczniowie zaczęli się gromadzić wokół nas. Niektórzy zgadzali się ze mną, inni przyznawali, że słyszeli pogłoski o takich skłonnościach Leonarda. Z obolałym policzkiem zwróciłam gniewne spojrzenie na wątpiących.

- Jeśli którykolwiek z was został dotknięty przez Mistrza w niestosowny sposób, niech teraz się odezwie. Jeśli nie, niech

dla zabicia czasu poszuka czegoś lepszego niż głupie plotki.

Może Constantin wyznaczy wam jakieś bardziej pożyteczne zajęcia.

Constantin, który był pochłonięty nakładaniem listków złota na kilka paneli w drugim końcu pracowni, oderwał się od pracy i podszedł do nas. Przecisnąwszy się przez wianuszek uczniów, zmierzył nas obu groźnym wzrokiem.

- Dostyc tego! Tommaso, musisz przygotować następną porcję gipsu. Dino, jeśli Mistrz na ciebie czeka, radzę, abyś poszedł natychmiast. - Spojrzał złowieszczo na pozostałych. - A wy wracajcie do pracy albo poproszę Mistrza, żeby pozwolił mi potraktować was kijem.

Ta reprimenda odniosła zamierzony skutek. Wśród cichych pomruków protestu wszyscy chłopcy wrócili do swoich zajęć, zostawiając Tommasa i mnie z Constantinem. Spojrzałam na niego przepaszająco i przyłożyłam dłoń do bolącego policzka, by przypomnieć, że to nie ja byłam agresorem.

- Idę pomóc Mistrzowi.

Skinął głową, sugerując, że rozumie sytuację, lecz powiedział tylko:

86

- Twoje zadanie to robić wszystko, czego zażąda Leonardo.

Tommaso zajmie się wszelkimi pracami, które miałbyś dzisiaj do wykonania.

Zerknęłam z ukosa na młodzieńca, którego twarz wciąż wyrażała ledwie hamowany gniew, i ruszyłam do wyjścia. Idąc przez pracownię, czułam na plecach jego wściekłe spojrzenie. Wyglądało na to, że oprócz dwóch służących poprzedniej nocy zdobyłam kolejnego wroga.

Odsunęłam od siebie te nieprzyjemne myśli, kierując się w stronę ogrodu. Zapowiadał się piękny dzień. Pod lazurowym niebem w ogrodach panował ruch większy niż zwykle, za sprawą rozkazu Il Moro, który zabronił, aby ktokolwiek z gości opuścił zamek. Niewiasty w bogatych sukniach spacerowały wzdłuż alejek ze swymi służebnymi, podczas gdy ich małżonkowie ćwiczyli na dziedzińcu szermierkę lub trenowali swoje rumaki. Szmer głosów zmieszany ze stukotem końskich kopyt odbijał się echem w zamkowym czworoboku, przywodząc na myśl miejski plac w dzień targowy. A jednak mimo całej tej krzątaniny panował ponury nastrój, gdyż niewyjaśnione zabójstwo hrabiego spowijało wszystko niczym żałobny całun.

Znalazłam Leonarda w najdalszym zakątku ogrodu. Siedział na kamiennej ławie i pisał coś od prawej do lewej, jak miał w zwyczaju, na kawałku papieru. Kiedy podeszłam, podniósł wzrok i gestem zaprosił, bym usiadła obok niego.

- Sporządzam listy, które pomogą nam w śledztwie. - Wskazał leżącą między nami kartkę pokrytą takim samym lustrzanym pismem. - Tę spisałem ostatniej nocy po uczcie. To wykaz uczestników wczorajszych uroczystości. Skreśliłem imiona tych, co do których mogę osobiście zaręczyć, że nie opuszczali pola gry w czasie, kiedy kuzyn księcia został zamordowany.

Przebiegłam wzrokiem listę i stwierdziłam ze zdumieniem, że obejmuje jakieś dwie setki imion, łącznie z moim i innych uczniów. Chociaż nasze imiona były skreślone, tak jak większość pozostałych, zostało sporo potencjalnych podejrzanych. Poza tym lista nie obejmowała większości zamkowych służących,

87

których niska ranga nie wykluczała wszak morderczych skłonności.

Leonardo zmarszczył brwi, a jego następne słowa wyraziły wątpliwość, która właśnie przysłała mi do głowy:

- To zawęża listę potencjalnych sprawców wśród obecnych przy grze, nie uwzględnia jednak licznych przecieży osób, które w niej nie uczestniczyły. Niemniej zawsze jest to jakiś początek - rzekł, chowając kartkę w fałdach tuniki. - A teraz powiedz mi, kogo obserwowałeś ostatniej nocy na uczcie i kto wzbudził twoje podejrzenia.

Opowiedziałam pokrótce o dwóch służących, których rozmowę słyszałam. Słuchał z zainteresowaniem, ale kiedy skończyłam, pokręcił głową.

- Nie wątpię, że ci dwaj byli uwikłani w jakiś nieczny plan, nie sądzę jednak, by przyłożyli rękę do śmierci hrabiego. Gdyby zabili arystokratę, a tym bardziej krewnego księcia, dawno by stąd uciekli, zamiast ryzykować śmierć w męczarniach, w razie wykrycia. Kogo jeszcze widziałeś?

- Była jeszcze pewna kobieta... arystokratka, sądząc ze stroju i zachowania.

Opowiedziałam o obu moich spotkaniach z niewiastą, którą w myślach nazwałam „damą biskupa”. Choć byłam niemal pewna, że jej wybuch po ogłoszeniu przez księcia wiadomości o śmierci jego kuzyna wynikał z rozpacz, a nie z radości, coś w jej zachowaniu wciąż nie dawało mi spokoju. Kiedy jednak opisywałam wszystko na głos, jej wina wydawała mi się coraz bardziej wątpliwa.

Mistrz słuchał z uwagą, a gdy skończyłam, skinął lekko głową.

- Sądzę, że kobieta, o której mówisz, to hrabina di Malvo-
ral, żona innego dalekiego krewnego Ludovica. Mąż jest sporo starszy od niej i jeśli dobrze pamiętam, właśnie jego księżę pierwotnie wybrał na swojego posła na dwór francuski. Może

więc teraz hrabia di Malvoral znowu będzie miał szansę objąć to stanowisko.

8S

- A to mogło być powodem, dla którego kazał zabić kuzyna Il Moro! - wykrzyknęłam, zrywając się na równe nogi. - Tłumaczyłoby też zachowanie jego żony, która musiała wiedzieć, co się stało. Powiedz mi, Mistrzu, czy to hrabia di Malvoral jest człowiekiem, którego podejrzewasz o tę zbrodnię?

- Tak, to on, obok kilku innych. - Temu zastrzeżeniu towarzyszyło wzruszenie ramion.

Usiadłam i spojrzałam na Leonarda ze zdumieniem.

- Nie rozumiem, Mistrzu. Wydawało mi się, że ostatniej nocy powiedziałaś, iż wiesz, kto zamordował hrabiego.

- Wiem, kto jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, ale muszę jeszcze wykluczyć kilku innych. Lata eksperymentów nauczyły mnie, że głupotą jest przywiązywanie się do jakiejś teorii przed zdobyciem wystarczających dowodów na jej potwierdzenie. Właśnie dlatego sporządziłem drugą listę. - Wskazał papier, który trzymał na kolanach, a ja pochyliłam się, żeby lepiej widzieć. Podzielił kartkę na dwie kolumny. Zmudnie czytając od tyłu, zobaczyłam, że nad pierwszą napisał „Powód”, nad drugą zaś „Sposobność”.

- Zaczniemy od pierwszej kategorii - rzekł, wskazując lewą kolumnę. - Powiedziałbym, że możemy bezpiecznie założyć, iż hrabia, tak jak wszyscy, którzy giną z ręki zabójcy, został zamordowany z jakiegoś konkretnego powodu. Jeśli odkryjemy ten powód, dowiemy się, kto popełnił zbrodnię. Jak sam zauważyłeś, hrabia mógł zostać zabity dla zysku i Malvorał albo ktoś inny skorzystał na jego śmierci. Powiedz mi zatem, Dino, dlaczego jeden człowiek może zabić drugiego?

- Z zemsty - podsunęłam. - W gniewie albo z nienawiści.

Po to, by uniemożliwić ofierze powiedzenie albo zrobienie czegoś, co mogłoby zaszkodzić zabójcy.

- Bardzo dobrze. - Leonardo kiwał głową, zapisując moje sugestie. - Co jeszcze?

- Może hrabia był winny komuś pieniądze i nie chciał oddać. A może to zabójca miał u niego dług i wolał zabić, niż go spłacać.

89

Zamilkłam, próbując sobie przypomnieć wszystko, co słyszałam, krążąc wśród biesiadników ostatniej nocy. Wydawało się, że wieść o śmierci hrabiego wstrząsnęła zebranymi, lecz nie wszyscy opłakiwali jego odejście. Według mojej oceny miał tyluż przyjaciół, ilu wrogów.

Wróciłam do teorii, jaką książkę wysunął, gdy dowiedział się o losie kuzyna.

- Il Moro najwyraźniej sądził, że jego kuzyn zginął, ponieważ został wyznaczony na posła do Francji. Być może ktoś z dworu, naszego lub tamtego, chciał udaremnić sojusz z francuskim królem.

- Niewątpliwie byłyby to doskonały powód do popełnienia takiej zbrodni - przyznał. - Ale nie zapominajmy też o samobronie. Może początkowo hrabia nie był ofiarą, lecz napastnikiem, a jego zabójca starał się tylko ocalić własne życie. Choć nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, by hrabia miał jakąkolwiek broń - dodał, marszcząc brwi.

- Chyba że tamten drugi ją zabrał - podsunęłam.

Leonardo uniósł brew.

- Doskonałe spostrzeżenie, mój drogi Dino. Naprawdę nadasz się do rozwiązywania zagadek.

Zanotował coś, a ja spuściłam głowę, czując, jak się czerwienię pod wpływem komplementu. Przecież właśnie pochwały Mistrza były powodem mojej ostatniej bezsennej nocy. Kilkoma pociągnięciami pióra dokończył listę i zajął się drugą kolumną, zatytułowaną „Sposobność”.

- Skoro mamy już listę powodów - mówił - powinniśmy ustalić, kto na dworze mógł się kierować poszczególnymi mo-

tywami. Ale musimy ograniczyć się do tych, którzy mieli okazję popełnić zbrodnię w ciągu półgodziny między zniknięciem hrabiego a znalezieniem przez ciebie jego ciała.

Przez następnych kilka minut omawialiśmy możliwości... a właściwie to Mistrz zastanawiał się na głos nad wszystkimi chyba dworzanami po kolei i zapisał kilka imion, podczas gdy ja tylko kiwałam głową przy każdej decyzji. Oczywiście miał

90

nade mną przewagę wynikającą z pozycji na dworze. Ja nie znałam żadnego z tych wielmożów - naturalnie z wyjątkiem księcia - z imienia ani z wyglądu. Mistrz najwyraźniej znał wszystkich przebywających na dworze, począwszy od Il Moro po najskromniejszego posługacza w kuchni.

Kiedy skończył, pierwotna lista była podkreślona i pokryta notatkami - sporządzonymi charakterystycznym odwróconym pismem - tak że wydawała mi się zupełnie nieczytelna. Leonardo jednak skinął głową z zadowoleniem.

- Jestem przekonany, że mamy dobry początek- oświadczył, składając kartkę na czworo i chowając obok pierwszej. - Będziemy musieli przeprowadzić jutro kilka dyskretnych rozmów ze wszystkimi z tej listy. Obawiam się, że jeśli szybko nie znajdziemy zabójcy, Ludovico może stanąć w obliczu buntu

arystokratów, którzy będą zbyt długo uwięzieni w zamku. Ale najpierw czeka nas inne zadanie. Która jest godzina?

Nie czekając na moją odpowiedź, odsunął prawy rękaw, odsłaniając kwadratowe metalowe pudełko, wysokie na jakieś dwa palce, które miał przywiązane długim rzemieniem do nadgarstka. Uniósł rękę, by dokładniej przyjrzeć się dziwnemu urządzeniu, a wtedy zauważyłam ze zdumieniem, że jest to coś w rodzaju miniaturowego zegara, jaki znajdował się na wieży.

Dostrzegł wyraz zdziwienia na mojej twarzy i mrugnął porozumiewawczo.

- Widzę, że zauważyłaś jeden z moich ostatnich wynalazków. To urządzenie do odmierzania czasu, które można nosić przy sobie, aby zawsze móc mierzyć jego upływ. Nazywam to ręcznym zegarem.

- I on naprawdę działa? - spytałam z powątpiewaniem. Sama zawsze zadowalałam się nasłuchiowaniem kurantów zegara na wieży lub dźwięku dzwonów wybijających Anioł Pański albo obserwowaniem położenia słońca na niebie, by wiedzieć, która jest godzina. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można nosić zegar przy sobie. Do czego miałyby to być potrzebne?

- Tylko kilka sekund dzieli nas od trzeciej po południu - odparł. Ledwie wypowiedział te słowa, usłyszeliśmy trzy uderzenia zegara na wieży. W jednej chwili pozbyłam się wątpliwości, a ich miejsce zajął podziw i nie potrafiłam powstrzymać westchnienia.

- Tak, mój drogi Dino - dodał, jakby z nutą lekceważenia - mój ręczny zegar naprawdę działa. Przyznaję jednak, że jego pierwsza wersja była mniej udana, zwłaszcza że potrzebowała ciężarków jak zwykły zegar wieżowy. Urządzenie nie zawsze działało prawidłowo, było bowiem przymocowane do ręki, którą poruszałem. Aby rozwiązać ten problem, eksperymentuję teraz z paskami ciasno zwiniętego metalu zamiast ciężarków. Ale to rozmowa na inny dzień. Pogrzeb hrabiego zacznie się za niecałą godzinę, a na nas czeka praca.

Wstał, sięgnął pod ławkę i wyciągnął spod niej wypchany płócienny worek, którego wcześniej nie zauważyłam. Jego zawartość pobrzękiwała, ale nie domyślałam się, co worek może zawierać, nawet gdy Leonardo bezceremonialnie rzucił mi go w ramiona.

- Chodź za mną - polecił, kiedy wstawałam, starając się utrzymać nieporęczny pakunek. - Musimy dostać się na cmentarz.

Ruszył żwawo jak zwykle, ja zaś usiłowałam dotrzymać mu kroku. Dostrzegłszy, że kierujemy się w stronę głównej bramy,

zastanawiałam się, jak zdołamy opuścić teren zamku wobec ostatniego zakazu Il Moro. Ale, jak często bywało w sprawach, którymi zajmował się Mistrz, moje obawy okazały się bezpodstawne.

Strażnicy chcieli zagrozić nam drogę, lecz ich groźne miny natychmiast złagodniały, gdy rozpoznali Leonarda. Ukłonili się z szacunkiem i domyśliłam się, że księżę poinstruował ich wcześniej, iż jego nadworny inżynier jako jedyny spośród dworzaków ma prawo wychodzić z zamku, kiedy zechce. Gdy Mistrz odpowiedział na ich powitanie, strzelając palcami, pospieszyli otworzyć drzwi w drewnianej bramie, po czym ukłonili się jeszcze raz, kiedy przez nie przechodził.

92

Ja, zostałam przez nich całkowicie zignorowana, zdawałam sobie jednak sprawę, że gdybym próbowała sama wyjść z zamku, potraktowaliby mnie zupełnie inaczej.

Gdy znaleźliśmy się za rozgrzanymi słońcem murami zamku, poczułam się, jakby duszna atmosfera, która spowiła cały dwór po śmierci hrabiego, opadła ze mnie niczym znoszony płaszcz. Wzięłam głęboki oddech, napawając się ciepłym zapachem wsi... zapachem ziemi, delikatnym aromatem drzew owocowych i dzikich kwiatów, a nawet ledwo wyczuwalną, ostrą

wonią łąjna dobiegającą od stada była w oddali. Tutaj w powietrzu nie wisiał ciężki zapach palenisk i gotowanej cebuli, tak charakterystyczny dla zamku. Niebo za murami wydawało się bardziej błękitne, jakby zostało namalowane świetlistymi olejami, których Mistrz używał chętniej niż jasnych, mających delikatniejsze odcienie temper. Nawet chmury na horyzoncie były bardziej puszyste i bielsze niż wtedy, gdy się je oglądało spoza fortyfikacji, choć w oddali widać było pasmo ciemniejszych chmur, mogących zapowiadać nadciągającą burzę.

Wkrótce dotarliśmy do cmentarza. Słyszałam pogłoski, że książę zamierzał przenieść rodzinny grobowiec do klasztoru Santa Maria delie Grazie, położonego nieco dalej od zamku. Mistrz sugerował, że to on będzie ozdabiał ściany kaplicy i że w planach refektarza przewidział fresk przedstawiający Wieczerzę Pańską. Na razie jednak zmarli Sforzowie dołączali do swoich przodków tutaj, blisko zamku, który był ich domem za życia.

Cmentarze zawsze wydawały mi się posępne, nawet za dnia. Ten był równie ponury jak każdy inny... zarośla mizernych cedrów oraz jałowców rozjaśniały tu i ówdzie plamy nasturcji i kolczastych dzikich róż porastających skalne tarasy wycięte w stoku niskiego wzgórza, na którym zaczęto przed wiekiem budować grobowce. Leonardo jednak gwizdał wesołą melodię, idąc nierówną zwirową alejką między omszałymi nagrobkami

w stronę najokazalszego z nich.

Był to grobowiec Sforzów; imponująca konstrukcja z nieregularnych bloków czerwonego kamienia o narożnikach z jasnego

93

wapienia, przypominająca kształtem rodowy zamek. Herb Sforzów z budzącym grozę wężem widniał nad ciężkimi drewnianymi drzwiami, które już otwarto na przyjęcie nowego mieszkańca krypty. Pochodnie po obu stronach wejścia nie były w stanie rozproszyć panującej wewnątrz ponurej atmosfery.

- Czy masz worek? - spytał Mistrz.

Niepotrzebnie, gdyż równocześnie spojrzał w moją stronę.

- Dobrze. A teraz pospieszmy się. Musimy przygotować sprzęt, zanim pojawi się kondukt.

Beztrąsko, jakby wchodził do sali biesiadnej, chwycił jedną z pochodni, skinął na mnie i wszedł na wilgotne kamienne schody prowadzące do grobowca.

7

Szczęśliwi będą ci, którzy nastawią uszu na słowa zmarłych...

Leonardo da Vinci Manuskrypt I

wcisnęłam mocniej wypchany worek i odmawiając w duchu modlitwę, ruszyłam za Leonardem w ziejącą paszczę krypty.

Wykute w skale stopnie prowadziły do przestronnego kolum-

nowego przedśionka, w którym nieruchome, zatęchłe powietrze cuchnęło rozkładem... co nie powinno dziwić, ze względu na to, jak wiele pokoleń Sforzów złożono na wieczny spoczynek w tym przypominającym grocie wnętrzu.

Migotliwe światło pochodni wydobywało z mroku okazałe nagrobki najpotężniejszych wielmożów, a także nisze i proste kamienne płyty, na których składano owiniętych w jedwabne lub lniane całuny krewnych o niższej pozycji. Choć wiele ciał dawno już rozpadło się w proch, kilku niedawno zmarłych wciąż chełpiło się strzępami zetlałych szat, spod których wycierały trzymające się kości resztki skóry i włosów. Zapewne

94

ktoś, kto znał ich za życia, potrafiłby nawet teraz rozpoznać te wysuszone twarze.

Zatrzymałam się przy najbliższej kolumnie i cała drżąc, patrzyłam na otaczający mnie zastęp zmarłych wielmożów. Czy spali tu wiecznym snem i rozgniewało ich nasze wtargnięcie, czy też dawno stąd odeszli, pozostawiając po sobie tylko szczątki porzuconej ludzkiej formy? Wprawdzie Pismo Święte wskazywało na tę drugą odpowiedź, ale mnie dręczyły wątpliwości, byłam więc wdzięczna Mistrzowi za jego niefrasobliwe podejście do tego miejsca.

Szłam niemal po omacku, dotykając dłonią ściany. Okna i drzwi wejściowe wpuszczały niewiele światła; mrok rozjaśniał tylko mdły płomień pochodni, którą Mistrz wsunął w żelazny pierścień na ścianie. Stałam, by rozejrzeć się dookoła, i natychmiast tego pożałowałam. Migotliwy płomień nie tylko oświetlał wnętrze, ale też rzucał tańczące cienie, które sprawiały, że człowiek obdarzony nieco żywszą wyobraźnią odnosił wrażenie, jakby zmarli poruszali się na swoich kamiennych łóżach.

Ponieważ ja nie mogłam narzekać na brak wyobraźni, krzyknęłam z przerażenia, kiedy jakieś palce - byłam pewna, że należące do jednego ze zmarłych Sforzów - zacisnęły się na moim ramieniu. Ręka potrzęsnęła mną, lecz gdy się odwróciłam, zobaczyłam za sobą w mroku twarz Mistrza.

- Nie mamy czasu do stracenia - usłyszałam jego głos przez łomotanie mojego serca. - Szybko, przynieś worek pod pochodnię.

Przeklinając w duchu własną głupotę, czym prędzej wykonałam polecenie. Wziął ode mnie worek, rozwiązał, po czym sięgnął do środka. Patrzyłam ze zdumieniem, jak wyciągnął coś, co wyglądało na dużą miedzianą miskę. Przyjrząwszy się bliżej, doszłam do wniosku, że przedmiot ten jest bardziej podobny do wylotu trąby dworskiego muzyka, z tą różnicą, iż do jego brzegu przymocowano miedziany pas, który biegł wzdłuż

krawędzi w połowie obwodu, po czym zakręcał na wewnętrzną powierzchnię.

95

Kiedy pochyliłam się, by obejrzeć dziwne urządzenie pod innym kątem, skojarzyło mi się z czymś jeszcze innym. Zdezorientowana spojrzałam na Mistrza.

- Ależ to wygląda jak ucho jakiegoś metalowego olbrzyma.

- Doskonale, mój chłopcze. - rzekł z aprobatą. - Prawidłowo rozpoznałeś jego przeznaczenie. Ten mechanizm ma za zadanie wzmacniać dźwięk dalekiego głosu, kiedy słuchanie owego głosu z bliska nie jest wskazane. Tak więc wystąpimy tutaj w roli uszu zmarłego.

- Nie rozumiem - powiedziałam zgodnie z prawdą.

Leonardo spojrzał na mnie z politowaniem.

- Ależ to proste. Ten, kto dźwiga brzemień winy, rzadko potrafi sobie z tym radzić przez długi czas. Wkrótce zaczniesz szukać rozgrzeszenia... jeśli nie u spowiednika, to u swojej ofiary. Ustawimy to urządzenie tutaj, a sami poczekamy na zewnątrz. Kiedy żałobnicy zakończą swoje sprawy, zobaczymy, który z nich wróci do grobowca, by zrzucić z siebie ciężar przed zmarłym, a może nawet przyznać się do zabicia go.

Odwrócił dziwne ucho, by pokazać mi haki i zaczepy, za

które można je było powiesić na ścianie. Mieliśmy je zamocować w jednym z wąskich okien nad nami.

- Tutaj przymocuję rurkę, która będzie wystawać przez okno - wyjaśnił i wyjąwszy z worka kawałek miedzianej rury, przyłączył ją do tylnej strony urządzenia. - Kiedy umieścimy mechanizm w oknie, wyjdziemy na zewnątrz i przymocujemy do tej rury następne. Weź to, Dino - rzekł, podając mi miedziane ucho - a ja podniosę cię do okna, żebyś mógł je zawiesić.

Bezceremonialnie zgarnął żalosne szczątki jakiegoś dawnego Sforzy z kamiennej płyty pod oknem, starannie odsunął je na bok, a następnie wskoczył na podest i podciągnął mnie obok siebie. Ułożywszy dłonie w kształt strzemienia, dał mi znak, bym postawiła na nich stopę. Chwyciłam metalową miśkę, a drugą ręką oparłam się o ścianę, on zaś uniósł mnie w górę jednym zręcznym ruchem, który dowodził, że jest znacznie silniejszy, niż wskazywałaby na to jego szczupła sylwetka.

96

- Pospiesz się - ponaglił, gdy z trudem starałam się utrzymać równowagę. - Ale zadbaj o to, by ucho było solidnie przymocowane. Wątpię, żeby ktoś zwrócił na nie uwagę, kiedy będzie tutaj wisiało, lecz na pewno zostanie zauważone, jeśli spadnie z hukiem na ziemię.

Rozumiejąc wagę mojego zadania, uniosłam ucho i wsunęłam miedzianą rurę w okno, aby wystawała na zewnątrz. Haki bez trudu dały się zaczepić o nierówności skały, więc po chwili mogłam oznajmić, że urządzenie jest zamontowane.

Mistrz opuścił mnie na dół i bezpiecznie wylądowałam na ziemi, kilka centymetrów od niego. Wtedy, z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić, poczułam, że policzki mi płoną. Zakreśliło mi się w głowie i się zachwiałam.

Mistrz chwycił mnie za ramię.

- Uważaj, chłopcze, bo możesz spaść i rozbić głowę - ostrzegł. - Nie chciałbym, żeby Sforzowie odebrali mi tak obiecującego ucznia.

Wciąż trzymając mnie za rękę, pomógł mi stanąć na podłodze krypty, po czym sam zeskoczył lekko i stanął obok mnie. Otarłam czoło i wzięłam głęboki oddech.

- Przepraszam, Mistrzu, obawiam się, że złe wapory w tym grobowcu zamroczyły mnie na chwilę.

- Powinieneś więc odetchnąć świeżym powietrzem. Weź worek i wyjdźmy na zewnątrz.

Mówiąc to, sięgnął po pochodnię i ruszył przodem. Gdy wyszliśmy z grobu do krainy żywych, z ulgą wciągnęłam w płuca świeże powietrze i strząsnęłam cmentarny proch z moich butów. Leonardo tymczasem włożył pochodnię w uchwyt na ze-

wnątrz i spojrział na swój ręczny zegar.

- Żałobnicy wkrótce nadejdą - oznajmił i w tej samej chwili z oddali dobiegł nas dźwięk zegara na wieży wybijającego pełną godzinę. - Dokończmy składanie naszego urządzenia, a potem zajmiemy miejsce za grobowcem.

Dopiero teraz zauważyłam, że krypta została częściowo wbudowana w niewielki pagórek, którego łagodny szczyt miał

97

tę samą wysokość co jej tylna ściana. Okno, przez które wystawała rura naszego urządzenia, znajdowało się w połowie odległości między wejściem a wzgórzem. Ja trzymałam worek, a Mistrz poszperał w nim i wyjął podobne rury różnych kształtów, które połączył ze sobą i przymocował do kawałka wystającego z okna. Rura wiła się niczym wąż wzdłuż boku krypty aż do kępy krzaków rosnącej na zboczu przy narożniku grobowca.

- Musimy się tu ukryć, aby dobrze widzieć i wejście, i ucho wewnątrz - powiedział i dał mi znak, bym szła za nim.

Wspiął się na zbocze i zniknął w krzakach. Gdy dołączyłam do niego, zobaczyłam, że wyjął z worka ostatni element, zakrzywiony i zakończony miniaturową wersją wielkiego ucha. Przymocował go do rury.

- Tego właśnie użyjemy, żeby słyszeć, co mówi się w środku - wyjaśnił. - Przyłóż tu ucho, Dino, a ja na chwilę wrócę do krypty i sprawdzimy, czy wszystko działa.

Zrobiłam, co mi polecił. Początkowo słyszałam tylko cichy szmer, jak wtedy, gdy przykładano się do ucha muszlę, żeby usłyszeć szum morza. Ale po chwili głos Mistrza zadźwięczał tak głośno, aż zaskoczona niemal wypuściłam z ręki urządzenie.

- Dino, czy mnie słyszysz?

Opanowałam się i przyłożyłam rurę do ust.

- Słyszę cię bardzo wyraźnie, Mistrzu - powiedziałam i znowu przyłożyłam urządzenie do ucha.

- Zatem dobrze wykonaliśmy swoją robotę. Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę.

Chwilę później był z powrotem w naszej kryjówce wśród krzaków. Słyszeliśmy wyraźnie szmer głosów niesionych przez lekki wietrzyk.

- To modlitwa. Są już całkiem blisko - rzekł Leonardo.

Położył się na ziemi, ja leżałam obok niego, a rura do słuchania znajdowała się między nami. Z naszego punktu obserwacyjnego mogłam, rozgarnawszy liście, zobaczyć procesję sunącą z pobliskiej kaplicy do bramy cmentarza. Ciało hrabiego,

spowite w biały całun i przykryte kwiatami, leżało na marach, które nieśli książęcy gwardziści. Ci, którzy szli przy rogach, trzymali w wolnych rękach zapalone pochodnie.

Za marami szła zasłonięta gęstym welonem wdowa, za nią zaś księżę i jego rodzina. Dalej kroczyli członkowie dworu, a wśród nich ministranci ze świecami, śpiewający słodkimi głosami jakiś hymn, którego nie mogłam rozpoznać. Kondukt prowadziła grupa księży, którzy maszerowali żwawo jak żołnierze Il Moro. Otaczali znajomą mi postać w białych szatach, z mitrą na głowie i wielkim krzyżem w dłoniach. Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia i spojrzałam na Leonarda.

- Widzę, że kondukt prowadzi sam arcybiskup - mruknął, kiwając głową. - I wygląda na to, że stawił się cały dwór. Zapewne uznali pogrzeb za okazję do wyrwania się z zamku przynajmniej na jakiś czas.

Kiedy kondukt podszedł bliżej, zamilkliśmy i skupiliśmy się na obserwacji. Ludzi było tak wielu, że tylko ci, którzy znaleźli się na przedzie, mogli podejść blisko krypty. Pozostali porozsiadali się na nagrobkach i półgłosem wymieniali plotki. Znajdowaliśmy się na tyle blisko, że słyszałam modlitwy odmawiane przez arcybiskupa. Rodzina słuchała ze stoickim spokojem, jak przystało osobom o ich pozycji. Nawet jeśli hrabina przez całą noc płakała z żalu, nikt tego nie zauważył, gdyż

gęsty welon skrywał wszelkie oznaki bladości lica czy zaczerwienienia oczu.

„Amen” księży, kiedy arcybiskup udzielił ostatniego błogosławieństwa, zakończyło mszę. Żałobnicy patrzyli w milczeniu, jak gwardziści wnoszą ciało hrabiego do grobowca.

Gdy zniknęli w krypcie, Mistrz dał mi znak, bym wraz z nim nasłuchiwała przy końcu rury. Pochyliłam się bliżej i usłyszałam odgłos butów na kamiennych schodach, a po chwili szuranie kroków. Wyobraziłam sobie, jak podchodzą do czekającej na hrabiego ławy i składają na niej ciało na wieczny spoczynek. Potem rozległ się szmer głosów i krótki, nerwowy śmiech, przerywany reprymendą któregoś z gwardzistów.

99

- Patrz, co robisz! Omal go nie upuściłeś. Okaż trochę szacunku i połóż go przyzwoicie.

- Już załatwiony i jak dla mnie, wcale nie za szybko. Na ślady stóp Chrystusa, zważywszy na to, ile było złej krwi między nim a resztą, myślałem, że przyniesiemy go tutaj znacznie wcześniej.

- Uważaj, jak mówisz o zmarłym - odezwał się piskliwy głos.

Wyobraziłam sobie, jak mówiący te słowa żegna się po-

spiesznie, aby odwrócić złą wróżbę. Jego przełęczony ton wskazywał, że cokolwiek uczynił hrabia za życia, musiała to być naprawdę poważna sprawa. Mistrz i ja nachyliliśmy się bliżej rury, pragnąc usłyszeć coś więcej o konflikcie między hrabią Ferrary a jakimiś innymi ludźmi, którzy mogli się przyczynić do jego przedwczesnej śmierci.

Niestety, pozostali gwardziści musieli dobrze wiedzieć, o co chodzi, gdyż żadne wyjaśnienia nie padły. W odpowiedzi na pełne lęku ostrzeżenie któryś z ludzi w krypcie rzucił zagadkowo:

- To nie zmarłych powinieneś się obawiać. Mnie o wiele bardziej niepokoją żywi.

- Orlando przynajmniej jest dobrze chroniony. Co za marnotrawstwo zostawiać takie piękne ostrze, żeby rdzewiało w tych ciemnościach - mruknął ponuro inny.

Znowu rozległy się szuranie kroków i stukot butów na kamiennych schodach. Niosąc puste mary, gwardziści wyszli na oślepiające słoneczne światło. Dwie pochodnie zatknęli w uchwyty przy wejściu, pozostałe zaś zgasili. Następnie dwaj żołnierze zamknęli wrota grobowca przy przeraźliwym zgrzycie starych zawiasów, zakończonym głośnym stuknięciem, kiedy skrzydła drzwi się zatrzasnęły.

Żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Rodzina i dworzanie skie-

rowali się w stronę bramy cmentarza, gdzie czekały wozy, którymi mieli wrócić do zamku. W zaskakującym odruchu troskliwości książe osobiście prowadził wdowę po swoim kuzynie

100

od grobu. Raz nawet pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Jeśli odpowiedziała, uczyniła to bez żadnego gestu, choćby najlżejszego ruchu głową. Patrzyłam z fascynacją na jej zasłoniętą welonem postać i próbowałam sobie wyobrazić, co czuje po stracie męża.

Żal... rozpacz... wyrzuty sumienia.

Może nawet ulgę?

Sama nie wiedziałam, dlaczego to ostatnie przyszło mi do głowy. Odsunęłam od siebie tę myśl, by wrócić do niej później, i skupiłam uwagę na arcybiskupie. Nigdy nie wizytował skromnego kościoła w moim miasteczku, więc do wczorajszej rozgrywki szachowej i dzisiejszego pogrzebu nie miałam okazji go zobaczyć.

Nigdy też nie słyszałam o nim złego słowa, choć sprawował urząd od wielu lat, a jego poprzednicy ściągnęli na siebie gniew, jeśli nie wręcz pogardę swojej trzódki. Jego Eminencja Stefano, kardynał Nardini podobno ograniczał się do rozsądnej liczby służących, więcej czasu poświęcał sprawom religii niż

polityki i udawało mu się utrzymywać kochanki oraz potomstwo - o ile je miał - w ukryciu przed światem. Krótko mówiąc, otaczała go aura pełnej dostojeństwa pobożności, stosowna do jego pozycji w Kościele.

Wydawało się bolesną ironią losu, że hrabia rozstał się z życiem, będąc przebrany na podobieństwo tego czcigodnego duchownego, a teraz prawdziwy arcybiskup odprawiał jego ceremonię pogrzebową. Signor Luigi dobrze wykonał swoje zadanie, pomyślałam z uznaniem, gdyż strój, który przygotował do partii szachów, był niemal równie bogaty jak szaty, które Jego Eminencja miał na sobie tego dnia. Prawdę mówiąc, każdy z czterech fałszywych biskupów wyglądałby równie dobrze na ambonie, jak na szachownicy.

W otoczeniu swego świątobliwego orszaku arcybiskup ruszył chwiejnym krokiem starca w kierunku kaplicy, gdzie już czekał elegancki zamknięty powóz, który miał go zawieźć z powrotem do zamku. Z wysiłkiem wsiadał do powozu, po czym

101

jeden z księży zamknął za nim rzeźbione drzwiczki. Wiedziałam, że będzie jechał sam, a inni księża wyruszą za nim w skromniejszych wozach, mnisi zaś pójda pieszo.

- Wreszcie sprawa się skończyła - powiedział cicho Mistrz,

gdy ostatni z żałobników opuścił cmentarz, zostawiając nas sam na sam ze skowronkami i zmarłymi. - Poczekajmy, zobaczymy, kto wróci odwiedzić hrabiego

Usiadł, podniósł pusty worek, w którym przynieśliśmy urządzenie, i złożył go w zgrabną kostkę. Potem położył się na ziemi i wsunął sobie płótno pod głowę niczym poduszkę.

- Obserwuj uważnie, Dino - polecił, zamykając oczy i krzyżując ręce na piersi - i obudź mnie, jeśli ktokolwiek wróci do grobu.

Kilka chwil później jego ciche chrapanie było jedynym poza śpiewem słowików dźwiękiem, jaki ożywiał pusty cmentarz.

Stłumiłam uśmiech, zastanawiając się, czy właśnie odkryłam sekret, który pozwala Mistrzowi zadowalać się zaledwie kilkoma godzinami snu w nocy. Inni uczniowie i ja dawno zauważyliśmy, że kilka razy dziennie zwykł znikać z pracowni na godzinę lub dłużej. Może te zniknięcia nie wynikały z potrzeby załatwiania ważnych spraw związanych z pracą, lecz stanowiły okazję do drzemki.

Ziewnęłam szeroko i pomyślałam, że miło byłoby przespać się choć kilka minut w przyjemnym ciepłe gasnącego słońca. Przypomniałam sobie jednak, gdzie jestem, i ta świadomość pozwoliła mi pokonać chwilową słabość. Poza tym Mistrz powierzył mi ważne zadanie, a ja nie chciałam go zawieść.

Oparłam się więc na łokciach, utkwiłam wzrok w cmentarnej bramie i patrzyłam, czy któryś z żałobników nie ukrył się w kaplicy i teraz się nie pojawi. Nie potrafiłam zgadnąć, dlaczego Mistrz był pewien, że ktoś wróci, lecz nieraz już miałam okazję się przekonać, iż intuicja zwykle go nie zawodziła.

Kiedy upłynęło kilka minut i nikt się nie pojawił, zaczęłam się niecierpliwić. Gdybym nie miała za zadanie obserwowania cmentarza, wyjęłabym notatnik, aby opisać wydarzenia dnia.

102

Pisanie musiało jednak poczekać do wieczora, gdy moja rola strażnika będzie zakończona. Na razie jedyną rozrywkę mogły mi zapewnić wspomnienia.

Z mojego punktu obserwacyjnego widziałam kawałek drogi, którą Leonardo i ja przyszedliśmy do grobowca. Ten widok przypominał mi podróż do Mediolanu. Kiedy wyruszyłam w drogę, ulice mojego miasteczka wciąż były pogrążone w ciemnościach, a bramy zamknięte, gdyż do świtu zostało jeszcze sporo czasu.

Po opuszczeniu rodzinnego domu, schroniłam się w stajni niedaleko murów miejskich i skulona w pustym boksie czekałam na wschód słońca. Tak jak teraz nie odważyłam się zamknąć oczu z obawy, że mogłabym zasnąć i przespać pierwszy znak, jakim był turkot wozów wjeżdżających do miasta. Kiedy

usłyszałam ten znajomy dźwięk, strząsnęłam słomę ze starego płaszcza, który służył mi za posłanie, i wymknęłam się cichutko, zanim moi towarzysze - trzy jasne klacze i osioł - obudzili się ze snu.

Choć obawiałam się, że w każdej chwili jakaś ciężka ręka może mnie chwycić za ramię i zatrzymać, nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy wyszłam przez otwartą bramę na drogę prowadzącą do Mediolanu. Bo dlaczego ktokolwiek miałby na mnie zwrócić uwagę? Wyglądałam jak jeszcze jeden młodzieniec porzucający dom dla pokus wspaniałego wielkiego miasta majaczącego za wzgórzami.

W duszy jednak aż drżałam z lęku i czułam się wręcz nieprzyzwoicie z krótko obciętymi włosami i w pończochach. Ale powoli górę brało upojenie swobodą ruchów i wkrótce omal nie zaczęłam podskakiwać, tak było mi lekko. Nawet pas pod tuniką wydawał się lekki jak piórko, chociaż był ciężki od florenów, które ojciec dał mi poprzedniego wieczoru.

- Będziesz potrzebowała pieniędzy- szepnął, kiedy matka zostawiła nas na chwilę samych przy ogniu. - Twój nowy mistrz może chcieć, żebyś zapłaciła za miejsce przy nim. A nawet jeśli nie, przyda ci się kilka monet, bo płaca terminatora jest bardzo skromna.

Zawiesił głos i spojrzał na mnie przenikliwie.

- Zastanawiam się, dziewczyno, czy naprawdę przemyślałaś swoją decyzję? Los terminatora nie jest łatwy. Będziesz wstawać przed świtem i kłaść się dobrze po zmroku. Będziesz wykonywała najgorsze prace i minie wiele tygodni, zanim przyłożysz pędzel do obrazu albo ściany. A jeśli odmówisz zrobienia czegoś, po prostu pokażą ci drzwi... oczywiście pod warunkiem że wcześniej nie zostaniesz wychłostana.

Pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz smutku.

- Czy nie popełniam błędu, pozwalając mojej jedynej córce wyruszyć w taką podróż? - spytał z nutą rozpacz. - Przypuśćmy, że ktoś odkryje twoją maskaradę... Co się wtedy z tobą stanie? Nie będziesz mogła dalej terminować i żaden przyzwoity mężczyzna nie ożeni się z tobą. Ba, możesz nawet skończyć jako pomywaczka.

Wiedząc, że tak niechlubne zajęcie tylko krok dzieli od zostania kobietą lekkich obyczajów, nie mogłam mieć do ojca żalu o jego obawy. Podobna myśl mnie również przyszła do głowy, lecz byłam gotowa podjąć ryzyko.

- Rozumiem, ojcze, że nie będzie mi łatwo - odparłam - ale oboje wiemy, że może to być dla mnie jedyna sposobność nauczenia się rzemiosła. W naszym miasteczku nie ma żadnego

wielkiego malarza, a nawet gdyby był, z pewnością nie zechciałby przyjąć na ucznia kobiety. Jeśli Leonardo przyjmie mnie do swojego warsztatu, obiecuję, że będę ciężko pracować.

- Dobrze więc - rzekł, sięgnął pod kaftan i wydobył małą skórzaną sakiewkę, która dźwięczała melodyjnie. - Pewnie nawet gdybym próbował cię powstrzymać, wyruszyłabyś w drogę bez mojego błogosławieństwa. Pozwól mi zatem zrobić tyle, ile mogę. - Wsunął mi sakiewkę w dłoń.

Kiedy zaczęłam protestować, pokręcił głową i powiedział:

- Musiałbym zebrać znacznie więcej na twój posag. Tylko dobrze ją schowaj. Zawsze miej w sakiewce jednego florena, ale nigdy więcej, bo gdyby ktoś to zobaczył, mogłoby przyjść mu do głowy, żeby cię obrabować. Miej oczy szeroko otwarte,

104

a w drodze postaraj się znaleźć jakichś przyzwoitych towarzyszy, żeby nie podróżować sama. Jeśli pogoda nie będzie zła albo drogi zatłoczone, powinnaś pieszo w półtora dnia dotrzeć do miasta.

- Nie martw się - pocieszyłam go, chowając sakiewkę. - Będę bezpieczna w moim przebraniu i posłucham wszystkich twoich rad. Leonardo na pewno mnie przyjmie... ale jeśli nawet nie, znajdę inne zajęcie w zamku i będę go prosić, dopóki

nie zmieni zdania. Tak czy inaczej, powiadomię cię o mojej sytuacji.

- Zatem postanowione - rzekł i przytulił mnie w rzadkim u niego odruchu czułości.

- Co jest postanowione? - rozległ się głos matki, która właśnie wróciła do pokoju.

Z poczuciem winy przerwaliśmy ten niecodzienny pokaz przywiązania i odsunęliśmy się od siebie. Ojciec sztywno skinął głową i zwrócił się do matki.

- Nie martw się, Carmelo, wyjaśniam tylko naszej córce, czego ma się spodziewać po swoim nowym życiu. Wiele rzeczy się zmieni i powinna być na to przygotowana.

- Ależ to jest obowiązek matki - prychnęła urażona i podeszła do mnie. Wzięła mnie za rękę, zaciągnęła na stołeczek przy kominku i usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Teraz zapomnij, co mówił ci ojciec - oznajmiła, skinieniem dłoni odprawiając męża - a ja powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć.

Była to rozmowa, której wolałabym uniknąć, ale że miałam własne plany, nie widziałam innego wyjścia, jak tylko siedzieć i słuchać. Słuchałam ze zdumieniem i niepokojem zwłaszcza tego, co mówiła o, jak to nazwała, małżeńskich obowiązkach.

- Ciesz się na tyle, na ile będziesz mogła, ale nie spodzie-

waj się zbyt wiele - podsumowała bez ogródek tę sferę życia.

Co do reszty, była równie szczera.

- Najważniejsze w małżeństwie jest okazywać mężowi szacunek i pozwolić mu myśleć, że to on rządzi domem - powiedziała

105

z lekceważącym parsknięciem, które wskazywało, że jej zdaniem żaden mężczyzna nie nadaje się do tej roli. - Nigdy nie ruszaj niczego, co do niego należy, ani nie wtykaj nosa w jego papiery, a przynajmniej nie w taki sposób, żeby się zorientował, co robiłaś. I pamiętaj, że nigdy nie możesz się okazać mądrzejsza od niego. Jako żona musisz być uległa, nawet jeśli będzie cię to drażnić jak miesięczne płótno.

Zarumieniłam się, słysząc tak niedelikatne porównanie, ale jej gorzka wizja małżeństwa tylko utwierdziła mnie w postanowieniu uniknięcia tego zniewolenia. Zarazem nie potrafiłam nie współczuć matce, była bowiem uwikłana w sieć, z której ja już wkrótce miałam się wyrwać. Kiedy jednak próbowałam dać jej to do zrozumienia, pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko.

- Ależ z twoim ojcem i ze mną jest inaczej. On należy do nielicznych mężczyzn rozgarniętych na tyle, by doceniać korzyści płynące z poślubienia mądrej żony. Dlatego nie przeszkadza mu moja rola w małżeństwie. Owszem, jest biegły

w swoim rzemiośle - wzruszyła ramionami - ale to ja załatwiłam mu najlepsze zamówienia i znalazłam bogatych patronów, którzy przez lata sowicie go opłacali, dzięki czemu teraz stać nas na danie ci posagu.

Wzmianka o ślubie, do którego miało nie dojść, obudziła we mnie wyrzuty sumienia, z czego ona naturalnie nie zdawała sobie sprawy. Pocieszyłam się myślą, że może wyda część sumy przeznaczonej na posag na własne potrzeby. Rozmowa z matką otworzyła mi oczy. Zarządzała naszym małym gospodarstwem z taką samą bezwzględną skutecznością, z jaką Il Moro rządził swym księstwem, i wymagało to z jej strony niemałych starań. Znacznie bardziej niż signor Niccolo zasłużyła na owoce wszystkich tych lat ciężkiej pracy.

Byłam tak pochłonięta wspomnieniami, że dopiero po chwili dźwięk dobiegający z miedzianej rury wytrącił mnie z zamyślenia. Zamarłam na moment, po czym ostrożnie przyłożyłam ucho do urządzenia. Czyżby tylko mi się zdawało, że usłyszałam dobiegający z niego słaby odgłos?

106

Powiodłam wzrokiem po okolicy, wypatrując intruza, choć nie miałam wątpliwości, że na cmentarzu nie ma nikogo oprócz Leonarda i mnie. Wprawdzie odbiegłam myślami od mojego

zadania, lecz ani na chwilę nie odrywałam wzroku od wejścia do grobowca i nie widziałam, by ktokolwiek się do niego zbliżał. A jednak jakiś cichy dźwięk dobiegał z krypty.

- Czyżbyśmy mieli gości, Dino? - spytał cicho Mistrz, otwierając jedno oko.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie widziałem nikogo oprócz nas - odparłam równie cicho. - Mógłbym jednak przysiąc, że coś słyszałem... jakiś odgłos z grobowca hrabiiego.

- Doprawdy?

Już całkiem rozbudzony, przewrócił się na brzuch i uważnie obserwował wejście do krypty. Z naszej kryjówki w krzakach mieliśmy widok może nie doskonały, lecz na tyle dobry, by mieć pewność, że drzwi grobowca nadal są zamknięte, tak jak zostawili je gwardziści. A nawet gdyby komuś udało się je niepostrzeżenie otworzyć, z pewnością usłyszelibyśmy zgrzyt zawiasów.

Leonardo wziął ode mnie urządzenie i przyłożył ucho do metalowej końcówki. Niemal przestałam oddychać, czekając, aż dźwięk się powtórzy.

I po chwili rozległ się znowu - jęk, na tyle głośny, że usłyszałam go, mimo iż urządzenie znajdowało się przy uchu Mistrza.

- Hrabia powstał z martwych! - szepnęłam, czując zimny

dreszcz na plecach.

Nawet Leonardo wyglądał przez chwilę na zakłopotanego, ale w końcu pokręcił głową i posłał mi surowe spojrzenie.

- Opanuj się, chłopcze. Zapewniam cię, że zmarli nie powracają do życia. Jeśli ten dźwięk rzeczywiście pochodzi z ciała zmarłego człowieka, to jest naturalnym zjawiskiem wynikającym z gromadzenia się humorów w zwłokach.

Ledwie skończył to mówić, żaloszny jęk powtórzył się znowu.

107

Poczułam, że blednę, i przez chwilę obawiałam się, że zemdleję. Mistrz zaklął i odłożył urządzenie.

- Ta sprawa wymaga dokładniejszego zbadania - oznajmił, wstając. - Chodź, Dino i przestań trząść się ze strachu jak dziewczyna. Pora sprawdzić, kto... albo co... znajduje się w grobowcu razem z hrabią.

8

Zwycięstwo i śmierć są pod wieloma względami podobne do siebie. Jedno i drugie jest zarówno końcem, jak i nowym początkiem.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

Leonardo wyjął z sakiewki kawałek zagiętego drutu i przez

chwilę manipulował nim przy zamku w drzwiach prowadzących do krypty. Gdy zamek puścił, z wysiłkiem otworzyliśmy ciężkie skrzydła. Zardzewiałe zawiasy wydały głośny metaliczny zgrzyt, niemal równie przerażający jak ów niesamowity jęk, który słyszeliśmy z głębi grobowca kilka chwil wcześniej. Wreszcie, po raz drugi tego popołudnia, zeszłam w ślad za Mistrzem po kamiennych stopniach do rodzinnej krypty Sforzów.

Gdybym była sama, już dawno uciekłabym z cmentarza i schroniła się w bezpiecznych murach zamku. Lecz skoro Mistrz życzył sobie, bym mu towarzyszyła, nie miałam innego wyjścia, jak tylko wykonać jego polecenie. Zresztą nie chciałam zostać przed grobowcem. Słońce było coraz niżej i wkrótce na zewnątrz będzie równie ciemno jak w krypcie. Perspektywa samotnego czekania na spowitym w cienie cmentarzu budziła we mnie nie mniejszy lęk niż myśl o wejściu do krypty, w której czaiło się coś strasznego i nieznanego. Zebrałam całą odwagę i wkroczyłam w ziejącą czeluść.

108

Nie wstydzę się przyznać, że schodząc do komory grobowej, trzymałam się kurczowo skraju tuniki Mistrza. Aby oświetlić drogę, Leonardo wziął jedną z pochodni przy wejściu, lecz okazało się, że jest już częściowo wypalona i nie daje tak jas-

nego światła jak poprzednio. W jej mdłym świetle widzieliśmy nie dalej niż na pięć przed nami, więc do nadprzyrodzonego aspektu naszego śledztwa dołączyło też niebezpieczeństwo fizyczne.

Jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć w krypcie - nie licząc szurania naszych kroków na kamieniach - było ciche syczenie płomienia. Kiedy dotarliśmy do komory, Mistrz uniósł pochodnię, by światło sięgnęło nieco dalej. Cienie tańczyły na postaciach spoczywających najbliżej, reszta zaś tonęła w mroku, z wyjątkiem tego, którego świeży śnieżnobiały całun lekko odbijał blask przygasającego płomienia.

Podeszliśmy do kamiennej płyty, na której złożono ciało hrabiego Ferrary. Zarys ciała był wyraźnie widoczny pod delikatnym płótnem całunu, a pachnące kwiaty nie tłumiły już nasilającej się woni rozkładu. Zasłoniłam nos rękawem, drugą ręką wciąż trzymając się Mistrza. Wprawdzie hrabia był martwy, lecz to nie musiało oznaczać, że na dobre opuścił ten świat.

Niezrażony smrodem Leonardo przysunął pochodnię bliżej i pochylił się, aby dokładniej przyjrzeć się zmarłemu. Odwróciłam wzrok, bo aż nazbyt dobrze pamiętałam, jak wyglądał, kiedy go znalazłam, dopiero co pozbawionego życia. Nie potrzebowałam kolejnych wspomnień, które będą prześladowały mnie w snach.

- Nie sędzę, żeby dźwięk, który słyszeliśmy, pochodził od niego - rzekł Leonardo, prostując się. - Humory wezbrały w ciele tak bardzo, że płuca nie mogłyby pomieścić tyle powietrza, by mogło z niego ujść. Musimy znaleźć inne wyjaśnienie.

Znowu uniósł pochodnię i ruszył między katafalkami, metodycznie oglądając wszystkie doczesne szczątki, jakie spoczywały w tym miejscu. Trzymałam się jak najbliżej niego, starając się nie wdychać otaczających nas wyziewów śmierci

109

i równocześnie nie odrywając wzroku od drzwi w górze nad nami. Ich krzepiąca żółta jasność przybrała barwę cyny, świadcząca, że słońce wisi tuż nad horyzontem.

Za kilka chwil całkiem zniknie za wzgórzami w oddali, pogrążając nas w ciemnościach, które będzie rozjaśniał tylko mdły płomień pochodni. Wąskie okienka wysoko w ścianach już tonęły w mroku. Bałam się nawet pomyśleć, co się stanie, jeśli pochodnia zgaśnie, kiedy jeszcze będziemy w krypcie.

Obejrzelśmy może połowę ciał - czy raczej tego, co z nich zostało - nie znajdując niczego, co mogłoby wyjaśnić, skąd pochodził dźwięk, który słyszeliśmy. Moje przerażenie przeszło w łatwiejszy do opanowania strach i odzyskałam nieco wrodzonej ciekawości. Uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie

nigdy więcej nie będę miała okazji wejść do imponującego grobowca arystokratów, powinnam więc uważnie przyglądać się wszystkiemu dookoła, choćby dlatego, że moje obserwacje mogą pewnego dnia posłużyć jako temat do obrazu.

I właśnie w tym momencie ohydny jęk rozległ się ponownie.

Krzyknęłam z przerażenia i jedną ręką zasłoniwszy usta, drugą chwyciłam za ramię Mistrza, który przez to omal nie wypuścił pochodni.

- Znowu - szepnęłam niepotrzebnie, podczas gdy on starał się nie dopuścić do zgaśnięcia płomienia. - Proszę, wyjdźmy stąd, póki jeszcze możemy.

- Nonsens- odparł także szeptem.- Ktoś... albo coś jest z nami w tej krypcie i nie wyjdziemy, dopóki nie dowiemy się, co to takiego.

Zmagając się z coraz głębszą ciemnością i moją dłonią ścisnącą rękaw jego tuniki, ruszył w stronę, z której dobiegał ów jęk. Gdyby rozległ się po raz kolejny, wątpię, czy cokolwiek bym usłyszała, tak głośno waliło mi serce. Jednak mimo przerażenia nie uciekłam i nie zostawiłam Leonarda sam na sam z tym nieludzkim zjawiskiem.

Podczas pierwszego pobytu w grobowcu zauważyłam, że nisze w ścianach wykuto na trzech poziomach, dzięki czemu

na kamiennych półkach można było złożyć znaczną liczbę zmarłych. W najdalszym kącie krypty znaleźliśmy zwłoki wtłoczone do jednej ze środkowych nisz. W odróżnieniu od innych nie składały się wyłącznie z kości, zapewne znalazły się tu stosunkowo niedawno. Cienie rzucane przez migotliwy blask pochodni nadawały im pozory ruchu, jakby próbowały się wydostać z kamiennej niszy.

Cichy chrzęst pod stopami kazał nam się zatrzymać. Gdy Leonardo opuścił pochodnię, aby oświetlić kamienną podłogę, zobaczyliśmy źródło owego dźwięku.

- Kości - potwierdził moje przypuszczenie, ja zaś odsunęłam się, aby nie deptać szczątków jednego z dalekich krewnych Il Moro.

Szkielet wyglądał na rozrzucony na podłodze, choć zostały z niego tylko pokruszone kawałki. Uświadomiła sobie, że zniszczenia były znacznie większe od tych, jakie mogliśmy spowodować, stanąwszy na kościach. Zupełnie jakby ktoś wyrzucił z niszy szczątki dawno zmarłego arystokraty, nie przejmując się, że spadając, potłuką się niczym gliniane garnki ciśnięte na podłogę.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - wyszeptałam wstrząśnięta.

Oczywiście wiedziałam, że miejsca wiecznego spoczyn-

ku są używane ponownie po upływie wielu lat, ale stare kości zawsze wcześniej z szacunkiem zbierano i składano w innym miejscu. Te szczątki nie dostały takiego traktowania.

Mistrz wskazał pochodnię najbliższą niszę i spoczywający w niej owinięty całunem kształt.

- Jeszcze nie wiem, kto to zrobił, ale przyczyna jest jasna - odparł. - Ten ktoś potrzebował niszy dla innego ciała, a ostatnio nie umarł żaden z krewnych Ludovica poza hrabią.

Podał mi gasnącą pochodnię.

- Trzymaj, a ja zobaczę, kto leży na nie swoim miejscu.

Patrzyłam z przerażeniem pomieszanym z fascynacją, jak wyciąga z wnęki spowite w płótno ciało i ostrożnie kładzie je na kamiennej podłodze. Byłam zdumiona, gdy dostrzegłam

111

na tkaninie ciemną plamę przy głowie. Kto zawinął zmarłego w całun, nie umywszy go? Nie miałam jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo Mistrz chwycił za koniec całunu i zaczął go rozwijać.

Po chwili zauważyłam znajomą błękitno-białą tunikę... taką samą, jaką miałam na sobie poprzedniej nocy, kiedy usługiwałam w jadalni księcia. Przeszedł mnie dreszcz. Pochyliłam się nad ciałem z pochodnią i czekałam, aż zobaczę twarz zmar-

łego. Czy rozpoznam w nim kogoś, kogo widziałam podczas krótkiego pobytu w zamkowej kuchni?

Wreszcie spod ostatniej warstwy tkaniny wyłoniła się twarz pokryta zaschniętą krwią, co czyniło ją niemożliwą do rozpoznania. Wstrzymując oddech, uklękłam obok Mistrza. Nawet dla mnie było jasne, że chłopak zginął gwałtowną śmiercią. Ale dlaczego ktoś zadał sobie trud owinięcia jego zwłok całunem i złożenia ich w krypcie? Czemu po prostu nie wrzucił ciała do rzeki, nie zostawił na wzgórzach albo nie zakopał gdzieś poza murami zamku?

- Dlaczego tak?

Leonardo zmarszczył brwi i przysiadłszy na piętach, wyjął spod tuniki znajomą mi zabójczą broń, którą ostatnio widziałam w ścianie zamkowej jadalni. Nim zdążyłam spytać, co zamierza, chwycił bezwładną rękę chłopca i szybkim ruchem nakłuł jeden z palców.

Ciemna kropla krwi pojawiła się w miejscu, gdzie ostrze przebiło skórę.

- Zmarli nie krwawią - rzekł z satysfakcją i schował nóż.

Nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczyłam i usłyszałam, spojrzałam na Mistrza przerażonym wzrokiem.

- Czy chcesz powiedzieć, że on wciąż żyje? - wykrztusiłam. - Jeśli tak, musimy mu czym prędzej pomóc!

- I pomożemy - zapewnił. - Ale zanim to zrobimy, muszę dokończyć oględziny.

Ledwie zaczął, leżący przed nami chłopiec poruszył się i drgnęły mu powieki. Cichy jęk wydobył się z jego spierzch-
112

niętych ust - ten sam żaloszny dźwięk, który sprowadził nas do krypty. Po chwili jednak nieszczęśnik znieruchomiał i byłam pewna, że tym razem wydał ostatnie tchnienie.

- Nie martw się, Dino, on wciąż żyje - odpowiedział Leonardo na moje nieme pytanie. - Ale nie potrafię powiedzieć, jak długo jeszcze. Dostał potężny cios w głowę i to prawdziwy cud, że nadal tli się w nim życie. Gdyby jego jęki nie sprowadziły nas do krypty, wkrótce niewątpliwie by umarł. A jeśli nawet zdołamy donieść go do zamku, może nie przeżyć dzisiejszej nocy.

Ledwie usłyszałam słowa Mistrza, bo przyglądałam się uważnie twarzy chłopca. Przez krótką chwilę, kiedy jego rysy nabrały życia, wydał mi się znajomy. Wreszcie skojarzyłam.

- Ależ to jeden ze służących, którzy zaczęli mnie w korytarzu ostatniej nocy! - wykrzyknęłam. - Pamiętasz, opowiadałam ci o nich i o tym, jak podejrzanie się zachowywali?

- Pamiętam i teraz zastanawiam się, czy to kolega próbował

go zabić, czy też i on leży gdzieś w tej krypcie. - Wstał i sięgnął po pochodnię. - Sprawdzę resztę grobowca, a ty, Dino, będziesz musiał poczekać z tym młodym człowiekiem, dopóki nie skończę.

- Nie martw się, Mistrzu, wcale się nie boję - zapewniłam i ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że rzeczywiście nie czuję lęku.

Strach ustąpił miejsca oburzeniu... choć zaledwie poprzedniego wieczoru uważałam leżącego przede mną rannego chłopaka za wroga. Kto mógł być na tyle okrutny, by napaść na niego, a potem zawinąć go w całun jak zwłoki i zostawić na potworną śmierć w grobowcu? Jak czułby się nieszczęsny chłopiec, gdyby w pełni odzyskał przytomność i zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje? Może nie uda się go ocalić, ale przynajmniej mogę dotrzymać mu towarzystwa w ostatnich chwilach.

Usiadłam przy rannym, ujęłam jego zimną dłoń i patrzyłam, jak Mistrz bada mroczne wnętrza krypty. Przeszukiwał ją bardzo dokładnie; płomień pochodni poruszał się wzdłuż ścian

w górę i w dół, raz po raz wydobywając z mroku twarz Leonarda i nadając jego kasztanowym włosom barwę złota. Wygląda niczym jeden ze świętych, których tak chętnie malował, przemknęło mi przez myśl.

Ale starałam się skupiać na ważniejszych sprawach. Zerknęłam w stronę otwartych drzwi grobowca. Ledwie mogłam odróżnić ciemności panujące na zewnątrz od ciemności w krypcie. Kolejny problem pojawi się z zapadnięciem nocy. Jak zdołamy zanieść nieprzytomnego chłopca nierówną drogą aż do zamku? I - co nie mniej ważne - jak przemkniemy obok strażników, nawet jeśli okażą się równie życzliwi jak wtedy, kiedy nas wypuszczali?

Mocniej chwyciłam rękę chłopca i poczułam, że jego palce zaciskają się na mojej dłoni.

- Wydostaniemy cię stąd - zapewniłam go - a wtedy powiesz nam, kto cię tak zranił.

Tymczasem Leonardo zakończył obchód.

- Drugiego tu nie ma - oznajmił, podając mi pochodnię. - Chodź, musimy jak najszybciej zanieść go do zamku.

Pochylił się nad chłopcem i jednym szybkim ruchem zdjął z niego białą-błękitną tunikę. Zwinął ją w kłębek, podobnie jak porzucony całun, i wcisnął je do pustej niszy, w której znaleźliśmy rannego.

- Gdyby niedoszły morderca wrócił - wyjaśnił - będzie mu się wydawało, że ciało wciąż leży w niszy. A bez tuniki w naszym podopiecznym nie da się rozpoznać służącego z kuchni, dzięki czemu łatwiej przeniesiemy go przez bramę.

Podniósł chłopca i przerzucił sobie przez ramię, po czym dał mi znak, bym szła przodem. W samą porę wyszliśmy z krypty w gęstniejący mrok cmentarza. Ledwie dotarliśmy do ostatniego stopnia, pochodnia zaskwierczała po raz ostatni i zgasła.

Nie zwróciłam jednak większej uwagi na brak oświetlenia, zaabsorbowana wdychaniem świeżego powietrza. Leonardo położył nieprzytomnego chłopca na najbliższym nagrobku,

114

a ja jeszcze raz pomogłam mu zatrzasnąć ciężkie drzwi krypty. Zamknąwszy skobel i kłódkę, znowu wziął rannego na plecy.

Granatowe niebo zasnuły czarne jak węgiel chmury i wyglądało na to, że w drodze powrotnej będziemy musieli zmagać się nie tylko z ciemnością, ale i z burzą.

Poczułam ulgę, kiedy za murami cmentarza zobaczyłam dwukołowy wózek, który zostawili żałobnicy. Ułożyliśmy na nim młodego służącego najwygodniej, jak się dało, stanęliśmy po obu stronach i zaczęliśmy pchać wózek w stronę zamku.

Utrzymanie go na drodze wymagało nie lada wysiłku, lecz przemieszczaliśmy się znacznie szybciej, niż gdybyśmy próbowali nieść nieprzytomnego chłopca na plecach. W wieczornym półmroku przyjrzałam mu się dokładniej. Zakrzepła krew na jego twarzy musiała płynąć dość obficie, więc z pewnością jej utrata osłabiła go dodatkowo, niezależnie od ciosów, które otrzymał. Był pokryty warstwą szarego pyłu, gdyż drobny proch złożony z pokruszonej skały i kości przedostał się przez całun, kiedy nieszczęśnik spoczywał w niszy. Już to stanowiło powód do niepokoju. Kto wie, jakie uśpione choroby wdychał w tym miejscu śmierci i rozkładu!

Pokonaliśmy nierówną drogę stosunkowo szybko, wzięwszy pod uwagę, że na szczególnie kamienistych odcinkach znacznie zwalnialiśmy, aby dodatkowo nie uszkodzić rannego pasażera. Raz czy dwa chłopiec jęknął cicho, lecz poza tym nie wybudził się z wymuszonego snu, z czego byliśmy zadowoleni. Ciemniejące niebo także okazało się łaskawe - pierwsze krople deszczu poczułam na plecach dopiero wtedy, gdy dotarliśmy do bram zamku.

Dwaj żołnierze, którzy trzymali wartę, zagrodzili nam drogę.

- Kto idzie? - usłyszałam znajome pytanie i towarzyszący mu szcęk miecza dobywanego z pochwy.

Leonardo wyszedł z cienia.

- To ja, nadworny inżynier księcia - odparł. Machnął ręką w stronę wozu, na którym leżał ranny. - Jeden z moich uczniów miał wypadek, kiedy wykonywaliśmy ważną pracę dla

115

jego wysokości. Nie każcie nam stać tutaj na deszczu. Musimy jak najszybciej zawieźć chłopca do lekarza.

- Oczywiście - rzekł strażnik i zwrócił się do kolegi, który zaglądał do wozu. - Odsuń się! Nie widzisz, że to Leonardo? Szybciej, przepuść go.

Drugi żołnierz stanął na baczność.

- Skąd miałem wiedzieć, kto to jest? - powiedział, spoglądając podejrzliwie na Mistrza, ale posłusznie wycofał się do bramy. - Przecież mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać.

Otworzył te same drzwi, przez które wyszliśmy wcześniej i które pozwalały ludziom wchodzić do zamku i opuszczać go, gdy główna brama pozostawała zamknięta. Stał z boku, kiedy wtaczaliśmy wózek przez wąskie przejście, a gdy zamykał za nami ciężkie drewniane drzwi, czułam na plecach jego spojrzenie.

Słońce już zaszło, więc drogę oświetlał nam tylko słaby blask z nielicznych jaśniejszych okien i drzwi, które mijaliśmy.

Wraz z nastaniem ciemności wzmógł się wiatr, który sprawiał, że krople deszczu spadały mi prosto na twarz, przyprawiając o nieprzyjemny dreszcz. Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk gromu. Wiedziałam, że za kilka chwil zacznie się ulewa, która przemoczy nas do suchej nitki.

- Nie wieziemy go do medyka? - spytałam zdezorientowana, bo Leonardo pchał wózek w kierunku przeciwnym do warsztatu balwierza.

Mistrz prychnął z niesmakiem.

- Widziałem to miejsce i zapewniam cię, że nie jest odpowiednie nawet dla kogoś, kto jest zdrowy. Zabiorę go do moich pokojów. Bądź tak dobry i sprowadź tam chirurga.

Ledwo skończył mówić, rozległ się kolejny grzmot. Nie zwlekając, popędziłam w stronę głównego skrzydła zamku, aby odszukać nadwornego lekarza. Jeśli szczęście mi dopisze, będzie w swoim pokoju, a nie w drodze do sali, w której spożywali posiłki dostojniejsi dworzanie.

116

Dosłownie wpadłam na niego, wbiegając do korytarza ciągnącego się przez całą długość skrzydła. Był niski, łysy, a jego cienkie nogi wydawały się ledwie dźwigać potężną kulę wydatnego brzucha. Poruszał się jednak z dostojnością pasującym

do jego długiej szaty w kolorze leśnej zieleni.

- Leonardo? - mruknął, gdy poprawiałam przekrzywioną tunikę, wyjaśniewszy mu, kto mnie przysłał. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego książę wydaje tyle pieniędzy na jakiegoś artystę. Czegóż oczekuje ode mnie wielki Leonardo?

Pospiesznie przekazałam wezwanie. Kiedy skończyłam mówić, medyk pokręcił głową.

- No cóż, jestem zaskoczony, że zniżył się do skorzystania z moich usług, skoro uważa się za znacznie bieglejszego w sprawach ludzkiego ciała niż ja. I przestań już paplać, chłopcze. Nie powiedziałem, że nie przyjdę - rzekł, kiedy obawiając się, że nie zgodzi się przyjść, zaczęłam pospiesznie protestować. - Poczekaj tu. Wezmę tylko narzędzia.

Zawrócił i wszedł do jednego z pomieszczeń. Po chwili, która dla mnie trwała całe wieki - choć w rzeczywistości nie dłużej niż dwie lub trzy minuty - znowu pojawił się w korytarzu, niosąc małą drewnianą skrzynkę. Podał mi ją i rzekł:

- No, chłopcze, prowadź mnie do swojego mistrza, żebyśmy mieli to już za sobą.

Uginając się pod ciężarem skrzynki, ruszyłam w stronę pracowni najszybciej, jak potrafiłam. Chirurg dotrzymywał mi kroku, a wiatr, który przyniósł burzę, wydymał jego obszerną szatę. Kiedy skręciłam za róg pracowni, dostrzegłam odblask

świecy w oknie stojącego obok niej budynku.

Była to prywatna kwatery Mistrza, którą zajmował, gdy nie przebywał w swoim warsztacie w mieście. Miał miejsce do spania i sekretny pokój, do której żaden z nas, o ile mi wiadomo, nie został nigdy wpuszczony. Właśnie tutaj prowadził najbardziej skomplikowane eksperymenty, projektując maszyny wojenne i urządzenia używane przez żołnierzy Il Moro. Nikt nie wiedział, czy były bardziej użyteczne niż mosiężny lew, ale

117

krały plotki o łodziach, które mogą pływać pod wodą, i mostach, które same przerzucają się przez rzekę.

Pokój, do którego weszłam z chirurgiem, był niewielki i wyposażony bardzo skromnie: w proste łóżko, duży stół z dwiema ławami i mniejszy stolik, na którym piętrzyły się książki. Wzdłuż ściany stały regały mieszczące najrozmaitsze przedmioty, od talerzy i kubków przez książki po jakieś zwierzęce czaszki. Wnętrze oświetlało kilka lamp, niezbędnych człowiekowi spędzającemu większość nocy przy takich czy innych zajęciach. Do prywatnej pracowni Mistrza prowadziły zapewne drzwi po przeciwnej stronie pokoju, te jednak były zamknięte.

Leonardo umieścił nieprzytomnego młodzieńca na większym stole, położywszy tam wcześniej prowizoryczny materac

z koców. Przy rannym stała miska pełna zabarwionej na czerwono wody, obok zaś leżała równie czerwona szmatka. Mistrz oczyścił twarz chłopca z krwi i kiedy ją zobaczyłam, nie miałam już wątpliwości, że jest to jeden ze służących, z którymi spotkałam się poprzedniej nocy. Nie zdołałam się jednak przyrzyć mu dokładniej, gdyż chirurg przecisnął się obok mnie i zwrócił do Leonarda.

- Zakładam, że przeprowadziłeś już swoje badanie? - spytał cierpko bez żadnych wstępów. - Powiedz mi, signor Leonardo, jaka jest twoja diagnoza?

- Chłopiec otrzymał cios w głowę, najpewniej zadany jakimś tępym narzędziem, i miało to miejsce przed kilkoma godzinami - odparł spokojnie Mistrz. - Co do innych urazów, nie potrafię w tej chwili powiedzieć nic więcej, lecz widać wyraźnie, że jest ciężko ranny i wymaga natychmiastowego leczenia, inaczej może wkrótce wyzionąć ducha.

- Doskonale, zatem obejrzymy go.

Kiedy chirurg szperał w swojej skrzynce, Leonardo zwrócił się do mnie:

- Dino, na razie zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Może idź do kuchni i sprawdź, czy nie znajdzie się tam jakaś kolacja, skoro z mojego powodu opuściłeś wieczorny posiłek z kolegami.

Kiedy wrócisz, powiem ci, czy będę jeszcze czegoś od ciebie potrzebował.

Uznałam, iż lepiej się nie sprzeciwiać, zwłaszcza że zobaczyłam w rękach chirurga coś, co przypominało młotek i dłuto, i wcale nie miałam ochoty oglądać tego, co nastąpi. Pospiesznie wycofałam się przez drzwi, którymi weszłam.

Tymczasem rozpadało się na dobre i zanim dotarłam do kuchni, włosy i tunikę miałam całe mokre. Potrząsnęłam głową jak psiak, pryskając wodą na wszystkie strony. Pewnie wyglądam żałośnie, pomyślałam, zdrapując błoto z butów.

Postanowiłam jednak obrócić ten żałosny wygląd na swoją korzyść, bo dobiegł mnie apetyczny zapach pieczonej wołowiny - dania przeznaczonego na stoły możnych, i poczułam się głodna. Skuliłam się w drzwiach, otuliłam ramionami, nie do końca udając chłód, i czekałam, aż zauważy mnie któryś z kucharzy.

- Dino, czy to ty? - zapytał energiczny głos. - Co tam robisz? Stoisz i moczysz podłogę, którą ja będę wycierać?

W pierwszej chwili byłam zdziwiona: kto w kuchni może znać moje imię? Dopiero po chwili rozpoznałam krzepką ciemnowłosą służącą, która do mnie podeszła, szeleszcząc spódnicą. Kiedy oparła ręce na rozłożystych biodrach i uśmiechnęła

się, przypomniałam sobie, że to ta sama młoda kobieta, która wykazywała nadmierne zainteresowanie mną... a właściwie Dinem.

- W-witaj, Marcello - wyjąkałam, czując, że się rumienię, co najwyraźniej tylko bardziej ją rozbawiło, gdyż uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Mój Mistrz wysłał mnie do kuchni, żeby znaleźć sobie coś na kolację. Powiedział, że to jego wina, iż przetrzymał mnie zbyt długo i nie mogłem zjeść posiłku z innymi terminatorami.

- Przynajmniej troszczy się o ciebie, czego nie można powiedzieć o większości ludzi tutaj - powiedziała, spoglądając znacząco na jednego z kucharzy, który właśnie besztiał dwóch swoich pomocników. - Poczekaj tu, za beczkami - wskazała te

119

same beczki, za którymi ukryłam się poprzedniej nocy, zdejmując tunikę służącego - a ja zobaczę, czy uda mi się zdobyć dla ciebie miskę zupy i kawałek chleba.

Posłusznie stanęłam za beczkami, ścierką, którą znalazłam przy chwilach, wytarłam twarz i czekałam na powrót Marcelli. Miałam poczucie winy z powodu tego oszustwa - czy Marcella równie chętnie narażałaby się na gniew swojego przełożonego dla Delfiny? - lecz tej nocy nie potrafiłam być na tyle szlachet-

na, by dla spokoju sumienia zrezygnować z pełnego żołądka.

Kilka minut później Marcelła wróciła, a ja przez szparę między beczkami zobaczyłam, że niesie talerz przykryty kawałkiem płótna. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt jej nie widzi, po czym wsunęła obok mnie.

- Masz - powiedziała z uśmiechem i podała mi talerz. - To będzie ci bardziej smakowało niż dania, które wy, terminatorzy, zwykle jadacie.

Zdjęłam płótno i aż westchnęłam z zadowolenia, kiedy zobaczyłam małą ucztę, jaką dla mnie przygotowała. Obok sporego plastra pieczonej wołowiny, której zapach czułam, położyła kawałek kiełbasy i gotowaną cebulę oraz ciastko z jabłkiem. Przyznam bez wstydu, że szybko rozprawiłam się z tym posiłkiem, najsmaczniejszym, jaki jadłam, odkąd znalazłam się w zamku.

- Warto mieć przyjaciółkę w kuchni, nieprawdaż? - spytała z łobuzerskim uśmiechem, siadając obok mnie, kiedy dojadałam ostatnie kęsy. - Może to skłoni cię do częstszych odwiedzin u mnie.

Przysunęła się krepująco blisko i musiałam gwałtownie wstać, gdyż inaczej znalazłaby się na moich kolanach. Tak jawne odrzucenie jej zalotów sprawiło, że zalała się łzami.

- A ja myślałam, że mnie lubisz - szlochała. - Co jest nie

tak, nie jestem dla ciebie dość ładna?

- Jesteś piękną dziewczyną - wykrztusiłam zgodnie z prawdą, gorączkowo szukając jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby zniechęcić Marcelłę do dalszych prób zacieśnienia przyjaźni,
120

a jednocześnie nie obrazić jej. - Po prostu jestem zbyt zajęty nauką i nie mam czasu na nic innego. Poza tym nie wiem, czy Mistrz pozwoliłby nam wiązać się z kimś spoza pracowni.

- Chodzi ci o signora Leonarda? - wydała dramatyczne westchnienie. - On jest przystojnym mężczyzną, prawda? Ktoś taki jak on z pewnością nie miałby nic przeciwko małemu romansowi.

Wręcz przeciwnie, pomyślałam. Przypuszczałabym raczej, że Mistrz uznałby pomysł romansu za marnowanie czasu, który można spożytkować znacznie lepiej, pracując z nim nad jakimś wynalazkiem. Kierunek, w jakim rozwijała się nasza rozmowa, sprawiał, że czułam się coraz bardziej niezręcznie, spróbowałam więc zmienić temat, a równocześnie posunąć naprzód śledztwo Mistrza.

- Obawiam się, że nie wszyscy w kuchni są tak przyjaźni jak ty, Marcello - powiedziałam ugodowym tonem. - Ostatniej nocy miałem bardzo nieprzyjemną rozmowę z dwoma chłop-

cami stąd, kiedy załatwiałem pewną sprawę dla Mistrza.

Opowiedziałam jej pokrótce o tamtym spotkaniu i opisałam, jak wyglądali obaj młodzieńcy, dyskretnie przemilczając fakt, iż wszystko to się zdarzyło, kiedy byłam przebrana za służącego i zbierałam informacje dla Leonarda. Zastanawiała się chwilę ze zmarszczonym czołem, wydając stosowne pomruki oburzenia, kiedy relacjonowałam, jak mi grozili. W końcu pokiwiała głową.

- To musieli być Renaldo i Lorenzo - oznajmiła z dezaprobatą. - Oni wszędzie chodzą razem. Lorenzo jest wysoki, chudy i ma czarne włosy. To zapewne z jego ust padły groźby, chociaż raczej Renaldo mógłby je wcielić w życie.

Sądząc z jej opisu, chłopak, którego znaleźliśmy w krypcie, musiał być Lorenzem, co oznaczało, że wciąż nie wiemy, co dzieje się z jego towarzyszem, Renaldem.

- A widziałaś dzisiaj któregoś z nich? - spytałam, starając się, aby zabrzmiało to swobodnie.

Znowu pokręciła głową.

121

- Ostatni raz widziałam ich zeszłej nocy, a i to tylko przez chwilę. Na twoim miejscu, Dino, trzymałabym się od nich z daleka - powiedziała z troską, porzuciwszy kokieterijny

ton. - Oni zawsze tylko się biją, grają ze strażnikami w kości albo zmuszają młodszych chłopców, żeby oddawali im jedzenie i pieniądze. Większość dziewcząt też boi się zostać z nimi sama sama. Nie wiem, ile razy słyszałam, jak mistrz kuchni groził, że ich wyrzuci, ale chyba obawia się tego, co mogliby wtedy zrobić.

Słuchając tej litanii grzechów, czułam, jak ulatnia się ze mnie wszelkie współczucie, jakie czułam dla Lorenza. Wyglądało na to, że sam ściągnął na siebie nieszczęście, jakie go spotkało. Mimo wszystko nie mogłam pozwolić, żeby zamach na jego życie uszedł sprawcy płazem, i chciałam pomóc wykryć winowajcę. Lecz słowa Marcelli wskazywały, że wielu ludzi, niekoniecznie mających cokolwiek wspólnego z zabójstwem hrabiego, mogło mieć powody, by go skrzywdzić. Renalda mógł spotkać taki sam smutny los... a może po prostu przezornie uciekł z zamku, by go uniknąć.

Wszystko to zachowałam dla siebie, na głos mówiąc tylko:

- Posłucham twojej rady i będę ich unikać. A teraz muszę wrócić do pracowni, Mistrz na mnie czeka.

- Na pewno nie możesz zostać jeszcze trochę? - spytała, wyciągając nieśmiało rękę, by mnie zatrzymać.

Udałam, że nie rozumiem, o co jej chodzi, i wsunęłam pustą miskę w jej dłoń.

- Jeszcze raz dziękuję ci za kolację - powiedziałam najzupełniej szczerze, choć spojrzała na mnie ze smutkiem. - Może jutro uda nam się dłużej porozmawiać.

- Może - odparła nieco udobruchana.

Czym prędzej wymknęłam się z kuchni. Deszcz ustał, kiedy jadłam kolację, lecz nie udało mi się uniknąć przemoczenia, gdyż na całym podwórzu po ulewie zostały ogromne kałuże.

Zanim dotarłam do małego pokoiku przy mieszkaniu Leonarda, pończochy miałam mokre aż do kolan. Mistrz już na mnie

122

czekał; stał w oświetlonych drzwiach, a jego długi cień padał na bruk dziedzińca.

Nim zdążył się odezwać, z wyrazu jego twarzy wywnioskowałam, że sytuacja zmieniła się na gorsze.

- Mam złe wieści, Dino- rzekł, potwierdzając moje przeczucie, i gestem zaprosił mnie do pokoju.

Stół, na którym spoczywał ranny służący, były puste koce leżały zwinięte z boku, a na podłodze dookoła poniewierały się zakrwawione szmaty. Nie było też lekarza ani jego drewnianej skrzyneczki. Choć nie potrafiłam opłakiwać chłopca, widok posłania, na którym umarł, przyprawił mnie o dreszcz. Przeżegnałam się i odmówiłam krótką modlitwę, prosząc Boga, by

zmarły Lorenzo został na tamtym świecie potraktowany tak, jak na to zasłużył.

- Chirurgowi nie udało się uratować tego młodzieńca - mówił dalej Leonardo. - W innej sytuacji obwiniłbym go o brak umiejętności, ale rany były na tyle poważne, że nawet dobry lekarz nie zdołałby ocalić mu życia. Jedyne, co mogliśmy dla niego zrobić, to obiecać mu, że jego los nie pozostanie nieznanym, że ktoś zapamięta jego odejście.

- Co się z nim teraz stanie? - spytałam.

Mistrz uniósł brwi.

- Wróci na ten sam cmentarz, na którym go znaleźliśmy, choć ostateczne miejsce spoczynku będzie miał mniej okazałe niż grobowiec Sforzów. Niestety, w tej chwili nie wiemy nawet, jakie imię wykuć na nagrobku.

- Ależ wiemy! - wykrzyknęłam i powtórzyłam wszystko, czego się dowiedziałam od Marcelli.

Gdy skończyłam, Leonardo skinął głową.

- Dobra robota, Dino. Twój spryt pozwolił posunąć nasze śledztwo naprzód, gdyż nie potrafię oprzeć się myśli, że te dwa morderstwa były ze sobą powiązane. Ale to nie wszystko. - Sięgnął pod tunikę i wydobył niewielki biały przedmiot, który położył na dłoni. - Spójrz, mój chłopcze. Wiemy, kim był ów młody człowiek, któremu odebrano życie... i być może coś

jeszcze. Jeśli się bowiem nie mylę, twojemu przyjacielowi Lorenzowi udało się zostawić wskazówkę, która pozwoli nam odnaleźć jego zabójcę.

9

Dobrze wiemy, że błędy łatwiej jest znajdować w dziełach cudzych aniżeli we własnych...

Leonardo da Vinci Manuskrypt 2038

Patrzyłam ze zdumieniem na małą figurkę, którą trzymał Leonardo. Była długa na półtorej mojej dłoni i wykonana z jakiegoś białego kamienia podobnego do marmuru, który lśnił w świetle lampy. Kształt miała niewyraźny - a może po prostu zatarły od długiego i częstego dotykania - więc choć przypominała ludzką postać, równie dobrze mogła to być tylko miła dla oka forma.

- Kiedy chirurg poszedł po swoich asystentów, żeby zabrać ciało, ja przetrząsnąłem ubranie chłopca, mając nadzieję znaleźć jakieś wskazówki co do jego tożsamości - wyjaśnił Mistrz. - Właśnie wtedy wyczułem sakiewkę przywiązaną do pasa. Pomyślałem, że może zawierać coś istotnego dla naszego śledztwa, więc zabrałem ją, zanim lekarz wrócił.

Wolną ręką wyjął spod tuniki małą skórzaną sakiewkę po-

dobną do tej, którą nosiłam przy pasku. Rzucił mi ją.

- Jak widzisz - ciągnął, podczas gdy ja rozwiązałam rzemyk i zajrzałam do środka - pozostałe rzeczy należące do chłopca są takie, jak można było oczekiwać: kilka florenów, para kości, kawałek materiału z wymalowaną postacią jakiegoś świętego i pokruszone ciastko. Ale figurka była nieoczekiwanym znaleziskiem; takiego przedmiotu zwykle nie nosi przy sobie człowiek taki jak on. Jak myślisz, co to takiego?

124

- Nie mam pojęcia. Jakiś symbol religijny? - zaryzykowałam.

Mistrz przyjął moją odpowiedź z westchnieniem pełnym rozpaczy.

- Doprawdy, Dino, spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Figurka, to prawda, ale figurka, która ma szczególne znaczenie w tych okolicznościach. Nie widzisz, że to figura szachowa? Jaka, oto pytanie, na które musimy odpowiedzieć.

Skierował mnie do małego stolika w rogu, gdzie lampa dała słabe, ale równomierne światło. Dał mi znak, bym usiadła, sam zaś zajął miejsce na ławie naprzeciwko mnie.

- Ponieważ twoja wiedza o szachach ogranicza się do udziału w niefortunnej rozgrywce Il Moro, pozwól, że wyjaś-

nię ci kilka spraw związanych z tą grą - powiedział i postawił figurkę na stoliku.

Tym samym tonem, jakim objaśniał nam techniki malar-
skie, mówił dalej:

- Szachy są znane od wielu stuleci i pochodzą z krain Ara-
bów. Ta rozrywka królów i możnych była tematem licznych
obrazów, wierszy i kazań. Gra może służyć do przyjemnego
spędzenia czasu, do rozstrzygnięcia zakładu, a nawet zadczy-
dowania o wyniku wojny. Często bywa tylko miłym ćwiczeniem
umysłu, ale niekiedy staje się prawdziwą bitwą umysłów...
a czasami jest nawet metaforą miłości. Co zaś najważniejsze,
tak jak wszystko, co trwa przez dłuższy czas, na przestrzeni lat
przechodziła różnorodne zmiany.

- Czy chcesz powiedzieć, Mistrzu, że jej reguły się zmie-
niały? - spytałam szczerze zainteresowana, choć cały czas za-
stanawiałam się, do czego zmierza ta tyrada.

Skinął głową.

- Istotnie, sposób gry zmieniał się przez wieki, łącznie z tym,
o ile pól i w jakim kierunku mogą się poruszać poszczególne fi-
gury. A i same figury różniły się wyglądem w różnych krajach
i epokach. Przypomnij sobie, jak dla potrzeb naszej rozgrywki
zastąpiłem angielskim biskupem tradycyjnego chorążego. Ale

to nie jest najważniejsza zmiana, jakiej dokonano w figurach. Czy wiesz, Dino, że królowa nie była pierwotnie królową? Co więcej, nie zawsze była kobietą?

Nie czekając na moją odpowiedź, przeszedł do wyjaśnienia:

- W Indiach i krajach Arabów, skąd gra się wywodzi, figura, którą my znamy jako królową, była wezyrem, czyli nadwornym doradcą króla. Dopiero kiedy szachy dotarły do krajów Zachodu, wezyr zamienił się w królewską małżonkę, jaką znamy dziś. I całkiem niedawno zmieniła się też jej rola w grze. Niegdyś była słaba i miała ograniczone ruchy, lecz nowe reguły pozwalają jej swobodnie poruszać się po planszy, dzięki czemu jest najpotężniejszą ze wszystkich figur.

- Więc figurka Lorenza jest królową? - zapytałam nieco zdezorientowana.

Sięgnął do figurki i obrócił ją dookoła, tak że zobaczyłam, iż ze wszystkich stron wygląda tak samo.

- Może tak... a może nie - odparł. - Jak ci mówiłem, gra powstała na ziemiach Arabów, których religia zabrania realistycznego przedstawiania ludzkich postaci. Dlatego ich szachowe figury są tylko abstrakcyjnymi symbolami postaci, które wyobrażają. Materiał i sposób wykonania tej figury każą mi się

domyślać, że zestaw, do którego należała, pochodził z Hiszpanii, będącej pod silnym wpływem wyznawców islamu. Dlatego może być przedstawieniem tradycyjnego wezyra. Ale równie dobrze może być królową.

Coraz bardziej zainteresowana, sięgnęłam po figurkę. Może właśnie rozmycie męskich i kobiecych cech tak mnie pociągało w tej maleńkiej rzeźbie, przypominało mi bowiem o mojej obecnej roli. A może po prostu delikatny blask kamienia i gładkość wyciętych w nim linii. Jakakolwiek była przyczyna, zacisnęłam palce na figurce i odczułam nagłą potrzebę zatrzymania jej przy sobie.

Czy nieszczęsny Lorenzo nie mógł oprzeć się podobnej pokusie i po prostu ukraść figurkę?

126

Nim zdążyłam podsunąć tę myśl, Leonardo wstał i zaczął chodzić po pokoju, strzelając palcami w dobrze mi znanym geście.

- Aby nie zapomnieć o innej możliwości, wróćmy do naszego przyjaciela biskupa - rzekł. - Widzisz, Dino, królowa nie jest jedyną figurą w szachach, która bardzo się różni od pierwowzoru. Biskup początkowo nie był ani duchownym, ani nawet naszym chorążym. Prawdę mówiąc, nie był nawet człowiekiem,

lecz zwierzęciem... ogromnym stworzeniem z kłami, które żyje na Wschodzie i jest zwane słoniem. Z czasem jednak zwierzę to przerodziło się w człowieka. To zaś, tak jak w przypadku królowej, oznaczało, że w arabskich szachach mogło być przedstawiane w kształcie, który tylko z grubsza go przypomina.

Zatrzymał się, odwrócił i wycełował smukły palec w moją stronę.

- Więc powiedz mi, Dino, czy figura, którą trzymasz, to królowa czy biskup?

Spojrzałam na figurkę i pokręciłam głową.

- Obawiam się, że nie wiem... i muszę przyznać, że czuję się całkowicie zagubiony. Co za różnica, czy to królowa czy biskup?

- Czy wcale mnie nie słuchałeś, drogi chłopcze? - odparł szorstko. - Śmierć hrabiego nie jest zwyczajnym zabójstwem, podobnie jak śmierć służącego. Prawdę mówiąc, w całej tej sytuacji jest aż nazbyt wiele zbiegów okoliczności mających podstawy w grze, o której rozmawiamy.

Podszedł do mnie i zaczął wyliczać, zginając kolejno palce swojej kształtnej dłoni:

- Po pierwsze, hrabia został zamordowany w czasie partii szachów, kiedy był przebrany ni mniej, ni więcej, tylko za biskupa. Po drugie, partię tę rozegrano na prośbę francuskiego

posła, którego można uznać za wezyra króla Francji. Po trzecie, jest sprawa hrabiny di Malvoral. Kobieta ta nie jest wprawdzie królową, lecz arystokratką, która, co sam zaobserwowałeś, zachowywała się wyjątkowo dziwnie, kiedy usłyszała o śmierci

127

hrabiego. I na koniec mamy naszego młodego służącego, który rozmawiał z kolegą o jakichś nieznanych, lecz niecnym sprawach i którego w nadzwyczaj dziwnych okolicznościach zostawiono na pewną śmierć obok zamordowanego hrabiego.

W chwili śmierci miał przy sobie figurę szachową, która, jak możemy bezpiecznie założyć, nie należała do niego. Zapewne nosił ją jako wskazówkę, a teraz my musimy odgadnąć jej znaczenie, aby odkryć imię zabójcy..

Rozumowanie Mistrza brzmiało bardzo logicznie, z wyjątkiem jednej rzeczy... Nie miałam żadnych wątpliwości, że nieszczęsny Lorenzo wiedział o szachach jeszcze mniej niż ja. Zwykły służący nie wybrałby tak wyrafinowanego sposobu wskazania swojego zabójcy, nawet gdyby znał znaczenie figur.

Wydawało mi się więcej niż prawdopodobne, że figurka znalazła się w jego sakiewce wskutek zbiegu okoliczności. Być może wykonując swoje obowiązki, trafił do jakiegoś pokoju, gdzie były rozstawione szachy, i odczuł tę samą co ja przemoż-

na chęć potrzymania figurki w dłoni. Różnica polegała tylko na tym, że on posunął się o krok dalej i ją ukradł.

Ja-

Dziwne, ale przeczucie mówiło mi, że rzeźba przedstawia królową, a nie biskupa. Wzięłam figurkę do ręki i przesunęłam palcami po eleganckich liniach, pragnąc, aby wyjawiała znaną tylko jej prawdę. Przemknęły mi przez głowę wspomnienia z ostatnich dni: znalezienie martwego hrabiego w ogrodzie, udział w rozgrywce szachowej, wieczerza w wielkiej sali, gdzie książę ogłosił wieść o śmierci swego kuzyna, pogrzeb hrabiego odprawiony przez samego arcybiskupa i wreszcie znalezienie nieszczęsnego Lorenza, pogrzebanego jeszcze za życia w krypcie Sforzów.

Kiedy przypominałam sobie wszystkie te zdarzenia, nagle przyszło mi do głowy inne wyjaśnienie śmierci hrabiego. Była to możliwość tak zaskakująca, że aż jęknęłam, jakby ktoś zniecka mnie uderzył. Wszystko jest przecież oczywiste... dlaczego wcześniej tego nie dostrzegliśmy?

128

Wzdragałam się na myśl o sprzeciwieniu się wielkiemu Leonardowi, byłam jednak przekonana, że w tej sprawie to ja mam rację. Pytanie tylko, czy uda mi się o tym przekonać także

jego? Wzięłam głęboki oddech i spytałam:

- Czy jest możliwe, Mistrzu, że hrabia został zamordowany przez pomyłkę?

Uniósł brwi i zastanawiał się chwilę.

- Wszystko jest możliwe, mój drogi Dino - odparł wreszcie. Jego ton był ostry, lecz usłyszałam w nim nutę zainteresowania. - Nikt nie może mi zarzucić, że nie jestem otwarty na różne możliwości. Przedstaw mi swoją teorię.

Opowiedziałam mu o swoich przemyśleniach dotyczących Lorenza i tego, że nie mógł na tyle dobrze znać gry, by użyć figury szachowej jako wskazówki dotyczącej tożsamości zabójcy. Kiedy Leonardo skinął głową, dając mi do zrozumienia, że mam mówić dalej, przeszłam do sedna.

- Pamiętasz, Mistrzu, jak powiedziałeś, że biskup nie jest figurą zwykle występującą w szachach? To oznacza, że mało kto spodziewał się zobaczyć taką postać na szachownicy. Jednak tamtego popołudnia, kiedy hrabia został zamordowany, było aż czterech biskupów... a właściwie pięciu, jeśli liczyć arcybiskupa, którego widzieliśmy w łoży obok innych honorowych gości księcia.

Zawiesiłam głos, zastanawiając się, czy nie popełniam dużego błędu, lecz zdawałam sobie sprawę, że muszę dokończyć.

Wzięłam głęboki oddech i mówiłam dalej:

- Może więc morderca zabił niewłaściwego człowieka?

Może jego ofiarą miał być prawdziwy arcybiskup? Morderca mógł omyłkowo wziąć kuzyna księcia za Jego Eminencję, kiedy przypadkowo natknął się na niego w ogrodzie, a wszystko za sprawą kostiumu, który signor Luigi tak doskonale odtworzył?

Mistrz nie odpowiedział od razu. Stał, patrząc na mnie w milczeniu, aż zaczęłam się obawiać, że skarci mnie za głupotę. Nagle, gdy już byłam gotowa odwołać swoje słowa, tłumacząc

129

je chwilowym zaćmieniem umysłu, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Dino, zawstydziłeś mnie. Podczas gdy ja zajmowałem się tworzeniem skomplikowanych wyjaśnień, ty dostrzegłeś rzecz oczywistą. Rzeczywiście jest możliwe, że zabójstwo hrabiego było tylko pomyłką, choć tu, oczywiście, nasuwa się pytanie, dlaczego ktoś miałby chcieć zabić arcybiskupa. Tak czy inaczej, jestem przekonany, że w naszym śledztwie pojawiła się nowa droga.

Powiedziawszy to, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Będę potrzebował trochę czasu, aby przemyśleć nowy stan rzeczy - rzekł. - Możesz już iść, Dino. Porozmawiamy o tym jutro rano.

Poczułam ukłucie żalu, odprawiona tak bezceremonialnie u progu być może przełomowego odkrycia. Jednak wyszłam pospiesznie, obawiając się, że jeśli Mistrz zmieni zdanie, zatrzyma mnie na całą noc, aby rozważać różne teorie. Sam na pewno nie zmruży oka, próbując rozwiązać tę tajemnicę, zagrzewany do działania perspektywą spędzenia kolejnego dnia bez znalezienia odpowiedzi, którą mógłby przedstawić swojemu patronowi. Il Moro nie słynął z cierpliwości i niewątpliwie wkrótce wezwie Leonarda, by zapytać o rozwiązanie sprawy śmierci jego kuzyna. Jeśli do tego czasu morderca nie zostanie wykryty, cierpliwość księcia może się wyczerpać... a to była doprawdy przerażająca perspektywa!

Od pracowni dzieliło mnie tylko kilka kroków. Wślizgnęłam się do środka bocznymi drzwiami, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Inni uczniowie skończyli już codzienne prace i jak zwykle zgromadzili się przy świetle lampy, by oddać się rozrywkom. Constantin skinął mi przyjaźnie głową, lecz większość pozostałych chłopców nawet nie zauważyła mojego po-

wrotu, a w każdym razie nie okazali tego.

Tylko Tommaso oderwał się na chwilę od gry w kości i utkwiał we mnie złowrogie spojrzenie, którym odprowadził

130

mnie aż do mojego ulubionego miejsca przy ogniu. Udając, że nie widzę jego gniewnego wzroku, usiadłam na szorstkim kamieniu i sięgnęłam do sakiewki po notatnik.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że wciąż ściskam w ręku szachową figurkę. Otworzyłam dłoń i spojrzałam na nią. Ponieważ Mistrz niemal wyrzucił mnie z pokoju, przypuszczałam, że nie życzy sobie, bym wracała tej nocy, nawet jeśli już zauważył, iż wyszłam, zabierając jedną ze wskazówek w naszym śledztwie. Jeżeli będzie potrzebował jej przed rankiem, wie, gdzie mnie znaleźć. Jeżeli nie, nic się nie stanie, jeśli zatrzymam ją do następnego dnia.

- A cóż to takiego, prezent od wielkiego Leonarda?

Zaskoczona podniosłam wzrok i ujrzałam przed sobą Tommasa. Oparł ręce na biodrach, a kpiący uśmiezek nadawał jego grubo ciosanym rysom wyraz okrucieństwa.

Pospiesznie zacisnęłam palce na figurce i obrzuciłam kolegę równie pogardliwym spojrzeniem.

- Nie powinno cię to obchodzić, ale powiem ci, że ta rzecz

należy do jednego ze służących, których znam. Poprosił mnie, żebym ją dla niego przechował, kiedy na pewien czas opuści zamek.

To wyjaśnienie nie zadowoliło Tommasa. Pochylił się nade mną, tak że poczułam zapach cebuli, którą jadł na kolację, i powiedział:

- Myślę, że kłamiesz. Myślę, że Mistrz dał ci to na pamiątkę. Zobaczmy, ile jesteś dla niego wart.

Zanim zdążyłam zareagować, jedną ręką chwycił mnie za nadgarstek, drugą zaś zaczął mi rozginać palce, starając się mnie zmusić, bym wypuściła figurkę.

Poderwałam się na nogi i wolną ręką złapałam go za dłoń, próbując wyrwać się z jego uścisku.

- Puść mnie! - zawołałam. Wiedziałam, że ma nade mną przewagę, lecz postanowiłam się nie poddawać. Gdy zignorował moje słowa, podwoiłam wysiłki, a nawet posunęłam się o krok dalej i z całej siły kopnęłam go w nogę.

131

Krzyknął z bólu, ale nie przerwał ataku, ja zaś czułam, że zaczynam słabnąć. Nasza utarczka zwróciła uwagę pozostałych kolegów. Natychmiast zapomnieli o swoich rozrywkach i podbiegli do nas.

- Bij go! Bij go! - wołali, nie wiadomo czy do mnie czy do mojego przeciwnika.

Mimo ich krzyków usłyszałam głos Constantina, który kazał nam natychmiast przerwać bójkę. Chętnie bym posłuchała, lecz przecież to nie ja ją zaczęłam, a w dodatku obawiałam się, że Tommaso odbierze mi figurkę.

Nagle puścił moją rękę, wziął szeroki zamach i jego pięść wylądowała na moim podbródku. Ten cios zamroczył mnie. Osunęłam się na kolana i zamrugałam, próbując się uwolnić od czarnej zasłony, jaka opadła mi na oczy. Jak przez mgłę docierały do mnie okrzyki rozlegające się dookoła i fakt, że Tommaso odebrał mi figurkę.

Wezbrał we mnie gniew. Wciąż oszołomiona, rzuciłam się naprzód i chwyciłam go za kolana, gdy odwracał się, triumfalnie unosząc w górę zdobytą figurkę. Choć ważyłam niedużo, to wystarczyło, by stracił równowagę i runął na twarz. Moje zwycięstwo trwało jednak bardzo krótko. Tuż po odgłosie wskazującym, że napastnik padł na podłogę, rozległ się niemożliwy do pomylenia z niczym innym dźwięk pękającego kamienia, gdy królowa wypadła mu z dłoni i wylądowała kawałek za nami.

Ten odgłos i mój przerażony jęk wystarczyły, by wszyscy ucichli. Cofnęli się na bezpieczną odległość, z wyjątkiem Davide'a i Paola, którzy podbiegli podnieść oszołomionego Tom-

masa, i Constantina, który pospieszył mi na pomoc.

- Wracać do swoich zabaw albo do łóżek - warknął, po czym zwrócił się do mnie: - Nic ci nie jest, Dino? Uderzył cię dość mocno.

- Wszystko w porządku - odparłam słabym głosem.

W uszach wciąż mi dzwoniło, ale to był drobny problem w porównaniu z rozbitą figurką. Jeśli rzeczywiście stanowiła wskazówkę, jak jej utrata wpłynie na wykrycie mordercy hrabiego?

132

Tymczasem chłopcy rozeszli się i zajęli swoimi sprawami... wszyscy z wyjątkiem Tommasa. On siedział na ławie, przyciskając do ust zakrwawioną szmatkę. Nie współczułam mu, bo przecież sam doprowadził do tego, że został ranny, przy okazji niszcząc cenny przedmiot.

Jeszcze raz zapewniłam Constantina, że nic mi nie jest, i zaczęłam przeszukiwać ciemny kąt pracowni, gdzie - jak mi się wydawało - upadła figurka. W końcu zauważyłam coś białego. Sięgnęłam pod stół i podniosłam górną połowę figurki, która wydawała się nieuszkodzona. Ale gdzie jest reszta? Szukałam dalej, pełzając po nierównej podłodze ze świeczką w jednej ręce i znalezioną połową w drugiej.

- Dino, pozwól, że ci pomogę.

Zduszony głos należał - ku memu zdumieniu - do Tommasa. Wciąż przyciskając szmatkę do ust, kucnął obok mnie i przyjrzał się kawałkowi, który trzymałam.

- Potłukła się? - spytał.

Spojrzałam na niego podejrzliwie, nie do końca gotowa mu wybaczyć, lecz wreszcie skinęłam głową i wróciłam do poszukiwań.

Przesuwałam się na kolanach centymetr po centymetrze, starając się prowadzić je możliwie najbardziej metodycznie. Tommaso pełził obok mnie, dysząc przez opuchnięte wargi. Po kilku minutach zawołał:

- Zobacz, tam jest druga część!

Zbliżywszy świeczkę do miejsca, które wskazywał, dostrzegłam słaby odblask. Położyłam się na podłodze i sięgnęłam ręką pod szeroką półkę z nieheblowanych desek, na której leżały stare formy. Ale choć wyteżałam się, jak mogłam, nie mogłam dosięgnąć.

- Może ja spróbuję. Mam dłuższe ręce - zaproponował Tommaso.

Nie czekając na moją odpowiedź, położył się obok mnie i sięgnął pod półkę. Chwilę później usiadł, ściskając w dłoni

lśniący przedmiot. Ja także usiadłam i uniosłam świeczkę, aby zobaczyć, co znalazł.

Widząc, że to druga połowa figurki, odetchnęłam z ulgą. Wyglądało na to, że los się do mnie uśmiechnął i figurka pękła tylko na dwie części. Może uda się ją naprawić.

Tommaso uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalały mu spuchnięte usta i pokręcił głową.

- Chyba wcale nie jest rozbita - rzekł i przesunął palcem wzdłuż krawędzi. - Zobacz, jaka równa i gładka jest w tym miejscu. A tutaj ma coś w rodzaju występu. I patrz, jest wydrążona. Myślę, że te części się składają.

Zmarszczyłam brwi i przyjrzałam się dokładniej. Rzeczywiście linia podziału była tak równa, że nie mogła powstać przypadkowo.

- Zapewne masz rację - powiedziałam i podałam moją część figurki Tommasowi.

Delikatnie przyłożył dolną połowę do górnej. Ku mojemu zaskoczeniu obie części połączyły się bez trudu. Z uśmiechem podał mi naprawioną figurkę, a ja przyjrzałam się jej uważnie. Połączenie obu połówek było niemal niewidoczne.

- To cudowne! - wykrzyknęłam radośnie. - Tak się bałam, że tej figurki nie da się naprawić. Dziękuję ci.

- Nie powinieneś mi dziękować. Przecież to ja ją upuści-

łem. - Tommaso popatrzył na swoje dłonie. - Nie chciałem zrobić nic złego. Po prostu pomyślałem... to znaczy zastanawiałem się, dlaczego...

- Dlaczego Mistrz dał prezent mnie, a nie tobie - dokończyłam za niego. - Niepotrzebnie. Ta figurka nie należy do mnie i Leonardo wcale mi jej nie dał. Pokazał mi ją tylko, żeby sprawdzić, czy wiem, co to takiego. Jutro muszę mu ją zwrócić. - Zawiesiłam głos i po chwili spytałam: - Ale gdyby nawet ją dał, Tommaso, dlaczego to ma dla ciebie takie znaczenie?

- Bo to by znaczyło, że jesteś jego ulubieńcem - odparł. - A zanim się zjawiłeś, to mnie lubił najbardziej.

134

Milczałam chwilę, zastanawiając się, jak zareagować na to wyznanie. Spędziłam przy Mistrzu dość czasu, by w jakimś stopniu poznać jego charakter. Chociaż schlebiała mi uwaga, jaką mnie ostatnio obdarzał, sądziłam, że dobiera sobie faworytów zależnie od tego, kto w danej chwili jest dla niego najbardziej użyteczny, nie zaś kierując się emocjami. A ja okazałam się użyteczna.

Nie żebym wątpiła, iż Leonardo szczerze troszczy się o swoich uczniów; po prostu zdawałam sobie sprawę, że człowiek

tak genialny jak on patrzy na świat inaczej niż reszta śmiertelników. Niestety, wyglądało na to, że Tommaso zakłada, iż zainteresowanie Mistrza mną ma głębsze znaczenie.

Natychmiast zapomniałam o zranionych uczuciach kolegi, kiedy usłyszałam, że coś porusza się wewnątrz figurki. Zaintrygowana, podałam mu świeczkę.

- Chyba jednak coś się połamało - rzekłam. - Potrzyj świecę, a ja zajrzę do środka.

Przekręciłam górną połowę figurki, rozdzielając obie części. Kiedy je rozsunęłam, zobaczyłam metaliczny odblask i usłyszałam brzęk jakiegoś przedmiotu, który upadł na podłogę tuż obok mnie.

Tommaso nie czekał, aż się odezwę, tylko przesunął świeczkę, szukając razem ze mną tego, co wypadło z figurki. Po chwili to znalazłam: mały mosiężny kluczyk. Podniosłam go i obejrzałam.

- Dziwne, że nie zauważyliśmy go wcześniej. Musiał być zaklinowany w jednej z połówek - powiedziałam. - Ciekawe, co można nim otworzyć?

- Szkatułkę - podsunął Tommaso. - Mój ojciec jest złotnikiem, więc widziałem mnóstwo szkatulek otwieranych podobnymi kluczami. Cokolwiek się w niej znajduje, musi być naprawdę cenne, skoro właściciel postanowił ukryć kluczyk w ta-

ki sposób.

- Pewnie masz rację. Komu przyszłoby do głowy szukać klucza do szkatułki na szachownicy? Ale figurka nie należy

135

do mnie, więc to, co się w niej znajduje, również nie jest moją własnością - skłamałam, starając się ukryć entuzjazm.

Włożyłam kluczyk z powrotem do schowka w górnej połowie figurki i ostrożnie połączyłam obie części. Tommaso nie zdawał sobie sprawy, że jego nierozważny postępek może nas zbliżyć do wykrycia zabójcy hrabiego... albo też skierować na ścieżkę prowadzącą w zupełnie innym kierunku. Rano pokażę Mistrzowi moje odkrycie i niech on zdecyduje, co zrobić z kluczykiem.

Włożyłam figurkę do sakiewki i wyciągnęłam do Tommasa rękę na zgodę.

- Czy możemy zapomnieć o naszej kłótni? Naprawdę robię tylko to, co poleci mi Mistrz. Nie mam zamiaru zostać jego faworytem twoim kosztem.

- Doskonale. - Uścisnął moją dłoń, choć nie patrzył mi prosto w oczy. - Zapomnijmy o tym.

- A zatem wróćmy do reszty. Może zdążymy kilka razy rzucić kości, zanim świece wypalą się do końca.

Wstałam, otrzepałam się z kurzu, i ruszyłam w stronę kominika, gdzie zgromadzili się pozostali terminatorzy. Tommaso poszedł w moje ślady. Przez resztę wieczoru odzywał się do mnie uprzejmie, ale wciąż unikał patrzenia w moją stronę. Nie naciskałam na niego, uznawszy, że konflikt został zażegnany. Tommaso jeszcze nie był moim sojusznikiem, ale przynajmniej przestał być wrogiem.

Dopiero później, gdy wszyscy leżeliśmy już w łóżkach i chrapanie chłopców wypełniło sypialnię, zobaczyłam, że on wciąż nie śpi. Siedział po turecku na swoim posłaniu, a jego masywna sylwetka odcinała się czarniejszą plamą na tle ciemności. Usłyszałam nawet, jak westchnął, czy to z rezygnacji, czy to z gniewu.

Nie wiedziałam, czy siedział tak przez całą noc, bo wkrótce sama zapadłam w głęboki sen. Wiedziałam tylko, że kiedy Constantin obudził nas o świcie, łóżko Tommasa wyglądało, jakby nikt w nim nie spał, a jego samego nie było.

136

10

O, jakież prawdy możemy odkryć, patrząc w lustro.

Leonardo da Vinci Pamiętniki Delfiny della Fazio

zniknięcie Tommasa wywołało poruszenie wśród uczniów. Po-

czątkowo przypuszczaliśmy, że wstał wcześniej, być może obudzony przez Mistrza. Kiedy jednak przeszukaliśmy sypialnię, odkryliśmy, że wszystkie jego rzeczy zniknęły ze skrzynki w nogach łóżka. Constantin był bardzo zmartwiony, gdyż obawiał się, że to on zostanie obwiniony o ucieczkę chłopca. Dlatego zwrócił się do mnie z pytaniem, czy Tommaso wspomniał, że zamierza odejść.

- Ty ostatni rozmawiałeś z nim dłużej, Dino. Może bał się, że wyrzucimy go za wczorajszą bójkę?

- Nie sądzę - odparłam, choć odruchowo dotknęłam obolałego podbródka. - Pogodziliśmy się i zakończyliśmy naszą kłótnię - dodałam, krzywiąc się lekko. - Ale kiedy położyliśmy się do łóżek, on nie spał bardzo długo. Może dręczyło go coś innego.

- Paskudna sprawa. - Constantin pokręcił głową. - Słyszałem od dziewczyny z kuchni, że zaginęło też dwóch służących. To nie wróży dobrze, zwłaszcza że Il Moro zabronił komukolwiek opuszczać zamek.

Znając los jednego z zaginionych służących, nie mogłam nie zgodzić się z tą oceną, lecz nie odważyłam się powiedzieć nic poza kilkoma banałami.

- Tommaso na pewno jest cały i zdrowy - odparłam. - Może i ma gwałtowny temperament, ale potrafi o siebie zadbać. Wczoraj wieczorem wspominał o swoim ojcu. Może nagle zatęsknił za domem i postanowił wrócić, nic nam o tym nie mówiąc.

- Może - przyznał Constantin bez przekonania. Na jego twarzy nagle pojawił się wyraz zaniepokojenia, gdy otworzyły się drzwi pracowni i, chrupiąc świeżą gruszkę, wszedł Leonardo. Mistrza nie zmartwiła wieść o zniknięciu Tommasa.

137

- Widocznie nie miał w sobie dość determinacji, by zostać wielkim malarzem - rzekł obojętnym tonem. - Inaczej zostałyby z nami. A teraz zbierz pozostałych. Zaczniemy dziś pracę nad ostatnim freskiem w wielkiej jadalni.

Kiedy Constantin i inni zaczęli przygotowywać gips oraz niezbędne narzędzia, Leonardo wziął mnie na stronę.

- Tobie wyznaczyłem inne zadanie, Dino - rzekł, wyrzucając ogryzek gruszki. - Czy wciąż masz przy sobie naszą figurkę?

- Oczywiście - odparłam i pospiesznie wydobyłam figurkę z sakiewki. - Ale ona skrywa własny sekret - dodałam. - Ostatniej nocy odkryliśmy całkiem przypadkowo, że składa się z dwóch części i jest wydrążona w środku. A wewnątrz znalazłem to.

Otworzyłam figurkę i wytrząsnęłam na dłoń ukryty w niej kluczyk. Leonardo obejrzał go, skinął z aprobatą głową i podszedł do najbliższej półki. Zajrzał do kilku stojących na niej pudełek, aż w końcu znalazł w jednym z nich kawałek pszcze-

lego wosku. Zmiękczył go w dłoniach, wziął ode mnie kluczyk, przycisnął go do wosku i po chwili ostrożnie oderwał.

- Jak widzisz - rzekł - mamy teraz doskonały odcisk klucza. Zrobię jego kopię, której będziemy mogli użyć, kiedy dowiemy się, co ów klucz otwiera. Tymczasem włożymy oryginał na powrót do skrytki, aby właściciel nigdy się nie dowiedział, że sekret królowej został odkryty.

Kiedy obie połówki zostały połączone, schował figurkę i woskową formę do sakiewki przy pasie.

- Czeka nas dużo pracy. Zapewne pamiętasz listę osób, które mogły mieć coś wspólnego ze śmiercią hrabiego. - Sięgnął pod tunikę i wydobył znajomą kartkę z pokreślonymi kolumnami. - Zamierzam z nimi porozmawiać i chcę, żebyś był przy tym obecny, byś mógł później opowiedzieć mi o swoich wrażeniach. Gdybyś jednak towarzyszył mi ubrany jak terminator, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Musisz wyglądać na mojego sługę, więc zanim zaczniemy, złożymy wizytę signorowi Luigiemu.

138

- Czyżbyś, przyniósł mi kolejną tunikę do naprawy, signor Leonardo? - zawołał krawiec na nasz widok. - Doprawdy nie wiem, po co wkładam w nie tyle starań, skoro każda w końcu trafia do mnie w strzępach.

- Nie obawiaj się, dzisiaj moja garderoba jest nietknięta -
odparł Mistrz, wzruszając beztrosko ramionami. - Niestety, nie
można powiedzieć tego samego o moim uczniu, Dinie. Mam
dla niego pewne zadania, które wymagają, by był ubrany jak
paź samego Il Moro. Czy byłbyś w stanie tego dokonać do po-
łudnia?

Znajdowaliśmy się w małym warsztacie Luigiego w obrębie
murów miejskich, niedaleko głównej bramy zamku. Krawiec
jako jeden z nielicznych mógł opuścić teren zamku, bo Leo-
nardo wstawił się za nim u księcia rankiem po wydaniu zaka-
zu. Wiadomo, argumentował Mistrz, że Luigi nie mógł popełnić
zbrodni, bo przez cały czas trwania szachowej rozgrywki zaj-
mował się strojami graczy. Il Moro zgodził się zrobić wyjątek
dla otyłego krawca, zauważywszy przy tym, że dzięki usunię-
ciu go z dworu zapasy w spiżarniach starczą na trochę dłużej.

Warsztat Luigiego, większa i znacznie bogatsza wersja na-
miotu przydzielonego mu na czas gry, nie był wyłącznie czar-
no-biały, lecz mienił się setkami kolorów. Bele tkanin - broka-
tów, jedwabi, aksamitów - które piętrzyły się na rzędach półek,
sięgających pod sufit, tworzyły mozaikę zieleni, złota, czerwie-
ni i błękitów, poprzetykanych tu i ówdzie spokojniejszą czer-
nią, bielą i purpurą. Na stole stojącym z boku leżały pudełka
ze wstążkami w jaskrawych barwach, które trudno byłoby mi

odtworzyć w temperach. Obok w jednym koszu znajdowały się skrawki tkanin i koronek, drugi zaś zawierał kawałki futra przeznaczone do obszycia mankietów i kołnierzy.

Luigi wydał mięsiste wargi i przyjrzał mi się, jakbym była paprochem, który przykleił mu się do podeszwy buta. Spuściłam wzrok, modląc się, by uznał prośbę Mistrza za niemożliwą do spełnienia. Ryzyko odkrycia mojej maskarady było zbyt duże, gdyby ubrał mnie tak, jak życzył sobie Leonardo.

139

Na moje nieszczęście duma krawca wzięła górę nad jego pogardą dla mnie.

- Oczywiście, signor Leonardo - rzekł w końcu z kwaśnym uśmiechem. - Jeśli ma się dość florenów, wszystko jest możliwe... nawet uczynienie z tego obdartusa eleganckiego pazia. Zostaw go ze mną na godzinę albo dwie, a zapewniam cię, że będziesz zadowolony z efektu.

- Będę na ciebie czekał w moim mieszkaniu, kiedy skończysz tutaj - zwrócił się do mnie Leonardo, po czym przez chwilę ustalał z Luigim, jak powinnam być ubrana i ile ma za to zapłacić. Niewiele jednak usłyszałam z tej rozmowy, bo martwiłam się o swoją najbliższą przyszłość.

Za chwilę będę zdana na łaskę krawca, który być może każe

mi się rozebrać. Ta perspektywa wprawiła mnie w stan bliski paniki. Udało mi się uniknąć zdjęcia tuniki, kiedy przebierał mnie do gry w szachy, ale wątpiłam, czy moje wymówki poskutkują i tym razem. Zarazem zdawałam sobie sprawę, że nie mogę sprzeciwić się woli Mistrza.

Chwilę później Leonardo wyszedł, zostawiając mnie samą z krawcem. Tak jak poprzednio, po wyjściu Mistrza z twarzy Luigiego zniknął wyraz służalczej dobrotliwości.

- Masz szczęście, chłopcze - rzekł cierpko - że twój patron jest tak hojny. Jak zapewne słyszałeś, mam ubrać cię tak, abyś mógł pokazać się wśród możnych. Mam nadzieję, że odpłacasz się signorowi Leonardowi w sposób godny jego pieniędzy.

Ta sugestia, wypowiedziana z porozumiewawczym mrugnięciem, byłaby dostatecznie obraźliwa, gdyby krawiec znał moją prawdziwą płęć. Biorąc jednak pod uwagę moją męską rolę, stanowiła straszliwą obelgę i dla Mistrza, i dla mnie. Próbując opanować gniew, wyprężyłam się dumnie i spojrzałam krawcowi prosto w oczy.

- Twoje sugestie są całkowicie nieuzasadnione - odparłam chłodno. - Mistrz Leonardo nie traktuje mnie inaczej niż każdy przyzwoity mistrz swojego terminatora. Uczy mnie i oczekuje, że będę ciężko pracował, by poznać swój fach. Wszelka życ-

liwość, jaką mi okazuje, wynika z jego dobrego serca i nie spodziewa się za to żadnej zapłaty. Oczekuję więc, że przeprosisz nas obu za swoje insynuacje.

- O-oczekujesz moich przeprosin? - wyjąkał krawiec osłupiały z oburzenia.

Policzki mu się trzęsły, kiedy zbliżył nalaną twarz do mojej twarzy, zapewne w nadziei, że stchórzę i odwołam swoje śmiałe słowa. Kiedy wytrzymałam jego spojrzenie, cofnął się o krok i parsknął śmiechem.

- Doskonale, młody terminatorze - rzekł, pociągając nosem. - Skoro tak elokwentnie bronisz się przed moim zarzutem, muszę przyznać, że się pomyliłem. Przepraszam ciebie i signora Leonarda. A teraz załatwmy, co mamy do załatwienia, żebym nigdy więcej nie musiał cię oglądać.

Mówiąc to, odwrócił się do stołu, sięgnął do stojącej na nim małej skrzyneczki i wyjął długi kawałek sznurka, na którym w regularnych odstępach były zawiązane węzły. Trzymając go w jednej ręce, przeciągnął po nim serdelkowatym kciukiem i palcem wskazującym drugiej, aby rozprostować zagięcia. Wreszcie podszedł do mnie z ponurym uśmiechem.

- Chodź, chłopcze, muszę wziąć miarę, żeby ubrać cię tak, jak chce Leonardo.

Obawiając się tego, co miało nastąpić, cofnęłam się o krok.

- Jestem pewien, że to nie będzie konieczne - zaprotestowałam, odruchowo krzyżując ręce na piersi w obronnym geście. - Na pewno uda się znaleźć wśród tych pięknych szat coś, co będzie pasowało.

Pokręcił głową tak gwałtownie, że oba policzki znowu się zatrzęsły.

- Sądzisz, że na tyle nisko cenię swoje rzemiosło, by pozwolić ci włożyć niedopasowaną tunikę? Twój Mistrz życzy sobie, abym cię przyzwoicie ubrał, i tak też zrobię. Dalej, chodź ze mną.

Nie miałam innego wyjścia, jak się podporządkować, gdy chwycił mnie mięsistą łapą za nadgarstek i pociągnął na środek

141

pracowni. Zacisnęłam zęby i pozwoliłam mu zmierzyć sznurkiem szerokość pleców, a następnie odległość od każdego ramienia do nadgarstka. Stałam sztywno, kiedy ciężko opadł na kolana, zmierzył mi nogi od bioder do kostek i stękając głośno, wstał.

Po każdym pomiarze podchodził na chwilę do stołu, by zapisać coś na leżącym tam kawałku papieru. Czekałam w niemym przerażeniu, kiedy w końcu zorientuje się, że posztur-

chuje i popycha dziewczynę, a nie chłopca. Jednakże wyraz podejrzliwości nie zastępował pogardy na jego twarzy, więc moje bijące szaleńczo serce powoli zaczęło zwalniać. Zaczęłam nawet oddychać spokojniej, gdy krawiec podniósł wzrok znad notatek i oznajmił:

- Został mi ostatni pomiar. Podnieś ręce, chłopcze, żebym mógł zmierzyć pierś.

Przez chwilę miałam ochotę uciec z warsztatu i nigdy nie wracać, lecz wiedziałam, że Luigi z rozkoszą doniesie Mistrzowi o moim postępku. Dlatego powoli uniosłam ręce, starając się równocześnie przygarbić, aby moje piersi nie wydawały się zbyt wypukłe. Krawiec szturchnął mnie, zmuszając do wyprostowania się niczym nieposłusznego źrebaka, i przycisnął sznurek do mojej piersi.

- A co to takiego?

Na jego twarzy pojawił się podejrzliwy grymas; wypuścił sznurek i dźgnął mnie grubym paluchem w owinięty płótnem mostek.

- Owinałeś sobie coś wokół żeber, chłopcze?

- T-tak - wyjąkałam, przypominając sobie wytłumaczenie, które wymyśliłam pierwszej nocy, gdy włożyłam to przebranie. - Bracia zawsze mi dokuczali z powodu zapadniętej piersi, więc owijam się płótnem, żeby wyglądać masywniej. Proszę, signore,

to tylko drobna słabostka. Proszę nie mówić o tym nikomu.

- Doprawdy.

Zmarszczył się jeszcze mocniej, ale nie powiedział nic więcej, tylko podszedł do stołu zapisać wynik ostatniego pomiaru.

142

Ja tymczasem opuściłam ręce i na powrót przybrałam przygarbioną postawę. Pospiesz się i daj mi ubranie, poprosiłam go w duchu, czując ulgę, że pomiary wreszcie się skończyły i udało mi się przejść tę ostatnią przeszkodę, wzbudzając tylko niewielkie wątpliwości, a i te zostały szybko rozwiane. Kiedy Luigi dobierze odpowiedni dla mnie krój i rozmiar stroju, będę nalegać, by pozwolił mi zabrać nowe ubranie do pracowni, gdzie włożę je w samotności, niedotykana więcej przez krawca. Pozostało tylko cierpliwie poczekać, aż ta nieprzyjemna sytuacja się zakończy.

I wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, krawiec odwrócił się i zamachnął potężnym ramieniem jak wahadłem, tak że jego pięść wylądowała na moim podbrzuszu.

- Au! - krzyknęłam, zastanawiając się, czym zasłużyłam na tak podstępny atak.

Kiedy na jego opasłej twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji, zrozumiałam swój błąd. Naśladując reakcję, którą widzia-

łam wielokrotnie u moich braci, kiedy bili się w dzieciństwie, czym prędzej zgięłam się wół i padłam na kolana, jęcząc z udawanego bólu.

Lecz moje przedstawienie zaczęło się o sekundę za późno. Gdy wciąż jęczałam jak ranne ciele, Luigi złapał mnie za kark i postawił na nogi.

- Przestań udawać, chłopcze... a może raczej powinienem powiedzieć, dziewczyno?! - ryknął i potrząsnął mną.

- N-nie wiem, o czym mówisz - wyjąkałam. - Mam na imię Dino i jestem...

- Milcz! I nie obrażaj dłużej mojej inteligencji. Ubrałam dość kobiet, by rozpoznać jedną z nich, nawet jeśli jest ubrana jak mężczyzna - przerwał na chwilę, sapiąc z gniewu. - Czy to jest jakiś żart, który wymyślił twój Mistrz, aby zrobić głupca z Luigiiego? Zobaczmy, czy Il Moro także uzna go za zabawny.

- Nie, signore... proszę! -jęknęłam, chwytając go za rękaw tuniki, gdy szykował się do odejścia. - Leonardo nic o tym nie wie. I to nie jest żart.

143

Wzięłam głęboki oddech, wiedząc, że mam tylko jedną szansę udobruchania go i przeciągnięcia na swoją stronę. Jeśli mi się nie uda, moja maskarada wkrótce się skończy.

- To prawda... jestem kobietą - zaczęłam z wahaniem. -

Naprawdę nazywam się Delfina della Fazio i pochodzę z miasteczka niedaleko Mediolanu. Mam nadzieję, że pewnego dnia zostanę wielką malarką, lecz jeśli nie będę pracować pod okiem jeszcze większego mistrza, nigdy nie nauczę się tego, co powinnam umieć.

Zamilkłam, przypomniał sobie, że Luigi także ma terminatorów, więc dobrze wie, na czym polega rola ucznia i mistrza.

- Jesteś człowiekiem światowym, signor Luigi. Wiesz, że niewielu mistrzów zgodziłoby się przyjąć kobietę na naukę... a z pewnością nie na dworze takim jak ten. Lecz pokusa pobierania nauk u Leonarda była tak wielka, że nie mogłam się jej oprzeć. Nie miałam innego wyjścia, niż udawać chłopca, żeby przyjął mnie do swej pracowni.

- I to jest jedyny powód, dla którego włożyłaś przebranie? - spytał Luigi, unosząc brwi. - Nie jesteś jedną z tych dziwacznych kobiet, które wolałyby być mężczyznami, więc udają ich, posuwając się niekiedy nawet do tego, że biorą sobie żony?

- Przysięgam, że nie! - poczułam, jak rumieniec zalewa mi policzki na samą myśl o robieniu czegoś tak sprzecznego z naturą... Prawdę mówiąc, aż do tej chwili nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. - Jestem zadowolona z mojej płci, signore -

kontynuowałam śmiało. - Włożyłam to przebranie wyłącznie po to, by zajmować się sztuką. Gdybym mogła uczyć się jako kobieta, wolałabym to niż taką maskaradę.

- Jesteś więc pewna, że nasz Leonardo nie wie o twoim podstępie? - dopytywał się krawiec.

Skinęłam energicznie głową.

- Jestem pewna. Gdyby się dowiedział, zapewne sam by mnie wyrzucił. Dlatego proszę, signore, nie zdradź nikomu mojego sekretu!

144

Stałam przed nim z rękoma złożonymi jak do modlitwy i zastanawiałam się, co jeszcze mogę zrobić, by przekonać go o mojej uczciwości. Gdyby nasze poprzednie spotkania miały nieco miłszy przebieg, miałabym większą nadzieję na zyskanie w nim sojusznika. Wiedziałam jednak, że krawiec nie ma o mnie dobrego zdania, a nowe odkrycie może przeważać szalę i w końcu zwróci się przeciwko mnie.

Luigi skinął głową, jakby utwierdzając się w słuszności decyzji, którą właśnie podjął.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że to, co zrobiłaś, może mieć bardzo poważne konsekwencje - zaczął spokojnie - nie tylko dla ciebie, ale także dla twojego ukochanego Mistrza? A to,

czy twoje oszustwo zostanie ujawnione, zależy ode mnie. Mogę być oburzony twoją bezczelnością, co znaczy, że dla dobra wszystkich zainteresowanych powinienem podjąć jakieś działania przeciwko tobie. Ale mogę być też rozbawiony twym pomysłem, to zaś oznaczałoby, że dochowam sekretu, przynajmniej na razie.

Zawiesił głos, stukając w wydęte wargi grubym palcem.

W końcu przemówił:

- Chyba postanowię być rozbawiony.

- Dziękuję... dziękuję ci, signore - wyszeptałam, ujmując go za pulchne dłonie. - Obiecuję, że nigdy nie zachowam się w sposób, który sprawiłby, że mógłbyś pożałować swojej decyzji.

- Szczerze w to wątpię - odparł, cofając dłonie. - A teraz, skoro sprawa została załatwiona, zajmijmy się ubraniem cię tak, jak życzy sobie twój Mistrz. Najpierw jednak musisz zdjąć to, czym masz owinięte piersi. Idź. Możesz skryć się w tej alko- wie, żeby nie narazić na szwank swojej skromności.

Wskazał mi zasłonę w kącie warsztatu. Niepewna, co będzie dalej, zrobiłam, jak mi polecił i chwilę później pozbyłam się płótna krępującego mi piersi. Czując się dziwnie naga, mimo iż miałam na sobie tunikę, wyjrzałam zza zasłony, żeby zobaczyć, co robi signor Luigi.

Krawiec nie ociążał się z pracą; zwinniej niż można by oczekiwać po człowieku jego tuszy, zdejmował bele mieniących się kolorami tkanin i układał na stole. Kiedy zebrał ich około tuzina, zaczął rozwijać po kawałku jedwabiu czy aksamitu, by się im lepiej przyjrzeć. Większość z pogardliwym parsknięciem odkładał na bok, lecz trzy czy cztery spotkały się z jego aprobatą. Czując, że na niego patrzę, przywołał mnie gestem dłoni.

- Chodź tutaj, hm... chłopcze. Zobaczmy, jakie kolory będą ci pasowały.

Kolejno przykładał do mnie kawałki tkanin, mrużąc coś pod nosem. Ja tymczasem z trudem powstrzymywałam okrzyki zachwytu przy każdej kolejnej próbce materiału, którą narzucał mi na ramiona, gdyż tak pięknych i bogatych tkanin nigdy jeszcze na sobie nie miałam. W końcu Luigi dokonał wyboru.

- Myślę, że głęboki błękit i złoto pasują ci najbardziej - stwierdził, kiwając głową z zadowoleniem. - A teraz, skoro twojemu Mistrzowi tak bardzo się spieszy, zobaczmy, czy uda się znaleźć dla ciebie coś gotowego. Najpierw jednak musimy

coś zrobić z twoim, hm... torsem.

Mówiąc to, podszedł do drewnianego drążka, na którym wisiało kilka koszul z delikatnego bielonego płótna. Zdjął z haka najmniejszą, po czym zaczął przeszukiwać jedną z półek, wyciągając z niej po chwili jakąś sztukę odzieży, której nie rozpoznawałam.

- To powinno być dobre - oznajmił.

Podał mi koszulę, a tę drugą rzecz przyłożył do mojej piersi. Wyglądała jak gorset, tyle że w górnej części pogrubiony z przodu. Luigi uśmiechnął się, widząc moją konfuzję.

- To ubiór mojego pomysłu, przeznaczony dla panów, którzy są niezbyt potężnie zbudowani. Dzięki poduszkom z końskiego włosia zyskują masywniejszą pierś i strój lepiej się na nich układa. Jednak w twoim przypadku - uśmiechnął się szerzej, obracając gorset tak, że poduszki znalazły się u dołu - będzie działał odwrotnie. Przymierz. Myślę, że będzie znacznie wygodniejszy niż to szorstkie płótno, które nosiłaś.

146

Wróciłam do alkowy i włożyłam wynalazek Luigiego.

- No, szybciej - ponaglał mnie krawiec, więc pospiesznie zawiązałam sznurki, włożyłam na gorset nową koszulę i odsunęłam zasłonę.

Skinął z zadowoleniem głową i gestem skierował mnie do przeciwległej ściany.

- W rzeczy samej, tak jest znacznie lepiej - rzekł i odsunął płachtę, odsłaniając duże szklane zwierciadło.

Patrzyłam wstrząśnięta na swoje odbicie. Gorset spłaszczył mi piersi znacznie skuteczniej niż płótno, którego używałam, a wyściółka wyrównała linie mojego ciała. Okryta miękko układającą się tkaniną koszuli, moja figura wydawała się wprawdzie nieco niezgrabna, lecz niewątpliwie chłopięca.

- Signor Luigi, jesteś geniuszem - powiedziałam ze szczerym zachwytem.

Machnął lekceważąco ręką, choć widziałam, że był zadowolony z mojej reakcji.

- To tylko sztuczka, którą zna każdy sprawny krawiec. Wystarczy rozumieć, jak przebiegają linie ciała i jak układa się tkanina. A teraz zobaczmy, co da się zrobić z tuniką i pończochami.

Szybciej niż mogłabym sobie wyobrazić, sporządził tunikę z jednego z niegotowych strojów wiszących na wieszaku; nożyczki i igła śmigały mu w rękach, gdy dopasowywał kawałki materiału do zdjętych wcześniej wymiarów. Kiedy tunika była gotowa, zdjął ją ze mnie ostrożnie.

- Moi uczniowie dokończą szycie - wyjaśnił. - My tymcza-

sem skompletujemy resztę twojego stroju.

Czekając na przygotowanie całej garderoby, rozglądałam się po warsztacie. Teraz, gdy nawiązała się między nami nić porozumienia, signor Luigi nieco złagodniał, uśmiechał się nawet, słysząc moje okrzyki zachwytu nad efektami jego pracy. Lecz tym, co mnie przekonało, że jego serce nie jest tak kamienne, jak pokazywał na zewnątrz, był skowronek siedzący w dużej plecionej klatce zawieszanej u sufitu pracowni.

147

- To jedno ze znalezisk twojego Mistrza - wyjaśnił niechętnie, kiedy usłyszałam słodki śpiew ptaka i spytałam, skąd go ma. - Zapewne już wiesz, że zwykł kupować na targowisku zwierzęta tylko po to, by je wypuścić na wolność. Kupił też tego skowronka i zamierzał postąpić z nim podobnie, lecz odkrył, że ma złamane skrzydło i nie mógłby latać.

- Biedactwo - szepnęłam ze współczuciem, zaglądając do klatki. Uśmiechnęłam się, gdy ptak wydał jeszcze kilka melodyjnych dźwięków. - Jak to się stało, że został w twoim warsztacie, signore?

- Leonardo zatrzymał się tu w drodze z targowiska, aby zabrać jedną ze swoich tunik, i poprosił mnie o pomoc. Wpadł na pomysł, że mała listewka przymocowana do piór ułatwi zrasta-

nie się kości. - Zawiesił głos i zerknął na mnie z ukosa. - Oczywiście tylko Leonardo mógł się domyślić, że podzielałam jego upodobanie do niemych stworzeń. Mogę nawet bez fałszywej skromności powiedzieć, że mam pewien talent do ich leczenia, jeśli są ranne. Niestety, w tym przypadku, choć skrzydło się zrosło, to nie na tyle dobrze, aby ptak mógł znowu latać. Wypuszczenie na wolność oznaczałoby dla niego pewną śmierć, zgodziłam się więc zatrzymać go w moim warsztacie.

- Jak to szlachetnie z twojej strony, signor - powiedziałam ciepło, on zaś spojrzał na mnie surowo i pogroził mi palcem.

- Zgodziłam się dochować twojego sekretu - przypomniał.

- Teraz ty musisz dochować mojego. Nikt nie może mówić, że Luigi ma miękkie serce, gdyż wtedy klienci zasypaliby mnie najróżniejszymi wymówkami, byle tylko nie płacić.

Zajęliśmy się innymi sprawami i czas upłynął nam bardzo szybko. Jeszcze zanim nadeszła wyznaczona godzina, stanęłam przed lustrem w moim nowym stroju pazia. Miałam tunikę z błękitnego jedwabiu obszytą złocistym aksamitem i pończochy w tych samych kolorach. Nowiutka koszula z białego lnu wystawała wytwornie przez rozcięcia rękawów związanych dla kontrastu czerwonymi tasiemkami, które pasowały odcieniem do czerwonych butów i miękkiego kapelusza. Efekt był skrom-

ny, jak przystało chłopcu o mojej pozycji, a równocześnie na tyle bogaty, by nie prowokować niepotrzebnych komentarzy, kiedy będę towarzyszyła Mistrzowi w czasie rozmów z wielmożami z listy. Niewątpliwie zaś był to najbardziej elegancki - choć męski! - strój, jaki kiedykolwiek miałam na sobie.

- Sądzę, że signor Leonardo będzie zadowolony - oznajmił Luigi, uśmiechając się z satysfakcją i dokonując ostatnich poprawek przy rękawie. - Ale proszę, powstrzymaj się od noszenia tego stroju przy mieszaniu gipsu albo jakichś innych brudnych zajęciach.

- Będę obchodziła się z nim jak najostrożniej - zapewniłam, sięgając po worek, do którego włożył moje stare ubranie. Po czym, rozejrzawszy się dookoła, czy nie usłyszy nas któryś z jego uczniów, dodałam: - I będę ci niezmiernie wdzięczna, signor, za zachowanie dyskrecji w sprawie, o której rozmawialiśmy.

- Jak mówiłem, doszedłem do wniosku, że to zabawne, a ponieważ na dworze Il Moro nie ma nadmiaru rozrywek, jest to dla mnie miła odmiana. Gdybyś jednak została wykryta, zaprzeczę, bym o czymkolwiek wiedział. A teraz wracaj do swego Mistrza... i możesz zabrać rachunek za moją pracę.

Zegar na wieży wybił południe, kiedy dotarłam do prywatnej pracowni Leonarda. Burczenie w brzuchu przypomnia-

ło mi, że pozostali uczniowie byli już dawno po śniadaniu, a mnie ono ominęło. Zacisnęłam pas, westchnęłam i zastukałam do drzwi.

- Wejdz - usłyszałam głos Mistrza i weszłam do środka.

Po operacji chirurgicznej z poprzedniej nocy nie zostało ani śladu; zakrwawione płótna i miska zniknęły, a stół wyglądał na starannie wyczyszczony popiołem. Pokój był pusty, lecz tym razem drzwi, które - jak się domyśliłam - prowadziły do pracowni, stały otworem. Poczułam dreszcz podniecenia, gdy zdałam sobie sprawę, że może będę miała okazję zajrzeć do tego niedostępnego sanktuarium. Ledwo jednak skierowałam się w tamtą stronę, w drzwiach pojawił się Leonardo w zaplamionym roboczym ubraniu i zamknął je za sobą.

149

- Znakomicie - ocenił mój nowy strój. Dał mi znak, bym się obróciła i pokazała ze wszystkich stron. - Przypuszczam, że signor Luigi każe mi za niego drogo zapłacić, choć ostatecznie to ksiązę ureguje rachunek.

Uśmiechnął się przebiegle, po czym podszedł do stołu i wziął dwie dorodne gruszki ze stojącej na nim drewnianej misy. Rzucił mi jedną i gestem zaprosił, bym usiadła.

- Obawiam się, że z mojego powodu znowu straciłeś posi-

łek, ale może to pozwoli ci przeżyć, dopóki nie wrócimy. Daj mi chwilę, chłopcze, a włożę coś bardziej odpowiedniego na poranną wizytę u arcybiskupa.

Kiedy łąpczywie wgrzyłam się w soczysty owoc, podszedł do drewnianej skrzyni stojącej obok łóżka i ją otworzył. Oglądał i odkładał na bok jedną tunikę po drugiej, aż w końcu zdecydował się na czarną z brązowym obszyciem. Dokonawszy wyboru, zdjął wierzchnie ubranie.

- Zmiana bielizny nie byłaby od rzeczy - dodał, gdy powąchał koszulę, którą miał pod spodem.

Zdjął także koszulę i zaczął przetrząsać skrzynię w poszukiwaniu zapasowej. Pospiesznie odwróciłam wzrok, lecz nie na tyle szybko, by uniknąć widoku jego nagiej piersi. Jedno spojrzenie wystarczyło, by ocenić, że bezmięsna dieta dobrze mu służy, tors bowiem miał smukły, lecz umięśniony. Przypominał przystojnych nagich młodzieńców, których szkicował.

Ten widok nie był wcale niemiły.

Czerwieniąc się pod wpływem niestosownych myśli, modliłam się w duchu, by Mistrz nie odczuł potrzeby zmienienia także pończoch. Na szczęście zadowolił się świeżą koszulą i tuniką.

- Teraz znacznie lepiej, nieprawdaż, Dino? - spytał. Wyglądał doprawdy elegancko, gdy przewiązał tunikę pasującym do niej brązowym pasem.

Odmruknęłam twierdząco z ustami pełnymi gruszki i nadzieją, że mój rumieniec ustąpił na tyle, by nie zwracać niepotrzebnie uwagi. Mistrz jednak wcale na mnie nie patrzył, zajęty dojadaniem własnej gruszki i poszukiwaniem sakiewki, którą

150

zostawił na stole. Skinął głową z zadowoleniem, kiedy ją znalazł. Wyjął z niej, po czym włożył z powrotem szachową figurę oraz listę imion, a następnie przyczepił sakiewkę do pasa. Potem wyjął z kosza dwa arkusze papieru i dwa kawałki czerwonej kredy.

- Została nam ostatnia rzecz do zrobienia - powiedział, podając mi papier i kredę. - Narysuj twarz drugiego ze służących, których spotkałeś tamtej nocy... tego, którego jeszcze nie znaleźliśmy. Ja natomiast naszkicuję portret nieszczęsnego Lorenza.

Choć byłam zaintrygowana, nie spytałam, dlaczego mnie o to prosi, tylko zabrałam się do rysowania. Zadanie nie było trudne, gdyż wciąż miałam przed oczami twarz rudowłosego młodzieńca o okrągłej twarzy i pełnych ustach. Po kilku próbnym kreskach pewną ręką dokończyłam szkic, zadowolona, że udało mi się uchwycić nie tylko rysy twarzy, ale i malujący się na niej wyraz okrucieństwa.

- Dobra robota - rzekł Mistrz, zerkając na gotowy rysu-

nek. - Gdybym go teraz zobaczył, rozpoznałbym go bez trudu. Powiedz - spytał, pokazując własny szkic - czy dobrze oddałem wygląd drugiego chłopca? Jak wiesz, gdy go widziałem, był zakrwawiony i opuchnięty.

Spojrzałam na dzieło Mistrza i pokręciłam głową, jak zwykle oszołomiona jego talentem. Rysy zmarłego Lorenza zostały odwzorowane bez zarzutu, lecz szkic był czymś więcej niż tylko wizerunkiem jego twarzy. Coś w sposobie, w jaki Leonardo narysował oczy chłopca, sugerowało cichą desperację, jaka kryła się pod młodzieńczą wojowniczością. Prawdę mówiąc, szkic Leonarda wzbudził we mnie żal z powodu śmierci młodego służącego, czego nie czułam, nawet widząc go śmiertelnie ранego poprzedniej nocy.

- Jest cudowny - odparłam szczerze. - Ale co zrobimy z tymi rysunkami?

- To proste, mój chłopcze. Pokażemy je osobom, z którymi będziemy rozmawiać o śmierci hrabiego, i zobaczymy, jak zareagują.

151

Ostrożnie zwinął oba szkice, aby kreda się nie rozmazała, włożył je pod tunikę. Potem wyrzucił ogryzek gruszki i dał mi znak, bym poszła za nim.

- Arcybiskup na nas czeka, Dino. Nie ociągajmy się.

11

Pszczoła jest jak kłamstwo, ma bowiem miód z przodu,
a jad kryje z tyłu.

Leonardo da Vinci Manuskrypt I

M

ieliliśmy szczęście, że arcybiskup, który był także kardyna-
łem Mediolanu, został w zamku Sforzów jako gość Ił Moro.
Inaczej musielibyśmy odbyć daleką podróż, gdyż purpurat,
wbrew swemu tytułowi, nie rezydował w Mediolanie. Miał
okazały pałac w Rzymie, a także mniejsze wille rozsiane po
okolicy i regularnie przemieszczał się między nimi, czuwając
nad sprawami Kościoła. Do zamku przybył z kurtuazyjną wi-
zytą ze względu na obecność francuskiego posła. Zwykle, kie-
dy był w tym regionie, zatrzymywał się we własnej willi poza
murami miasta.

- Twoja teoria nie jest pozbawiona podstaw, Dino - powie-
dział Mistrz, kiedy szliśmy w kierunku pokojów, w których
mieszkał arcybiskup. - Jeśli Jego Eminencja rzeczywiście miał
być ofiarą, zabójca może spróbować ponownie. Musimy zatem
ostrzec arcybiskupa o tym niebezpieczeństwie.

Wkrótce przekonaliśmy się, że zamachowiec miałby du-

ży problem z dostaniem się w pobliże purpurata. Dostępu do skrzydła zamku, w którym mieszkał, strzegło pół tuzina zbrojnych - papieskich gwardzistów, jak się później dowiedzieliśmy - którzy przepuścili nas dopiero wtedy, gdy wezwany sekretarz arcybiskupa wyraził zgodę na nasze wejście. Poza tym

152

w połączonych ze sobą pokojach uwijał się cały sztab duchownych, którzy zatrzymaliby każdego intruza.

Nawet Il Moro nie miał tak rozbudowanego systemu ochrony we własnym zamku, pomyślałam ze zdumieniem.

- Tak, Jego Eminencja ma wrogów - odparł nasz przewodnik na pytanie Mistrza, podczas gdy ja szłam za nimi w stosownej odległości. - Jego pozycja w Kościele jest szczególna. Jako arcybiskup i kardynał od ponad dwudziestu lat miał dostęp do czterech papieży; co więcej, sam może być następnym kandydatem na Tron Piotrowy. Wprawdzie większość ludzi go kocha, zawsze jednak znajdą się tacy, dla których człowiek boży będzie stanowił zagrożenie.

- A czy ostatnio dokonano jakiegoś zamachu na jego życie? - zapytał Leonardo.

Ksiądz spojrzał na niego chłodno.

- Wybacz, signore, ale nie wolno mi rozmawiać o takich

sprawach.

Nie dowiedziałam się, czy Mistrz pytałby dalej we właściwy sobie dyplomatyczny sposób, bo właśnie zatrzymaliśmy się przed ozdobnymi dwuskrzydłowymi drzwiami, które sięgały niemal sufitu. Nasz przewodnik zastukał. Jego sękaty palec wydały tylko lekki odgłos, uderzając o rzeźbione i złoczone drewno, a jednak z wnętrza odezwał się jakiś głos, zapraszając do wejścia. Duchowny dał nam znak, byśmy na niego poczekali, i bezszelestnie wślizgnąwszy się przez drzwi, zamknął je szczelnie za sobą.

Czekaliśmy cierpliwie przez kilka minut, nim otworzyły się ponownie.

- Arcybiskup raczy poświęcić ci kilka minut, wyświadczać uprzejmość swojemu gospodarzowi, księciu - rzekł ksiądz i gestem dłoni wskazał Mistrzowi drzwi.

Oczywiście ani słowem nie wspomniał o mojej obecności. Podążałam za Leonardem, trzymając się o krok za nim, z głową lekko pochyloną, jak przystało słudze, lecz równocześnie starałam się dyskretnie rozglądać.

153

Pokój był zaprojektowany z myślą o przepychu, ale niekoniecznie o komforcie. Wzdłuż ścian po obu stronach stało

pół tuzina wysokich, złożonych krzesel z lśniącego ciemnego drewna, niewyposażonych dla wygody w żadne obicie ani choćby poduszki. Zamiast nowoczesnych fresków, jak w jadalni, tutaj na prętach i pierścieniach wisiały ciężkie arrasy, które wydawały się znacznie starsze niż sam zamek. Zasłaniały ściany z nieregularnych bloków i skutecznie pochłaniały zarówno dźwięki, jak i wilgoć. Nierówna kamienna podłoga musiała być lodowata w zimowe dni.

Na środku komnaty stał ogromny stół o nogach dwukrotnie grubszych niż moje, zdobiony rzeźbieniami równie wymyślnymi jak te na drzwiach. Spod opuszczonych rzęs zdołałam zobaczyć starca siedzącego przy nim na krześle, które przypominało tron.

Arcybiskup Mediolanu był bardzo chudy i miał bladą, pomarszczoną twarz. Na jego łysiejącej głowie tkwił czerwony kardynalski kapelusz, a na białą tunikę obszytą koronką narzucił czerwoną pelerynę z kapturem, spiętą guzikiem na piersi. Spod peleryny widać było złoty krzyż zawieszony na grubym łańcuchu, stanowiący, obok złotego pierścienia na palcu, jedyną ozdobę. Ten prosty strój tworzył zaskakujący kontrast z bogatymi szatami, jakie purpurat miał na sobie w czasie partii szachów i pogrzebu hrabiego Ferrary.

- Wasza Eminencjo, to jest Leonardo Florentyńczyk, obec-

nie zatrudniony jako nadworny malarz księcia Mediolanu - przedstawił Mistrza ksiądz, po czym taktownie usunął się na bok, stwarzając pozory dyskrecji, a jednocześnie pozostając w odległości, która pozwalała mu wszystko słyszeć.

Arcybiskup nie zaprosił nas, byśmy usiedli. Skinął jednak głową, dając do zrozumienia, że Leonardo może się zbliżyć, i wysunął do ucałowania dłoni z pierścieniem. Wstrzymałam oddech, gdyż znając podejście Mistrza do konwencji religijnych, obawiałam się, jak się zachowa. Z ulgą jednak zobaczyłam, że wykonał zwyczajowy gest i czekał, aż arcybiskup przemówi.

154

- A więc to ty jesteś wielki Leonardo - powiedział Jego Eminencja głosem tak cichym, że zaczęłam się obawiać o stan jego zdrowia. - Twój kunszt jest znany poza granicami Mediolanu. Aż do Rzymu dotarły wieści o artyście obdarzonym niemałym talentem, mimo iż uważanym za heretyka. Ja jednak widziałem twoje prace i nie wierzę, że ktoś, kto maluje tak piękne wizerunki naszej Świętej Matki, mógłby nie znać Słowa Bożego.

- Maluję zarówno świętych, jak i grzeszników, Wasza Eminencjo - odparł Leonardo. - Lecz przyznaję, że czasami przy pracy czuję boskie natchnienie.

- Może jest więc dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja - rzekł ar-

cybiskup z lekkim uśmiechem. - Powiedz mi, mój synu, jakąż to niecierpiącą zwłoki sprawę chcesz ze mną omówić?

Leonardo pokrótce opisał okoliczności zabójstwa hrabiego, a także późniejszą zagadkową śmierć Lorenza.

- Ponieważ księżę powierzył mi wykrycie sprawcy tej zbrodni - wyjaśniał - uważnie przestudiowałem wydarzenia kilku ostatnich dni w nadziei rozwikłania tajemnicy. Pojawiła się możliwość, iż to Wasza Eminencja, a nie hrabia, był prawdziwym celem zabójcy. Jestem tutaj, by ostrzec Waszą Eminencję przed niebezpieczeństwem, na jakie może być narażony, przebywając w zamku.

- Mój synu, unikałem śmierci więcej razy, niż mógłbym zliczyć - odparł arcybiskup spokojnie. - Nikt nie osiąga w Kościele takiej pozycji jak moja, nie zyskując równocześnie wrogów... w każdym razie, jeśli rzetelnie wypełnia swoje obowiązki. Ale sam widziałeś, że mam dobrą ochronę, więc tylko wyjątkowo zdeterminowany morderca mógłby mnie dosięgnąć. Jednakże bardzo mnie trapi, że ktoś inny mógł zginąć zamiast mnie. Czy masz na to jakikolwiek dowód?

Leonardo pokręcił głową.

- Niestety, nie. Jak powiedziałem, to tylko możliwość, którą badamy. - Sięgnął pod tunikę, wydobył oba rysunki i rozwijając je, położył na stole. - Czy Wasza Eminencja wyświad-

czyłby mi tę uprzejmość i zerknął na te szkice?

155

Arcybiskup przyglądał im się chwilę.

- Doprawdy wspaniała robota. - Uśmiechnął się i podniósł portret Renalda. - Zwłaszcza na tym rysunku doskonale pokazałeś wewnętrzną walkę. Ów młody człowiek wydaje się grzesznikiem rozpaczliwie potrzebującym zbawienia.

Nieoczekiwana pochwała mojego dzieła sprawiła, że zarumieniłam się z radości - wszak arcybiskup założył, że to Leonardo jest autorem obu szkiców. Przez twarz Mistrza przemknął cień urażonej dumy. Słyszałam od któregoś z kolegów, że kiedy Leonardo sam był terminatorem, prześcignął biegłością w posługiwaniu się pędzlem swego mistrza, ten zaś poprzysiągł wówczas już nigdy więcej nie malować. Zastanawiałam się, czy i on wspomina tamto wydarzenie.

Ku mojemu zaskoczeniu Mistrz powiedział:

- Cóż, tak się składa, Wasza Eminencjo, że ten akurat szkic wyszedł spod ręki mojego pazia, Dina, który, przyznaję, ma pewien talent... Ale przejdźmy do ważniejszych spraw. Obaj młodzi ludzie na rysunkach są zatrudnieni w zamku i mogą mieć jakiś związek ze śmiercią hrabiego Ferrary. Czy przypominasz sobie, Eminencjo, byś widział któregoś z nich w czasie pobytu

tutaj?

Arcybiskup spojrział jeszcze raz na szkice i pokręcił głową.

- Żaden nie wydaje mi się znajomy.

- A co Wasza Eminencja powie o tym? - spytał Mistrz, wyjmując z sakiewki figurkę i stawiając ją obok rysunków.

Arcybiskup sięgnął po figurkę.

- A zatem grasz w szachy, Leonardo - rzekł. - To dobrze, bo trudno mi znaleźć godnego przeciwnika, tym bowiem, którzy mają ochotę ze mną grać, brakuje albo talentu, albo woli, by mnie pokonać. Może ty podejmiesz wyzwanie?

- Będę zaszczycony, mogąc zagrać z tobą, Eminencjo - odparł Mistrz z lekkim ukłonem - ale powiedz mi, czy widziałeś kiedykolwiek wcześniej tę figurkę?

- To królowa, nieprawdaż? - arcybiskup obrócił figurkę w dłoni. - Ze sposobu, w jaki została wyrzeźbiona, wnoszę, że

156

pochodzi z Arabii albo z Hiszpanii. Jest urocza w swej prostocie... ale nie, nie widziałem jej.

Oddał figurkę Leonardowi, który schował ją i oba rysunki i jeszcze raz się uklonił.

- Dziękuję za poświęcony mi czas, Eminencjo. Nie będę cię więcej niepokoił, chciałbym tylko prosić, byś nie opuszczał

swoich pokojów bez ochrony, dopóki nie odkryjemy, kto jest odpowiedzialny za zamordowanie kuzyna księcia.

- Wezmę pod uwagę twoją radę i będę się modlił o szybkie rozwiązanie tej smutnej sprawy - odparł arcybiskup i ponownie podsunął dłoń do ucałowania.

Kilka chwil później jego sekretarz odprowadzał nas korytarzem.

- Całkiem dobrze gram w szachy - zapewniał Mistrza. - Jeśli więc regularnie przegrywam z Jego Eminencją, to nie z braku umiejętności. Po prostu wolą Bożą jest, by Jego Eminencja wygrywał.

- Niewątpliwie - rzekł Leonardo, a ja dostrzegłam błysk rozbawienia w jego oczach. - Ale powiedz arcybiskupowi, że chętnie podejmę wyzwanie w dogodnym dla niego terminie.

Rozstawszy się z księdzem, przeszliśmy tym samym co poprzednio ciągiem połączonych pomieszczeń pełnych strażników, aż znaleźliśmy się na dziedzińcu. Tam Mistrz zatrzymał się i powiedział:

- Spełniliśmy nasz obowiązek, ostrzegając arcybiskupa przed niebezpieczeństwem, jakie może mu grozić. Szkoda, że nie miał żadnych użytecznych informacji o podejrzanych w sprawie zabójstwa hrabiego. - Zawiesił głos, po czym dodał

z uśmiechem: - A może ty zauważyłeś coś, co ja przeoczyłem, skoro według Jego Eminencji jesteś ekspertem w rozpoznawaniu wewnętrznej walki?

Pokręciłam przecząco głową.

- Nie. Arcybiskup wydał mi się szczerym i świętym człowiekiem. Jestem pewien, że nic nie wie o żadnym spisku na

157

jego życie ani nie zna powodu, dla którego ktoś miałby zamordować kuzyna księcia.

- Musimy zatem przejść do następnej osoby z naszej listy. To hrabina di Malvoral. Wprawdzie mieszka wraz z mężem w willi pod miastem, ale że należy do rodziny księcia, ma swoje pokoje tutaj, w zamku.

Na mojej twarzy musiał odmalować się niepokój, Mistrz bowiem rzekł:

- No tak, to przecież dama, którą podejrzewasz o jakieś niegodziwości. Ale odsuń od siebie wszelkie nieprzychylne myśli o niej. Nie możemy pozwolić, by emocje wywierały na nas wpływ w obliczu dowodów, jakie możemy znaleźć.

- Nie oskarżam jej - zapewniłam - czuję jednak dziwny niepokój, będąc blisko tej damy. Co będzie, jeśli przypomni sobie, że widziała mnie przebranego za biskupa?

Strzelił niecierpliwie palcami.

- Nie martw się, Dino. Osoby o jej pozycji nie zwracają uwagi na niższych rangą. A nawet gdyby przypadkiem na ciebie zerknęła, zapewne nie potrafiłaby cię odróżnić od jakiegokolwiek innego ze służących w zamku. Co zaś najważniejsze, nie skojarzyłaby cię z żadnym z dworzan uczestniczących w grze.

Skinęłam niepewnie głową. Mimo jego nieprzychylniej oceny arystokratów czułam, że hrabina różni się od wszystkich innych. Byłam pewna, że zna imiona i twarze wszystkich służących wokół niej. Nie miałam też wątpliwości, że potrafiłaby sobie przypomnieć spotkanie z każdym z ludzi nienależących do jej najbliższego kręgu... zwłaszcza z rzekomym arystokratą, który w rzeczywistości nie był arystokratą, lecz nosił przebranie biskupa.

Dlatego z obawą poszłam za Mistrzem do skrzydła zamku, w którym mieszkała rodzina księcia. Tak jak na rozciągającym się przed nim dziedzińcu, w komnatach trwała nerwowa krzątania - jak zwykle bywa w przypadku ludzi, których okoliczności zmuszają do pozostania gdzieś dłużej, niż planowali.

158

Rozmowy były głośniejsze niż zwykle, zachowanie wydawało

się wymuszone. A najbardziej cierpieli służący, bo to na nich spadał ciężar złego humoru ich pań i panów.

Zobaczyliśmy potwierdzającą to scenę, kiedy zbliżyliśmy się do komnat hrabiny. Służąca, niewiele starsza ode mnie, wypadła przez drzwi, do których mieliśmy właśnie zapukać. Czepek miała przekrzywiony, a z jej podpuchniętych oczu płynęły łzy. Przyczyna płaczu była oczywista - na policzku dziewczyny widniał czerwony ślad szczupłej dłoni.

Służąca zniknęła w korytarzu, zanim zdążyliśmy jej pomóc czy choćby ją pocieszyć. Zauważyłam, że Leonardo spochmurniał, i mimo oburzenia poczułam ulgę. Oto ujrzeliśmy na własne oczy świadectwo okrucieństwa hrabiny. Mistrz, uzbrojony w tę wiedzę, chętniej weźmie pod uwagę możliwość udziału kobiety w zabójstwie hrabiego.

Bez słowa zapukał do drzwi i po chwili ostry głos z wnętrza polecił nam wejść. Wzięłam głęboki oddech i wkroczyłam za nim do komnaty z tym samym uczuciem niepokoju, jakiego doznawałam, wchodząc poprzedniego dnia do grobowca.

Znaleźliśmy się w pomieszczeniu bez okien, lecz urządzeniem nieco wygodniej niż komnata arcybiskupa. Drewniane krzesła, wyposażone w poduszki ze złotego brokatu, stały po jednej stronie pokoju, a naprzeciwko nich znajdował się niski stół zastawiony misami kwiatów i owoców. Zobaczyłam też

szachownicę, choć stojące na niej figury były mniejsze i bardziej ozdobne niż zestaw, z którego pochodziła nasza królowa. Przy stole stała szeroka, wyłożona poduszkami ława otoczona złocistymi zasłonami wysokości człowieka; lokator komnaty mógł zaznać tu chwili odpoczynku w ciągu dnia.

Arrasy na ścianie za stołem były jaśniejsze i o weselszej tematyce niż te w komnacie arcybiskupa, były obszyte złotym sznurem i frędzlami. Przeciwległą ścianę zajmował ogromny kamienny kominek, niewątpliwie bardzo użyteczny w chłodnych zimowych miesiącach. Za kominkiem znajdowały się wąskie drzwi, prowadzące zapewne do sypialni.

159

Patrzyliśmy wyczekująco na owe drzwi, spodziewając się, że wyjdzie z nich hrabina; dlatego oboje przeżyliśmy zaskoczenie, kiedy zasłony otaczające ławę zafalowały i spod draperii wysunęła się bosa stopa. W ślad za nią pojawiła się noga, smukła i biała na tle złocistej tkaniny. Wreszcie zasłony się rozsunęły i ujrzeliśmy hrabinę di Malvoral we własnej osobie.

Wciąż była ubrana do snu - miała na sobie tylko przezroczystą białą suknię, która wydawała się przylegać do każdej krzywizny jej zgrabnego ciała. Zarumieniłam się w jej imieniu. W złote włosy, ogolone powyżej linii czoła i odsłonięte, miała

wplecione wstążki, jakby była niezamężną dziewczyną. Mimo to wyglądała na starszą i bledszą, niż zapamiętałam. Zastanawiałam się, czy używa kosmetyków, czy jakichś innych sztuczek, by wyglądać młodziej.

Jedynym, co nie zmieniło się w jej wyglądzie, były oczy. W tak jasnym odcieniu błękitu, że wyglądały jak lód, skrzyły się inteligencją i złośliwością. Nic w ich wyrazie nie wskazywało, by czuła się nieswojo z powodu tego, że obcy mężczyzna ogląda ją w niekompletnym stroju. Wręcz przeciwnie, ze sposobu, w jaki koniuszkiem różowego języka przesunęła po pełnych wargach, z konsternacją wywnioskowałam, że bawi ją ta sytuacja.

Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od Mistrza.

- Cóż za zaszczyt, sam wielki Leonardo tu, w mojej komnacie - powiedziała, a mi wydało się, jakby jej zimny głos owinał się wokół nas niczym wąż z herbu Sforzów. - Ludovico ostrzegł mnie, że możesz złożyć mi wizytę. Musisz mi wybaczyć tak nieformalne powitanie. Obawiam się, że w pobliżu nie ma służącej, która mogłaby zapowiedzieć twoje przybycie.

- Tak, widzieliśmy, jak wychodzi - odparł Mistrz równie chłodno. - Wyglądało na to, że spotkała ją jakaś przykrość. Hrabina przybrała zboląły wyraz twarzy, a jej usta zadrżały.

- To był zaiste bardzo nieprzyjemny incydent. Ona i moja

szwaczka pokłóciły się o jedną z moich sukien i biedna Anna wyszła na tym najgorzej. Oczywiście odprawię szwaczkę.

160

Podejrzewałam, że jej opowieść o kłótni służących jest zmyślona, a nieszczęsna Anna padła ofiarą samej hrabiny. Nie potrafiłam odczytać z wyrazu twarzy, czy Leonardo uwierzył w tę historię. Tak czy inaczej, nic więcej nie zostało powiedziane na ten temat, gdyż hrabina usiadła na ławie i spytała:

- Jaką sprawę może mieć do mnie nadworny wynalazca Ludovica?

- Jestem tu na życzenie księcia, który chce się dowiedzieć, kto zamordował jego kuzyna, i powierzył mi zebranie wszelkich informacji na ten temat.

Hrabina uniosła cienkie, jasne brwi.

- Jak zapewne wiesz, Orlando był również moim kuzynem. Ja także życzę sobie schwytania jego zabójcy, chociaż obawiam się, że nie potrafię odgadnąć, kto mógłby nim być.

- Nim albo nią - poprawił ją Mistrz. - Lecz może w takim razie zechciałabyś, pani, opowiedzieć mi nieco o hrabi. Czy miał ostatnio jakieś sekrety? Albo wrogów?

- Każdy człowiek ma wrogów. Powinieneś o tym wiedzieć, drogi Leonardo. - Wzruszyła ramionami, a ten ruch sprawił,

że suknia zsunęła się z jej ramion niebezpiecznie nisko. - Co się zaś tyczy sekretów, Orlando był wyjątkowo nieskomplikowanym człowiekiem... prawdę mówiąc, po prostu głupim. Nie miał pojęcia o sekretach, umiał się tylko uśmiechać i ładnie wyglądać. Nie rozumiem, dlaczego Ludovico wpadł na pomysł mianowania go posłem.

- Być może właśnie z tego powodu - odparł Mistrz. - Rozumiem, że twój mąż, hrabia di Malvoral, miał przyjąć tę funkcję, lecz zastąpił go Orlando. Czy żałował utraty stanowiska na tyle, by zaryzykować wiele dla jego odzyskania?

W perlistym śmiechu hrabiny zabrzmiała ledwie słyszalna ostra nuta.

- Sugerujesz, że mój mąż zabił Orlanda, aby samemu zostać posłem? Możesz spać spokojnie; on nie ma najmniejszej ochotyjechać do Francji. Wolałby zostać w swojej willi albo tutaj, na dworze Ludovica... gdziekolwiek, gdzie mógłby mieć na mnie oko.

161

Wstała, wdzięcznym krokiem podeszła do stołu i sięgnęła po małą kiść winogron.

- Nie twierdzę, że podejrzenia mojego męża są całkiem bezpodstawne. Przyznaję, nie jestem tak wierną żoną, jak powinnam, lecz taki jest smutny los kobiety poślubionej męż-

czyźnie w podeszłym wieku. Wolę mężczyzn młodszych i bardziej atrakcyjnych. Mniemam, że potrafisz to zrozumieć - dodała z lekkim uśmiechem i włożyła do ust ciemnoczerwony owoc.

Widząc sok o barwie wina na jej bladych wargach, poczułam dziwny ucisk w dole brzucha. Podejrzewałam, że hrabina pożera mężczyzn tak samo jak winogrona... bez troski i w ogromnych ilościach. Modliłam się, by Mistrz okazał się w tych sprawach przezorniejszy niż większość przedstawicieli jego płci i nie padł ofiarą jej oczywistego podstępu.

Z westchnieniem satysfakcji dokończyła winogrona, zbliżyła się do Mistrza i obeszła go dookoła. Teraz nie przypominała węży, lecz lwicę prowokującą samca.

- Może chciałbyś namalować mój portret - rzekła, kładąc białą dłoń na jego rękawie, podczas gdy ja przyglądałam się temu z narastającym niepokojem. - Wprawdzie w tym celu musiałbyś spędzić sporo czasu sam na sam ze mną w mojej komnacie, ale mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, by sam wielki Leonardo mnie namalował.

- Mistrz jest zajęty wykonywaniem zamówień księcia - wypaliłam bez zastanowienia i aż wstrzymałam oddech przerażona własną śmiałością. Rozpaczliwie pragnęłam cofnąć te słowa, lecz nieszczęście już się stało. Z pewnością zostanę od-

prawiona za tę bezczelność, pomyślałam, patrząc strapiona na czubki swoich butów.

Leonardo jednak wzruszył ramionami i powiedział:

- Obawiam się, że Dino ma rację, chociaż odezwał się niepytany. Ale bądź pewna, pani, że schlebia mi twoje zainteresowanie. Może kiedy książę znuży się moją obecnością, mój czas będzie znowu należał do mnie.

162

- Być może... - Zalotny uśmiech hrabiny stał się zimny, kiedy spojrzała na mnie. - Masz pięknego pazia - rzekła, lustrując mnie wzrokiem od stóp do głów. - Wydaje mi się dziwnie znajomy. Powiedz mi... Dino, prawda?... czy masz może brata, który służy w zamku?

- Nie, hrabino - odpowiedziałam, siląc się na spokój, choć przeszedł mnie zimny dreszcz. - Tylko ja z całej mojej rodziny jestem w zamku.

- Doprawdy? Jestem pewna, że widziałam cię już wcześniej, choć nie w towarzystwie twego Mistrza. - Podeszła do mnie tym samym kocim krokiem, którym wcześniej zbliżyła się do Leonarda.

Ze wszystkich sił starałam się nie wzdrygnąć, gdy uniosła smukłą dłoń i pogładziła mnie po włosach. Stałam ze spuszc-

czonym wzrokiem, mając nadzieję, że mój strój pазia jest na tyle okazały, by odsunąć od niej wszelkie wspomnienia mnie w kostiumie biskupa albo w tunice służącego.

- Czy zechciałabyś, hrabino, zaspokoić moją ciekawość - Mistrz przerwał jej podchody - i powiedzieć, skąd masz to pudełko?

Kiedy ona była zajęta nękaniami mnie, dostrzegł coś, czego nie zauważyłam na obficie zastawionym stole: złotą szkatułkę wysadzaną perłami i różnobarwnymi kamieniami. Na wieczku zobaczyłam dziurkę od klucza, na tyle małą, że mógł do niej pasować kluczyk ukryty w figurce królowej. Czy to może być poszlaka wskazująca na winę hrabiny?

Leonardo od niechcienia podniósł szkatułkę. Odebrała mu ją zwinnym ruchem i odparła:

- Ach, to tylko błyskotka, którą dostałam od Ludovica na ostatnie święta Bożego Narodzenia. Może i jest wiele warta, lecz mi zawsze wydawała się jarmarczna. Chyba wielki Leonardo nie uważa czegoś tak pospolitego za interesujące?

Mistrz się uśmiechnął.

- Wydawało mi się, że rozpoznałem robotę mojego przyjaciela z młodości. Ale nie zajmujmy się drobiazgami, gdyż

mamy do omówienia znacznie ważniejsze sprawy. Czy pozwolisz, pani, że pokażę ci kilka przedmiotów, które mogą mieć związek ze śmiercią hrabiego?

- Naturalnie - odparła swobodnie, choć na jej twarzy zagrościł na mgnienie oka wyraz niepewności. Zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił, i hrabina sięgnęła do misy po kolejną kiść winogron.

Mistrz wyjął zza pazuchy szachową królową i położył ją na dłoni.

- Zauważyłem, że grasz, pani, w szachy - powiedział. - Wszedłem w posiadanie tej figury całkiem niedawno. Sądzę, że mogła zostać skradziona, być może jednemu z gości księcia. Czy przypadkiem nie należy do ciebie?

- Jest nieciekawa - rzekła z pogardliwym wzruszeniem ramion. - Gdyby więc była moja, z radością przyjąłabym jej stratę. Ale nie, nie należy do mnie.

Usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, schował figurkę i wyjął oba rysunki. Rozwijając je, powiedział:

- To portrety dwóch młodych ludzi, którzy pracują w zamku. Czy rozpoznajesz, pani, któregoś z nich?

Obrzuciła spojrzeniem szkice i pokręciła głową.

- No cóż, nie mam wprawdzie zwyczaju rozmawiania ze służącymi, ale jestem pewna, że ich nie znam. A dlaczego py-

tasz? Czyżbyś sądził, że któryś z nich zabił Orlanda? - Zmrużyła bladoniebieskie oczy.

- Znaleźli się na liście podejrzanych, obaj więc są trzymani pod kluczem na rozkaz księcia i jest tylko kwestią czasu, nim wyznają prawdę.

Jeśli miał nadzieję, że tym kłamstwem zdoła skłonić ją do jakiegoś wyznania, zawiódł się, gdyż hrabina tylko wzruszyła ramionami.

- Odrobina perswazji nie byłaby od rzeczy - podsunęła, a ja aż zadrżałam na myśl o tym, jaka jest jej definicja słowa „perswazja”. - Mam nadzieję, że szybko się przyznają i kuzyn Ludovico pozwoli nam opuścić to przeklęte miejsce. Wolą-
164

bym przebywać w willi mojego męża niż tutaj, zamknięta jak w więzieniu.

- Jestem pewien, że sprawa rozwiąże się w ciągu najbliższych dni, a może nawet godzin - zapewnił ją uprzejmie Leonardo, składając rysunki i chowając je pod tunikę. - Teraz zaś, skoro nie potrafisz, pani, dodać nic więcej na temat ostatnich poczynań swego kuzyna, przestaniemy cię niepokoić. Może w następnej rozmowie poruszymy przyjemniejsze tematy.

- To, mój drogi Leonardo, zależy wyłącznie od ciebie - od-

parła, na powrót przyjmując zalotny wyraz twarzy. - Twoja wizyta będzie mile widziana o każdej porze dnia i... nocy.

Odprowadziła nas do drzwi, a gdy odchodziliśmy, wydawało mi się, że czuję na sobie spojrzenie jej bladoniebieskich oczu. Może to wrażenie nie było bezpodstawne, kiedy bowiem zamykała za sobą drzwi, usłyszałam jej śmiech. Brzmiała w nim ostra nuta, przywodząca na myśl dźwięk tłuczonego szkła.

- Jestem pewna, mój drogi Dino, że skądś cię znam! - zawołała do mnie słodkim głosem. - Bądź pewien, że to tylko kwestia czasu, nim sobie przypomnę, gdzie się spotkaliśmy.

12

Nie daj się zwabić jaskrawym kolorom ani lśniącym klejnotom niczym sroka. Patrz na to, co jest trwałe, jak czyni kruk.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

Przypuszczałam, że po niefortunnej wizycie u hrabiny di Malvoral udamy się do następnego wielmoży z listy Leonarda.

Byłam więc zaskoczona, kiedy Mistrz skierował się na główny dziedziniec. Po wczorajszym deszczu niebo nad ogromnym czworobokiem było czyste jak na jednym z jego fresków, choć

165

w gorącym powietrzu wisiało coś dusznego, zapowiadającego

kolejną burzę. Zaczęłam się pocić w moim stroju pazia.

Mistrz zatrzymał się przy kamiennej ławie na tyle oddalonej od okien i drzwi, byśmy mogli rozmawiać swobodnie, i dał mi znak, żebym usiadła obok niego. Przez kilka chwil nie przerywał milczenia, wpatrując się w portrety służących, ja zaś próbowałam sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów z rozmów, które odbyliśmy do tej pory.

Byłam pewna, że arcybiskup nie wie nic na temat obu morderstw. Czy to on, a nie hrabia, miał być ofiarą, mogliśmy tylko zgadywać. Co się tyczy hrabiny, wewnętrzny głos podpowiadał mi, że jest w jakiś sposób powiązana z tą zbrodnią. Niestety, spotkanie z nią nie przyniosło żadnych efektów poza informacją, że hrabina jest właścicielką szkatułki, do której może pasować kluczyk ukryty w figurce królowej.

Tak w każdym razie myślałam. Kiedy jednak Mistrz wreszcie się odezwał, jego pierwsze słowa brzmiały:

- Nie wiem, czy hrabina di Malvoral miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią jednego chłopca i zniknięciem drugiego, ale to, że obu znała, nie ulega wątpliwości.

- Skąd ta pewność, Mistrzu? - spytałam zaskoczona.

Zwinął rysunki i włożył je pod tunikę.

- Ależ to proste, drogi chłopcze. Kiedy pokazałem jej szkice, hrabina nazywała obu młodych ludzi służącymi, chociaż

my ani słowem nie wspomnieliśmy, czym się zajmowali, a na portretach nie ma żadnych charakterystycznych elementów, które pozwoliłyby to określić. Równie dobrze mogliby być stajennymi lub moimi terminatorami. Skoro zatem wiedziała, kim byli, musiała ich znać osobiście.

- A co ze szkatułką, którą widzieliśmy? I figurką królowej?

- Nie sędzę, żeby figurka należała do niej. Obserwowałem hrabinę bardzo uważnie i nic w jej zachowaniu nie wskazywało ani na to, że kłamała, ani na to, że figurka wzbudziła jej zainteresowanie. - Zawiesił głos i spojrzał na mnie badawczo. -

Dobrze poznałem ludzką naturę i anatomię i wiem, jak ludzie
166

reagują, kiedy mają coś do ukrycia. Tych, którzy kłamią, zdradzają pewne oznaki fizyczne, choćby doskonale umieli kontrolować swą mimikę. Na przykład następuje wtedy mimowolne rozszerzenie źrenic...

Omówił inne tego rodzaju oznaki, ja zaś kiwałam głową, a w duchu drżałam z obawy. Czy chciał mnie ostrzec, że wie, iż skrywam jakiś sekret? Czy z którejś z moich reakcji domyślił się, że nie zawsze jestem z nim szczerą?

Jeśli nawet tak, nie wyjawiał tego, lecz kontynuował wykład:

- Sprawa szkatułki przedstawia się inaczej. To pudełko zawiera coś, czego hrabina nie chce ujawnić. Może będę musiał wrócić do jej komnaty dziś w nocy i sprawdzić, czy klucz pasuje do zamka.

Niepewna, czy ostatnie słowa Leonarda należy rozumieć dosłownie, czy metaforycznie, i modląc się gorąco, by prawdą było to drugie, powiedziałam:

- Bądź ostrożny, Mistrzu, aby nie okazało się, że twój klucz otworzy coś, czego wolałbyś nie znaleźć.

Patrzył na mnie zaskoczony, po czym wybuchnął śmiechem.

- Mój drogi chłopcze, gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że jesteś zazdrosny. Nie obawiaj się, nie zamierzam pozwolić, by ta kobieta schwytała mnie w swoje sidła.

Po chwili spoważniał.

- Chodź, Dino. Są jeszcze inni, z którymi powinienem porozmawiać, zanim zrobi się późno. - Odsunął rękaw, by zerknąć na swój ręczny zegar, ja zaś zadowoliliłam się spojrzeniem na słońce. - Ciebie też czeka ważne zadanie, które należy wykonać jak najszybciej.

Sięgnąwszy do sakiewki, wyjął z niej garść florenów i mały kawałek papieru, które położył mi na dłoni.

- Wobec książęcego zakazu opuszczania zamku zaczyna nam brakować materiałów do pracy - wyjaśnił. - Oto lista
167

potrzebnych rzeczy i pieniądze, które powinny wystarczyć na ich kupno. Przekazałem już wiadomość strażnikom przy bramie, że na kilka godzin wyjdiesz poza mury. Weź ze sobą yitoria i udajcie się na targowisko. Kiedy wrócisz, powiem ci o wszystkim, czego się dowiem w czasie twojej nieobecności.

Wstał i odszedł, zostawiając mnie z monetami i kawałkiem papieru oderwanym z jakiegoś starego szkicu.

Każdy człowiek wypisałby w kolumnie, co jest potrzebne i w jakiej ilości. Lista Mistrza wyglądała zupełnie inaczej. Składała się z notatek rozrzuconych po całej kartce, a w dodatku sporządzonych jego odwróconym pismem. Chwilę więc trwało, zanim je odczytałam.

„Wapno, worek takiej wielkości, żeby był poręczny”. „Hematyt, tuzin kawałków w możliwie najciemniejszym odcieniu, każdy wielkości męskiej pięści, lazuryt, ta sama ilość, podobnej wielkości, uważając, żeby były czyste”. Dwie ostatnie substancje miały zostać zmielone na marmurowej płycie Mistrza, a następnie dodane do wapna zmieszanego z wodą.

„Skóry zwierzęce, tyle, ile da się unieść”. Wiedziałam, że

będą gotowane, by sporządzić klej do stiuku.

Pozostałe pozycje na liście były opisane równie niejasno.

Potrzebowaliśmy dużego kosza, żeby móc wszystko przenieść, ja zaś musiałam się przebrać, zanim wyruszę na poszukiwanie Vittoria. Gdybym pojawiła się przed innymi uczniami ubrana tak bogato, pytaniom i domysłom nie byłoby końca.

Kilka minut później znowu miałam na sobie starą brązową tunikę i zielone pończochy. Piękny nowy strój starannie złożyłam i ukryłam pod posłaniem, po czym udałam się do jadalni, gdzie uczniowie pracowali nad przygotowaniem ściany pod fresk.

Constantin kierował swoją małą armią ze szczytu szerokiego drewnianego rusztowania, które zostało ustawione poprzedniego dnia. Weszłam do niego po drabinie, uważając, by nie omsknęła mi się noga. Słyszałam wszak o uczniach, którzy nie zachowali należytej ostrożności i ciężko się poranili lub nawet

168

zabili, spadając z takiej wysokości. Nie zamierzałam powiększyć ich liczby.

Constantin przywitał mnie radośnie i tylko nieznacznie zmarszczył brwi, kiedy powiedziałam mu o moim zadaniu.

- To prawda, potrzebujemy materiałów - przyznał - cho-

ciaż wolałbym, żebyście obaj pomagali tutaj. Ale będzie tak, jak sobie życzy Mistrz.

Zawołał Vittoria, który z kilku innymi chłopcami wybierał z gipsu zanieczyszczenia oraz kamyki, i skierował go do mnie. Radość młodego terminatora z możliwości przerwania nużącej pracy i powłóczenia się po targowisku okazała się zaraźliwa - ja też byłam w pogodnym nastroju, kiedy po raz drugi tego dnia wyszłam przez zamkową bramę.

- Myślisz, że zdążymy zobaczyć zonglerów? - spytał pod-ekscytowany Vittorio.

Pchaliśmy nasz wózek wąskimi brukowanymi uliczkami w stronę głównego placu, gdzie odbywało się targowisko. Vittorio z trudem równo utrzymywał swoją stronę wózka, bo z podniecenia podskakiwał raz po raz jak niesforny szczeniak.

- Nie dzisiaj - odparłam, z żalem kręcąc głową. - Mistrz i Constantin potrzebują nas w pracowni jak najszybciej. Mamy tylko tyle czasu, żeby kupić wszystko z listy, potem musimy wracać do zamku.

Wyglądał na przygnębionego, dodałam więc:

- Ale będziesz mógł zostać przy wózku i przez chwilę popatrzeć, gdy ja pójdę do aptekarza.

Odpowiedział szerokim uśmiechem, od którego i mnie zrobiło się wesoło.

Turkot kół na bruku odbijał się echem od domów wznoszących się po obu stronach ulicy. Znajdowały się tak blisko siebie i były tak wysokie, że niemal przesłaniały niebo; tylko wąski pasek błękitu przebijał się między rzędami bielizny suszącej się na sznurach przeciągniętych w poprzek uliczki. Gdy zbliżyliśmy się do placu, odgłos naszego wózka zagłuszyły głosy kupców zachwalających swoje towary, śmiechy i okrzyki klientów, a niekiedy płacz dzieci.

169

Chociaż Vittorio dreptał tuż obok mnie, normalna rozmowa była niemożliwa. On jednak nie przejmował się, gdy udzielałam zdawkowych odpowiedzi, zadowolony samą możliwością oderwania się od obowiązków na godzinę czy dwie. Pozwoliłam mu paplać beztrosko, sama zaś wróciłam myślami do tego, co powiedział Leonardo, kiedy ostrzegłam go przed hrabiną.

„Zazdrosny”, rzekł głosem pełnym rozbawienia. Na samo wspomnienie paliły mnie policzki, zabrzmiało to bowiem, jakby Mistrz sugerował, iż za moją troską o niego kryje się coś więcej. Byłam pewna, że ta kobieta przyłożyła rękę do śmierci hrabiego. Przecież sam Leonardo przyznał, że znała obu służących. Czy mogłam więc dojść do wniosku innego, niż ten, że jej zainteresowanie Mistrzem nie doprowadzi do niczego dobrego? On musi rozumieć, że chodzi mi wyłącznie o jego dobro.

Zazdrość oznaczałaby jakieś inne, głębsze uczucia... których z całą pewnością wobec niego nie żywiłam!

Odsunęłam od siebie te myśli i skupiłam na tym, co mnie otaczało. Zgiełk ogarnął mnie niczym fala oceanu. Kolory wokół mnie były bogate jak na palecie malarza: jaskrawe flagi i śnieżnobiałe prześcieradła powiewające na balkonach; młodzi eleganci w wielobarwnych pończochach oraz czerwonych, żółtych i zielonych tunikach; lśniące jak klejnoty owoce i warzywa wysypujące się z beczek oraz koszy; jednym słowem, oszałamiająca tęcza odcinająca się od kojącego tła rdzawych budynków.

Wzięłam głęboki oddech i pozwoliłam, by ogarnęły mnie równie przytłaczające aromaty świeżych kwiatów, chleba i dymu... a także mniej przyjemne wonie gotowanej cebuli, łajna i rozkładających się śmieci. Jakie to dziwne, że każde miasto ma własny, wyjątkowy zapach. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo brakuje mi życia w mieście.

My, terminatorzy, rzadko opuszczaliśmy teren zamku, z wyjątkiem dni świątecznych. Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy byłam na targowisku od przybycia do Mediolanu. Wychodziłam tylko w towarzystwie Constantina i innych

kolegów, i tylko w celu kupienia czegoś na polecenie Mistrza.

Ale chociaż nie mogliśmy kręcić się po mieście, każda taka wycieczka była wspaniałą przygodą.

Nim dotarliśmy na targowisko, zdążyłam przywyknąć do zgiełku. Zawołałam do Vittoria, by szedł za mną.

W warsztacie wytwórcy świec znaleźliśmy воск... „wystarczającą ilość, by przyczepić do ściany liczne szablony”. W garbarni kupiliśmy paczkę cuchnących skór niewiadomego pochodzenia, które jednak nadawały się do naszych celów. Garbarz miał też duży wybór świńskiej szczeciny, „białej, na najlepsze pędzle”, którą także nabyliśmy. Załadowaliśmy wszystko do kosza i ruszyliśmy w stronę apteki.

- Zobacz, tam są żonglerzy! - zawołał Vittorio, dostrzegłszy trójkę karłów w wielobarwnych kostiumach, żonglujących różnymi przedmiotami przed zachwyconym tłumem. - Proszę, Dino, obiecałeś!

Żonglerzy byli tak sprawni, że sama z trudem oderwałam od nich wzrok. Niechętnie zostawiłam chłopca, polecając mu mieć baczenie na wózek i skierowałam się do sklepu aptekarza, położonego tuż przy placu. Aptekarz, łysiejący mężczyzna o poczerniałych zębach, zaliczał Leonarda do swoich najlepszych klientów, ilekroć jednak przychodziło do kupowania minerałów, próbował go oszukiwać, dając towar najgorszej jakości.

- Nie rozumiem, dlaczego mi nie ufasz - jęczał żałośnie, gdy każdy kawałek podnosiłam do światła, by lepiej mu się przyjrzeć.

Głucha na jego narzekania, bezlitośnie odrzucałam kawałki zawierające zbyt dużo zanieczyszczeń. Po krótkim targowaniu się o cenę - czego nauczyłam się od matki - zapłaciłam i z paczkami w rękach wyszłam na ulicę.

W pierwszej chwili nie zobaczyłam ani Vittoria, ani wózka. Zdrętwiałam z przerażenia, a serce biło mi jak oszalone, czyżby Vittoria spotkał taki sam los, jak nieszczęsnego Lorenza? A może leży martwy w jakiejś uliczce z nożem sterczącym z piersi, jak hrabia?

171

Wtedy tłum rozstał się na moment i dostrzegłam Vittoria kilka metrów od miejsca, w którym go zostawiłam. Oparty o wózek, zanosił się śmiechem i klaskaniem nagradzał sztuczki żonglerów. Odetchnęłam z ulgą. Napotkawszy jego spojrzenie, gestem kazałam mu wracać. Odegrał małą pantomimę, prosząc, byśmy jeszcze chwilę zostali, kiedy jednak pokręciłam głową, posłusznie chwycił wózek i zaczął go pchać w moją stronę.

Patrząc, jak Vittorio się do mnie zbliża, poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Błyskawicznie spojrzałam w tę stronę, ale zo-

baczyłam tylko kłębiący się tłum, z którego nikt się nie wyróżniał. I wtedy, gdy znowu się odwracałam, dostrzegłam kątem oka znajomą twarz.

Wstrzymałam oddech i zamrugałam. Twarz zniknęła tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę ją widziałam. Ale trudno było pomylić z kimś innym rudowłosego młodzieńca o grubych rysach i pełnych ustach, z wyraźnym wyrazem okrucieństwa. To musiał być Renaldo. Zatem żyje. Czy jakimś cudem zdołał uciec przed mordercą Lorenza? A może to on i Lorenzo zabili hrabiego i Renaldo, próbując uniknąć kary, skatował kolegę i porzucił go na pewną śmierć, sam zaś wymknął się z zamku?

Niezależnie od tego, jaka była jego rola, wrogie nastawienie do mnie nie budziło wątpliwości. Byłam tak skupiona na tym, by ponownie wypatrzyć go wśród tłumu, że zapomniałam o Vittoriu. Gdy chłopiec chwycił mnie za ramię, krzyknęłam i omal nie wypuściłam paczek z minerałami, o które tak zaciekle się targowałam.

- Na co patrzysz? - spytał, rozglądając się dookoła i próbując zobaczyć coś niezwykłego w otaczającym nas tłumie.

Zastanawiałam się chwilę, co odpowiedzieć. Nie mogłam wyjawić Vittoriowi całej prawdy, ale skoro Renaldo widział go ze mną, uznałam, że będzie bezpieczniej, jeśli chłopiec się do-

wie, że jesteśmy obserwowani, a może nawet śledzeni. Krótko mówiąc, nie chciałam ani narażać Vittoria na niebezpieczeństwo, ani niepotrzebnie go straszyć.

172

- Nic takiego - odparłam więc. - Wydawało mi się, że zobaczyłem kogoś z mojego miasta, ale musiałem się pomylić.

Powrót do zamku przebiegł bez żadnych przygód, chociaż co kilkanaście kroków oglądałam się za siebie, by sprawdzić, czy Renaldo przypadkiem nie pojawił się znowu. Vittorio, zaabsorbowany opowiadaniem o sztuczkach żonglerów, nie zwrócił uwagi na moje zaniepokojenie. I całe szczęście. Gdyby bowiem zapytał jeszcze raz, wtajemniczyłabym go we wszystko.

Jedyną dramatyczną chwilę przeżyliśmy przy bramie, kiedy jeden ze strażników zagroził nam drogę.

- Wasz wózek był pusty, kiedy wychodziliście - burknął i wskazał piętrzące się na nim pakunki. - Muszę sprawdzić, czy wbrew rozkazom księcia nie próbujecie przemycić kogoś do zamku.

Już chciałam odpowiedzieć, że na tak małym wózku pod stosem paczek zmieściłby się tylko jeden z żonglujących karłów, ale ugryzłam się w język. Posłusznie zesliśmy z drogi i pozwoliliśmy strażnikowi pogrzebać w naszych zakupach.

Zakończył poszukiwania, gdy dotarł do paczki skór, które zaczęły dojrzewać w słońcu. Oszołomiony smrodem, dał nam znak, byśmy weszli; z trudem powstrzymaliśmy śmiech do chwili, gdy nie mógł go już usłyszeć.

Znalazszy się w pracowni, zaczęliśmy wypakowywać paczki i układać je na półkach. Vittorio chwycił worek z wapnem i zrobił gest, jakby chciał do niego zajrzeć.

- Jesteś pewien, że nikt nie ukrywa się w środku? - parsknął i odłożył go na półkę.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, ciesząc się z chwili wytchnienia od poszukiwania mordercy. Nie odważyłabym się wyznać tego Mistrzowi, ale czułam się coraz bardziej znużona znajdowaniem kolejnych trupów. Poza tym obawiałam się, że w końcu ja lub on możemy znaleźć się wśród nich. Kiedy ta ponura sprawa wreszcie się skończy, przysięgłam sobie w duchu, jedynymi ciałami, jakie zechcę oglądać, będzie zbiór rysunków anatomicznych Mistrza.

173

Gdy kończyliśmy układać kupione materiały, uczniowie zaczęli wracać z sali jadalnej i kierowali się do kuchni na kolację. Kilku uniosło brwi z udawanym zdumieniem, widząc, że będę im towarzyszyć.

- Więc Mistrz w końcu zmęczył się twoim towarzystwem? - spytał Paolo kpiącym tonem, a Davide pokręcił tylko głową i się uśmiechnął.

Staralam się przyjmować ich docinki z humorem, lecz wcześniejszy dobry nastrój już mnie opuścił. Nie mogłam uwolnić się od wspomnienia twarzy Renalda i poczucia, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Miałam wrażenie, że mnie szukał, choć nie potrafiłam odgadnąć, skąd mógł wiedzieć, iż akurat tego popołudnia będę na targowisku. Pewnym pocieszeniem była dla mnie świadomość, że ludzie Il Moro kontrolują nie tylko osoby próbujące wymknąć się z zamku, ale także usiłujące się do niego dostać.

Zaabsorbowana tymi myślami, ledwie zauważyłam Marcelłę, która powitała mnie radośnie i natychmiast posmutniała, gdy odburknęłam coś w odpowiedzi i poszłam dalej. Constantin próbował nawiązać rozmowę, ale w końcu zrezygnował, nie mogąc mnie skłonić do rzeczowych odpowiedzi.

Po kolacji zajęłam się pracami, jakie zwykle przypadają nam, uczniom, do wykonania. Staralam się robić wszystko sumiennie, lecz równocześnie czekałam, kiedy Mistrz wreszcie mnie wezwie. Wszak obiecał podzielić się ze mną tym, czego się dowie w czasie mojej nieobecności. Minęła godzina, potem następna i w końcu zaczęłam się zastanawiać, czy tego wieczora

ru jeszcze wróćę do śledztwa.

Kiedy ostatnia wierzbowa gałązka została wyjęta z ognia i dołożona do stosiku węgla, Constantin pozwolił nam zakończyć prace i oddać się, jak zwykle, rozrywkom. Nikt jednak nie miał nastroju do zabawy, a bez lutni Tommasa w pracowni panowała dziwna cisza. Kiedy więc Constantin zdmuchnął świece, nim się dopaliły, wszyscy bez słowa udali się do łóżek.

174

Rozbierając się w ciemności, wspominałam z wdzięcznością Luigiego. Jego przemyślny gorset znacznie ułatwił moją maskaradę. Już nie będę musiała używać pasów tkaniny, aby ukryć moją płeć, pomyślałam, rozwiązując prostą sznurówkę, i wsunęłam się pod koc. Dręczyły mnie jednak wizje martwych ludzi i zatechłych krypt, więc w przypiływie desperacji naciągnęłam koc na głowę, próbując się od nich uwolnić.

Wkrótce zapadłam w niespokojny sen, w którym ja i Vittorio znowu byliśmy na targowisku. Oglądaliśmy żonglerów, lecz tym razem nie była to trójka karłów, lecz Renaldo i Lorenzo, którzy zamiast kolorowymi piłkami rzucali wśród oklasków zachwyconego tłumu tuzinami noży, nie przejmując się niebezpieczeństwem. Tylko ja krzyknęłam, by przestali, lecz oczywi-

ście nie usłuchali.

I wtedy stało się to, co musiało się stać. Najpierw wyslizgnął im się jeden nóż, potem następny i kolejny, aż w końcu w gardle każdego z chłopców tkwiło pół tuzina ostrzy. Krzyknęłam, oczekując, że krew będzie się z nich lała strumieniem, ale oni tylko się uśmiechnęli i dalej zonglowali pozostałymi nożami.

Biegałam jak szalona pośród tłumu, chcąc znaleźć kogoś, kto mógłby im pomóc. Moje wysiłki były jednak daremne. Kiedy odwróciłam się do nich, obaj leżeli na bruku, a jasnoczerwona krew tryskała z nich jak z fontann. Próbowałam do nich podbiec, ale mimo wysiłków nie mogłam się ruszyć z miejsca.

Wtedy po drugiej stronie placu zobaczyłam Mistrza, który stał obok szachowej królowej, tak wysokiej, jak on sam. Nikt poza mną nie widział w tym nic dziwnego, nikt też nie zauważył, jak królowa nagle zamieniła się w hrabinę di Malvoral, ubraną w błękitno-białą tunikę służącego i uwieszoną u ramienia Mistrza.

Zobaczyłam węża, który wysunął się spomiędzy jej pełnych warg, gdy wbiła we mnie lodowate spojrzenie i się uśmiechnęła.

Obudziłam się gwałtownie, tak przerażona tym snem, że nie odważyłam się poruszyć ani otworzyć oczu. Po chwili - choć wydawało się, że trwa to całą wieczność - serce zaczęło mi bić

wolniej i zelżał nieznośny ucisk dławiący pierś. Właśnie kiedy zaczynałam normalnie oddychać, zdałam sobie sprawę, że ktoś stoi przy moim łóżku.

W pierwszej chwili było to tylko wrażenie. Potem usłyszałam ciche kroki i poczułam lekki ruch powietrza wokół mnie. Przeszedł mnie zimny dreszcz, ale nie wydałam żadnego dźwięku, udając, że wciąż jestem pogrążona we śnie. Koc nadal miałam naciągnięty na głowę, więc nawet gdybym odważyła się otworzyć oczy, nie mogłabym zobaczyć nocnego intruza.

Może to tylko Mistrz przyszedł zabrać mnie na kolejną nocną przygodę, myślałam gorączkowo. Ale jeśli to on, dlaczego nie próbuje mnie obudzić?

Przerażona, leżałam nieruchomo i modliłam się w duchu, by intruz odszedł, nie zostawiając noża w mojej piersi. Mogłam albo biernie czekać, albo natychmiast obudzić innych uczniów, by mogli mnie uratować, zanim nocny gość zaatakuje. Wybrałam to drugie.

Wzięłam głęboki oddech i z krzykiem zerwałam się z łóżka.

13

Towarzystwo noża do ostrzenia jest dla pióra nie tylko niezbędne, ale i korzystne, gdyż jedno bez drugiego

jest bezużyteczne.

Leonardo da Vinci Manuskrypt

Z uniesionymi rękami, by odeprzeć ewentualny atak, wpatrywałam się w ciemność i... zobaczyłam, że pokój jest pusty, jeśli nie liczyć uczniów obudzonych moim krzykiem. Koc, który wyrzuciłam w powietrze, zrywając się z łóżka, opadł na podłogę niczym nocne ptaszysko wracające do gniazda.

176

- Co się dzieje? Kto to? - rozległy się senne pomruki, a zaniepokojony Constantin podszedł do mnie, by sprawdzić, czy nic mi nie jest.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho, ziewając i rozglądając się po sypialni. - Mam zapalić świecę?

Sięgnęłam po leżący na podłodze koc, owinęłam się nim i pokręciłam głową.

- Obudziłem się i wydawało mi się, że ktoś nade mną stoi. Musiał mi się przyśnić koszmar - wykrztusiłam drżącym głosem. - Przepraszam, że wszystkich obudziłem.

- Nie przejmuj się, rano nikt nie będzie o tym pamiętał - pocieszał mnie. - Chcesz, żebym z tobą chwilę posiedział i porozmawiał?

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie będzie. Idź spać i nie przejmuj się mną.

Ziewnął przeciągle i bez dalszych zachęt wrócił do łóżka. Po kilku minutach sypialnię wypełnił znajomy dźwięk równych oddechów, świadczący, że wszyscy znowu zasnęli... oprócz mnie.

Powiedziałam Constantinowi, że przestraszyłam się tylko koszmaru, lecz wcale nie byłam tego pewna. Kiedy podnosiłam z podłogi koc, dostrzegłam coś niepokojącego. Teraz bezszelestnie przesunęłam się na skraj łóżka i zajrzałam za nie. Miałam rację. Prosta drewniana skrzynia, w której trzymałam swój dobytek, była niedomknięta. Spod wieka wystawał rękaw mojej najlepszej tuniki, jakby została wyciągnięta, a potem niedbale wepchnięta z powrotem.

Ten widok przyprawił mnie o dreszcz, byłam bowiem pewna, że zamknęłam skrzynię, zanim poszłam spać. Więc to jednak nie był sen. Ktoś naprawdę stał przy łóżku i przeszukiwał moje rzeczy.

Przetarłam zaspane oczy, ubrałam się i chwilę później szłam przez pogrążoną w ciemnościach pracownię. Zatrzymałam się przy stole, by wziąć kilka siarkowych zapalek i oderwać od

plamy zastygłego wosku ogarek świecy - na wypadek gdybym potrzebowała światła. Kiedy wyszłam na podwórze, zobaczyłam, że chmury zasnuwają niebo jak poprzedniej nocy. A więc świeca może się przydać, pomyślałam zadowolona ze swej przezorności. Tymczasem jednak w ciemności będę się mogła poruszać niepostrzeżenie. Stałam w chłodnym nocnym powietrzu i zaczęłam się zastanawiać, co właściwie zamierzam uczynić. Na rozmokłej ziemi widziałam liczne ślady stóp. Jak rozpoznać, które należą do intruza? A jeśli nawet znajdę świeże ślady, jak podążyć za nimi w mroku?

Myśl, Delfino. Co zrobiłby Mistrz?

Nocny gość dopiero przed chwilą uciekł z pracowni i raczej nie będzie się starał ukrywać, gdyż nie spodziewa się, że pójdę za nim. Powinnam więc iść wzdłuż murów zamku, szukając cienia, którego nie powinno tam być, cienia kogoś, kto włóczy się po nocy.

Ruszyłam ostrożnie w kierunku głównego dziedzińca. Nie widziałam, by ruszało się cokolwiek oprócz strażników na murach. Najwyraźniej o tej porze cały zamek był pogrążony we śnie - z wyjątkiem tajemniczej osoby, której szukałam, i mnie samej.

A jeśli kogoś znajdę... co wtedy?

Ta myśl sprawiła, że się zatrzymałam. To już nie była gra

w szachy. Zginęło dwóch mężczyzn, większych i silniejszych ode mnie. Morderca dowiedział, że potrafi zręcznie posługiwać się i nożem, i pałąką. Jakie mam szanse w konfrontacji z nim, skoro nawet nie jestem uzbrojona?

Ogarnął mnie niepokój. To jednak nie był dobry pomysł waleśać się po nocy i szukać kogoś, kto może okazać się mordercą. Lepiej byłoby poczekać do rana, opowiedzieć Mistrzowi, co się stało, i wysłuchać jego rady.

Dotarłam do portyku biegnącego wzdłuż gościnnego skrzydła, które odwiedziliśmy z Leonardem poprzedniego dnia. Postanowiłam ukryć się tu na chwilę i, jeśli nic nie zwróci mojej uwagi, wrócić do warsztatu.

178

Przyłgnęłam do jednego z filarów i czekałam. Gdy wkrótce chmury całkiem zakryły księżyc i gwiazdy, żałowałam, że nie mam ręcznego zegara, jak Mistrz. Mogłam jednak mierzyć upływ czasu, odliczając w myślach sekundy.

Po zaledwie dwóch minutach byłam już gotowa zrezygnować. Pomyślałam, że gdyby intruz chciał mnie skrzywdzić, po prostu dźgnąłby mnie nożem we śnie. Skoro więc wciąż chodzę i oddycham, zapewne nie był to ktoś, kto pragnął mojej śmierci, lecz zwykły złodziej.

Jak najciszej zaczęłam się wycofywać ciemnym portykiem. W pewnej chwili przystanąłam, pewna, że usłyszałam za sobą stąpienie, kiedy jednak dźwięk się nie powtórzył, ruszyłam dalej.

I wtedy ktoś chwycił mnie za ramię i zakrył mi usta dłonią.

Wydałam zduszony krzyk, próbując się wyrwać, lecz uścisk nie ustępował. Gdy już byłam pewna, że podzielę los Lorenza i hrabiego, usłyszałam znajomy głos:

- Przestań się szarpać, drogi chłopcze, bo zrobisz mi krzywdę.

Znieruchomiałam, a wtedy dłoń zasłaniająca mi usta i ręka trzymająca za ramię opadły.

- Na krew świętych! - jęknęłam, zerkając przez ramię. - Mistrzu, czy to ty?

Ledwie widziałam go w mroku, gdyż miał na sobie czarną tunikę, ale srebrzysty promień księżycowego światła, który padł na jego kasztanowe włosy, ostatecznie rozwiał moje wątpliwości. Leonardo przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie, po czym skinął, bym poszła za nim.

Kilka minut później byliśmy w jego pokoju. Kazał mi usiąść i zapalił lampę.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem, Dino - rzekł z uśmiechem, siadając naprzeciwko mnie - ale nie spodziewałem się

tego spotkania. Ty też, więc musiałem użyć siły. Obawiałem się, że zaczniesz krzyczeć i obudzisz cały zamek, jeśli po prostu pojawię się przed tobą.

179

Słusznie, pomyślałam cierpko. Mistrz miał szczęście, że nie posługuję się sprawnie nożem ani pałką... gdybym miała przy sobie broń, na pewno próbowałabym jej użyć.

- A teraz powiedz mi - spytał - dlaczego chodziłeś po zamku o tak nieprzyzwoitej porze?

Opowiedziałam mu, co się wydarzyło: jak obudziwszy się z koszmaru, czułam się obserwowana, a potem znalazłam dowód, że intruz nie był wytworem mojej wyobraźni, lecz szperał w moich rzeczach, zanim przepadł w ciemnościach. Odetchnęłam z ulgą, gdy Mistrz nie skarcił mnie za nierozważne błąkanie się po nocy, sama bowiem wystarczająco zrugłam się za to w myślach.

Leonardo wziął dorodną figę ze stojącego na stole kosza owoców i rzekł:

- Powiadasz, że ów intruz szukał czegoś w twojej skrzyni. Nie należy jednak wykluczać czegoś wręcz przeciwnego: może coś w niej zostawił?

Ta możliwość była tak zaskakująca i zarazem tak oczywi-

sta, że przez chwilę siedziałam z otwartymi ustami, wpatrując się w Mistrza. Wreszcie zerwałam się na równe nogi i wykrzyknęłam:

- Tak, na pewno! Wracajmy do pracowni sprawdzić, czy w skrzyni znalazło się coś, czego nie powinno tam być.

- Później - odparł łagodnie, powstrzymując mnie gestem dłoni. - Zostały jeszcze dwie godziny do świtu. Będzie najlepiej, jeśli zostaniesz tutaj do końca nocy, na wypadek gdybym się pomylił w moich założeniach. Rano sprawdzisz swoje rzeczy i powiadomisz mnie, jeśli znajdziesz wśród nich coś niezwykłego. Na razie możesz zająć moje łóżko.

- A gdzie ty będziesz spał, Mistrzu? - spytałam, daremnie próbując stłumić ziewnięcie.

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, że nie potrzebuję dużo odpoczynku. Ale gdybym odczuł potrzebę snu, mam w pracowni posłanie, na którym mogę się zdrzemnąć.

180

Nie protestowałam dłużej, gdyż wspomnienie wcześniejszego koszmaru sprawiało, że wcale nie miałam ochoty wracać do własnego łóżka. Wsunęłam się pod schludnie złożony koc i zaczęłam układać do snu, lecz wtedy przyszło mi coś do głowy.

- Dlaczego chodziłeś po zamku, Mistrzu? - spytałam, siadając. - Przecież nie szukałeś mnie?

Zamiast odpowiedzieć, sięgnął do sakiewki i wyjął z niej mały metalowy przedmiot, który zaśnił w świetle lampy.

- Czyżbyś zapomniał? - rzekł z lekkim uśmiechem - że przysiągłem sobie dowiedzieć się, co jest w pudełku, którego tak zazdrośnie strzeże hrabina di Malvoral?

Otworzyłam szerzej oczy i przyjrzałam mu się uważnie. Ubranie miał w nieładzie, jakiego nie usprawiedliwiała nasza krótka szarpanina; tunika była lekko przekrzywiona, a sznurówka jednego rękawa rozwiązana. Przypomniałam sobie kieteryjne zaproszenie hrabiny, by odwiedził ją o dowolnej porze dnia lub nocy. Ale przecież nie mógł tego zrobić!

- Nie patrz na mnie z dezaprobatą, drogi chłopcze - powiedział, uśmiechając się szerzej. - Zdołałem wyrwać się z sideł hrabiny nietknięty, ale zająłem ją na tyle, by sprawdzić moją kopię klucza. I okazało się, że choć figurka królowej nie jest własnością hrabiny, kluczyk należy do niej... chyba że to tylko jeszcze jedna kopia.

Poczułam ulgę, iż Leonardo nie padł ofiarą podstępów tej kobiety, a zarazem byłam ciekawa, co zawiera szkatułka. Ciekawość szybko wzięła górę.

- Proszę, Mistrzu! - zawołałam. - Powiedz mi, co znalazłeś

w szkatułce?

- Nic oprócz listu, który wyglądał na napisany niedawno i wielokrotnie czytany. - Na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji pomieszanej z zakłopotaniem. - Miałem zaledwie kilka chwil na zapamiętanie treści, nim musiałem odłożyć list na miejsce. Dlatego kiedy ty będziesz spał, ja spróbuję odtworzyć ją z pamięci. Ale odczytanie tego listu sprawi nam pewne trudności.

181

- Dlaczego? - spytałam, wyobrażając sobie stronicę pokrytą szyfrem zrozumiałym tylko dla hrabiny i jej korespondenta.

Leonardo zmarszczył brwi i przez chwilę myślałam, że nic więcej nie powie. Wreszcie jednak rzekł:

- Ów list jest bowiem napisany po łacinie, której nie znam.

To wyznanie wstrząsnęło mną. Wiedza Mistrza była tak rozległa, że po prostu założyłam, iż nie istnieje nic, na czym by się nie znał. Dopiero później dowiedziałam się, że jako syn z nieprawego łoża nie odebrał formalnej edukacji i sam nauczył się wszystkiego, co umiał. Ja znałam łacinę, gdyż na życzenie ojca pobierałam takie same nauki, jak moi bracia, co obejmowało również język świętego Kościoła.

- Jeśli uda ci się odtworzyć ten list, będę mógł go przetłu-

maczyć - zaproponowałam nieśmiało.

- I w ten sposób zapracujesz na swoje utrzymanie - odparł, najwyraźniej odzyskując dobry humor.

Skinęłam głową i zaczęłam znowu mościć się na łóżku, ale przyszła mi do głowy kolejna myśl.

- Byłbym zapomniiał - rzekłam. - Nie powiedziałaś mi, Mistrzu, czego dowiedziałeś się, kiedy Vittorio i ja byliśmy na targowisku.

- Nie ma wiele do opowiadania - odparł ze wzruszeniem ramion. - Porozmawiałem z większością osób z listy, ale wszyscy oni potrafili wyjaśnić, co robili w chwili śmierci hrabiego. Jeśli chodzi o motyw, też się niczego nie dowiedziałem. Moi rozmówcy opisywali kuzyna księcia jako człowieka miłego, lecz nieumiejącego sobie radzić ani z pieniędzmi, ani z ludźmi.

- A co ze strażnikami, którzy zanieśli ciało hrabiego do krypty? Słyszeliśmy przecież, że mówili o jakimś poważnym konflikcie - przypomniałam mu.

Mistrz skinął głową.

- Rzeczywiście, ich rozmowa może wskazywać, że hrabia był uwikłany w nieprzyjemną sprawę. Niestety, spór, w jaki wdał się z nieznanymi osobami, albo nie jest rzeczą powszechnie znaną, albo został dawno zapomniany przez ludzi z wyż-

szych sfer. Nikt nie wspomniał, że ostatnio dopuścił się czegoś niewłaściwego. - Uśmiechnął się ironicznie. - Ale wszyscy zgadzają się co do jednego. Każdy chętnie zabiłby go po raz drugi z powodu niedogodności, jakich przysporzył im rozkaz księcia. Obawiam się, że jeśli Il Moro nie cofnie swojej decyzji, wkrótce zaczną szturmować bramy zamku, by się z niego wydostać, a nie wdrzeć do środka, jak zwykle bywa w przypadku zamieszek.

Po tych słowach zdmuchnął lampę zawieszoną na ścianie i zostawił zapalony tylko mały ogarek świecy na stole.

- A teraz, drogi chłopcze, radzę ci iść spać, bo rankiem będę miał dla ciebie kolejne zadanie.

Obudził mnie ogłuszający łoskot, jakby cały stos garnków, wiader i patelni z wozu kotlarza wysypał się na brukowaną ulicę.

Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin zerwałam się z łóżka na równe nogi, przez chwilę nie wiedząc, gdzie jestem i co się dzieje. Pamięć wróciła mi jednak, kiedy zobaczyłam znajome otoczenie i przypomniałam sobie, że spędziłam ostatnie godziny nocy w pokoju Mistrza. Łoskot zaś dobiegał z jego prywatnej pracowni, której drzwi były leciutko uchylone.

Przestraszyłam się, że Leonardo mógł zostać ranny w wypadku, do którego właśnie doszło za ścianą, ale chwilę później

usłyszałam jego głos przebijający ponad rumor. Z soczystych inwektyw wywnioskowałam, że nie stała mu się żadna krzywda. Pomyślałam, że jednak powinnam zajrzeć do pracowni. Oczywiście nie z czczej ciekawości, tłumaczyłam sobie, lecz by się upewnić, że Mistrz nie potrzebuje pomocy. Na pewno nie będzie miał do mnie pretensji o akt zwykłej grzeczności.

Zanim zdążyłam przekonać samą siebie o bezinteresowności tego planu, Leonardo wyszedł z pracowni i zamknął drzwi, odcinając mnie od wszelkich sekretów, jakie to pomieszczenie skrywało.

- Wybacz mi, jeśli cię obudziłem, drogi chłopcze - powiedział, otrzepując pył z tej samej czarnej tuniki, którą miał na

183

sobie poprzedniego dnia. Spojrzał smętnie na długie rozdarcie na rękawie (teraz zrozumiałam powód lamentów signora Luigiiego nad jego garderobą) i dodał: - Wygląda na to, że muszę dokonać kilku poprawek w jednym z moich wynalazków, zanim będzie mógł ujrzeć światło dzienne.

Światło dzienne? Zapomniałam o ciekawości, gdyż jego słowa zwróciły moją uwagę na wpadające przez okno promienie słońca.

- Zaspałem! - krzyknęłam z rozpaczą. - Muszę biec do

warsztatu. Constantin będzie się martwił, że zaginałem jak Tommaso.

- Nie przejmuj się. Już go poinformowałem, że pomagasz mi przy pewnym projekcie - zapewnił mnie Leonardo. - Bo też będziesz pomagał. Kiedy tylko się umyjesz, zaczniesz pracę nad listem, o którym mówiliśmy zeszłej nocy. - Wskazał leżący na stole kawałek pergaminu.

Kilka minut później siedziałam przy stole z piórem w dłoni. Znajoma figurka królowej stała na lśniącym blacie niczym jakiś opiekuńczy święty, dodając mi natchnienia. Uśmiechnęłam się do niej, po czym zaczęłam tłumaczyć pismo na język potoczny.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać - listu miłosnego czy może wyznania? Mistrz przestrzegł mnie jednak, by ekscytacja nie wzięła we mnie góry nad rozsądkiem.

- Może się okazać, że to tylko spis klejnotów bądź szat hrabiny, albo też jej dawnych kochanków - powiedział, wzruszając ramionami.

Po kilku pierwszych słowach zorientowałam się, że to coś znacznie ważniejszego.

List był krótki, miał zaledwie pół strony. Z ulgą stwierdziłam, że Leonardo zapisał jego treść w zwykły sposób, a nie odwróconym pismem. Tu i ówdzie znalazłam brakującą literę lub przekreśone słowo, lecz błąd równie dobrze mógł popełnić au-

tor oryginału, jak i Mistrz. Zdumiało mnie, jak dokładnie zapamiętał to, co przeczytał, zwłaszcza że dokument był spisany w języku, którym nie władał.

184

List nie miał pozdrowienia na wstępie ani podpisu, na co zwróciłam uwagę Mistrzowi, zanim przystąpiłam do pracy.

- To nietypowe - przyznał, po czym wyjaśnił, że na oryginalnej kartce widoczne były ślady czerwonego wosku. - Choć wątpię, by nadawca użył własnej pieczęci, gdyż to zdradziłoby jego tożsamość. Podejrzewam, że ten list został dostarczony w czymś innym, na przykład w paczce albo nawet w innym liście, żeby nie zostawiać żadnej wskazówki, która pomogłaby zidentyfikować nadawcę.

Szybko zdałam sobie sprawę, iż odbiorca miał powody obawiać się, że list może wpaść w niepowołane ręce. Kiedy przetłumaczyłam ostatnie słowa, nie miałam już żadnych wątpliwości, że tych kilka linijek opisuje ze szczegółami ostatnie etapy morderczego spisku.

Ledwie odłożyłam pióro, Mistrz zajrzał mi przez ramię.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego, mój chłopcze - rzekł. - Czy mam rozumieć, że list zawierał coś ważnego?

Skinęłam głową i podałam mu przetłumaczony tekst. Usiadł

na ławie naprzeciwko mnie i odczytał na głos:

- „Wszystko przebiega zgodnie z planem. Pasterz będzie w Mediolanie w ustalonych dniach. Pozostaje tylko wybrać dogodny czas i miejsce dla dokonania tego czynu. Tobie zostawiam znalezienie jednego lub dwóch ludzi, którzy będą gotowi za pieniądze splamić ręce krwią, i Tobie powierzam zadanie pozbycia się ich, kiedy tylko będzie to możliwe. Pamiętaj, jak ważna jest nasza misja. Nie zapomnij, że los obu naszych krajów zależy od jej powodzenia. Nie może nam się nie udać”.

Skończywszy czytać, siedział przez kilka chwil w milczeniu. Wreszcie odważyłam się odezwać:

- Ten list wydaje się wystarczającym dowodem, iż hrabina jest zamieszana w jakiś nieczny spisek. Co zaś się tyczy autora, musi nim być francuski poseł, gdyż jest mowa o dwóch krajach... niewątpliwie Francji i Mediolanie. Nie ulega też wątpliwości, że to Renaldo i Lorenzo zostali wybrani do popełnienia samego morderstwa.

185

- A ofiara? - spytał Leonardo.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeśli motyw miał coś wspólnego ze sprawami wagi państwowej, śmierć hrabiego mogła być istotna. Może więc to on

miał być ofiarą.

Podczas gdy w duchu gratulowałam sobie tak zgrabnego powiązania wszystkich wątków, Leonardo uniósł brwi i spytał:

- Czy jesteś pewien słuszności swojej hipotezy, Dino? Pamiętaj, iż autor musiał mieć świadomość, że jego słowa będą obciążające, gdyby list wpadł w niepowołane ręce. Zatem określenie „kraje” może być symboliczne i odnosić się do dwóch miast albo dwóch rodzin. I nie zapominaj, że autor listu nazywa swą ofiarę pasterzem. Takie określenie nie ma sensu, o ile hrabia Ferrary w ostatnich dniach życia nie zaczął trudnić się pasterstwem. Ale przywodzi na myśl słownictwo liturgiczne... Co powiesz na przykład o pasterzu ludzi?

Zastanawiałam się nad tym, on zaś kontynuował:

- A czym posługuje się pasterz? Zakrzywionym kijem, podobnym do pastorału będącego symbolem urzędu biskupa. Równie dobrze możemy powiązać ten list z twoją teorią, iż ofiarą miał być Jego Eminencja Stefano, kardynał Nardini, arcybiskup Mediolanu. To wyjaśnia zarazem omyłkowe zabójstwo hrabiego: wszak Lorenzo ani Renaldo nie mogli poznać Jego Eminencji po twarzy, a jedynie po stroju.

- Ale po co zabijać kardynała? - zdziwiłam się. - Czy unie możliwienie wysłania posła do Francji nie ma więcej sensu, skoro autor listu mówi o losie dwóch krajów?

- Mój drogi chłopcze, musisz przecież wiedzieć, że Kościół miesza się do polityki równie chętnie jak każdy inny wielmoża czy król. Przypomnij sobie, że Jego Eminencja cieszył się zaufaniem czterech papieży i sam może pewnego dnia zostać wybrany na to stanowisko. Arcybiskup Mediolanu ma znacznie większą władzę polityczną niż hrabia jako poseł.

Oparłam podbródek na pięści i rozważałam jego słowa.

Choć nieco rozczarowana, że Mistrz tak bezlitośnie rozprawił
186

się z moją koncepcją, po chwili namysłu byłam gotowa przyznać mu rację.

- Ale zgadzamy się co do tego, że francuski poseł i hrabina di Malvoral są zamieszani w spisek? - spytałam.

- Na razie są to tylko domysły - odparł. - Samo posiadanie listu nie jest dowodem winy hrabiny, a jedynie wskazuje, że ma ona jakiś związek z tą sprawą. Możliwe, że ukradła list prawdziwemu złoczyńcy... może właśnie hrabiemu... by go szantażować. Nie możemy przecież wykluczyć, że to hrabia przygotował spisek razem z francuskim posłem. Słyszeliśmy wszak pogłoski, iż kuzyn księcia był zamieszany w jakąś nieprzyjemną sprawę.

- Może więc jego zabójstwo było celowe - podjęłam tę li-

nię rozumowania. - Może wraz z francuskim posłem planował zamordowanie arcybiskupa, lecz później się rozmyślił... może nawet groził ujawnieniem tego spisku... i wtedy został zamordowany przez jednego ze swych wspólników.

- To możliwe - przyznał Leonardo. Wziął z misy gruszkę, odgryzł spory kawałek i kontynuował przyciszonym głosem: - Co do francuskiego posła, wydaje się najbardziej prawdopodobnym kandydatem na autora listu. Nasuwa się jednak pytanie, czy działał z własnej inicjatywy, czy na polecenie swego króla... co miałyby znacznie poważniejsze konsekwencje. Tak czy inaczej, nie powinniśmy pochopnie zakładać, że ten list wyszedł spod jego ręki. Nie zapominaj, że w mieście jest mnóstwo cudzoziemców, z których każdy mógł być autorem.

- Na krew świętych, ależ to zagmatwana sprawa - powiedziałam z westchnieniem i aż zawirowało mi w głowie, gdy zdałam sobie sprawę, ile różnych wątków będziemy musieli prześledzić, żeby poznać prawdę. - Księżę chyba nie oczekuje, że rozwiążemy taką zagadkę w krótkim czasie.

- Ależ oczywiście, że oczekuje. - Mistrz spojrzał na przetłumaczony list i na jego twarzy pojawił się rzadki u niego wyraz zafasowania. - Właśnie przed chwilą dostałem wiadomość, że

życzy sobie porozmawiać ze mną po południu. Zapewne będzie nalegał, bym przedstawił rozwiązanie tajemnicy śmierci kuzyna, a jeśli go nie usłyszy...

Urwał, lecz ja domyślałam się, co chciał powiedzieć. Jeśli książę nie dostanie wkrótce odpowiedzi, której oczekuje, może całkiem zrezygnować z usług Leonarda.

Niepokój musiał odmalować się na mojej twarzy, gdyż Mistrz uśmiechnął się do mnie i rzekł:

- Nie obawiaj się, Dino, jeszcze nie wszystko stracone. Jako nadworny wynalazca i mistrz ceremonii mam kilka sztuczek w zanadrzu.

- Ale co powiesz księciu? - spytałam niepewnie.

Wzruszył ramionami i odłożył list na stół.

- Coś wymyślę. Tymczasem, biorąc pod uwagę to, czego się właśnie dowiedzieliśmy, nadeszła pora na rozmowę z naszym przyjacielem posłem Francji.

Wziął do ręki figurkę królowej i przyjrząwszy jej się uważnie, schował ją do sakiewki.

- Ale zanim to zrobimy, odwiedzimy pewną osobę, która może nam powiedzieć coś więcej o poczynaniach hrabiego w ostatnich dniach życia.

Czy jest większa radość i większy smutek, niż zostać
połączonym z kimś innym na wieczność?

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny de La Fazio

Pierwszy raz zobaczyłam hrabinę Ferrary w sali biesiadnej,
kiedy Il Moro ogłosił wiadomość o śmierci jej męża, a drugi raz
na pogrzebie hrabiego. Wtedy była zasłonięta welonem, więc
nie dostrzegłam jej twarzy, ale w obu przypadkach zrobiła na
188

mnie wrażenie słabej, delikatnej kobiety, która jest ofiarą splotu
okoliczności.

Gdybym i tym razem spodziewała się zobaczyć smutną,
bezzradną kobietę, czekałoby mnie ogromne rozczarowanie.
Kiedy pokojówka wprowadziła nas do jej komnaty, hrabina ro-
biła notatki w jakiejś księdze. Tak jak poprzedniego dnia hrabi-
na di Malvoral, wyglądała, jakby dopiero co się obudziła, była
jednak skromniej ubrana niż jej daleka krewna.

Hrabina Ferrary miała na sobie długą, przepasaną suknię
z ciemnoniebieskiego aksamitu i dopasowane do niej pantofle;
zebrane do tyłu włosy przewiązała wstążką w tym samym od-
cieniu. W tym gustownym stroju wydawała się bardzo młoda,
choć klejnoty w uszach i na szyi były ozdobami dojrzałej ko-
biety.

Ucieszyłam się, że zanim wybraliśmy się z wizytą, wróciłam do warsztatu i włożyłam strój pazia, a mistrz zmienił znozoną czarną tunikę na złotą z zielonym obszyciem, w której wyglądał bardzo wytwornie... przynajmniej w moich oczach.

- Signor Leonardo - hrabina powitała Mistrza lekkim uśmiechem i gestem dłoni zaprosiła nas do środka. - Kuzyn Ludovico mówił, że możesz chcieć ze mną porozmawiać o Orlandzie. Czy udało ci się znaleźć niegodziwca, który go zabił? Leonardo złożył przed nią niski ukłon.

- Obawiam się, hrabino, że jeszcze wiele aspektów śmierci twego męża pozostaje tajemnicą. Właśnie dlatego tu jestem: by złożyć ci wyrazy współczucia i zadać kilka pytań.

- Zapewniam cię, signor, że usłyszałam tyle wyrazów pocieszenia, iż gdyby wszystkie traktować dosłownie, Orlando dawno już powinien był opuścić czyściec. Co zaś do pytań, śmierć męża tak mną wstrząsnęła, że nie potrafię zajmować się niczym poza najprostszymi czynnościami.

Patrząc na stos ksiąg leżący przed hrabiną, zastanawiałam się nad jej wyznaniem, lecz Mistrz nie skomentował go ani słowem. Poczekał, aż hrabina usiądzie, zajął miejsce, które mu wskazała, i wyjął zza pazuchy szkice.

- Przypuszczamy, pani, że ci dwaj młodzi ludzie pracujący w zamku mają jakiś związek ze śmiercią hrabiego. Mogłabyś spojrzeć na te portrety i powiedzieć, czy któryś z nich wydaje ci się znajomy?

Ledwie rzuciła okiem na rysunki.

- Przykro mi, signor Leonardo, ale przez większość czasu pozostaję w swoich pokojach i nie widuję nikogo poza moją osobistą służbą i rodziną męża. Nie poznaję tych ludzi.

- W takim razie może przypominasz sobie, hrabino, czy mąż wydawał się zmartwiony albo zamyślony w ostatnich dniach życia? Może wspominał, że lęka się o swoje bezpieczeństwo? Czy wysyłał albo dostawał jakieś tajemnicze wiadomości? A może czasami znikał z domu?

Roześmiała się cicho.

- Drogi signor Leonardo, mąż spędzał ze mną bardzo niewiele czasu, czy to ostatnio, czy to w jakimkolwiek innym momencie naszego małżeństwa. Gdyby jego zachowanie odbiegało od normy, ja dowiedziałabym się o tym napóźniej.

Zabrzmiało to szczerze i ogarnęło mnie współczucie dla hrabiny. Przypomniałam sobie, co czułam, patrząc, jak opuszcza cmentarz po pogrzebie męża. Uwięziona w małżeństwie, które najwyraźniej było czysto formalne, mogła przyjąć z ulgą wyzwolenie, zwłaszcza teraz, kiedy jeszcze jest młoda. A jed-

nak słyszałam w jej głosie nutę cierpienia i zrozumiałam, że naprawdę kochała swego męża, mimo iż ten ją zaniedbywał.

Rozglądałam się dookoła z zakłopotaniem i nagle dostrzegłam na półce małą szkatułkę. Oczy rozszerzyły mi się ze zdumienia, bo wyglądała identycznie z tą należącą do hrabiny di Malvoral. Mistrz także ją zauważył. Podeszedł do półki, jakby od niechcienia wziął szkatułkę i odwrócił się do hrabiny.

- Interesująca błyskotka - powiedział, oglądając ją. - Czy to prezent od męża?

- Oczywiście, że nie.

Parsknęła lekceważąco, ale wstała pośpiesznie i wyjęła szkatułkę z rąk Mistrza. Ten gest przypomniał mi reakcję hrabi-

190

ny di Malvoral i zaczęłam się zastanawiać, co ta kobieta przed nami ukrywa.

- Dostałam tę szkatułkę od Ludovica na ostatnie Boże Narodzenie - wyjaśniła krótko. - Myślę, że podarował takie same wszystkim damom na dworze.

- Książę jest bardzo hojny - mruknął Leonardo, a jego słowa wywołały kolejne parsknięcie owdowiałej hrabiny.

Nie objasniła jednak obszerniej swoich uczuć wobec Il Moro, tylko odstawiła szkatułkę na miejsce i rzekła:

- Jak powiedziałam, signor Leonardo, nie wiem o nikim, kto mógłby źle życzyć mojemu mężowi. Czy jeszcze o coś chciałbyś mnie zapytać? Mam dużo pracy.

- Tak, hrabino - odparł, wyjmując szachową królową z sakiewki przy pasie. - Jeden z młodych ludzi, których podejrzewamy o udział w zabójstwie twojego męża, miał przy sobie tę figurkę. Czy może ją poznajesz?

Spodziewałam się, że jak każdy, komu Mistrz pokazał figurkę do tej pory, hrabina obojętnie zaprzeczy. Jej reakcja była jednak całkiem inna. Uśmiechnęła się z wyraźną radością i ulgą.

- Znalazłeś ją - szepnęła, biorąc od niego figurkę i ściskając ją w dłoni. - Porzuciłam już nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

Podczas gdy przyglądaliśmy się hrabinie z niemałym zaskoczeniem, postawiła królową na stole, przy którym siedziała, gdy weszliśmy, i skierowała się do stojącego obok kabinetu. Otworzyła go i wyjęła dużą szachownicę ze lśniącego czarnego i białego kamienia obramowaną ciemnym drewnem oraz drewnianą skrzynkę ozdobioną skomplikowanym, obco wyglądającym wzorem. Oba te przedmioty postawiła na stole, bezceremonialnie zgarnawszy z niego księgi, nad którymi tak pilnie pracowała.

- Ten komplet był prezentem ślubnym od mojego męża -

wyjaśniła. Wyjęła czarne i białe kamienne figurki ze specjalnych zagłębień w drewnianej skrzynce i zaczęła je rozstawiać na szachownicy. - Znalazł go podczas podróży po Hiszpanii

191

i przywiózł specjalnie dla mnie, tuż przed naszym ślubem. Obawiał się, że wolałabym coś bardziej ozdobnego... ale oczywiście mylił się, tak jak w wielu innych sprawach.

Jej długie palce dotykały figur niczym najcenniejszych klejnotów. Osiem małych stożków w każdym z kolorów służyło jako pion. Figury, choć różniły się od siebie, miały takie same abstrakcyjne linie, jakie charakteryzowały królową. I tak jak królowa lśniły w miękkim świetle komnaty.

Rozstawiwszy wszystkie, hrabina dodała:

- Szachy były jedyną rozrywką, jakiej oddawaliśmy się wspólnie. Spędziliśmy wiele nieprzespanych nocy, grając aż do świtu. Mieliśmy też inne komplety, ale zawsze uważałam, że ten ma w sobie coś szczególnego, choć jest tak prosty.

Podniosła królową i przesunęła palcem po jej łagodnych krzywiznach.

- Czy to za sprawą kamienia, którego użył rzeźbiarz, czy to dzięki jego wyjątkowej zręczności, zawsze wydawało mi się, że te figury jaśnieją własnym wewnętrznym światłem, jakby by-

ły obdarzone życiem - mówiąc to, uśmiechnęła się i postawiła królową na ostatnim wolnym białym polu.

Oderwałam wzrok od figur i spojrzałam na Mistrza, który przyglądał się hrabinie z chłodnym zainteresowaniem.

- Cieszę się, że mogłem zwrócić coś tak ci drogiego, pani, zwłaszcza wobec straty, jaką poniosłaś ostatnio - rzekł z lekkim ukłonem. - O ile niczego ode mnie nie potrzebujesz, nie będziemy cię dłużej niepokoić.

Wątpię, czy hrabina usłyszała jego słowa, bo cała jej uwaga była skupiona na szachownicy. Przesunęła najpierw białego piona, a po chwili namysłu czarnego, jakby grała sama ze sobą. Patrzyłam na nią w milczeniu, zafascynowana jej obsesją. Dopiero gdy Mistrz szturchnął mnie w ramię, oderwałam wzrok od hrabiny i ruszyłam za nim do drzwi.

- Wiemy już, do kogo należała figurka królowej - powiedział, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu - ale zagadka wcale nie została rozwiązana. Być może nigdy nie zdo-

192

łamy ustalić, w jaki sposób figurka znalazła się w rękach Lorenza.

- A czy wierzysz, Mistrzu, że hrabina nic nie wie o motywach, jakie mogły kierować mordercą jej męża?

- Tego jeszcze nie jestem pewien. Reakcja na odzyskanie królowej była szczerą, w to nie wątpię. Lecz co do reszty... Coś w jej zachowaniu wydaje się nienaturalne, choć nie potrafię dokładnie określić, co.

- Jest zła - odezwałam się, zaskakując samą siebie nie mniej niż Leonarda. Nie miałam jednak wątpliwości, że moja ocena jest słuszna.

Mistrz spojrzał na mnie bystro.

- Doprawdy, Dino, wydaje się, że potrafisz wejrzeć w kobiecy sposób myślenia - powiedział. - Ale niewykluczone, że masz rację. Może powinienem złożyć jej kolejną wizytę, tak jak hrabinie di Malvoral, i użyć mojego klucza, aby sprawdzić, co przechowuje w szkatułce.

Zdobyłam się tylko na skinienie głową, gdyż nie uszedł mojej uwagi pytający ton w jego głosie, gdy mówił o kobiecym sposobie myślenia. Muszę zachować większą ostrożność w wypowiedaniu opinii, przestrzegłam się w duchu, gdyż najwyraźniej nabrałam zbyt dużej śmiałości. Jeśli nie będę lepiej się pilnować, Mistrz może zacząć podejrzewać, dlaczego tak dobrze rozumiem kobiece serce!

- Monsieur Villasse prosi o wybaczenie tak długiej zwłoki, signor Leonardo, lecz w końcu ma czas, by z tobą porozmawiać.

To mówiąc, sekretarz francuskiego posła wskazał nam te same ciężkie rzeźbione drzwi, przez które przed chwilą wyszliśmy. Po opuszczeniu komnat hrabiny Ferrary Mistrz i ja wyruszyliśmy na poszukiwanie pana Villasse'a. Czekaliśmy w przedsiönku około godziny, podczas gdy sekretarz siedział przy wysokim stole i coś pisał, od czasu do czasu posyłając nam surowe spojrzenie.

193

Dwa razy stłumiony głos zza drzwi wezwał go do środka, byliśmy więc pewni, że poseł nigdzie nie wyszedł. Ale za każdym razem sekretarz wracał na swoje krzesło, nawet nie patrząc w naszą stronę. Z trudem ukrywałam narastające zniecierpliwienie, natomiast Mistrz siedział spokojnie, znajdował przyjemność w tej wymuszonej beczynności. Jego zachowanie mogło zwięść sekretarza, lecz ja widziałam, że co i rusz zerkał na swój ręczny zegar, i miałam pewność, że opóźnienie irytuje go tak samo jak mnie.

Początkowo sekretarz nie chciał nawet przekazać swojemu pryncypałowi wiadomości, twierdząc, że monsieur Villasse jest nieosiągalny. Dopiero gdy Leonardo podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha, jego zachowanie gwałtownie się zmieniło.

Nie wiedziałam, czy do działania skłoniła go groźba, czy obietnica łapówki, lecz niemal pobiegł do sąsiedniego pokoju. Wrócił po kilku minutach i oznajmił, że poseł chętnie poświęci wielkiemu Leonardowi chwilę lub dwie, jeśli ten będzie tak miły i zechce poczekać.

Czekaliśmy więc. Nieszczery ton sekretarza kazał mi przypuszczać, że opóźnienie jest zasługą raczej jego niż posła. Wydawał się wręcz rozczarowany, kiedy pan Villasse wreszcie zaprosił nas do środka. Odprowadzani jego niechętnym spojrzeniem, weszliśmy do komnaty, w której francuski poseł miał tymczasowy gabinet.

Pomieszczenie, większe i bogatsze od wszystkich, jakie odwiedziliśmy do tej pory, niewątpliwie zarezerwowano dla koronowanych głów i innych ważnych osobistości. Na kamiennych podłogach leżały ozdobne kobierce, a drzwi i okna miały rzeźbione obramowania z połączanego drewna. Meble były równie okazałe: na środku stał długi stół, zarzucony książkami i papierami, a po bokach dwa mniejsze kwadratowe stoliki, przy których ustawiono wyściełane krzesła. Pod jedną ze ścian stał ogromny kabinet z ciemnego drewna z jasnymi intarsjami, a ścianę przeciwległą zdobiło imponujące malowidło przedsta-

wiające triumf Kościoła nad pierwotnymi instynktami człowieka. W głębi komnaty na wysokim podeście stało łoże z baldachimem, częściowo zasłonięte gobelinowym parawanem.

Człowiek, który tu mieszkał, najwyraźniej uwielbiał taki przepych. Miał na sobie długą szatę z jasnoblękitnego brokatu obszytą białym futrem. Czarna czapeczka kontrastowała z jego siwymi włosami i nadawała mu nobliwy wygląd.

- Witaj, monsieur Leonardo - powitał Mistrza, podrywając się zza stołu i podchodząc do niego żwawo. - To prawdziwy zaszczyt móc się z tobą znowu spotkać. Przegranie twojego wspaniałego obrazu na rzecz księcia było dla mnie ogromnym rozczarowaniem. Nie sądzę jednak, byś przyszedł tutaj, aby dać mi możliwość odzyskania go?

Leonardo skłonił się lekko z uprzejmym uśmiechem.

- Obawiam się, że książę jest bardzo przywiązany do tego portretu, choć nie jest to najlepsze moje dzieło. Ale jeśli traktat między naszymi krajami, który negocjujesz, panie, zostanie zawarty, zapewne będę miał okazję odwiedzić francuski dwór i poprosić którąś z pięknych kobiet, by mi pozowała. Może madame Villasse okaże się wdzięczną modelką?

- Madame Villasse? - Poseł odwzajemnił uśmiech. - No cóż, czemu nie? Ale potem mógłbyś namalować pewną mademoiselle, która przypadkiem jest moją kochanką.

Uprzejmy wyraz twarzy Mistrza nie zmienił się ani odrobinę.

- Będę pamiętał, by obu im oddać sprawiedliwość - zapewnił. - Ale jako wielbiciel królewskiej gry, monsieur, może zechciałbyś zagrać ze mną o następny obraz? - dodał, jakby ten pomysł właśnie wpadł mu do głowy. - Jeśli wygrasz, dostaniesz portrety żony i kochanki, a ja zrezygnuję z zapłaty.

W oczach ambasadora pojawił się pożądlivy błysk.

- Doprawdy, wiele bym zrobił, aby wejść w posiadanie obrazu wielkiego Leonarda. Ale czego ty będziesz oczekiwał, jeśli wygrasz, monsieur?

- Poproszę o bardzo niewiele... tylko o list polecający.

195

- To nie jest drobna prośba. - Spojrzenie posła stwardniało. - Chcesz, aby pomógł ci zdobyć posadę na dworze jego królewskiej mości Ludwika?

- W pewnym sensie. Musisz wiedzieć, monsieur Villasse, że moja pozycja tutaj, w Mediolanie, zależy wyłącznie od kaprysu księcia. Jeśli przestanie być ze mnie zadowolony albo zmieni się sytuacja polityczna, będę musiał szukać innego bogatego patrona. - Mistrz spojrział na niego znacząco i dodał: - Na przykład takiego jak król Francji.

- Ach, monsieur Leonardo, widzę, że jesteś podobny do mnie. - Poseł roześmiał się i żartobliwie pogroził Mistrzowi palcem. - Zawsze trzeba brać pod uwagę, że przyszłość może przynieść zmiany, i to niekoniecznie na lepsze. A zatem przyjmuję twoje wyzwanie. Czy zagramy teraz? Nie mam innych planów na najbliższą godzinę.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do kabinetu, z którego wyjął dużą szachownicę i drewnianą skrzynkę.

- Z pewnością jednak nie gra w szachy była powodem twojej wizyty - kontynuował, gestem zapraszając Leonarda do jednego z mniejszych stolików. - Powiedz, proszę, cóż to za sprawa sprowadza cię w moje progi?

- Wiesz, panie, o niefortunnym incydencie, jaki wydarzył się w dniu, kiedy odbywała się rozgrywka żywych szachów - odparł Mistrz, zajmując wskazane miejsce. - Księżę uznał, że tak delikatna sprawa wykracza poza możliwości jego gwardzistów, i postanowił mi powierzyć zadanie wykrycia mordercy jego kuzyna. Niestety, dotychczas dowiedziałem się niewiele, wciąż nie mam żadnych poszlak, które pomogłyby rozwikłać tajemnicę. Miałem nadzieję, że może ty, panie, rzucisz jakieś światło na tę sprawę. -Ja?

Poseł położył szachownicę na stoliku i otworzył szkatułkę. Spoglądając znad drewnianych figurek, które ustawiał na po-

lach, rzekł:

- Obawiam się, że do niczego się nie przydam. Przed przyjazdem tutaj spotkałem hrabiego Ferrary tylko raz, kiedy 196

w ubiegłym roku przybył z wizytą do Francji. Oczywiście było to, zanim jego kuzyn, książę, mianował hrabiego posłem. O ile dobrze pamiętam, rozmawialiśmy wtedy bardzo krótko. - Obrzuciwszy mnie przelotnym spojrzeniem, dodał konspiracyjnym szeptem: - Wiem tylko, że na dworze krążą pogłoski, iż hrabiego zabił ktoś ze znajomych z powodów... nazwijmy to... osobistych.

- To najzupełniej możliwe. Jednak biorąc pod uwagę jego nowe stanowisko, nie możemy wykluczać, iż został zamordowany z przyczyn politycznych.

- I zastanawiasz się, czy nie stoi za tym Francja? - Błada twarz posła nabrała rumieńców, a obcy akcent stał się wyraźniejszy. - Zapewniam cię, monsieur Leonardo, że król Francji nie ma nic wspólnego ze śmiercią kuzyna księcia Mediolanu.

- Nigdy nie podejrzewałem niczego podobnego - odparł gładko Leonardo. - Biorę tylko pod uwagę możliwość, iż ktoś o niższej pozycji, na przykład jakiś niezadowolony arystokrata z naszego dworu, próbuje w ten sposób zerwać negocjacje

między Francją a Lombardią. Gdyby zaś tak było, do człowieka o twoich możliwościach, panie, niewątpliwie od dawna docierałyby pogłoski o tak nikczemnym spisku.

- Zapewniam cię, że nic mi nie wiadomo o żadnym spisku.

- Ja zaś chętnie przyjmuję twoje słowo. Ale chyba rozumiesz, panie, że obowiązek wobec księcia zmusił mnie do zadania ci tego pytania.

- Oczywiście. - Poseł z wyraźnym trudem zdobył się na przyjazny ton. - A teraz, skoro to było ostatnie z twoich pytań, porzućmy nieprzyjemne kwestie i zacznijmy grę. Nie mogę się doczekać, kiedy wygram obrazy, które mi obiecałeś.

Stałam z boku i dyskretnie obserwowałam posła, próbując wywnioskować z wyrazu jego twarzy, czy mówi prawdę. W stroju służącego byłam całkowicie ignorowana, jeśli nie liczyć przelotnego spojrzenia, jakim obrzucił mnie Francuz. Zdziwiłam się więc, kiedy Leonardo przywołał mnie gestem.

197

- Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać - zwrócił się do pana Villasse'a - ale próbuję nauczyć mojego pazia Dina co subtelniejszych posunięć, bym miał z kim grywać. Dobrze by mu zrobiło, gdyby mógł popatrzeć, jak gra ktoś o twoich

umiejętnościach.

- Niewątpliwie. - Poseł wyniośle skinął głową i obrócił szachownicę tak, że białe piony znalazły się po stronie Mistrza. - Ponieważ jesteś moim gościem, tobie należy się pierwszy ruch.

Leonardo przytaknął i przesunął o dwa pola do przodu piona królowej - małą figurkę o surowym obliczu, w malowanym stroju, który, jak zauważyłam z rozbawieniem, przypominał moje ubranie. Gdy poseł odpowiedział podobnym ruchem, Leonardo lekko się uśmiechnął i postawił piona biskupa na skrzydle królowej obok pierwszego.

- Zwróć uwagę, Dino - rzekł, wskazując szachownicę - że rozpocząłem grę czymś, co nazywa się gambitem królowej. Pokazałem gotowość poświęcenia piona w nadziei zyskania później przewagi. Mój czcigodny przeciwnik może przyjąć gambit, zbijając swoim pionem mój, ale może go też odrzucić... Wygląda na to, że przyjął wyzwanie - dodał, widząc, że poseł zdjął z szachownicy biały pion i zastąpił go czarnym.

W odpowiedzi Leonardo przesunął po skosie królową.

- A teraz ja zaszachowałem ambasadora.

Pan Villasse zmarszczył brwi i pospiesznie przesunął swego gońca, blokując drogę królowej.

- Udaremnił mój manewr - wyjaśnił Mistrz. - Gdybym

ośmielił się zbić jego gońca, straciłbym królową. A tak - przesunął królową w bok i zdjął pion ambasadora - zdobyłem jego piona i na pewien czas wyrównałem wynik.

Od tej chwili gra postępowała w znacznie wolniejszym tempie... przynajmniej ze strony ambasadora. Przed każdym ruchem marszczył brwi i wpatrywał się w szachownicę przez kilka minut, zanim podjął decyzję. Leonardo natomiast przesuwiał swoje bierki bez namysłu, od czasu do czasu zdejmując

198

z planszy czarne figury i tracąc tylko kilka własnych. Dwa razy uprzejmym tonem oznajmił: „szach”, zmuszając zdenerwowanego posła do wycofania się na bezpieczną pozycję.

Po godzinie na szachownicy została mniej więcej połowa białych i zaledwie kilka czarnych bierek. Leonardo przez cały czas spokojnie objaśniał mi swoją strategię. Poseł natomiast pośpieszał z minuty na minutę. Pot perlił się na jego czole, choć w komnacie było raczej chłodno. Podejrzewałam, iż komentarze Mistrza zaczęły go męczyć, ale że sam się zgodził, bym była obecna przy rozgrywce, nie mógł narzekać, nie okazując się nieuprzejmym.

- Pamiętaj, Dino - mówił mistrz, gdy poseł zastanawiał się nad następnym ruchem - że szachy przypominają wojnę pro-

wadzoną w prawdziwym świecie. Zawsze trzeba wybiegać myślą kilka posunięć naprzód, mając na celu ostateczny triumf, nie zaś zwycięstwo w drobnych potyczkach - dodał, gdy Villasse z szerokim uśmiechem zbił jego królową.

Zaniepokoiłam się, widząc ten ruch, ale Mistrz tylko wzruszył ramionami.

- Jak wiesz, mój chłopcze, królowa jest najpotężniejszą figurą na szachownicy. Jej utrata zwykle kończy się przegraną. Czasami jednak królowa poświęca się dla dobra króla. I gdy przeciwnik raduje się jej zdobyciem, jedna z pomniejszych bierek przejmuje jej sztandar i odnosi zwycięstwo. - Przesunął swojego ostatniego piona o jedno pole do przodu, tak że stanął na ukos od czarnego króla, i rzekł przyjaźnie do Francuza: - O ile się nie mylę, monsieur, to jest szach i mat.

Poseł wymamrotał coś niewyraźnie i przez kilka chwil przyglądał się szachownicy z różnych stron, jakby miał nadzieję, że zobaczy drogę ucieczki, której nie zauważył wcześniej. W końcu odsunął krzesło i uniósł ręce.

- Poddaję się, monsieur Leonardo. Jesteś doprawdy znakomitym graczem. Żałuję tylko, że nie będę miał twoich obrazów.

- To była trudna partia - pocieszył go Mistrz. - Ale mając twój list, panie, może znajdę się na dworze króla Ludwika,

a wtedy będziesz mógł zamówić u mnie portret... oczywiście za zwykłą cenę.

Posel westchnął ciężko.

- Oczywiście - rzekł, podchodząc do stołu. Wziął pióro i czysty arkusz papieru, napisał na nim kilka linijek, po czym w kilku kroplach wosku odcisnął swoją pieczęć. - Oto twój list, monsieur Leonardo - oznajmił, wręczając papier Mistrzowi.

Leonardo przeczytał list i uśmiechnął się z satysfakcją, starannie go złożył i schował pod tunikę.

- Nie będziemy dłużej cię niepokoić, panie - rzekł. - Ale gdybyś przypomniał sobie cokolwiek, co mogłoby się okazać pomocne w śledztwie dotyczącym śmierci hrabiego, bądź tak dobry i powiadom mnie.

Gdy wychodziliśmy z gabinetu posła, jego zapewnienia wciąż dźwięczały nam w uszach. Mistrz skinął głową sekretarzowi, który zdecydował się wstać z krzesła dla samej przyjemności zamknięcia za nami drzwi. Kiedy tylko znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, zapytałam:

- Mistrzu, wyjaw mi, proszę, jak zdołałeś skłonić tego aroganckiego człowieka do pomocy?

Leonardo się uśmiechnął.

- Powiedziałem tylko, że wiem, co robił poprzedniej nocy, i że poseł też się o tym dowie, jeśli on natychmiast mu nas nie zaanonsuje.

- Co takiego zrobił, że bał się, by nie wyszło to na jaw?
Mistrz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, drogi chłopcze. Ale moje studia nad ludzką naturą wskazują, że człowiek o jego usposobieniu ma skłonność do niestosownego postępowania. Założyłem więc, że zrobił coś, czego nie powinien był zrobić, i jak widziałeś, intuicja mnie nie zawiodła.

Pokręciłam głową z podziwem.

- A partia szachów z posłem? Czy gdybyś przegrał, namalowałbyś jego żonę i kochankę?

200

- Oczywiście - odparł beztrąsko. - Dotrzymuję danego słowa. Ale ambasador nie byłby zachwycony tym dziełem, zamiast bowiem dać mu dwa portrety, namalowałbym obie damy na jednym.

Nie potrafiłam powstrzymać śmiechu na myśl o absurdalności tego, co opisał: wspólnego wizerunku żony i kochanki patrzących na siebie. Może nawet przedstawiłby jedną z nich przed lustrem, drugą zaś jako obraz odbity w zwierciadle. Takie

dzieło niewątpliwie zostałyby uznane za genialne w swej złośliwości przez wszystkich, z wyjątkiem ambasadora i obu nieszczęsnych kobiet.

Rozbawienie szybko mnie opuściło, gdy wróciłam myślami do rozmowy z monsieur Villasse'em. Byłam gotowa w nim widzieć jednego z nikczemników uwikłanych w spisek, ale jego zachowanie nie pasowało do człowieka mającego poczucie winy.

- Nie pokazałeś mu portretów służących, Mistrzu - przypomniałam. - Czy wrócimy, żeby to zrobić?

- Nie ma takiej potrzeby. Jeśli to on był jednym ze spiskowców, tych dwóch wynajęli hrabina albo Orlando. Villasse nie miał z tym nic wspólnego.

Pokręciłam głową rozczarowana. Pomyślałam, że poseł nie wyjawiał nam nic użytecznego, i podzieliłam się tą myślą z Mistrzem.

Leonardo zatrzymał się gwałtownie i stanął naprzeciwko mnie.

- Ależ mój drogi Dino, tym razem bardzo się mylisz. Francuski ambasador powiedział nam całkiem sporo, choć sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

Sięgnął pod tunikę po list.

- Zapropnowałem grę w szachy, wiedząc, że wciąż bole-

je nad przegraną z Il Moro. Co się zaś tyczy mojej nagrody, jej wybór wcale nie był przypadkowy... i nie kierowałem się własną korzyścią. Chciałem tylko uzyskać próbkę pisma monsieur Villasse'a.

201

Rozłożył list, spojrział na niego i pokiwał głową z zadowoleniem.

- Teraz moja ciekawość została zaspokojona. Widzisz, gdybym położył ten list obok wiadomości ukrytej w szkatułce hrabiny di Malvoral, byłoby widać wyraźnie, że oba dokumenty wyszły spod tej samej ręki.

Gdy patrzyłam na niego z niemym podziwem, dodał:

- Niestety, oznacza to tylko tyle, że jego zamiarem jest doprowadzenie do śmierci arcybiskupa. Nie wiemy natomiast, kto i dlaczego zabił hrabiego Ferrary. Dlatego muszę zaryzykować gambit królowej, aby sprowokować zabójcę.

Przypomniawszy sobie, jak objaśniał mi tę strategię, zapytałam:

- Ale kogo poświęcisz, aby utorować drogę do rozwiązania zagadki?

- To proste, drogi chłopcze - odparł z uśmiechem. - Poświęcę samego siebie.

Doświadczenie nigdy nie błądzi; to tylko nasze sądy mogą być błędne...

Leonardo da Vinci Codex Atlanticus

to tej zagadkowej odpowiedzi Leonardo zostawił mnie w warsztacie, gdzie dołączyłam do Constantina i pozostałych. Wcześniej jednak dał mi swoją rozdartą tunikę, bym zaniósła ją signorowi Luigiemu do naprawy. Tym razem bez większego kłopotu opuściłam zamek. Jeden ze strażników poinformował mnie, że któraś z pomywaczek powiedziała mu, iż pewien lokaj wyznał jej w sekrecie, że Il Moro zamierza odwołać zakaz opuszczania zamku. Zastanawiałam się, czy książę podjął tę

202

decyzję z własnej inicjatywy, czy też Mistrz przyłożył do tego rękę.

Krawiec wydawał się niemal uradowany moim widokiem.

- Ach, mój mały przyjaciel... hm, Dino- powitał mnie, podnosząc swoje imponujące jestestwo z maleńkiej ławki, na której siedział. Dwóm swoim uczniom polecił przejść do sąsiedniej pracowni i skinął, bym podeszła bliżej. - Jakże ci posłużył elegancki strój, który ci uszyłem?

- Doskonale - odparłam zgodnie z prawdą. - Wyglądałem

w nim bardzo okazale.

- A to drugie ubranie? - spytał, unosząc porozumiewawczo brwi.

Zarumieniłam się.

- Jest niemal wygodne, panie, i znacznie praktyczniejsze niż to, co nosiłem wcześniej.

- Więc nasza maskarada wciąż nie została odkryta. - Skinął głową z satysfakcją i zerknął podejrzliwie na mój pakunek. - Nie mów mi, że signor Leonardo zniszczył następną ze swoich tunik...

Pokiwałam smętnie głową i pokazałam mu rozdarty rękaw. Luigi wydał wargi, po czym wzruszył ramionami.

- Uszkodzenie nie jest duże, w każdym razie nie tak duże, jak w tunice, którą twój Mistrz miał na sobie, gdy któryś z jego wynalazków eksplodował. W tamtej było więcej dziur niż materiału i nadawała się już tylko na szmaty. Tę mogę naprawić tak, że będzie wyglądała jak nowa.

Nachylił się ku mnie i zniżył głos do szeptu.

- Słyszałem pogłoski, mój drogi Dino, jakoby twój Mistrz przyglądał się wydarzeniom związanym ze śmiercią kuzyna Il Moro. No, nie udawaj, że nie rozumiesz, o czym mówię - fuknął, gdy spojrzałam na niego obojętnym wzrokiem. - Wszyscy o tym wiedzą. Dostałem nawet zamówienie na tuniki, które bę-

dą noszone w czasie rychłej egzekucji. Ale dziwi mnie, że wielki Leonardo jeszcze nie przyszedł do mnie po informacje o tej sprawie.

203

- Jak to? - powiedziałam, unosząc brwi. - Czyżbyś wiedział o tym morderstwie coś, co on także powinien wiedzieć?

- Ja wiem wszystko o wszystkim. Ludzie chętnie dzielą się z krawcem sekretami, których nie powierzyliby nawet spowiednikom - rzekł Luigi z leniwym machnięciem ręką.

Nieco teatralnie opadłam na ławkę i utkwiłam w nim wzrok.

- A więc coś wiesz. Proszę, musisz mi powiedzieć.

- Nie tak szybko, mój... hm, chłopcze. - Krawiec przybrał świętoszkowaty wyraz twarzy. - Podobnie jak ksiądz, nie mogę zdradzać tego, co zostało powierzone mojej dyskrecji. Mogę ci jednak powiedzieć, że hrabia wcale nie był takim oddanym mężem, za jakiego uchodził. Niejedna kobieta na dworze cieszyła się jego względami zarówno przed ślubem, jak i po ślubie.

Wzruszył ramionami i mówił dalej:

- Nie można całkowicie potępiać go za szukanie innego towarzystwa. Widzisz, hrabina Ferrary nie jest najłagodniejszą z kobiet, choć wygląda jak myszka. W każdym razie przypusz-

czam, że to jakiś niezadowolony mąż mógł się pozbyć czarującego Orlanda - zakończył zadowolony z siebie.

Słuchałam rewelacji Luigiego z niemałym zainteresowaniem. Mistrz i ja braliśmy pod uwagę różne możliwości, ale jak dotąd nie mieliśmy powodu sądzić, że śmierć hrabiego była pospolitym zabójstwem. Przypuszczaliśmy, iż Orlando został zamordowany ze względu na swoje stanowisko posła albo zginął omyłkowo wzięty za arcybiskupa, przeciwko któremu był wymierzony spisek. Teraz równie prawdopodobna wydawała się trzecia możliwość - że morderstwo to było zbrodnią w afekcie, popełnioną przez kogoś szukającego zemsty za osobistą zniewagę.

Luigi jednak znudził się tym tematem równie szybko, jak go rozpoczął. Przeszedł do plotek o innych ludziach, najwyraźniej znajdując we mnie słuchacza wdzięczniejszego niż pracujący dla niego chłopcy. Słuchałam go uprzejmie jeszcze przez kilka minut, lecz nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do warsztatu.

204

Nie chodziło tylko o nowe informacje dotyczące śmierci hrabiego, choć chciałam jak najszybciej podzielić się nimi z Mistrzem. Miałam do załatwienia jeszcze jedną sprawę, o której wcześniej zapomniałam w podnieceniu: przeszukanie skrzyn-

ki z moim dobytkiem, aby sprawdzić, czy nocny gość rzeczywiście coś w niej zostawił, jak przypuszczał Mistrz.

Podejrzewałam, że intruzem mógł być Renaldo, gdyż sądziłam, iż jest na tyle śmiały i sprytny, by przedostać się niepostrzeżenie przez zamkowe mury. Niewykluczone, że szukał mnie na targowisku, chcąc tylko porozmawiać, a nie zrobić mi krzywdę. Skoro bowiem, jak wynikało z anonimowego listu ambasadora, zabójcy mieli zostać zlikwidowani, to Renaldo mógł się dowiedzieć, co spotkało Lorenza, i bać o własne życie.

Oczywiście, nie można wykluczyć, że się mylę. Być może to Renaldo zabił swego przyjaciela Lorenza i nadal zamierzał zamordować arcybiskupa, do czego się zobowiązał... a także każdego innego, jeśli okazałoby się to konieczne!

Wysłałam od signora Luigiego najszybciej, jak pozwalała na to uprzejmość, i wróciłam do naszej sypialni przy warsztacie. I pracownia, i sypialnia były puste, choć wiedziałam, że pozostali uczniowie niedługo wrócą z sali biesiadnej, gdzie pracowali nad freskiem. Musiałam się pospieszyć, na wypadek gdyby któryś wrócił szybciej niż inni i zaczął się zastanawiać, co tutaj robię.

Przejrzenie dobytku trwało zaledwie kilka minut. Z ulgą stwierdziłam, że floreny, które dał mi ojciec, wciąż leżą bezpieczne w czubku jednego ze znoszonych pantofli. Widząc lekkiego nieład w moich ubraniach, upewniłam się, że ktoś w nich

grzebał. Nie znalazłam jednak niczego, co zostałoby dodane do mojego skromnego zbioru dóbr... w każdym razie tak pomyślałam w pierwszej chwili. Dopiero gdy zwinęłam tunikę, której rękaw wystawał ze skrzynki, i już miałam zamknąć wieko, zauważyłam w niej nieznaczną wypukłość.

Wyjęłam tunikę, włożyłam rękę do rękawa i wyczułam w nim coś, co wydało mi się zwiniętym kawałkiem tkaniny. Marszcząc czoło, wydobyłam go i obejrzałam skonfundowana, 205

nie była to bowiem tkanina, a kawałek miękkiej żółtej skóry. Wyglądał na zwiniętą rękawiczkę należącą do kobiety, sądząc z delikatnej formy. Skóra sprawiała wrażenie dziwnie sztywnej, toteż rozwinęłam pakiecik z niemałą obawą.

W pierwszej chwili pomyślałam, że właścicielka rękawiczki musiała niechcący upuścić ją do naczynia ze świeżą temperą, gdyż na skórze widniały plamy z jakiegoś płynu o rdzawym kolorze. I wtedy zdałam sobie sprawę, na co patrzę: na rękawiczkę zachlapaną krwią, która głęboko w nią wsiąknęła. Może to była krew hrabiego?

Z krzykiem odrzuciłam od siebie ten straszny przedmiot, tak przerażona, jakby posoka wciąż z niego kapała. To musiała być rękawiczka osoby... kobiety, która zamordowała hrabie-

go Ferrary! Natychmiast pomyślałam o hrabinie di Malvoral, w której bez trudu zobaczyłam morderczynię. Nawet jeśli własnoręcznie nie zasztyletowała hrabiego, mam wreszcie dowód, iż była świadkiem tego morderstwa. Ale kto ukrył tę ponurą pamiątkę w mojej skrzyni i dlaczego?

Zanim zdążyłam wymyślić jakąś odpowiedź, usłyszałam wracających do pracowni kolegów, którzy głośno rozmawiali i śmiali się wesoło. Szybko podniosłam zakrwawioną rękawiczkę i zawinęłam ją w kawałek materiału, który niegdyś nosiłam pod tuniką. Ukryłam pakunek razem z innymi ubraniami i zatrzęsnęłam wieko.

- Tutaj jesteś, Dino! - zawołał Constantin, gdy stałam, otrzepując kurz z kolan. - Skoro Mistrz cię nie potrzebuje, może pójdziesz zjeść z nami kolację?

- Bardzo chętnie - odparłam szczerze.

Potrzebowałam towarzystwa nieskomplikowanych ludzi, aby wśród nich trochę się uspokoić. Jednak posiłek z Constantinem i innymi nie okazał się tak monotony, jak oczekiwałam. Kiedy staliśmy w kolejce do kuchni, dotarła do nas wieść, że książę rzeczywiście cofnął swój zakaz.

- Podobno wszyscy goście pakują kufry i szykują się do wyjazdu z pierwszym brzaskiem - opowiadał Paolo. - Rankiem

nastąpi exodus o prawdziwie biblijnej skali - dodał, parszając śmiechem.

- A kogo oni obchodzą? - wtrącił Vittorio. - Kiedy tylko skończymy jeść, zamierzam wybrać się na spacer za mury, tylko dlatego, że mogę. Och, nie martw się, Constantin - dodał, bo starszy uczeń spojrzał na niego surowo. - To zajmie mi tylko kilka minut, a potem będę miał mnóstwo czasu na wieczorne obowiązki.

Gdy pozostali zaczęli mówić jeden przez drugiego, nadstawiałam uszu na plotki o odjeździe jednej osoby... arcybiskupa Mediolanu, który ogłosił, że za dwa dni wyruszy do Rzymu. Ale największe poruszenie wśród mieszkańców zamku wywołał zapowiedziany pożegnalny gest Jego Eminencji.

- Podobno Jego Eminencja jutro wieczorem zamierza udać się do zamkniętego ogrodu i tam spędzi całą noc na klęczkach, modląc się za swój lud, tak samo jak Pan w Getsemani! - zawołał z podziwem Davide.

We mnie ta nowina wzbudziła jednak niepokój. Chodziło przecież o ogród, w którym zaledwie przed kilkoma dniami zostało znalezione ciało hrabiego Ferrary. Czy to tylko zbieg okoliczności, że arcybiskup zaplanował modlitwę akurat w tym samym miejscu?

Kiedy więc inni chłopcy dyskutowali o korzyściach płynących z klęczenia przez całą noc, ja zastanawiałam się nad motywami Jego Eminencji, zwłaszcza w świetle ostrzeżenia, jakiego wczoraj udzielił mu Mistrz. Przecież arcybiskup musi sobie zdawać sprawę, że taka demonstracja pobożności - podjęta samotnie i w nocy - czyni go łatwą ofiarą zabójcy. Zupełnie jakby liczył na to, że wrogowie go dopadną.

Zmarszczyłam brwi. Czy to może być ów gambit królowej, o którym wspominał Leonardo... ofiara złożona w nadziei ostatecznego zyskania przewagi nad przeciwnikiem? Czyżby zamierzał sam strzec duchownego i pojmać tego, kto spróbuje go skrzywdzić? Poczułam ucisk w żołądku, gdy zrozumiałam, że właśnie taki musi być plan Mistrza. Niewątpliwie to on zadbał,

207

by pogłoska o akcie pobożności arcybiskupa rozeszła się jak najszybciej, aby usłyszeli ją zamachowcy i zdążyli poczynić niezbędne przygotowania. Cały dwór rozpamiętuje śmierć hrabiego, więc ci nikczemnicy prawdopodobnie są pewni sukcesu. Leonardo może wykorzystać to, żeby ich zaskoczyć.

Ale sprawa wcale nie jest taka prosta, pomyślałam. Dwóch ludzi już zginęło, a trzeci jest kandydatem na trupa. Zabójcy są zdeterminowani, wręcz zdesperowani. Nie będzie łatwo ich

schwycić i na pewno nie zawahają się zabić kolejnej ofiary, gdy znajdą się w potrzasku. Jeśli Mistrz nie będzie miał w pogotowiu gwardzistów Ludovica, to i on może paść ofiarą zamachowca, nie tylko kardynał Nardini.

A byłam pewna, że żaden gwardzista nie będzie mu towarzyszył. Leonardo bez wątpienia wzgardzi wszelką pomocą i spróbuje sam udaremnić zbrodnię. Przed oczami stanęła mi przerażająca scena, tak realistyczna, jakbym naprawdę ją oglądała. Stary i słaby arcybiskup nie pomoże w obronie przed napastnikiem. Jeśli zamachowiec będzie jeden, Leonardo może sobie z nim poradzić. Jeżeli jednak, nauczony wcześniejszym niepowodzeniem zabierze pomocników, by tym razem mieć pewność sukcesu, w ogrodzie znajdzie się dwóch lub nawet więcej uzbrojonych ludzi.

Oczywiście wszystko to może się stać, jeśli Mistrz dożyje chwili, gdy będzie mógł zrealizować swój plan. Nie widział jeszcze zakrwawionej rękawiczki, którą znalazłam, ani nie sły-szał plotek i w odróżnieniu ode mnie nie dostrzega, że hrabi-na di Malvoral jest naprawdę niebezpieczna. A jeżeli wróci do jej pokojów, by zadać następne pytania? Może tym wzbudzić w niej podejrzenia wystarczające, by pchnęła go nożem, zanim zdąży się zorientować, co zamierza.

- Dino, czy źle się czujesz? - pytanie Constantina przywró-

ciło mi poczucie rzeczywistości. - Zbladłeś, jakbyś zobaczył ducha.

- Wszystko w porządku, jestem tylko trochę zmęczony - zapewniłam, zastanawiając się, jak by zareagował, gdybym opowie-
208

działa mu o duchach, które naprawdę zobaczyłam oczami duszy. Miałam tylko jedną możliwość powstrzymania tej tragedii.

W miejsce strapienia błyskawicznie pojawiła się determinacja. Jutro wieczorem Leonardo nie będzie w ogrodzie sam - przysięgłam sobie - ja bowiem będę czuwała razem z nim i nad nim. Najpierw jednak muszę go odnaleźć i opowiedzieć, czego dowiedziałam się od signora Luigiego, a także pokazać moje przyprawiające o dreszcz znalezisko: zakrwawioną rękawiczkę.

Mistrz nie wezwał mnie wieczorem, na co liczyłam; kiedy w końcu wyszłam z pracowni i zastukałam do drzwi jego pokoju, nie odpowiedział. Widziałam migoczącą wewnątrz świecę i domyśliłam się, że siedzi zamknięty w prywatnej pracowni, być może zajmując się tym samym wynalazkiem, nad którym pracował poprzedniej nocy. Zabrakło mi odwagi, by wejść do środka i zapukać do drzwi tego sanktuarium, nie miałam więc innego wyjścia, jak wrócić do łóżka i rozpamiętywać wydarzenia dnia.

Niewiele spałam tej nocy. Świt nie przyniósł ulgi, Mistrz także się nie pojawił. Martwiłam się, idąc za kolegami do sali biesiadnej, gdzie pod nieobecność Leonarda mieliśmy kontynuować pracę nad ostatnim freskiem.

W ciągu poprzednich dni chłopcy nałożyli już grubą warstwę gipsowego podłoża i cieńszą powłokę. O dziwo, Mistrz najwyraźniej znalazł czas - może ostatniej nocy - by na podłożu nanieść szkic fresku. Mimo dręczącego mnie niepokoju nie potrafiłam nie zachwycić się geniuszem widocznym w tych prostych kreskach.

Fresk miał być iluzjonistyczny. Aby stworzyć ten obraz, Leonardo naniósł na zarysy łagodnie falujących wzgórz i widocznych w oddali fortyfikacji szereg okien z kotarami i kolumnowy krużganek, co sprawiało wrażenie, jakby widz patrzył przez ścianę na rozciągający się za nią krajobraz. Dzisiaj mieliśmy powiesić następne szablony i przenieść kontury na tło, a następnie poprawić linie naprószone węglem czerwoną kreską.

na, a węgiel łatwo się rozmazywał. Ale przed zmierzchem zakończyliśmy nasze zadanie. Kiedy zmęczeni wracaliśmy do pracowni, Constantin ogłosił, że po kolacji nie musimy wykonywać codziennych prac, lecz mamy cały wieczór tylko dla siebie. Ta nowina została przyjęta okrzykami radości przez wszystkich... z wyjątkiem mnie.

- Czemu jesteś taki smutny, Dino? - spytał Vittorio, gdy zatrzymałam się przy fontannie, by zeskrobać węglowy i gipsowy pył przed pójściem do kuchni.

Osuszyłam brzegiem tuniki ręce oraz twarz i odwróciłam się do niego.

- Nie jestem smutny. Martwię się o Mistrza. Przez cały dzień nikt go nie widział. Powinien przecież nadzorować prace nad freskiem.

- Nie jesteś jego uczniem tak długo jak ja - powiedział Vittorio nieco napszonym tonem. - Mistrz czasami znika na dwa albo trzy dni, kiedy pracuje nad nowym wynalazkiem. Jestem pewien, że jutro wróci, nie martw się.

Skinęłam głową, lecz nie potrafiłam pozbyć się niepokoju. Za jakąś godzinę zapadnie zmierzch i arcybiskup rozpocznie czuwanie w ogrodzie. Jeśli Leonardo ma jakiś plan, dlaczego mi go nie wyjawiał? Może jednak coś jest nie tak.

Pomyślałam znowu o hrabinie di Malvoral. Czy ma coś

wspólnego z nieobecnością Mistrza? A może ambasador nabrał podejrzeń i wysłał za nim Renalda z nożem albo pałą! Czyżby Mistrz nie posłał po mnie dlatego, że nie mógł tego zrobić?

Coraz bardziej zatrwożona, postanowiłam działać. Po kolacji wrócę do jego kwatery. Jeżeli nie odpowie na pukanie, wejść do środka, a potem jakoś dostanę się do pracowni. Chętnie zniosę gniew Mistrza z powodu wtargnięcia, jeśli tylko dzięki temu upewnię się, że nic mu nie jest. Ale gdybym nie zastała go w pracowni, włożę strój pazia i wyruszę go szukać.

210

Uzbrojona w łodygę jakiegoś warzywa, popędziłam do pracowni. Moi koledzy zostali w tyle i wraz z resztą pałacowej służby zajęli się świętowaniem, więc nikt nie zauważył, jak cichcem wymknęłam się do mieszkania Leonarda. Tak jak się obawiałam, nikt nie odpowiedział na pukanie, a drzwi wydawały się zablokowane od wewnątrz. Okno jednak było uchylone - na tyle, by ktoś drobny i zwinny jak ja mógł się przez nie przecisnąć. Tak też zrobiłam, rozejrzawszy się wcześniej uważnie dookoła.

Zeskoczyłam z parapetu na podłogę i wylądowałam bezszelnie, choć dość niezgrabnie w pokoju Mistrza. Słońce zdążyło już niemal całkiem skryć się za horyzontem i pomieszczenie oświetlał tylko słaby blask kilku węgli żarzących się w kominku.

Natychmiast zorientowałam się, że Mistrza tu nie ma. Drzwi do jego prywatnej pracowni były zamknięte, a przez szparę między nimi a podłogą nie widać było światła. Na wszelki wypadek jednak zapukałam.

Kiedy nikt nie odpowiedział, zastukałam mocniej.

- Signor Leonardo, czy tam jesteś? To ja, Dino.

Znowu żadnej odpowiedzi. Poczułam ukłucie niepokoju na wspomnienie straszliwego łoskotu, który dobiegł stamtąd dwie noce wcześniej, gdy coś wielkiego spadło na podłogę. Po tym wypadku Mistrz miał tylko podartą tunikę. A jeżeli przytrafiło mu się coś podobnego, lecz tym razem został ranny i leży bezradny, może nawet nieprzytomny?

Ostrożnie nacisnęłam klamkę i z zaskoczeniem stwierdziłam, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Lampa wciąż stała na stole, przy którym siedziałam, tłumacząc list ambasadora, więc czym prędzej zapaliłam ją i wróciłam do pracowni. Aż podskoczyłam, słysząc przeraźliwe skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. Oczekałam chwilę, aż serce mi się uspokoi, i dopiero wtedy przekroczyłam próg ciemnego pomieszczenia.

W pierwszej chwili odniosłam wrażenie zorganizowanego chaosu. Na półkach wzdłuż ścian dostrzegłam najróżniejsze przedmioty: naczynia z farbami obok metalowych prętów, koła

zębate, cegły, kawałki pergaminu, niedokończone szkice... Niemal całą długość pomieszczenia zajmował stół. Na jednym jego końcu leżał stos ksiąg, na środku zaś rozwinięte arkusze, na których narysowano dziwne urządzenia, zarówno użyteczne, jak i najzupełniej fantastyczne. Gdybym miała czas, z przyjemnością spędziłabym tu cały dzień, podziwiając wszystko. Teraz jednak przede wszystkim niepokoiłam się o Mistrza.

Tu niewątpliwie go nie było; pod żadną przewróconą machiną ani rzeźbą nie leżało jego martwe ciało. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło, odkąd opuścił pracownię, ale podobne do przysadzistych grzybów ogarki świec były zimne, a wosk wokół nich dawno zastygł. Czy powinnam poczekać tutaj, licząc, że wkrótce wróci, czy też ruszyć na poszukiwania?

Zdecydowawszy się na to drugie, zamknęłam za sobą drzwi pracowni i zgasiałam lampę. Opuściłam mieszkanie w taki sam sposób, w jaki do niego weszłam, po czym biegiem pokonałam niewielką odległość dzielącą mnie od warsztatu.

Kilka minut później zamieniłam skromną tunikę terminatora na olśniewający strój pazia, choć tej nocy świadomość wagi mojej misji nieco psuła przyjemność jego noszenia. Z wahaniem sięgnęłam do skrzyni po płótno, w którym ukryłam zakrwawioną rękawiczkę. Oderwałam kawałek, zawinęłam węń

makabryczny dowód i schowałam małą paczuszkę pod tunikę.

Uznałam, że najpierw powinnam sprawdzić, czy arcybiskup rozpoczął już modlitwę, skierowałam się więc najkrótszą drogą w stronę ogrodu. Brama była tylko przymknięta, toteż odważyłam się zajrzeć do środka.

Z ulgą stwierdziłam, że Jego Eminencja jeszcze nie przybył... ale nie zauważyłam też żadnych oznak obecności Mistrza. Nawet gdyby zdążył ukryć się wśród krzewów, z pewnością pokazałby się, widząc, że nadchodzę. Doszłam do wniosku, że obaj muszą być gdzieś w zamku, i postanowiłam właśnie tam się udać.

Miałam nadzieję, że wędrowka przez otwarty dziedziniec wygląda na swobodną i nie odzwierciedla moich prawdziwych uczuć. Kiedy dotarłam do samego zamku, zdenerwowanie za-

212

częło ustępować. Przypomniałam sobie bowiem, jak niewiele uwagi możni poświęcają służącym. W stroju pазia powinnam bez trudu wejść do większości zamkowych komnat.

Nie miałam wprawdzie żadnego planu poszukiwań, ale od-
ruchowo ruszyłam w stronę skrzydła, w którym mieszkał fran-
cuski poseł. Jeśli tej nocy ktoś coś knuje, to z pewnością mon-
sieur Villasse przyłoży do tego rękę. Może Leonardo wpadł na
ten sam pomysł, może nawet namówił posła do następnej partii

szachów, by rozproszyć jego uwagę.

Było jeszcze na tyle wcześnie, że służba krzątała się po zamku, więc żadna z mijanych osób nie zwracała na mnie uwagi. Gdy dotarłam do komnat posła, przez uchylone drzwi przedsionka zauważyłam jego sekretarza pakującego papiery i ubrania, najwyraźniej przed porannym wyjazdem. Nie dostrzegłam jednak ani śladu Mistrza i monsieur Villasse'a.

Już miałam zrezygnować i wymknąć się niezauważona, kiedy ku memu przerażeniu sekretarz odwrócił się i natychmiast mnie zauważył. Przybrał jeszcze bardziej nieżyczliwy, o ile było to w ogóle możliwe, niż rano wyraz twarzy i zatrzymał mnie władcym gestem.

- Hej, chłopcze - zawołał gniewnym tonem - jak śmiesz zaglądać do prywatnych pokojów ambasadora?

Ukloniłam się pospiesznie i gorączkowo próbowałam wymyślić jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

- Proszę o wybaczenie, ale mój Mistrz, signor Leonardo, przysłał mi wiadomość, bym do niego dołączył - improwizowałam. - Zrozumiałem, że jest teraz w towarzystwie monsieur Villasse'a.

- Cóż, w takim razie źle zrozumiałeś - parsknął sekretarz. - Ambasador ma przed wyjazdem ważniejsze sprawy niż spędzanie wieczoru z drugorzędnym malarzem. Jest zajęty omawia-

niem spraw wagi państwowej z księciem. A teraz wynoś się, albo wezwę straż.

Choć ubodło mnie lekceważące określenie Leonarda, z zadowoleniem wykonałam polecenie sekretarza. Miałam nadzieję,
213

iż uzna, że godność nie pozwala mu dalej zajmować się moją obecnością, i nie zada sobie trudu powiadomienia o niej swojego chlebowodawcy.

Zostało mi do sprawdzenia jeszcze jedno skrzydło zamku. Nieprzyjemnie zaskoczona przez sekretarza francuskiego posła, zbliżając się do komnat hrabiny, zachowałam znacznie większą ostrożność. Dobrze pamiętałam, jak upierała się przy tym, że gdzieś mnie już widziała, nie zamierzałam więc dawać jej okazji, by przyjrzała mi się dokładniej i przypomniała sobie nasze pierwsze spotkanie. Ale postanowiłam, że dowiem się, czy Mistrz jest u niej.

Tym razem szczęście mi dopisało. Drzwi do sypialni hrabiny uchylły się i wyszła przez nie ta sama służąca, która wybiegła stąd z płaczem kilka dni temu. Naburmuszona mina nie dodawała jej urody, ale że na policzku wciąż miała siniec po uderzeniu wymierzonym przez hrabinę, nie dziwił mnie jej zły humor; szczerze współczułam dziewczynie pracy u tak okrut-

nej chlebowodawczyni.

Na mój widok jej twarz pojaśniała. Zdałam sobie sprawę - jak zwykle z poczuciem pewnego zażenowania - że uważa mnie za chłopca. Zawsze starałam się unikać zwracania na siebie uwagi kobiet, lecz tym razem okoliczności zmusiły mnie do obrócenia maskarady na swoją korzyść.

- Dobry wieczór - powiedziałam i ukłoniłam się w pas, co wywołało u niej oczekiwany chichot. - Obawiam się, że mam kłopot, i zastanawiam się, czy mogłabyś mi pomóc.

- Być może - odparła, znowu chichocząc. - Cóż to za kłopot?

- Mój Mistrz, signor Leonardo, polecił mi, żebym go odszukał, gdyby nadeszła pewna wiadomość, na którą czekał. Nie jestem pewien, gdzie zamierzał spędzić dzisiejszy wieczór, ale wspominał imię hrabiny di Malvoral. Możesz mi powiedzieć, czy hrabina jest w środku... albo czy mój Mistrz ją odwiedzał?

Twarcz dziewczyny spochmumiała.

214

- Teraz jest z nią jakiś mężczyzna... właśnie dlatego mnie odesłała. Nie wiem, jak się nazywa, ale nie sądzę, żeby to był twój Mistrz.

- Opiszę ci go - nalegałam. - Jest wysoki i zgrabny, ma kasztanowe włosy i przystojną twarz. Nie wiem, jak jest ubrany, bo nosi strój robotnika albo arystokraty, zależnie od nastroju.

Wzruszyła ramionami.

- To może być ten mężczyzna - odparła, wzbudzając we mnie tyleż niepokoju, co ulgi. Uśmiechnęła się chytrze, co odebrało jej wszelki urok. - Jeśli chcesz, wpuszczę cię do środka i zajrzysz do sypialni, żeby sprawdzić, czy to twój Mistrz leży na hrabinie.

Odczułam jej słowa jak uderzenie pięścią w brzuch. Nawet w najskrytszych myślach nie odważyłam się wyrazić mojej największej obawy... iż Leonardo, jeśli rzeczywiście był w pokojach hrabiny, mógł pójść tam po cokolwiek innego niż po to, by zadawać pytania. A teraz właśnie przyszło mi zmierzyć się z taką możliwością.

- Nie martw się - dodała, gdy na chwilę odebrało mi mowę. - Ona zawsze zostawia uchylone drzwi. Chyba ma nadzieję, że ludzie będą ją podglądać, kiedy spotyka się z innymi mężczyznami. Chodź, popatrz ze mną. Ja robię to cały czas.

W pierwszej chwili miałam ochotę rzucić się do ucieczki, wystraszona zapalem, z jakim namawiała mnie do przyłączenia się do tej rozpustnej gry. Nie chcę podglądać Mistrza, mówiłam sobie - a już na pewno nie w łóżku z kobietą - lecz dla

jego dobra muszę się dowiedzieć, czy jest z hrabiną.

Skinęłam w milczeniu głową, wciąż nie mogąc wykrztusić ani słowa po tym, co od niej usłyszałam. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i przyłożyła palec do ust. Wytarłam zwilgotniałe nagle dłonie o tunikę i ruszyłam za nią do sypialni hrabiny.

Komnata wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałam, nawet misy z owocami stały tam, gdzie poprzednio; tylko szkatułki kryjącej obciążający list nie było już między nimi na stole. Ostrożnie podeszliśmy do drzwi w przeciwległym końcu

215

pomieszczenia i usłyszałam dobiegające stamtąd dźwięki... jęki i śmiech kobiety przeplatany szmerem męskiego głosu, zbyt cichego, bym mogła go rozpoznać.

Dziewczyna dała mi znak, żebym podeszła bliżej. Ciężkie rzeźbione drzwi były uchylone na szerokość dwóch palców - w sam raz, by dało się za nimi stanąć i zajrzeć do środka, samemu nie będąc widzianym. W każdym razie taką miałam nadzieję. Przyłgnęłam do ściany, powoli zbliżyłam twarz do szczeliny, wstrzymałam oddech i zajrzałam do środka.

Hrabinie najwyraźniej obca była wszelka skromność, gdyż przy co najmniej tuzinie zapalonych świec w sypialni było jasno jak w dzień. Wyraźnie widziałam stojące na wysokim pode-

ście łoże z toczonymi kolumnienkami i porozrzucaną pościel ze złocistej tkaniny, haftowanej jak najpiękniejsza suknia. W pościeli leżały dwa półnagie ciała.

Natychmiast rozpoznałam jasną skórę hrabiny, która odpowiedziała cichym, ochryplym śmiechem na coś, co powiedział jej partner. Leżał nad nią, nagimi plecami zwrócony do mnie, i przez jedną przyprawiającą o mdłości chwilę byłam pewna, że to Leonardo. Ale niemal natychmiast dostrzegłam, że jest szerszy w pasie i ma bardziej rude włosy niż Mistrz. Miał w sobie jednak coś zatrważająco znajomego, a gdy przewrócił się na bok, by rozwiązać pończochy, zobaczyłam dość, aby móc go rozpoznać.

Renaldo!

Wstrzymałam oddech, lecz zanim zdążyłam się cofnąć, usłyszałam za sobą trzaśnięcie drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że służąca uciekła. Najpewniej celowo narobiła hałasu, a jej ucieczka była częścią podstępnego planu, który knuła od samego początku. Z sypialni dobiegły krzyki oburzenia świadczące, że plan służącej powiódł się znakomicie.

Rzuciłam się do ucieczki. Wiedziałam, że mogę zostać rozpoznana, ale modliłam się, by mnie nie złapano. Za sobą usłyszałam trzaśnięcie szeroko otwieranych drzwi, które z całą siłą uderzyły o ścianę. Jestem ścigana, przemknęło mi przez głowę.

Od wyjścia dzieliło mnie tylko kilka kroków. Z westchnieniem ulgi wyciągnęłam rękę i już dotykałam chłodnego metalu klamki, gdy jakaś żelazna pięść uderzyła mnie w skroń, powalając na kolana o piędź od zamkniętych drzwi.

16

Jedna świeca może rozproszyć ciemności równie skutecznie, jak słońce.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny delLa Fazia

I ktoś brutalnie podniósł mnie z kolan. Oszołomiona, zamrugałam nerwowo i dostrzegłam wściekły wzrok Renalda. Od razu mnie rozpoznał. Zmrużył oczy, cofnął się w kierunku sypialni i pchnął mnie na najbliższe krzesło.

- To ty - warknął. - Ty byłeś tym służącym, który podsłuchiwał mnie i Lorenza w czasie uczyty. Spójrz, Eleno, złapałem szpiega, w twojej sypialni.

- Tak, rzeczywiście może być szpiegiem - odparła hrabina, śmiejąc się złowrogo.

Narzuciła na koszulę długą brokatową suknię, podeszła do mnie i ścisnęła boleśnie za policzek.

- A więc spotykamy się znowu, mój piękny Dino. - Pochyliła się, tak że nasze twarze niemal się zetknęły.

Chociaż byłam przerażona, nie odwróciłam głowy, lecz śmiało spojrzałam w oczy hrabinie. Czułam wino w jej oddechu i piżmowy zapach ciała, będący wynikiem jej wcześniejszych wyczynów. Widziałam też drobne zmarszczki wokół oczu i ust, które mimo umiejętnego stosowania kosmetyków zdradzały jej wiek. W jasnych oczach nadal tliła się lubieżność, choć teraz zabarwiona gniewem. Przysięgłam sobie, że nie dam jej satysfakcji i nie wybuchnę płaczem.

217

Puściła mnie gwałtownie i spojrzała ostro na Renalda.

- Możesz znać go jako służącego, lecz jest także paziem ulubionego artysty Ludovica, Leonarda. A to nie są jego jedyne role. Odwróciła się i obrzuciła mnie lodowatym wzrokiem.

- Powiedziałam ci, że gdzieś cię już widziałam, chłopcze, i że w końcu przypomnę sobie, gdzie się spotkaliśmy.

Nie odrywając ode mnie wzroku, odezwała się do młodego kochanka:

- Pamiętasz, Renaldo, jak ci opowiadałam, że gdy mój drogi kuzyn zniknął z szachownicy, inny biały biskup zajął jego miejsce? Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy go zobaczyłam i pomyślałam, że to cudownie wskrzeszony Orlando. Ale to był nasz Dino we własnej osobie. Niewątpliwie wy-

stawiony do gry przez swojego Mistrza, aby nikt za wcześnie nie zauważył zaginięcia hrabiego Ferrary.

Na jej ustach pojawił się zimny uśmiech.

- Służący... paż... biskup... - zaczęła wyliczać na palcach. - Wydaje się, że nasz Dino jest nieco za młody do tak wielu ról. A wnosząc ze wszystkich pytań, które Leonardo zadawał w ciągu ostatnich dni, obawiam się, że i pan, i sługa mogą teraz wiedzieć o pewnych sekretach znacznie więcej, niż powinni. Ta wiedza zaś czyni ich bardzo niebezpiecznymi dla nas.

- Co z nim zrobimy? - spytał rzeczowo Renaldo.

Włożył ciemnozieloną tunikę i właśnie ją przepasywał. Zauważyłam z niepokojem, że do szerokiego pasa miał przypięty sztylet. Dostrzegł moje spojrzenie i z okrutnym grymasem dotknął noża. Hrabina, widząc ten gest, pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie, nie tak. Za duży bałagan... trudno potem posprzątać całą tę krew. Musisz zająć się nim tak jak swoim przyjacielem Lorenzem. Masz klucz, który ci dałam?

Renaldo skinął głową i poklepał się po sakiewce zawieszanej u pasa.

- To dobrze, że Il Moro cofnął zakaz. Znacznie łatwiej będzie wynieść z zamku jego niż Lorenza. Mogę przekupić straż-

ników, żeby otworzyli mi bramę. - Uśmiechnął się szerzej. - Powiem im, że chłopak za dużo wypił i niosę go do domu matki. To nie moja wina, że jego matka mieszka na cmentarzu.

Mimowolnie jęknęłam, co wywołało śmiech obojga. Najwyraźniej zadowolona, że pojęłam, jaki los mnie czeka, hrabina podeszła do Renalda. Przesunęła palcami po jego piersi i wsunęła dłoń pod brzeg jego krótkiej tuniki.

- Zaopiekuj się naszym młodym przyjacielem - zamruzczała, przyciskając go do gobelinu na ścianie i wodząc dłonią między jego udami. - Kiedy skończysz, wróć tutaj, a ja skończę z tobą... Potem przyjdzie czas na wykonanie zadania, do którego zostałeś wynajęty.

- A co z malarzem? - wychrypiął z nieprzytomnym wyrazem twarzy. - Jego też mam zabić?

- Jeszcze nie wiem. Mam swoje sposoby, by zapewnić sobie milczenie mężczyzny, i takie rozwiązanie może być znacznie bardziej interesujące.

Kiedy tak rozmawiali, ja odzyskałam siły na tyle, by zrozumieć, że moją jedyną szansą na uniknięcie śmierci z rąk Renalda jest wydostanie się z tego pokoju. Od drzwi dzieliła mnie wprawdzie odległość większa, niżbym chciała, ale służący był na tyle zaabsorbowany hrabiną, że minie chwila, nim zareagu-

je. I byłam niemal pewna, że drzwi są zamknięte tylko na klamkę, co da mi kilka sekund przewagi.

Biegnij! - krzyknął jakiś głos w mojej głowie. Błyskawicznie zerwałam się z krzesła i popędziłam w stronę drzwi. Usłyszałam krzyk hrabiny i pełne zaskoczenia mruknięcie Renalda, który rzucił się za mną w pogoń. I tym razem dopadł mnie, kiedy już dotykałam klamki. Z wściekłym rykiem dobył sztyletu i zamachnął się szeroko.

Mając zmysły wyostrzone nie mniej niż on, byłam na tyle szybka, by uchylić się poza jego zasięg... prawie. Sztylet przeslizgnął się wzdłuż mojego brzucha, rozcinając tunikę i znajdujący się pod nią gorset z końskiego włosia. Czując ukłucie ostrego metalu na skórze, krzyknęłam głośno, choć nóż ledwie mnie

219

drasnął. Tylko dzięki szybkiej reakcji i gorsetowi nie zostałam zaszlachtowana niczym owca na targu. Nie zdołałam jednak uchronić się przed upadkiem ani przed ogłuszającym uderzeniem, kiedy moja obolała skroń zetknęła się z kamienną podłogą.

Leżąc półprzytomna, czułam, jak Renaldo złapał mnie za włosy i odciągnął głowę do tyłu, by odsłonić szyję. Kiedy ostrze już dotknęło mojego gardła, usłyszałam przeraźliwy krzyk hrabiny:

- Nie, głupcze! Nie podrzynaj mu gardła! Krew będzie

wszędzie! Zraniłeś go wystarczająco, by wkrótce umarł, kiedy zostawisz go w krypcie.

Renaldo cofnął nóż i moja głowa znowu uderzyła o podłogę. Przez chwilę o czymś rozmawiali, ale ich słowa wydawały się dobiegać z bardzo daleka, równie niezrozumiałe jak brzęczenie owadów na polu w letni dzień.

Myślałam, że jestem śmiertelnie ranna, zdałam sobie sprawę. Kiedy w końcu im ucieknę, będę musiała podziękować signorowi Luigiemu, gdyż to on ocalił mi życie.

Wreszcie Renaldo zarzucił mnie sobie na ramię. Przy każdym jego kroku przeraźliwy ból przeszywał mi głowę, aż w końcu straciłam przytomność. Po jakimś czasie ocknęłam się i poczułam chłodny powiew na twarzy. Musimy być już poza murami, pomyślałam i przez chwilę zastanawiałam się, czy strażnicy naprawdę śmiali się z głupiego chłopca, który wypił więcej, niż jego głowa mogła wytrzymać. Zimno, próbowałam wyszeptać, lecz wargi odmówiły mi posłuszeństwa.

Zanim ponownie straciłam przytomność, pomyślałam, że nie udało mi się znaleźć Mistrza. Arcybiskup na pewno rozpoczął już nocne czuwanie, nieświadomy niebezpieczeństwa, jakie mu grozi. Mogłam się tylko modlić, by Mistrz zdołał powstrzymać Renalda przed zabiciem Jego Eminencji.

Chciałam się też pomodlić, aby Leonardo wpadł na pomysł

poszukania mnie, kiedy rankiem okaże się, że zniknęłam - o ile, oczywiście, sam nie padnie ofiarą Renalda - lecz ciemność pochłoneła tę myśl, zanim zdążyła się uformować.

220

Obudziłam się tak zaplątana w pościel, że ledwie mogłam się ruszać. W głowie łupało mi jak owego niefortunnego ranka w ubiegłym roku, gdy na złość matce wypłam o jeden kubek wina za dużo na letnim festiwalu w naszym miasteczku. Nie potrafiłam jednak sobie przypomnieć, bym w ogóle piła alkohol poprzedniej nocy, i nie pamiętałam, jak wróciłam do łóżka. Kiedy wreszcie zdołałam otworzyć jedno oko, zobaczyłam, że otacza mnie ciemność. Więc nadal jest noc, pomyślałam.

Powoli wracały mi fragmenty wspomnień. Przypomniałam sobie wizytę w pokojach hrabiny di Malvoral, szokujący widok jej i Renalda w obscenicznym uścisku i to, jak Renaldo próbował mnie zabić. Ale poza łupaniem w głowie nie czułam żadnego bólu, więc może to był tylko sen. Jeśli zbiorę siły i wstanę, uda mi się znaleźć dzbanek wody, żeby wypłukać piasek z ust.

Zmagając się z pościelą, poczułam bowiem smak ziemi w ustach i zimne, wilgotne podłoże, na którym leżałam. Dziwne, pomyślałam zdumiona, choć dudnienie w głowie nie pozwalało mi myśleć w pełni logicznie. Najwyraźniej wcale nie

leżę w łóżku. Ale skoro tak, to co owija mnie tak ciasno, zakrywając nawet twarz?

Zdołałam uwolnić jedną stopę i wyczułam szorstką powierzchnię skały. W tej samej chwili przez kurz i płótno do moich nozdrzy dotarł przyprawiający o mdłości słodkawy smród rozkładu, niemożliwy do pomylenia z żadnym innym. Nagle wróciły wszystkie wspomnienia o napaści Renalda i ogarnęło mnie przerażenie, jakiego nie zaznałam nigdy wcześniej.

Znajdowałam się w krypcie, owinięta w całun i wrzucona do niszy, razem ze zmarłymi Sforzami!

Krzyknęłam... a raczej próbowałam krzyknąć, bo uniemożliwiły mi to płótno na twarzy i pył, który natychmiast wypełnił mi płuca. Zaniósłam się kaszlem, który po chwili przeszedł w łkanie.

Przestań! - zgromiłam się w duchu. Zastanów się, co w takiej sytuacji zrobiłby Mistrz. Z całą pewnością nie leżałby bezczynnie, lamentując nad krzywdą, jaka go spotkała.

221

Zacząłam oddychać spokojniej i rozważać możliwości wydostania się z krypty. Spowijający mnie całun już się poluzował od gwałtownych ruchów, więc zapewne zdołam się z niego całkowicie uwolnić, jeśli dam radę wysunąć się z niszy.

Kiedy zaś się oswobodzę, będę musiała tylko zdobyć jakieś światło i bez trudu dotrę do drzwi. Jeszcze nie wiedziałam, jak się wydostanę na zewnątrz, lecz byłam pewna, że znajdę jakiś sposób.

Staralam się odtworzyć w pamięci obraz wnętrza krypty, aby określić, gdzie jestem. Mogłam leżeć w innej niszy niż ta, w której znaleźliśmy Lorenza. Jeżeli Renaldo nie sprawdził, co się dzieje z jego martwym przyjacielem, i nie zauważył jego zniknięcia, musiał mnie położyć gdzie indziej. Ale na którą niszę się zdecydował?

Przypomniałam sobie, że nisze w ścianach krypty były wykute na trzech poziomach. Najniższe znajdowały się tuż nad ziemią, najwyższe na wysokości głowy stojącego człowieka, a środkowe pomiędzy nimi. Renaldo z pewnością nie miał ochoty dźwigać mojego bezwładnego ciała do którejś z najwyższych nisz. Nie zadawałby sobie też trudu, by na klęczkach wsuwać mnie do najniższej. A zatem ułożył mnie...

- W środkowej - wyszeptałam do skały nade mną.

Jeśli więc będę się poruszać ostrożnie, powinno mi się udać zsunąć nogi i tułów, a potem stanąć na nierównej kamiennej podłodze. Manewrowanie w ciasnej niszy byłoby trudne nawet bez całunu. A mając związane ręce i nie mogąc się nimi podprzeć, stoczę się ze skalnej półki i runę jak kamień na ziemię,

jeśli nie zachowam należytej ostrożności. Co prawda wysokość nie jest duża, ale nawet taki upadek będzie w najlepszym razie bolesny. W najgorszym mogę uderzyć głową o któryś z kamiennych nagrobków i zginąć.

Mogę też, pomyślałam smętnie, po prostu leżeć na kamiennej półce i czekać, aż ktoś mnie znajdzie... chociaż wtedy zapewne umrę z głodu i pragnienia, zanim Mistrz wpadnie na pomysł, by mnie tu poszukać.

222

Przesunęłam stopę w stronę otworu niszy i wyczułam jej brzeg... nie wiedziałam jednak, czy moje palce wiszą nad bezdenną przepaścią czy zaledwie piędziesiąt centymetrów od bezpiecznej podłogi. Obróciłam się ostrożnie, wysuwając na zewnątrz nogi. Wyprostowałam zgięte kolana i udało mi się dotknąć podłogi krypty. Trafnie odgadłam, w której niszy leżę, pomyślałam z westchnieniem ulgi.

Po chwili na pół leżałam, na pół klęczałam na kamiennej posadzce.

Jeszcze odrobina wysiłku i zdołałam na tyle poluzować całun, by uwolnić ręce. Wreszcie wydostałam się z tego obrzydliwego kokonu niczym urodzona nocą ćma. Ale nawet bez płótna zasłaniającego mi twarz nie widziałam nic wokół siebie.

Kryptę spowijała ciemność tak gęsta, że poczułam, iż zaczyna mi się kręcić w głowie, i przewróciłabym się, gdyby nie to, że kuciałam.

Cofnęłam się ostrożnie, aż dotknęłam plecami ściany. Nóż Renalda nie rozplatał mi wprawdzie brzucha, lecz ostrze przecięło gorset z końskiego włosia na tyle głęboko, by mnie skaleczyć. Wsunęłam dłonie pod ubranie, aby sprawdzić, czy rana może zagrażać życiu. Choć przy dotknięciu zabołało, z ulgą stwierdziłam, że krwawię tylko nieznacznie. Co do uderzenia w głowę, został po nim bolesny guz, lecz i ono nie powinno się okazać niebezpieczne.

Nocny chłód wniknął głęboko w kamienie krypty, więc drżałam zarówno z zimna, jak i przerażenia. Dookoła mnie unosił się duszący odór rozkładu, a choć wszyscy prócz mnie mieszkańcy krypty byli martwi, w grobowcu rozbrzmiewały jakieś dziwne odgłosy. Może to tylko echo mojego nierównego oddechu, a może dzwonięcie w poobijanej głowie, pocieszałam się w duchu.

Kiedy oszołomienie zaczęło ustępować, dźwięki również ucichły. Miałam dość sił, by spróbować się stąd wydostać, przystąpiłam więc do następnego zadania - znalezienia źródła światła.

Przesunęłam ręką wzdłuż pasa tuniki i omal nie rozplakałam się ze szczęścia, kiedy stwierdziłam, że sakiewka wciąż jest do niego przywiązana. Drżącymi palcami wyjęłam z niej ogarek świecy i dwie siarkowe zapalniczki, które zabrałam, wyruszając na pierwszą nocną wyprawę.

Ale jak zapalić zapalniczkę, a potem świecę, nie mając źródła ognia?

- Pomyśl - szepnęłam w ciemność. - Co zrobiłby Leonardo na twoim miejscu?

Po chwili przypomniałam sobie jeden z pokazów, jakie Mistrz zwykł dawać w rzadkich wolnych chwilach w pracowni. Wtedy zademonstrował nam, jak zapalić zapalniczkę bez żaru albo płomienia. Wziął młotek i zaczął uderzać nim w żelazny dysk, starając się za każdym razem trafiać w ten sam punkt. Po minucie przywołał gestem Paola i kazał mu przyłożyć w to miejsce palec. Chłopak zrobił to i natychmiast cofnął rękę, syjąc z bólu i narzekając, że się oparzył.

Leonardo uśmiechnął się i dalej uderzał młotkiem. Wkrótce odłożył narzędzie i przyłożył koniec zapalniczki do miejsca, gdzie Paolo sparzył sobie palec. Ku naszemu zaskoczeniu zapłonęła tak łatwo, jakby dotknęła rozżarzonego węgla.

Oczywiście nie miałam młotka, ale może uda mi się znaleźć

coś innego, czym mogłabym uderzać we florena, którego zgodnie z radą ojca zawsze nosiłam w sakiewce.

Schowałam świecę i zapalki z powrotem do sakiewki, aby nie zgubić ich w ciemnościach, i po omacku zaczęłam przeszukiwać podłogę wokół siebie. W starej krypcie na pewno znajdę coś metalowego. Kawałek łańcucha, zardzewiałą klamrę, może nawet fragment zbroi.

Po kilku minutach poszukiwań moje palce natrafiły na coś, co w dotyku przypominało metalowe kółko. Modląc się, by był to kawałek żelaza, a nie jakaś bransoleta, która spadła ze spróchniałej ręki, wsunęłam je na kamień. Domyśliłam się, że to okucie, które obluzowało się i wypadło ze ściany. Kawałek metalu miał solidną wagę, co czyniło z niego całkiem niezły młotek.

224

Usiadłam po turecku na podłodze i sięgnąwszy do sakiewki po świecę i zapalki, ostrożnie ułożyłam je między skrzyżowanymi nogami. Następnie wyjęłam z sakiewki florena, którego położyłam przed sobą. Trzymając w jednej ręce metalowe kółko założone na kamień, zmówiłam krótką modlitwę i zaczęłam rytmicznie uderzać o monetę.

Po piętnastu uderzeniach przerwałam na chwilę i nie wypuszczając z ręki kamienia, dotknęłam florena. Jego powierzch-

nia stała się cieplejsza, lecz nie na tyle, by mnie oparzyć, a tym bardziej zapalić zapalną.

Zaczełam uderzać znowu, tym razem szybciej. Kawałki kamienia odpryskiwały na boki, ale nie przestawałam, aż pot wystąpił mi na czoło, a dłonie zeszywniały z bólu. Jeszcze raz dotknęłam monety i natychmiast cofnęłam palec. Gorąca! Wzięłam jedną z zapalek i przytknęłam do metalu.

Nic.

Wróciłam do uderzania kamieniem o monetę, zastanawiając się, czy zdążę spłaszczyć oba kawałki metalu, zanim moneta rozgrzeje się na tyle, by zapalić zapalną. Bez światła musiałabym błąkać się po omacku po krypcie aż do świtu, kiedy pierwsze promienie słońca nieco rozjaśnią mrok. Wtedy jednak arcybiskup będzie już martwy... i może Leonardo także. Nie mogę czekać do rana, muszę wydostać się stąd jak najszybciej.

Rękę miałam już tak zdrtwiałą, że każdy ruch powodował przeszywający ból. Nie poddawałam się jednak. Kiedy poczułam, że nie dam rady unieść jej kolejny raz, sięgnęłam po zapalną i przyłożyłam do rozgrzanej powierzchni.

Zapłonęła maleńkim, lecz cudownym płomieniem, niemal oślepiającym w zupełnej ciemności. Rozpłakałam się ze szczęścia i przytknęłam zapalną do knota świecy. Ona także się zapaliła i przez chwilę dwa ogniki rozjaśniały ten mały podziemny

świat, w którym tkwiłam uwięziona. Po chwili płomień zapalki zbliżył się do moich palców i upuściłam ją, aby się nie poparzyć. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż ciemna zasłona wokół mnie została rozdarta.

225

Włożyłam drugą zapalkę i poobijaną monetę do sakiewki, po czym ostrożnie podniosłam ogarek. Z pewnością nie wystarczy do samego świtu. Poza tym jego słabe, choć tak miłe mi światło sięgało nie dalej niż na długość wyciągniętej ręki. Mając tylko takie oświetlenie, nie znajdę łatwo drogi do schodów i drzwi. Ale że kryptę regularnie odwiedzali goście - ci, którzy przynosili zmarłych, i ci, którzy przychodzili się z nimi zobaczyć - wiedziałam, że gdzieś na ścianie znajdę co najmniej jedną niedopaloną pochodnię.

Wstałam i zaczęłam poszukiwania. Zdawałam sobie sprawę, że mogę w każdej chwili oświetlić szczątki któregoś ze spoczywających tu nieboszczyków, ale nie czułam już lęku. Zostałam zamknięta w krypcie wbrew mojej woli, pozostawiona na pewną śmierć przez nikczemnika, który nie dbał o to, że zbezcześcił czyjeś miejsce wiecznego spoczynku. Zmarli Sforzowie - o ile duch któregoś z nich wciąż tu przebywał - z pewnością zrozumieliby moją sytuację i współczuli mi.

Szybciej niż się spodziewałam światło świecy odbiło się od zamocowanego w ścianie żelaznego pierścienia, w którym tkwiła pochodnia wyglądająca na nieużywaną. Gdy przyłożyłam do niej świecę, zapłonęła, rozjaśniając znaczną przestrzeń wokół mnie. Zdmuchnęłam ogarek, wyjęłam pochodnię z okucia i uniosłam.

Nawet grobowiec może się stać znajomym miejscem, pomyślałam, kiedy zaczęłam rozpoznawać otoczenie. Stałam nieopodal niszy, w której Mistrz znalazł nieszczęsnego Lorenza. Światło pochodni padło na coś białego i poznałam tunikę zmarłego służącego. Odruchowo spojrzałam na swój strój. Nóż Renalda zostawił z przodu wielką dziurę, przez którą widać było rozcięty gorset. Jeśli zdołam wydostać się z krypty i wrócić do zamku, uświadomiłam sobie, że mój wygląd może spowodować niepotrzebne pytania, na które nie będę miała czasu odpowiadać.

Nie namyślając się, wyjęłam z niszy błękitno-białą tunikę i obejrzałam ją w świetle pochodni. Choć była pomięta i zabru-

226

dzona ziemią, nie spadła na nią ani kropla krwi, więc wciąż nadawała się do włożenia. No i jest wystarczająco gruba, by dać nieco ciepła. Starając się opanować dreszcz odrazy na myśl

o włożeniu ubrania zmarłego, pospiesznie narzuciłam tunikę Lorenza na swoją.

Gdy dotarłam do znajomych schodów i ostrożnie wspierałam się po kamiennych stopniach, zobaczyłam to, czego się spodziewałam - ciężkie drewniane drzwi były zatrzaśnięte. Jeśli są zamknięte na klucz, jak wydam się stąd bez pomocy?

Wzięłam głęboki oddech i napałam ramieniem na miejsce, gdzie łączyły się oba skrzydła. Drzwi lekko drgnęły, ale nie ustąpiły. Oznaczało to, że Renaldo przezornie zamknął je na klucz. Chociaż brałam pod uwagę taką możliwość, ogarnęła mnie fala rozpacz.

Wzięłam się w garść, przysunęłam pochodnię bliżej drzwi i zajrzałam w wąską szczelinę. Dostrzegłam błysk metalu, zapewne skobla łączącego oba skrzydła. Jeśli wsunę coś w szparę i mocno uderzę, może zdołam obluzować skobel. Ale czego mogłabym użyć?

Niechętnie zeszłam z powrotem do krypty i zbliżyłam się do podestu, na którym leżało ciało hrabiego Ferrary. Choć przebywałam w grobowcu na tyle długo, by przywyknąć do woni rozkładu, odór uderzył we mnie z całą siłą. Ogarnęła mnie fala mdłości i musiałam chwilę poczekać, aż minie.

Wolną ręką przytrzymując skraj tuniki przy ustach, stanęłam tuż obok zmarłego. Byłam wdzięczna losowi za całun, któ-

ry okrywał jego gnijące doczesne szczątki. Ale to nie hrabia mnie interesował.

„Co za marnotrawstwo zostawiać takie piękne ostrze, żeby rdzewiało w ciemnościach”, przypomniałam sobie grubiański żart jednego z żołnierzy, którzy nieśli ciało do grobowca. Jako arystokrata, Orlando został pochowany z mieczem należnym człowiekowi o jego pozycji. Jeśli odważę się wyjąć ten miecz z gnijących rąk, będę mogła go użyć do otwarcia drzwi.

227

Uniosłam pochodnię i przyjrzałam się makabrycznym kształtom spowitym w całun. Wreszcie dostrzegłam pod tkaniną kontur miecza przyciśniętego do piersi.

Myśl, że będę musiała dotknąć trupa, była przerażająca, ale wiedziałam, że w żaden inny sposób nie zdobędę miecza. Powtarzając sobie, że od mojej lojalności może zależeć życie arcybiskupa - a nawet samego Leonarda - wstrzymałam oddech, aby nie wdychać trupich waporów, chwyciłam za krawędź całunu i odciągnęłam płótno ze zwłok.

To była dopiero połowa czekającego mnie zadania. Drżącą dłonią sięgnęłam po miecz, złapałam rękojeść i mocno pociągnęłam.

Zachwiałam się i cofnęłam o kilka kroków z mieczem w jednej i pochodnią w drugiej ręce, niemal przewracając szczątki innego Sforzy leżące na kamiennym podeście. Choć z jego ciała nie zostało już nic oprócz wyschniętej skóry i kości, nie zdołałam powstrzymać okrzyku przerażenia. Odskokczyłam na bezpieczną odległość, oparłam się o ścianę i czekałam, aż moje serce przestanie bić jak szalone. Kiedy się uspokoiłam, umieściłam pochodnię w innym uchwycie i obejrzałam swoją zdobycz.

Ciężkie szaty, w które ubrano hrabiego, uchroniły miecz przed trującymi płynami sączącymi się z jego ciała. Mimo to starannie wytarłam wysadzaną klejnotami pochwę, zanim odważyłam się jej dotknąć gołą ręką. Niezgrabnym ruchem wyciągnęłam miecz i w świetle pochodni obejrzałam lśniące ostrze. Niewątpliwie poradzi sobie ze starym zamkiem, który trzymał mnie w niewoli, skonstatowałam z zadowoleniem.

Szeptając skierowane do hrabiego słowa podziękowania, weszłam po schodach i zatknęłam pochodnię w uchwycie przy wejściu. Ostrze miecza bez trudu wsunęło się w szczelinę między skrzydłami drzwi. Ustawiłam je nad skoblem i trzymając oburącz rękojeść, zaatakowałam metal krótkimi, mocnymi uderzeniami.

Okazało to się znacznie bardziej wyczerpujące niż rozgrzanie kamieniem monety. Po kilku pierwszych uderzeniach roz-

bolały mnie ramiona i zaczęło mi brakować tchu. Po kilku następnych zaczęłam się obawiać, że mój plan zawiedzie. Miecz nawet nie poluzował żelaznego skobla.

Zdobyłam się na jeszcze kilka uderzeń i przerwałam na chwilę, by otrzeć pot z czoła. Łatwiej byłoby porąbać same drzwi, niż pokonać ten skobel, pomyślałam w desperacji. Tłumiąc łkanie, ścisnęłam miecz i opadłam na kolana. Jeśli jakimś cudem nie zdołam się przekuć przez kamienne mury, pozostanę uwięziona w tej krypcie, dopóki ktoś mnie nie znajdzie. A minie dużo czasu, zanim jej drzwi zostaną znowu otwarte... Chyba że Mistrz nadal żyje i zacznie mnie szukać albo ktoś z rodziny Il Moro umrze w najbliższych dniach.

Spanikowana rzuciłam miecz, zerwałam się na nogi i zaczęłam walić w drzwi krypty, wołając o pomoc.

W końcu znowu opadłam na kolana, wyczerpana strachem i wysiłkiem. Znajdą mnie tu, pomyślałam z rozpaczą, klęczącą z głową wspartą o drzwi i z rękoma zakrwawionymi od walenia w uparte drewno. I przeczytają wiadomość wydrapaną w rzeźbionej powierzchni: moje prawdziwe nazwisko - Delfina della Fazia, i rok - 1483.

Otarłam łzy, czując ogarniającą mnie falę gniewu. Jeśli zdą-

żę, zanim śmierć się o mnie upomni, wydrapię imiona moich rodziców i nazwę miasta, aby ktoś mógł ich zawiadomić o moim losie. A także imiona moich zabójców i to, że spiskowali przeciwko arcybiskupowi. Wydrapię też pożegnanie skierowane do Mistrza Leonarda. Poproszę, by mi wybaczył, że go zawiodłam, a on może zapisze moje imię w swoich notatnikach... o ile nie padnie ofiarą hrabiny.

Byłam tak pochłonięta rozpamiętywaniem swego nieszczęścia, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że słyszę wołanie dobiegające z zewnątrz.

229

17

Lew także zaciera za sobą ślady, aby nie zostawić nic, co wskazałoby drogę jego wrogom.

Leonardo da Vinci Manuskrypt I

Ivto tam jest? - dopytywał się wystraszony głos. - Żywy czy martwy? Potrzebujesz pomocy?

Po chwili oszołomienia zerwałam się na równe nogi i zaczęłam znowu walić w drzwi.

- Jestem tutaj, w grobowcu Sforzów! - wrzeszczałam. - Wypuść mnie!

- Ale kim jesteś? - zapytał ostrożnie głos. - Rozgniewanym

duchem albo demonem?

- Oczywiście, że nie! - odkrzyknęłam. - Jestem Delf... to znaczy Dino, uczeń Mistrza Leonarda. Proszę, wypuść mnie!

- Dino? - w głosie, który zaczął mi się wydawać znajomy, zabrzmiała nuta zaskoczenia. - To ty? Co tam robisz?

Przestałam walić w drzwi i spojrzałam w szczelinę. W świetle księżyca dostrzegłam znajomą twarz.

- Tommaso?

Z drugiej strony szpary pojawiło się mrugające ciemne oko.

- Dino? - powtórzył. - To ja, Tommaso. W jaki sposób się tam dostałeś?

- A skąd ty wzięłeś się na cmentarzu? - spytałam. - Zresztą nieważne - dodałam po chwili i oparłam się z ulgą o drzwi. - Uwolnij mnie, a to wszystko ci wyjaśnię.

- Domyślałam się, że nie masz klucza? - rzekł. - Trudno, znajdę coś, żeby wyłamać zamek.

Mrugające oko zniknęło i zostało tylko blade światło księżyca. Wkrótce usłyszałam głucho łupnięcie o drzwi, a potem serię uderzeń. Nagle łomotanie ucichło i rozległ się dźwięk

230

piękniejszy od chórów anielskich... brzęk metalu. Zawiasy ot-

wieranych drzwi zaskrzypiały przeraźliwie, jakby w proteście, i wypadłam na zewnątrz.

Wzięłam w ramiona mojego osłupiałego wybawcę.

- Na krew świętych, myślałem, że przyjdzie mi tam umrzeć - wykrztusiłam. - Próbowałem się wydostać, ale bez skutku. Gdybyś tędy nie przechodził...

- No tak - zakłopotany Tommaso odsunął mnie i oparł ręce na biodrach. - Miałeś szczęście, że akurat tu byłem i że udało mi się wyłamać skobel. - Trącił stopą kamień, który posłużył mu do sforsowania drzwi, i zmarszczył nos. - Fuj! Co za smród! Szybciej, zamknijmy te drzwi.

- Za chwilę!

Sięgnęłam do krypty i chwyciłam miecz hrabiego. Tommaso z zachwytem popatrzył na broń, a gdy wsunęłam ją do pochwy, bez słowa wziął pochodnię i pomógł mi zamknąć ciężkie drzwi.

- Będą musieli przysłać kowala, żeby naprawił zamek - zauważył z niepokojem. - Nie mów Il Moro, że to ja go wyłamałem.

- Powiem mu, jeżeli przysięgnie wynagrodzić cię za to, że mnie uratowałeś - odparłam i spojrzałam na nocne niebo, by ocenić położenie księżyca. - Jeszcze nie minęła północ. Szybko, musimy wrócić do zamku i ocalić arcybiskupa!

Wsunęłam miecz pod tunikę i zatknęłam za pas, żeby był

niewidoczny. Widok terminatora z taką bronią wywołałby niewygodne pytania - strażnicy mogliby mi nawet ją skonfiskować - a przypuszczałam, że mogę potrzebować miecza tej nocy. Ukrywszy go, ruszyłam przez cmentarz najszybciej, jak mogłam po ciemku i w moim stanie. Słyszałam wyraźnie chrzęst żwiru, świadczący, że Tommaso idzie tuż za mną. Cieszyłam się z jego obecności, bo uwalniając mnie, okazał się godny zaufania.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że musimy ocalić arcybiskupa? - spytał, unosząc pochodnię, abyśmy mogli lepiej widzieć drogę przed sobą. - No i jak znalazłeś się w krypcie?

231

Opowiedziałam mu pokrótce o wydarzeniach ostatnich dni, łącznie z tym, jak zostałam żywcem pogrzebana w grobowcu Sforzów. Tommaso słuchał w milczeniu, nie przerywając. Kiedy skończyłam, rzekł:

- Nie martw się, Dino, zostanę dzisiaj z tobą. Uratujemy arcybiskupa. I Mistrza także.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, gdyż nawet uzbrojona w miecz hrabiego miałabym problem z pokonaniem Renalda, gdyby Mistrz nie mógł się sam bronić. Teraz jednak potrzebowałam chwili odpoczynku na złapanie oddechu, więc zwol-

niłam do szybkiego marszu. Kiedy mogłam znowu mówić, nie czując bólu, spytałam:

- A co z tobą? Jak znalazłeś się na cmentarzu? Wszyscy sądziliśmy, że wróciłeś do domu.

Tommaso spuścił głowę; w świetle pochodni zauważyłam, że jego twarz poczerwieniała. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę i zaczęłam się obawiać, że może nie chce mówić o swoim zniknięciu. W końcu wziął głęboki oddech i spojrzał na mnie.

- Po naszej bójce bałam się, że inni będą mnie unikać, że będą się ze mnie śmiali - zaczął nieszczęśliwym głosem. - Pomyślałem, że nie sprawdziłem się jako terminator i będzie dla mnie najlepiej, jeśli wrócę do domu. Poczekalem, aż strażnicy będą zajęci czymś innym, wspiąłem się na mur i uciekłem. Ale kiedy już byłem w drodze do mojej wioski, zrozumiałem, że popełniłem straszny błąd.

Przerwał, a ja zauważyłam, że pojedyncza łza spłynęła mu po policzku.

- Ojciec sprzedał konia, żeby opłacić moją naukę. Wiedziałem, że mnie wydziedziczy, jeśli wrócę zhańbiony. Jediną moją nadzieją było błagać Mistrza, żeby przyjął mnie z powrotem... ale kiedy następnego ranka próbowałem wrócić, strażnicy nie przepuścili mnie przez bramę.

Wzruszył ramionami.

- Powiedzieli, że Il Moro odwoła zakaz za dzień lub dwa i że muszę poczekać do tego czasu. Nie miałem dokąd pójść,
232

więc spałem w kaplicy na cmentarzu, a w dzień włóczyłem się po targowisku.

- Ale przecież gdybyś posłał wiadomość Mistrzowi, za-
dbałby, żeby strażnicy cię wpuścili.

Tommaso energicznie pokręcił głową.

- Mógłby nie przyjąć listu, a wtedy wszystko byłoby stracone. Wiedziałem, że muszę porozmawiać z nim osobiście. Właśnie dlatego zostałem tutaj.

Byliśmy już prawie przy bramie, ale mimo niepokoju o arcybiskupa nie potrafiłam powstrzymać ciekawości.

- A ja? Skąd wiedziałeś, że jestem zamknięty w krypcie? -
spytałam.

- Zobaczyłem na cmentarzu kogoś po zmroku. To musiał być Renaldo, o którym mówiłeś, ale... bałem się iść za nim, bo mógł się okazać bandytą - wyznał, wbijając zawstydzony wzrok w ziemię.

Skinęłam głową ze zrozumieniem. Wszyscy wiedzieli, że bandyci ukrywają się przy głównych drogach, napadają niczego niepodważających podróżnych i zabijają choćby dla kilku

monet. Nawet pielgrzymi podróżujący w dużych grupach nie zawsze mogli czuć się bezpieczni. Wokół Mediolanu zbójców było stosunkowo niewielu, ale kto wie...

Obrzuciwszy mnie pełnym wdzięczności spojrzeniem, Tommaso mówił dalej:

- Ale później, kiedy nie mogłem zasnąć i rozmyślałem o swoim losie, wydało mi się, że słyszę czyjeś wołanie. Wyszedłem na zewnątrz, żeby to sprawdzić, i okazało się, że głos dobiega z cmentarza. - Uderzył się w pierś. - Oczywiście nie boję się duchów, więc poszedłem się rozejrzeć. Im bardziej zbliżałem się do krypty rodziny księcia, tym wyraźniej słyszałem głos... i tak znalazłem ciebie. Ale to dziwne, bo przecież nie mogłem cię słyszeć, kiedy krzyczałeś wewnątrz grobowca.

- Ucho! - wykrzyknęłam i opowiedziałam mu o wynalazku Leonarda, który wciąż był zamocowany w krypcie. - Gdyby

233

nie ono, nigdy nie usłyszałbyś moich krzyków - dokończyłam drżącym głosem.

Na szczęście nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, co by się ze mną stało, gdybym nie została odnaleziona, gdyż drogę zastąpiło nam dwóch zamkowych strażników. Jeden z nich, którego zapamiętałam z poprzednich wypraw, spojrzał na mnie

w świetle pochodni i pokręcił głową z niesmakiem.

- Znowu uczeń wielkiego Leonarda - zwrócił się do kolegi, który próbował robić groźną minę, lecz wyglądał tylko na zmęczonego. - Zdaje się, że książęcy wynalazca pracuje dniem i nocą... a w każdym razie pracują jego uczniowie.

- Mógłby zaprojektować specjalną bramę tylko dla nich - odparł drugi i machnięciem ręki skierował nas do wejścia. Drzwi zatrzasnęły się za nami i zostaliśmy sami w ciemnym czworoboku zamku.

- Czy nie powinniśmy poprosić ich o pomoc? - spytał Tommaso, zerkając przez ramię. - Jeśli arcybiskup i Mistrz są w niebezpieczeństwie, potrzebujemy kogoś, żeby ich obronić.

- Nie mogę tracić czasu na tłumaczenie strażnikom, jak poważna jest sytuacja - odparłam pospiesznie. - Poza tym Mistrz na pewno ma jakiś plan. 'Jeśli za wcześnie wystraszymy Renalda, nie uda się udowodnić, co knuli ambasador i hrabina.

Sięgnęłam pod tunikę po miecz hrabiego, którego ostrze błysnęło w świetle księżyca.

- Pójdziemy do ogrodu i będziemy czuwać nad arcybiskupem - poleciłam. - W razie potrzeby później wezwiesz straż.

Tommaso spojrział na mnie z powątpiewaniem, ale skinął głową i posłusznie ruszył za mną. Szliśmy blisko murów, aby nie rzucać się w oczy na trawnikach i alejkach. Gdy byliśmy

blisko ogrodu, dałam Tommasowi znak, aby zwolnił. Jeśli Renaldo już jest wewnątrz, musimy go zaskoczyć; jeśli nie, poszukamy miejsca, z którego będziemy mogli obserwować otoczenie i jednocześnie nie przeszkadzać arcybiskupowi w modlitwie.

Tym razem brama ogrodu była uchylona, choć nie wiedziałam, czy to arcybiskup, czy zabójca jej nie domknął. Z mocno

234

bijącym sercem weszłam do środka, spodziewając się, że Renaldo w każdej chwili może zaatakować mnie z tyłu. Ale rzut oka na ogród upewnił mnie, że nie ma w nim nikogo z wyjątkiem samotnej postaci w biskupich szatach... postaci, która najwyraźniej wciąż żyła.

Przybyliśmy na czas!

Odetchnęłam z ulgą. Wprawdzie nie powiedziałam tego Tommasowi, lecz w głębi duszy obawiałam się, że znajdziemy Jego Eminencję leżącego jak hrabia z nożem sterczącym z piersi. Arcybiskup siedział na niskim kamieniu w najdalszym zakątku ogrodu, zwrócony plecami do nas. Głowę opierał na złożonych dłoniach i wyglądał na pogrążonego w modlitwie. Wątpiłam, czy usłyszałby zbliżającego się zamachowca. W ogrodzie nie było jednak śladu Renalda, Mistrza ani nikogo innego.

Usłyszałam, jak zegar na zamkowej wieży wybił drugą. By-

ło później, niż sądziłam. Najwyraźniej po zamknięciu mnie w krypcie Renaldo wrócił do hrabiny, by kontynuować schadz-
kę, którą im przerwałam. Prawdopodobnie zamach na arcybi-
skupa zamierzają przeprowadzić tuż przed świtem. Wcześniej
ktoś mógłby przypadkowo tamtędy przechodzić i podnieść
alarm, zanim oboje zdążą uciec lub wymyślić jakąś historyjkę,
która świadczyłaby o ich niewinności. Jeśli jednak poczekają
dłużej, ich zbrodnia zostanie odkryta dopiero za dnia, a wtedy
będzie można oskarżyć o nią niemal każdego w zamku.

Skulona przy bramie obok Tommasa, wypatrywałam miej-
sca, gdzie moglibyśmy się ukryć. Ale choć w ogrodzie rosło
wiele drzew i krzewów, żadne nie było na tyle duże, by mogło
zasłonić dwoje ludzi... W każdym razie nie na poziomie zie-
mi. Spojrzałam na szczyt otaczającego ogród muru, który był
mniej więcej dwukrotnie wyższy ode mnie. Przy jednym z ro-
gów, nieopodal miejsca, gdzie modlił się arcybiskup, rosły obok
siebie niczym bracia dwa drzewa oliwne, których gałęzie roz-
pościerały się nad sporą przestrzenią, osłaniając umieszczone
w dole siedzenia z darni.

235

Szturchnęłam Tommasa, wskazałam mu drzewa i szeptem
przedstawiłam plan, jaki obmyśliłam. Wysłuchawszy mnie,

skinął głową ze zrozumieniem. Gdyby udało nam się wdrapać na mur od zewnątrz, moglibyśmy ukryć się wśród gałęzi, gdzie bylibyśmy niewidoczni z dołu, mając zarazem doskonały widok na cały ogród. Jeśli zaś arcybiskup będzie potrzebował naszej pomocy, zrobimy, jak postanowiliśmy wcześniej.

Poprawiłam miecz hrabiego pod tuniką i jeszcze raz zerknęłam na trawnik przed zamkiem, by się upewnić, czy nikt nie nadchodzi. Byliśmy sami. Jak najciszej obeszliliśmy mur ogrodu, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie wyrastały nad nim gałęzie drzew. Mur wzniesiono z nieregularnych kamiennych bloków, które dawały pewne oparcie dla rąk i stóp, znacznie ułatwiając wspinaczkę. Znalazszy się wśród gałęzi, usiedliśmy okrakiem na murze, aby przy jakimś nieostrożnym ruchu nie spaść. Na chwilę przymknęłam oczy. Świadomość, że arcybiskup jest bezpieczny, przyniosła mi ulgę, ale gdy uwolniłam się od tego zmartwienia, odczułam skutki trudów, które przeszłam tej nocy.

Brzuch, draśnięty nożem Renalda, piekł, jakby ktoś przyłożył do niego rozpalone żelazo. Bolały mnie także dłonie, pokaleczone od walenia w drzwi krypty, a w skroniach dudniło, jakby była kowadłem, o które uderza młot. Poza tym ogarnęła mnie senność. Miałam ochotę oprzeć głowę na gałęzi i zdrzemnąć się choć parę minut. Tommaso najwyraźniej czuł się podobnie, bo co chwila ziewał przeciągle.

Zmusiłam się do skupienia uwagi na tym, co działo się w dole. Z góry widzieliśmy cały ogród, który nawet spowity mrokiem zachował swe naturalne dzikie piękno. Arcybiskup był na tyle blisko, że wyraźnie widziałam oprawioną w aksamit księgę na jego kolanach, choć nasunięty na głowę kaptur zasłaniał mu twarz. Klęczał nieruchomo, pogrążony w modlitwie, a ja zastanawiałam się, jak człowiek w jego wieku może wytrzymać tak długo w jednej pozycji w dodatku niezbyt wygodnej.

Gdy przechyliłam się nieco dalej za mur, mój podziw ustąpił miejsca zdziwieniu. Pod tym kątem arcybiskup wydawał się

236

znacznie bardziej krzepki niż zasuszony starzec, którego widziałam, towarzysząc Mistrzowi i poza tym jeszcze dwukrotnie. Może to tylko gra cieni albo efekt włożenia kilku warstw ubrania dla ochrony przed nocnym chłodem?

A może to wcale nie jest arcybiskup!

Zaczęłam nabierać podejrzeń, gdyż przyszło mi do głowy, że mogłam nie zrozumieć gambitu królowej, jaki Leonardo zamierzał rozegrać tej nocy. Może nie zamierzał się zadowolić czuwaniem nad arcybiskupem i odparciem ataku wymierzonego przeciwko niemu, lecz postanowił zająć miejsce duchownego. Może rozpuścił pogłoskę o nocnej modlitwie, wcześniej

uzyskawszy od Jego Eminencji zapewnienie, że pozostanie tej nocy bezpieczny w swoich pokojach.

Przeszedł mnie dreszcz. Jeśli mam rację, to gdyby Tommasa i mnie nie było tu teraz, Leonardo musiałby sam stawić czoła zabójcy.

Wyprostowałam się, by podzielić się z kolegą moimi podejrzeniami, ale zobaczyłam, że zasnął, wygodnie oparty o gałęzie. Nie odważyłam się odezwać głośno, by Leonardo - a może jednak arcybiskup? - nie usłyszał mnie z dołu. Gdybym zaś nim potrząsnęła, mógłby się ocknąć gwałtownie i spaść z muru. Wyglądało na to, że będę musiała czuwać sama, dopóki Tommaso się nie obudzi.

Jednak im bliżej świtu, tym trudniej było mi walczyć z sennością. Kilka razy przymykałam oczy i zapadałam w drzemkę. Nie wiem, jak długo drzemałam, lecz za każdym razem budziłam się przerażona i patrzyłam na postać w dole, która tkwiła nieruchomo pod przesuwającymi się na niebie gwiazdami.

Za którymś razem przyśniło mi się, że znowu jestem w drodze do Mediolanu, ubrana w strój mego brata, i próbuję stawiać pierwsze kroki w nowym życiu. Jak radził mi ojciec, dołączyłam do innych ludzi zmierzających w tym samym kierunku, kupców i kilku zwyczajnych podróżnych. Ale we śnie szli z nami żonglerzy z targowiska, którzy zamiast piłkami i pałka-

mi żonglowali czaszkami i kośćmi zmarłych Sforzów.

237

Wędrowaliśmy, nie zbliżając się nawet do celu, bo te same łagodnie falujące wzgórza cały czas były widoczne na horyzoncie. Oczywiście w prawdziwej podróży było inaczej. Choć gawędziliśmy przyjaźnie, musieliśmy iść żwawym krokiem, aby, po pierwsze, jak najszybciej dotrzeć do celu, po drugie zaś - nie kusić bandytów, którzy mogliby się zaczaić na zostających w tyle. Pewien starszy handlarz wełną wziął mnie pod swoje skrzydła i raczył dobrymi radami.

- Trzeba ci wiedzieć - mówił - że wcale nie jest tak źle w naszym północnym kraju. Przed laty mieszkałem we Florencji, gdzie każdy wielmoża miał własną armię najemników. Nikt nie odważył się wyruszyć w podróż bez zbrojnej eskorty, aby nie wpaść w ich ręce. Ba, wydawało się wręcz, że wzdłuż drogi prowadzącej do Rzymu krew płynęła strumieniem. Dzisiaj jest o wiele lepiej, ale roztropny człowiek zawsze ma swoje złoto dobrze ukryte i sztylet u pasa.

Może dlatego w moim śnie miałam całą kolekcję noży i mieczy wiszących przy szerokim skórzanym pasie. Nie wiedziałam wiele o walce na miecze, poza tym że czasami oglądałam dworzan ćwiczących fechtunek na zamkowym dziedzińcu. Raz czy

dwa wraz z innymi terminatorami zabawiałam się szermierką na kije i radziłam sobie nie gorzej niż oni, lecz na tym kończyła się moja nauka. Każdy, kto choć trochę umiał posługiwać się bronią, pokonałby mnie bez najmniejszego trudu. Mimo to - i we śnie, i na jawie - miecz dawał mi poczucie, że nie jestem całkiem bezbronna.

Kiedy w moim śnie zapadła noc i rozbiliśmy obóz między rosnącymi przy drodze drzewami, położyłam się spać, przyciskając do piersi największy z moich mieczy, tak że przypominałam hrabiego leżącego na marach. Gdy jednak obudziłam się o świcie, by dołączyć do towarzyszy podróży, okazało się, że nie leżę na wilgotnej trawie, lecz jestem zamknięta w rodzinnej krypcie Sforzów. Wyjrzałam przez szparę w drzwiach i zobaczyłam, że pozostali wyruszają beze mnie, prowadzeni przez żonglerów ubranych jak para maleńkich biskupów. Chociaż

238

krzyczałam i waliłam w drzwi krypty, nikt mnie nie słyszał ani nikt nie zawrócił, by sprawdzić, dlaczego mnie nie ma.

W tym momencie ocknęłam się, rozdygotana na myśl o powrocie do makabrycznego więzienia. Przetarłam oczy i pośpiesznie spojrzałam w dół, by się przekonać, że samotna postać nadal tam jest. Wtedy usłyszałam z oddali pianie jakie-

gość koguta, który obudził się na długo przed swoimi kolegami, i odetchnęłam z ulgą.

Chociaż noc wciąż była czarna jak sadza, ten znajomy dźwięk zapowiadał zbliżający się świt. Może hrabina i ambasador jeszcze raz przemyśleli swój nieczyny plan i postanowili jednak nie podnosić ręki na przedstawiciela Kościoła. Jeśli szczęście mi dopisze, będę czuwać jeszcze przez godzinę czy dwie, a potem niebezpieczeństwo minie.

Właśnie w tej chwili usłyszałam ciche skrzypienie zawiasów otwieranej bramy ogrodu. Całkowicie rozbudzona spoglądałam to na śpiącego Tommasa, to na nieruchomą postać w białych szatach, której odgłos zawiasów nie przeszkodził w medytacji.

W bramie pojawił się jakiś cień o kształtach człowieka. Nie śmiać oddychać, patrzyłam, jak ubrana na ciemno postać wślizguje się do ogrodu. Przybysz miał dłonie ukryte w rękawach, nie widziałam więc, czy jest uzbrojony. Poruszając się bezszelestnie, wszedł na ścieżkę prowadzącą do miejsca, gdzie siedziała jego ofiara.

Spodziewałam się takiej chwili, więc już wcześniej założyłam pas na tunikę i przypięłam do niego miecz hrabiego. Wyglądało to dziwnie, ale dzięki temu miałam w razie potrzeby broń łatwo dostępną. Gdy przesunęłam się odrobinę, by le-

piej widzieć intruza spomiędzy gałęzi, pochwa lekko uderzyła o mur, na którym siedziałam.

Dźwięk, choć stłumiony, wystarczył, by zwrócić uwagę intruza. Zatrzymał się skonsternowany i rozejrzał spod kaptura, próbując znaleźć jego źródło. Skuliłam się między gałęziami i modliłam, aby nie przyszło mu do głowy spojrzeć w górę.

239

Po kilku sekundach, które mnie wydawały się wiecznością, najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma się czym przemawiać. Wyjął ręce z rękawów i zauważyłam metaliczny błysk przedmiotu, który trzymał w dłoni. Noża? Zapewne, gdyż była to ulubiona broń Renalda.

Zagryzłam wargę, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Intruz lada moment przejdzie pod drzewem i znajdzie się zaledwie kilka kroków od głazu. Jeżeli zdradzę za wcześnie swoją obecność, może uciec z ogrodu, nim zdążę zeskoczyć z drzewa. Jeśli zaś będę czekać zbyt długo, może zabić mężczyznę siedzącego na kamieniu, zanim zdążę go powstrzymać.

Spojrzałam na Tommasa, prosząc go w duchu, by otworzył oczy. Gdyby się obudził, moglibyśmy zrealizować plan ustalony wcześniej. Ja zmierzę się z zabójcą, on zaś zeskoczy z muru, zatrzaśnie bramę ogrodu od zewnątrz i pobiegnie po stra-

że. Wprawdzie w ten sposób będę zamknięta w ogrodzie razem z uzbrojonym w nóż Renaldem, ale przecież mam miecz i zdołam go powstrzymać do chwili wszczęcia alarmu.

Widocznie moja determinacja jakoś przedarła się do umysłu Tommasa, gdyż nagle usiadł i otrząsnął się jak szczeniak po wyjściu z kałuży. Pospiesznie dałam mu znak, by był cicho, i wskazałam w dół. Podążywszy wzrokiem za moim gestem, natychmiast oprzytomniał i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Idź! - powiedziałam bezgłośnie, wskazując w stronę bramy.

Skinął głową, przerzucił nogę przez mur i zawisł na moment na krawędzi, gdy stopami szukał oparcia. Chwilę później stanął na ziemi i ruszył pędem ku bramie.

Tymczasem intruz minął drzewo i powoli zbliżał się do swojej ofiary. Ponieważ nie było już potrzeby zachowywać się cicho, zeskoczyłam z muru, lądując na trawie z głuchym łoskotem.

Intruz wydał gardłowy dźwięk i odwróciwszy się na pięcie, stanął naprzeciwko mnie; jego długa szata zafurkotała, a wyso-

240

ko uniesione ostrze załśniło złowrogo w świetle księżyca. Sta-

rając się zapanować nad strachem, dobyłam miecza i cofnęłam się o krok.

- Wasz plan zawiódł - odezwałam się drżącym głosem. -
Właśnie w tej chwili idą tu strażę. A jeśli myślałeś o ucieczce, to wiedz, że brama jest zamknięta. Nie unikniesz schwytania.

Miałam wrażenie, że mroczna postać zawahała się na moment. Uniosłam wyżej miecz dla potwierdzenia swojej groźby i zastanawiałam się, czy Renaldo rozpoznał mnie w ciemnościach. Bez wątplenia uważał mnie za martwą, a jeśli nawet jeszcze nie martwą, to za skazaną na nieuniknioną śmierć w zamkniętej krypcie. Pewnie pomyślał, że widzi ducha... jeżeli nie mojego, to Lorenza, który wrócił zza grobu w błękitno-białej tunice.

- Odłóż nóż, a strażnicy nie zrobią ci krzywdy, kiedy cię aresztują - tłumaczyłam.

Arcybiskup - a może Leonardo? - siedział nieruchomo na głazie i zaczęłam się obawiać, że mimo groźby rychłego schwytania Renaldo zechce wypełnić swoje zadanie. Gdyby udało mi się czymś go zająć, może nie zdążyłby dokonać tego desperackiego aktu.

I wtedy usłyszałam cichy śmiech, który wydawał się ciąć noc niczym szkło. Intruz opuścił nóż, zrobił krok naprzód i niedbałym ruchem zsunął kaptur, odsłaniając znajomą twarz

okoloną złocistymi lokami.

- Więc wydostałeś się z grobu, mój piękny Dino - powiedziała hrabina cichym, przyprawiającym o dreszcz głosem. - Powinnam była pozwolić, by Renaldo z tobą skończył. Ale mniejsza z tym. Chociaż jesteś odważny, twoje wysiłki na nic się nie zdadzą. Zanim pojawią się strażę, obaj będziecie martwi, ty i arcybiskup, a winna za to zabójstwo spadnie na ciebie.

241

18

Duch nie ogranicza się do śmiertelnego ciała. Metal, prawidłowo odlany, ma własne życie...

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny della Fazia

Z zaskoczenia omal nie upuściłam miecza. Wiedziałam, że hrabina spiskowała z francuskim posłem, ale byłam pewna, że samego zabójstwa ma dokonać Renaldo. Tymczasem nie on, tylko jego pani przyszła odebrać arcybiskupowi życie. Przypomniałam sobie zakrwawioną rękawiczkę, którą ktoś ukrył w mojej skrzyni. Najprawdopodobniej to hrabina zamordowała hrabiego Ferrary. Skoro miała ręce splamione krwią jednego

człowieka i śmierć drugiego na sumieniu - co teraz powstrzyma ją przed użyciem broni?

Ruszyła w moją stronę, płynnymi ruchami wymachując nożem.

- Poznaję ten miecz - powiedziała z lekkim uśmiechem, a jej bladoniebieskie oczy w mroku wydawały się dziwnie ciemne. - Należy do mojego kuzyna, hrabiego. Widzę, że do swoich zbrodni dodałeś również kradzież.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Widzę też, że nie masz doświadczenia w posługiwaniu się mieczem, co zresztą nie dziwi u kogoś twojego stanu. Zapewniam cię, że ja w tej sztuce jestem równie biegła, jak każdy mężczyzna. Mój ojciec na to nalegał. W naszej rodzinie nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba się będzie bronić przed ostrzem wroga... albo przyjaciela.

- Nie uda ci się uciec - powtórzyłam, starając się, by mój głos drżał mniej niż miecz. Spojrzałam przez ramię na nieruchomą postać za nią, teraz pewna, że to kardynał Nardini. Gdyby to był Mistrz, z pewnością już by się ujawnił. - Nawet jeśli zabijesz arcybiskupa i mnie, Leonardo dopilnuje, żebyś poniosła karę.

242

- Myślisz, że boję się twojego ukochanego Mistrza? To czło-

wiek z gminu, a do tego artysta. - Niemal wypluła ostatnie słowo, jakby było największą obelgą. - Ludovico uwierzy raczej mnie niż jemu. Poza tym jestem pewna, że Leonardo niedługo znajdzie inne... zajęcie... które pozwoli mu zapomnieć o stracie jednego ucznia. Wtedy przyjmie moją wersję wydarzeń.

- Zostań tam, gdzie jesteś - wykrztusiłam, chociaż to ja cofnęłam się o kilka kroków. - Zrobię, co będę musiał, żeby chronić arcybiskupa.

- Doprawdy? - zaśmiała się, strząsnęła z ramion pelerynę i chwyciwszy ją wolną ręką, drugą, trzymającą nóż, opuściła. Teraz stała tylko w białej koszuli narzuconej na obszytą złotem koszulkę odsłaniającą ciało. - Widzisz, mój piękny Dino, odsłoniłam dla ciebie pierś. Zanim nadejdą strażę, dam ci jedną jedyną szansę zabicia mnie... albo rozbrojenia, gdyby nie starczyło ci odwagi, by zabić. Jeśli ci się uda, ocalisz arcybiskupa i siebie. A jeśli nie...

Nie musiała kończyć. Gdzie jest Tommaso? - myślałam gorączkowo. I przede wszystkim, gdzie jest Mistrz? Przecież nie mogłam aż tak dalece nie zrozumieć jego intencji. Zacisnęłam zęby i uniosłam miecz hrabiego, wiedząc, że nie będę miała drugiej szansy. Jeżeli zdołam zmusić hrabinę do odrzucenia noża, być może utrzymam ją na długość miecza do chwili przybycia straży.

Zamachnęłam się, zamierzając przesunąć ostrzem tuż przy jej twarzy, ale gdy miecz ze świstem ciął powietrze, ona jednym szybkim ruchem machnęła peleryną. Tkanina zaczepiła się o koniec ostrza i wyrwała mi miecz z ręki równie łatwo, jak ja odebrałam go martwemu hrabiemu. Zatoczył szeroki łuk i wbił się w trawę daleko ode mnie.

Hrabina uśmiechnęła się kpiąco i pokiwała z politowaniem głową.

- Biedny Dino, nie jesteś mistrzem we władaniu mieczem, prawda? Może więc powinienes pogodzić się ze szlachetną śmiercią. Nie myśl, że mnie pokonasz - dodała, widząc, że

243

szykuję się do dalszej walki. Znowu machnęła peleryną, której brzeg tym razem musnął moje stopy. - Mogę zrobić z tobą to samo, co z mieczem. Ale to byłoby takie nieeleganckie. Bądź grzecznym chłopcem i stój tam, gdzie stoisz. Obiecuję ci, że będę szybka jak ukąszenie żmii. Nic nie poczujesz.

Właśnie wtedy usłyszałem niespodziewany zgrzyt i szcęk metalu, który rozdarł nocną ciszę. Arcybiskup, który przez tyle godzin siedział nieruchomo, drgnął i zaczął się podnosić. Tyle że z pewnością nie był to arcybiskup. Mimo biskupich szat był zbyt wysoki... wyższy nawet od Mistrza. I dlatego jego ru-

chom towarzyszyły dźwięki trybów i pomp?

Hrabina znieruchomiała, słysząc pierwszy zgrzyt. Teraz przyglądała mi się ze zdumieniem, najwyraźniej zastanawiając się, czy to nie jakaś moja sztuczka. Musiała jednak dostrzec zaskoczenie w moich oczach, bo nagle opuściła nóż i odwróciła się, by spojrzeć za siebie.

Odziana na białą postać także się odwróciła i po tym ruchu spadł zasłaniający ją kaptur. Ale światło księżyca padło nie na twarz, lecz na ciemny, wypolerowany metal. Nie był bowiem człowiek, lecz podobna do człowieka mechaniczna istota, której biskupie szaty nadawały jeszcze bardziej niesamowity wygląd.

Zanim którakolwiek z nas zdążyła zareagować, istota zaczęła miarowym krokiem okrążyć kamień, na którym siedziała. Ruchy miała niezborne, jakby dopiero uczyła się chodzić, a każdemu ciężkiemu stąpięciu towarzyszył zgrzyt metalu o metal. Jej intencje nie mogły jednak budzić wątpliwości. Z nieruchomym spojrzeniem utkwionym w jeden punkt szła wprost ku hrabinie!

Widok metalowego człowieka dokonał tego, czego nie był w stanie dokonać mój niezdarny atak. Hrabina rzuciła nóż z przeraźliwym krzykiem i zaczęła uciekać przed swoim prześladowcą. Zeszłam jej z drogi, a mój początkowy szok zamie-

nił się w podziw, gdy zdałam sobie sprawę, kto zbudował człowieka z metalu. To musiał być wynalazek, nad którym Leonardo potajemnie pracował w swoim warsztacie. Urządzenie to nie było wprawdzie pierwszą próbą tchnięcia życia w metal - przypomniałam sobie mosiężnego lwa, który otwierał paszczę i ryczał - ale z pewnością najbardziej ambitną. Nie miałam pojęcia, jak mechanizm działa, lecz w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że działał, i to z widowskim skutkiem.

Przerażona hrabina cofała się chwiejnym krokiem, próbując uciec przed dziwacznym stworzeniem. W pewnej chwili peleryna owinęła się wokół jej kostek. Potknęła się, zachwiała, zrobiła jeszcze krok i upadła twarzą na trawę. Próbowwała unieść się na rękach, gdy metalowy człowiek zbliżał się do niej coraz bardziej.

Wreszcie zrezygnowana opadła na ziemię, a jej biała koszula lśniła niczym latarnia morska. Metalowa istota stanęła, zachwiała się jak człowiek, który wypił za dużo wina, i przy rozdzierającym uszy zgrzycie metalu bardzo wolno upadła wprost na hrabinę.

Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszałam za sobą

zgrzytanie trybów i łoskot, jakby coś uderzyło o metal. Dobiegło mnie ciche syknięcie i przekleństwo rzucone znajomym głosem.

Odwróciłam się i odetchnęłam z ulgą, widząc, że z kępy krzewów rosnących naprzeciwko głazu wychodzi Leonardo. Był ubrany na czarno, tak że wtapiał się w ciemność, a kiedy podszedł bliżej, zauważyłam, że trzyma w rękach dużą metalową skrzynkę, z której wychodziły liczne druty. Mistrz zmagął się przez chwilę z jednym z nich, po czym z wyrazem niesmaku na twarzy odstawił skrzynkę i skierował się w moją stronę.

- Zakładam, że istnieje jakiś rozsądny powód twojej obecności tutaj - rzekł łagodnie, lecz zmarszczył brwi, gdy przyjrzał mi się w świetle księżyca. - Twoja tunika uderzająco przypomina tę, która należała do zmarłego Lorenza, ma nawet plamy z wina na piersi. A zapach, jaki wydziela, jest dziwnie podobny

245

do woni rozkładającej się ryby. Masz też przy sobie miecz, który należał do hrabiego Ferrary, zgaduję więc, że złożyłeś jeszcze jedną wizytę w krypcie.

- Nie z własnej woli - odparłam drżącym głosem. Zamrugałam, czując łzy napływające do oczu, i wskazałam nieruchomo-

me ciało hrabiny... a właściwie tyle, ile z niego widziałam. Metalowy człowiek przygniótł do ziemi jej nogi i tułów, wystawały spod niego tylko ręce. - Czy ona żyje?

Leonardo ukląkł przy hrabinie i sprawdził, czy daje oznaki życia. W końcu skinął głową.

- Niestety, tak. Jest nieprzytomna i mocno poobijana, ale dojdzie do siebie. - Wstał i otrzepał kurz z pończoch.

- Zdaje się, że nadchodzą strażę - dodał, kiedy od bramy dobiegły nas głosy i tupot kroków. - Pomogą nam uwolnić hrabinę.

Po chwili do ogrodu wpadł rozgorączkowany Tommaso, prowadząc za sobą kilkunastu uzbrojonych strażników. Na widok mechanicznego człowieka w białych szatach biskupa leżącego na półnagim ciele hrabiny di Malvorał stanęli jak wryci. Szybko jednak doszli do siebie, zdążyli się już bowiem przyzwyczaić do najdziwniejszych zdarzeń związanych z poczynaniami nadwornego wynalazcy.

Instruowani przez Mistrza, rozstawili się wokół metalowej istoty, podnieśli ją z nieprzytomnej kobiety i oparli o kamienny mur.

- Wrócimy po niego za dnia - zapewnił ich Leonardo i spojrział na hrabinę, która zaczęła się poruszać.

- Czy nie powinniśmy pomóc damie? - spytał jeden ze strażników, robiąc krok naprzód.

Leonardo zagroził mu drogę.

- Zwiążcie jej ręce, zanim w pełni odzyska zmysły, bo inaczej może sięgnąć po miecz i nas pozabijać. Hrabina di Malvo-
ral sprawia wrażenie słabej kobiety, ale jest niebezpieczna jak
jadowity wąż. Próbowła zamordować arcybiskupa, więc bę-
dziecie musieli zabrać ją do zamkowego lochu, gdzie pozosta-
nie do czasu, aż Il Moro zdecyduje, co z nią zrobić.

246

Kiedy dwaj strażnicy krępowali hrabinie nadgarstki, Mistrz
zwrócił się do ich dowódcy:

- Jest też dwóch innych, których powinniście aresztować.
Jeden to służący, Renaldo. Prawdopodobnie znajdziecie go
śpiącego w komnacie hrabiny. Drugi to monsieur Villasse, fran-
cuski poseł.

- Jesteś tego pewien, signor Leonardo? - Na ciemnej twa-
rzy dowódcy gwardzistów pojawił się wyraz powątpiewania. -
Książę...

- ...dał mi prawo rozwiązania tej sprawy tak, jak uznam
za słuszne - uciał Mistrz, strzelając palcami. - Mężczyźni, któ-
rych imiona wam podałem, są zamieszani w spis wymierzo-
ny przeciwko kardynałowi Nardiniemu. Podejrzewam też, że
co najmniej jeden z nich przyłożył rękę do śmierci hrabiego

Ferrary. Radzę pojmać obu jak najszybciej, bo inaczej ściągniecie na siebie gniew księcia. I pamiętajcie, że ambasador planował opuścić miasto przed świtem.

Jakby dla podkreślenia tych słów z oddali dobiegło pianie koguta. Dowódca straży wydał rozkazy swoim ludziom.

- Wy - zwrócił się do strażników, którzy związali hrabinę - odprowadźcie panią do celi. Reszta za mną.

Po chwili już ich nie było i tylko wściekłe krzyki hrabiny dobiegały z zamkowego dziedzińca. Tommaso i ja zostaliśmy w ogrodzie z Leonardem.

- Rozumiem, że porzuciłeś naukę - Mistrz zwrócił się do Tommasa, który spuścił głowę i wpatrywał się w ziemię z nieszczęśliwą miną. - Chętnie usłyszałbym, dlaczego odszedłeś i także postanowiłeś wrócić... ale w tych okolicznościach uznajmy, że twoja nieobecność jest usprawiedliwiona.

Tommaso spojrział na Leonarda z niedowierzaniem i jękając się, zaczął mu dziękować, ten jednak powstrzymał go gestem dłoni.

- Niech wszystko będzie jasne, drogi chłopcze - rzekł. - Za nieroztropne zachowanie musi cię spotkać kara. Od tej chwili będziesz odpowiedzialny za gotowanie skór na klej do gesso.

A że znajdę dla ciebie podobnie niewdzięczne zajęcie na co najmniej następny miesiąc, możesz powściągnąć radość.

Tommaso tylko się uśmiechnął i skinął radośnie głową.

Przypuszczałam, że równie ochoczo przyjąłby nawet znacznie dotkliwszą karę za ucieczkę, byleby móc kontynuować naukę.

Tymczasem Mistrz zwrócił się do mnie z surowym wyrazem twarzy.

- Sądzę, Dino, że powinienesz to i owo wyjaśnić - powiedział. - Może zacznij od tego, co robisz w ogrodzie nocą. Jeśli się bowiem nie mylę, nie prosiłem cię o pomoc w tej sprawie.

Teraz ja wbiłam wzrok w ziemię, choć nie tyle ze wstydu, ile z rozczarowania. Mistrz nie sądzi chyba, że przyszedłbym tu i stawiała czoła uzbrojonej w nóż zabójczym, gdybym nie lękała się o jego życie. Nie prosiłam też, by zamknięto mnie w cuchnącej krypcie, gdzie z pewnością umarłabym, gdyby szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie było w pobliżu Tommasa. To prawda, że podjęłam się pilnowania Mistrza bez jego zgody, lecz tylko z powodu zakrwawionej rękawiczki, którą znalazłam w kufrze.

Zerwałam z siebie tunikę Lorenza i gorączkowo zaczęłam przeszukiwać własną. Rękawiczka wciąż tkwiła pod gorsetem. Podałam ją Mistrzowi.

- Pamiętasz, jak sugerowałeś, że mój nocny gość mógł zo-

stawić coś w skrzynce, a nie ukraść? - wyjaśniłam. - Przeszukałem ją następnego ranka i oto, co znalazłem.

Pierwsze promienie słońca przebiły się przez liście ponad murem, więc plamy na rękawiczce były wyraźnie widoczne.

- Wygląda na kobiecą - ocenił, przyłożywszy ją do własnej dłoni. - A te plamy to zapewne krew. Nie mogła pojawić się wśród twojego dobytku przypadkowo. Ktoś chciał, żeby została znaleziona... i to przez kogoś, kto wiedział, co oznacza.

Obrócił rękawiczkę w dłoniach.

- Zauważ, jak układają się plamy. Najwięcej jest na bokach i na zewnętrznej części. Wnętrze jest czyste. Gdyby została użyta przy nieszkodliwych czynnościach, na przykład do udzie-

248

lania pomocy rannemu, większość krwi wsiąknęłaby w dłoń.

Gdyby jednak osoba nosząca tę rękawiczkę trzymała coś... na przykład nóż...

Podniósł z trawy porzucony nóż hrabiny i owinąwszy rękawiczkę wokół rękojeści tak, jak trzymałaby go dłoń, mówił dalej:

- Wewnętrzna strona dłoni jest przyciśnięta do metalu a tym samym osłonięta przed rozbryzgami krwi, które wsiąknęły w resztę rękawiczki, kiedy ostrze wbijało się w ciało.

- Czy chcesz powiedzieć, Mistrzu, że jakaś dama włożyła tę rękawiczkę, aby kogoś zabić? - spytał Tommaso.

Leonardo skinął głową.

- To prawdopodobne... i jestem pewien, że Dino się ze mną zgodzi. Inaczej bowiem nie strzegłby tego dowodu tak pilnie mimo wszystkiego, co przeszedł tej nocy. Poza nieszczęsnym Lorenzem jedyną osobą, którą w ostatnich dniach spotkała gwałtowna śmierć, był kuzyn księcia, hrabia Ferrary. O ile więc ktoś nie próbuje odwrócić naszej uwagi od prawdy, wygląda na to, że zabójstwa dokonała kobieta... zapewne hrabina di Malvoral.

Zatknął za pas nóż hrabiny i włożył rękawiczkę do sakiewki.

- Ale by ostatecznie rozwiązać tę sprawę, musimy ustalić, do kogo naprawdę należała rękawiczka - rzekł. - Zamierzam zapytać o to hrabinę, a także Renalda i pana Villasse'a. Wkrótce poznamy odpowiedź.

Spojrzał na mechanicznego człowieka, który w świetle dnia wyglądał śmiesznie w biskupich szatach.

- Obawiam się, że mój automat wymaga pewnych poprawek - przyznał. - Teoria jest dobra, ale sprężyny i bloczki nie działały tak szybko, jak powinny, kiedy pociągałem za linki.

Wygląda na to, że niektóre przeciwwagi nie są dobrze ustawio-

ne, i pewnie dlatego się przewrócił. Wierzcie mi, zamierzałem powstrzymać hrabinę w subtelniejszy sposób, niż przygniatając ją moim wynalazkiem.

249

Spojrzał na mnie.

- I bądź pewien, drogi Dino, że nie chciałem zostawiać cię bez ochrony tak długo. Gdyby automat zadziałał tak, jak się spodziewałem, hrabina zostałaby pokonana natychmiast. Byłeś bardzo dzielny, stawiając jej czoła tak długo. Gdyby na kamieniu siedział arcybiskup, ocaliłbyś mu życie.

W innej sytuacji rozpromieniłabym się, słysząc taki komplement z ust Mistrza. Teraz jednak tylko patrzyłam tępo na niego, czując, że chwieję się na nogach, a moje ciało staje się na przemian gorące i zimne jak lód.

Przez brzęczenie w uszach usłyszałam głos Tommasa:

- Nie wyglądasz dobrze, Dino. Czy to z powodu rany?

- Rany? - spytał Leonardo. - Przecież ostrze hrabiny nawet go nie dotknęło. Powiedz mi, Tommaso, co tu się dzieje?

Jakby z bardzo daleka słyszałam, jak Tommaso powtarza Mistrzowi tę samą historię, którą mu opowiedziałam po uratowaniu mnie z krypty. Chętnie bym ją uzupełniła, lecz osunęłam się na trawę. Siedząc, osłoniłam oczy przed nagłym roz-

błyskiem słonecznego światła, które zalało ogród. W końcu nadszedł świt i ta piekielna noc skończyła się na dobre. Jasne poranne słońce skąpało bujną roślinność ogrodu w złocistym świetle, tak odmiennym od chłodnego półcienia, jaki tu zwykle panował. Przynajmniej przez chwilę ogród nie przypominał tajemniczej samotni, w której zaledwie kilka dni temu znalazłam martwe ciało. Teraz wydawał się miejscem ciepłym, radosnym i przytulnym, gdzie można rozsiać się wygodnie na trawie i oddać beztroskim marzeniom.

Ale Mistrz najwyraźniej nie zamierzał pozwolić mi tu odpocząć. Wziął mnie na ręce i niósł... nie wiedziałam, dokąd i nie obchodziło mnie to. Po prostu unosiłam się nad ziemią i nie musiałam się już obawiać żadnej hrabiny z nożem ani żadnego brutalnego młodzieńca o rudych włosach i okrutnym uśmiechu. Usłyszałam, jak Leonardo mówi do Tommasa:

- Nie ma czasu do stracenia. Musimy go zanieść do chirurga.

250

Ostatnie słowo przebiło spowijającą mnie mgłą obojętności.

- Nie do chirurga - zaprotestowałam przerażona, przytomniejąc na tyle, by zdać sobie sprawę, że takie rozwiązanie groziłoby ujawnieniem mojej maskarady. Była tylko jedna osoba,

której mogłam zaufać w takim stanie. - Zabierzcie mnie do warsztatu signora Luigiego - poprosiłam... a w każdym razie miałam nadzieję, że to zrobiłam, gdyż słowa więzły mi w gardle.

Tommaso jednak zrozumiał moją prośbę.

- Do krawca? - spytał z niedowierzaniem, gdy mijaliśmy bramę ogrodu. - Musisz mieć gorączkę, mówisz od rzeczy. Potrzebujesz chirurga.

- Nie, nie. Nie ufam mu. - Z wysiłkiem otworzyłam oczy i spojrzałam na Mistrza. - Błagam, nie zabierajcie mnie do niego. On pozwolił, by Lorenzo umarł... i ja też na pewno umrę, jeśli dostanie mnie w swoje ręce - użyłam jedynej wymówki, jaka przyszła mi do głowy.

Zobaczyłam wyraz niepewności na twarzy Leonarda i zdałam sobie sprawę, że tak jak ja nie wierzy w umiejętności chirurga. Postanowiłam to wykorzystać.

- Proszę, zabierzcie mnie do signora Luigiego - wyszeptałam. - On zna się na leczeniu. Pamiętasz skowronka, Mistrzu? Poza tym, jeśli trzeba będzie zszyć mi brzuch, kto zrobi to lepiej od krawca?

Nie wiem, czy przekonał go ten ostatni argument, czy po prostu moje przerażenie, lecz zaklął pod nosem i skinął głową.

- Nie martw się już, drogi chłopcze - rzekł. - Zabiorę cię do warsztatu Luigiego. Tam jest przynajmniej znacznie czystiej

niż u chirurga.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się później; ocknąłam się dopiero, słysząc słowa krawca:

- Wnieście chłopca do środka, a ja zrobię, co będę mógł.

Kiedy położyli mnie na łóżku w sąsiednim pokoju - łóżku Luigiego, jak się później dowiedziałam - usłyszałam chaotyczną relację Tommasa o moich ranach, po czym Leonardo powtórzył to w mniej zagmatwany sposób. Przez zapuchnięte

251

oczy widziałam, jak Luigi zapisał coś na skrawku papieru, który wręczył Tommasowi, polecając mu czym prędzej iść do aptekarza po drugiej stronie ulicy.

Nieco więcej zabiegów wymagało odesłanie także Leonarda. Mistrz zgodził się odejść, dopiero, gdy Luigi zapewnił go, że później przez jednego ze swych uczniów przekaże mu wiadomość o moim stanie. Nie miałam Mistrzowi za złe, że mnie zostawił, gdyż wiedziałam, że czeka go jeszcze dużo pracy nad rozwiązaniem sprawy zabójstwa hrabiego i spisku na życie arcybiskupa. Poza tym gdyby został, z pewnością chciałby pomagać krawcowi.

Musiałam znowu stracić przytomność, a kiedy się ocknąłam, Luigi ostrzegł mnie:

- Obawiam się, że to może zboleć.

Poczułam, jakby rzucił rozżarzone węgle na moją ranę, i krzyknęłam. Wtedy przysunął mi do ust kubek z jakimś nieprzyjemnie pachnącym płynem i zmusił do wypicia. Ustąpiłam tylko dlatego, że byłam zbyt zmęczona, by się opierać.

Zanim zapadłam w sen, dręczyły mnie wizje krypt, mieczy i zwłok; uświadomiłam sobie, że jest coś, co powinnam pamiętać i powiedzieć Mistrzowi w związku z zakrwawioną rękawiczką. Nie dawało mi to spokoju, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, o co chodzi. Zupełnie jakbym próbowała schwytać jednego z ptaków, które Leonardo wypuszczał z klatek... kiedy już niemal chwyciłam go w locie, uciekał, muskając czubki moich palców.

Wreszcie, inaczej niż skowronek z warsztatu Luigiego, ptak odleciał z furkotem czarnych skrzydeł, a mnie ogarnęła głęboka ciemność.

252

19

Zawsze warto jest odejść na stronę i nieco odpocząć; kiedy bowiem potem wrócisz do pracy, twój osąd będzie jaśniejszy...

Leonardo da Vinci Manuskrypt 2038

Wyczerpana gorączką przespałam cały dzień i kawałek nocy.

Pomiędzy koszmarnymi wizjami wzdętych ciał i hrabiny z nożem w dłoni a marzeniami o życiu w rodzinnym domu świadomość wracała mi chwilami na tyle, bym słyszała strzępy rozmowy.

- ...to nie do pomyślenia wyciągać młodego, hm, chłopca w środku nocy i narażać go na niebezpieczeństwo - mówił signor Luigi.

Odpowiedział mu ktoś o głosie podobnym do Mistrza, lecz usłyszałam tylko kilka słów.

- ...jeden z jego obowiązków... sprawdził się całkiem dobrze... poszerzyć horyzonty... - domyśliłam się, że Leonardo broni swojej decyzji.

Jakiś czas później chłodna dłoń dotknęła mojego czoła i usłyszałam głos Mistrza:

- Musisz szybko wyzdrowieć, mój drogi chłopcze. Przyzwyczałem się do tego, że mam przy sobie sprawnego pomocnika, i nie chciałbym cię stracić.

Były też inne głosy. Raz usłyszałam, jak Tommaso i kilku uczniów prosi o pozwolenie zobaczenia się ze mną. Luigi odprawił ich, mówiąc, by dali mi odpoczywać, chociaż gdy odchodzili, dodał kilka szorstkich słów pocieszenia.

A może to wszystko tylko mi się śniło? Nie byłam pewna, gdyż trawiąca mnie gorączka się nasiliła. Słyszałam teraz lodo-

waty śmiech hrabiny di Malvoral i słowa Renalda odgrażającego się, że rozprawi się ze mną do końca, skoro zaczął. Potem rozległy się jęki umierającego Lorenza... a może to ja jęczałam, 253

miotając się w gorączce? To tylko sen, powtarzałam sobie, cała drżąca i zlana potem, a kiedy się obudzę, będę znowu we własnym łóżku, w domu ojca.

Trzeciego ranka gorączka minęła. Obudził mnie głos Luigiego, który beształ jednego ze swoich uczniów za jakieś przewinienie. Na dźwięk znajomych narzekań uśmiechnęłam się słabo, czując wobec niego ogromną wdzięczność. Wybrałam jego, a nie chirurga przede wszystkim dlatego, że mogłam mu zaufać i wiedziałam, że mnie nie wyda. Wyglądało jednak na to, że jego znajomość sztuki leczenia nie ograniczała się do zwierząt, lecz obejmowała również ludzi.

Przyłożyłam drżącą dłoń do brzucha i zdałam sobie sprawę, że nie mam już na sobie stroju pазia, lecz czystą lnianą koszulę, która była luźna, ale nie całkiem ukrywała moją figurę. Pospiesznie podciągnęłam koc pod brodę, przypominając sobie sen, w którym goście odwiedzali mnie w czasie choroby. Luigi na pewno nie dopuścił, by ktoś zobaczył mnie w tym stroju!

Kilka minut później usłyszałam ciężkie kroki. Zasłona oddzie-

lająca sypialnię od pracowni rozsunęła się gwałtownie i zobaczyłam surowe oblicze krawca. Na jego twarzy odmalowało się coś w rodzaju zadowolenia, kiedy zauważył, że się ocknęłam.

- Na świętego Michała, może jednak przeżyjesz - rzekł z satysfakcją, wkraczając do małego pomieszczenia. - Zaczynałem się już obawiać, że będę musiał szyć dla ciebie całun.

Usiadł na brzegu łóżka, które przechyliło się niebezpiecznie pod jego ciężarem, i przyłożył pulchną dłoń do mojej twarzy.

- Aha, mój tonik podziałał. Wydaje się, że gorączka minęła i nie przewracasz już oczami jak wtedy, kiedy cię przynieśli. A teraz pozwól mi zobaczyć, jak goi się twoja rana.

Z wahaniem odsunęłam koc i uniosłam brzeg koszuli na tył, by odsłonić kawałek brzucha. Sprawiając wrażenie, jakby nie zauważał mojego zakłopotania, obejrzał ranę i skinąwszy głową z aprobatą, wziął małe naczynie ze stolika przy łóżku.

- Znacznie lepiej... zaczerwienienie już zeszło i zaczął się formować strup. Ale będziesz smarować się tą maścią kilka ra-

254

zy dziennie, dopóki rana całkiem się nie zablizni. Powiedz mi, jak się czujesz?

- Chce mi się jeść - wychrypiałam - i pić... I potrzebuję nocnika.

Po uzyskaniu ode mnie kilkakrotnego zapewnienia, że będę w stanie samodzielnie użyć tego ostatniego, taktownie zostawił mnie na kilka minut. Kiedy wrócił, przyniósł dzbanek wody, trochę rosółu i chleb.

- To powinno ci wystarczyć, dopóki nie nabierzesz sił - orzekł. - I poruszaj się ostrożnie - dodał, kiedy usiadłam, opierając się o poduszki. - Musiałem zszyć twoją ranę jedwabną nicią, żeby szybciej się goiła.

Prawdę mówiąc, już widziałam jego dzieło: kilka zawiązanych na supły nitek wzdłuż zaskakująco długiego rozcięcia tuż poniżej żeber.

- Obawiam się, że zostanie ci blizna - ostrzegł. - Ale jestem pewien, że będzie mniej widoczna, niż gdyby zajmował się tobą chirurg. A teraz co znowu? - dodał, widząc niepokój na mojej twarzy.

Wskazałam ręką koszulę.

- Czy kiedy się mną zajmowałeś, ktoś jeszcze widział... to znaczy, czy ktoś się domyślił, że...

- Że nie masz figury chłopca? - dokończył za mnie, robiąc obrażoną minę. - Trzeba ci wiedzieć, że jestem sprytniejszy, niż sądzisz. Pilnowałem, by zawsze samemu się tobą zajmować, a i to tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył. I zawsze okrywałem cię kocami, kiedy ktoś przychodził z wizytą. Pod tym względem

nie masz się o co martwić.

Odetchnęłam z ulgą. Nalał mi do kubka wody, którą wypilałam łąpczywie, a następnie posadził mnie i podał miskę zupy.

- Rana była poważniejsza, niż sądził twój Mistrz - mówił, kiedy jadłam skromny posiłek. - Po uderzeniu w głowę został tylko guz, ale rana na brzuchu silnie krwawiła. Na szczęście gorset działał jak opatrunek i zatamował krew. Obawiam się jednak, że musiałeś mieć kontakt z niezdrowym powietrzem,

255

kiedy byłeś zamknięty w krypcie. Rana zaczęła się jątrzyć i gdybym nie nałożył maści, mogłaby się wdać gangrena.

Te słowa przypomniały mi wzdęte i poczerniałe ciało hrabiego. Poczułam, jak skręca mi się żołądek, i pospiesznie oddałam miskę Luigiemu.

- Więcej nie dam rady - powiedziałam słabym głosem i opadłam na poduszki. Na krew świętych, czy kiedykolwiek pozbędę się z pamięci tego straszego widoku?

Aby pomyśleć o czymś innym, spytałam:

- Czy Leonardo przyniósł ci jakieś wieści o hrabinie di Malvoral i francuskim pośle? Nie wiesz, czy arcybiskup bezpiecznie wrócił do Rzymu? A co z Renaldem i...

- Dość - przerwał mi Luigi. - Tkwię tutaj, opiekując się to-

ba, i nie mam dostępu do najnowszych plotek. A twój ukochany Leonardo, zamiast nagrodzić mnie za dobre uczynki i opowiedzieć wszystko od początku do końca, nie chce się ze mną podzielić tą nadzwyczaj interesującą historią. Obawiam się, że będziesz musiał sam to wydobyć z niego, o ile zechce ci cokolwiek powiedzieć.

- A czy pytał o mnie? - starałam się, aby mój głos nie zdradził, jak bardzo mnie to interesuje. Wciąż nie wiedziałam, ile z tego, co usłyszałam, było majaczeniem w gorączce, a ile wydarzyło się naprawdę. Ale byłam pewna, że pamiętam, jak Leonardo przynajmniej raz o mnie pytał, kiedy leżałam półprzytomna. Luigi skinął głową.

- Odwiedził cię kilka razy, tak jak kilku terminatorów. Wygląda na to, że młody Dino cieszy się popularnością wśród kolegów... - zawiesił głos i uśmiechnął się chytrze. - Tommaso mówił mi nawet, że jest pewna młoda kobieta z kuchni... Marcella, o ile dobrze pamiętam... która pytała o twoje zdrowie.

- To tylko przyjaciółka - wymamrotałam i jestem pewna, że zarumieniłabym się, gdyby wystarczyło mi krwi w żyłach. - Nie dałem jej żadnych powodów, by wiązała ze mną jakieś nadzieje... to znaczy nadzieje, jakie mogłaby wiązać, gdybym była prawdziwym chłopcem.

- Tak, to trudna sprawa wieść udawane życie - przyznał takim tonem, jakby dobrze wiedział, o czym mówi. - Ale ty sama wybrałaś swoją maskaradę, podczas gdy inni mogliby być do czegoś takiego zmuszeni wbrew własnej woli.

Zaintrygowana, już miałam go o to zapytać, lecz usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi pracowni, a następnie kobiece głosy. Krawiec zerwał się na równe nogi i poklepał mnie pocieszająco.

- Nie martw się, dochowam twojego sekretu. Tymczasem muszę się zająć klientami. Ty zaś możesz trochę poprawić swój wygląd - dodał, zdejmując z półki drewniany grzebień i kawałek wypolerowanego mosiądzu. - Poślę jednego z chłopców do twojego Mistrza z wiadomością, że minęła ci gorączka. Jestem pewien, że zechce cię zobaczyć.

Poczekalam, aż zniknie za zasłoną, i dopiero wtedy odważyłam się zerknąć w lusterko. Aż jęknęłam, widząc własne odbicie. Twarz miałam bladą jak ściana, a pod zapadniętymi oczami rysowały się głębokie cienie. Włosy - niegdyś wielki powód do dumy - zwisały w smętnych strąkach, wciąż pokryte kurzem z krypty, w której mnie zamknął Renaldo. Prawdę mówiąc, wyglądałam jak nieboszczka.

Czym prędzej nalałam wody do stojącej przy łóżku miski

i kawałkiem zmoczonej szmatki zmyłam zaschnięty pot i grobowy pył. Potem zajęłam się skołtunionymi włosami. Kiedy skończyłam, wyglądałam tylko odrobinę lepiej, ale pocieszałam się myślą, że przynajmniej nie wyglądam już, jakbym wypęzła z krypty. Wyczerpana tymi zabiegami opadłam na poduszki i zasnęłam.

Obudził mnie dobiegający z pracowni głos Mistrza. Podciągnęłam koc pod samą brodę, gdy Luigi zajrzał do sypialni i spojrzał na mnie pytająco. Skinęłam głową, on zaś rozsunął zasłony i wpuścił Leonarda.

- Mój drogi chłopcze, cieszę się, widząc, że czujesz się lepiej - powitał mnie. Jego twarz była spokojna, lecz w głosie usłyszałam nutę autentycznej radości, od której zrobiło mi się

257

cieplej na sercu. - Mamy wielki dług wdzięczności wobec signora Luigiego, który tak zręcznie przywraca cię do zdrowia. Gdyby nie on, musiałbym zatrudnić innego ucznia do pomocy w śledztwie.

- Mam się o wiele lepiej - potwierdziłam, spuszczaając wzrok, aby nie zauważył łez napływających mi do oczu.

Wiedziałam, że wszystko mogło się skończyć dla mnie zupełnie inaczej. Przy odrobinę mniejszym szczęściu byłabym wciąż zamknięta w krypcie lub leżała przebita jednym albo drugim nożem. Tymczasem, dzięki uśmiechowi losu, żyłam i wkrótce miałam całkiem wrócić do zdrowia. Ściskając mocno brzeg koca, spytałam:

- Powiedz mi, Mistrzu, czy strażnicy znaleźli Renalda i monsieur Villasse'a? Czy arcybiskup jest już bezpieczny? I czy hrabina przyznała się do zamordowania swojego kuzyna?

- Dobre pytania - odparł, siadając na ławie pod ścianą. - Jesteś pewien, że masz dość sił, by wysłuchać odpowiedzi? Kiedy skinęłam potakująco głową, zaczął opowieść:

- Arcybiskup jest bezpieczny i zapewne w tej chwili znajduje się w drodze do Rzymu. Jak się mogłeś domyślić, wieść o nocnej modlitwie w ogrodzie była plotką rozpuszczoną przeze mnie, chociaż aby mieć gwarancję powodzenia, potrzebowałam pomocy Jego Eminencji. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Początkowo nie chciał się zgodzić, bym przyjął rolę ofiarnego baranka; twierdził, że woli rozstawić przy bramie swoich gwardzistów. Na szczęście udało mi się go przekonać, że to tylko opóźniłoby zamach na jego życie. W końcu przyznał, że jedyny sposób, aby schwytać zabójców, to przekonać ich, że jestem... a właściwie że on jest... sam w ogrodzie.

- Ale skąd wiedziałaś, że to hrabina, a nie Renaldo będzie próbowała cię zabić... to znaczy zabić arcybiskupa?

Leonardo wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, które z nich będzie trzymało nóż, byłem jednak przygotowany na każdego... nawet na naszego przyjaciela monsieur Villasse'a.

258

Przypomniawszy sobie list, który wskazywały na udział Francuza w spisku, spytałam:

- Czy poseł trafił do więzienia razem z hrabiną?

- Okazało się, że monsieur Villasse jest lepszym strategiem, niż można by sądzić, widząc go przy szachownicy - odparł Mistrz. - Strażnicy zatrzymali jego orszak wyjeżdżający z zamku o świcie, krótko po tym, jak pojмалиśmy hrabinę. Niestety, w powozie był tylko sekretarz... ten uroczy człowiek, z którym mieliśmy okazję spędzić jakiś czas kilka dni temu.

Doprawdy, uroczy, pomyślałam i aż parsknęłam gniewnie, wspominając, jak potraktował nas sekretarz Villasse'a.

- A co się stało z posłem?

- Wygląda na to, że zastosował coś w rodzaju gambitu królowej. Po odrobinie perswazji jego sekretarz, czyli nasz zdobyty pion, wszystko wyznał. Powiedział, że tego samego wieczoru,

kiedy on był zajęty pakowaniem kufrów swego chlebodawcy, monsieur Villasse wymknął się niepostrzeżenie z zamku, dotarł do miasta i tam wsiadł na statek płynący do Francji. Jego ludzie musieli wracać do rodzinnego kraju na własną rękę. Oczywiście wysłałem naszych żołnierzy w pościg wzdłuż rzeki, obawiam się jednak, że zdąży przekroczyć granicę, zanim go dogonią - zakończył, wzruszając ramionami.

Spojrzałam na niego z oburzeniem.

- Ależ Il Moro może napisać list do króla Francji i zażądać wydania pana Villasse'a. Przecież jest winny...

- Czego? - przerwał mi Mistrz. - Mamy tylko list, który nie zawiera żadnych nazwisk. Jest wprawdzie obciążający w połączeniu z informacjami, jakie zebraliśmy, i wydaje się napisany ręką ambasadora, ale Villasse może twierdzić, że podrobiłem jego pismo, posługując się listem, który mi dał. Jeśli zaś idzie o zeznania Renalda i hrabiny, to mamy ich słowo przeciwko jego. Księżę nie zechce więc narazić na szwank ewentualnego sojuszu z Francją, zwłaszcza że arcybiskupowi nic się nie stało.

- To niesprawiedliwe! - wykrzyknęłam oburzona.

259

- Mój drogi Dino, najwyższa pora, byś zrozumiał, że cały

świat jest niesprawiedliwy - odparł łagodnie. - Ja pojąłem to, kiedy byłem o wiele młodszy od ciebie, i pogodziłem się z tym.

Nie miałam ochoty godzić się z czymś takim, ale zagryzłam wargę i spytałam:

- Czy hrabina przyznała się do zabicia hrabiego albo przynajmniej do zlecenia tego Renaldowi?

Leonardo wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Niestety, oboje zapewniają o swej niewinności i twierdzą, że hrabiego musiał zabić ktoś inny.

Opowiedział, jak strażnicy znaleźli pijanego Renalda w łóżku hrabiny i zamknęli go w zamkowym lochu. Później, przesłuchiwany przez Leonarda, przyznał się niechętnie, że był zamieszany w spisek na życie arcybiskupa Mediolanu i hrabiego Ferrary. Zaklinał się jednak, że to nie on zabił kuzyna księcia. Twierdził, że gdy przyszedł z takim zamiarem do ogrodu, hrabia był już martwy.

Skinęłam głową.

- To musi być prawda, bo podczas rozmowy z Lorenzem, którą usłyszałam w korytarzu, Renaldo powiedział o krwi, a przecież nie miał powodu go okłamywać.

- Zgadzam się z tobą, drogi chłopcze - odparł Mistrz. - Ale to nie wszystko... a Renaldo, mimo skłonności do okrucieństwa, nie wydaje się rozgarnięty na tyle, by mógł zmyślić taką

historię.

- Wydaje się, że początkowo tylko hrabia był w zмовie z posłem i zamierzał zabić arcybiskupa - ciągnął, wciąż krążąc po pokoju. - Rozeszła się pogłoska, jakoby kardynał Nardini prosił papieża, by ten nie dopuścił do zawarcia traktatu między Ludovikiem a królem Ludwikiem. Dowiedział się, że Villasse oraz hrabia prowadzą potajemne rozmowy z pewnymi niegodziwcami w obu krajach, i to równocześnie z negocjowaniem jawnego paktu. Gdyby traktat między Francją a Mediolanem został podpisany, obaj skorzystaliby na tym finansowo, ale ludzie w obu krajach mogliby ucierpieć.

260

- Więc hrabia zgodził się na zabójstwo, aby uciszyć arcybiskupa, lecz później zmienił zdanie? - spytałam zaskoczona.

Leonardo skinął głową.

- Właśnie tak... w każdym razie według wersji Renalda, który zapewnia, że usłyszał to bezpośrednio od hrabiny. Hrabiego Ferrary ruszyło sumienie i oświadczył panu Villasse'owi, że nie zamierza brać udziału w zabójstwie księcia Kościoła, yillasse udał, że pogodził się z tą decyzją, choć w rzeczywistości postanowił zrealizować swój plan, tyle że z innymi współnikami. Dlatego wciągnął do spisku hrabinę.

- Ale skąd wiedział, że ona się zgodzi?

- Nasz przyjaciel Villasse jest dobrym znawcą ludzkich charakterów - odparł Mistrz. - Wiedział, że hrabina jest wściekła, że to jej kuzyn, a nie mąż, został mianowany ambasadorem, i słusznie założył, że może wykorzystać zarówno jej gniew, jak i chciwość. Oczywiście hrabia także musiałby zginąć, gdyby się domyślił, że spisek na życie arcybiskupa trwa, i próbował go udaremnić.

Ogarnęło mnie współczucie dla nieszczęsnego kuzyna księcia. To prawda, spiskował z ambasadorem, planował nawet zabójstwo arcybiskupa, lecz ostatecznie nie zdobył się na tak nikczemny czyn. Gdyby hrabia Ferrary był odważniejszy - lub bardziej niegodziwy - pewnie nadal by żył.

Leonardo tymczasem mówił dalej:

- Zadaniem hrabiny było zorganizowanie zabójstwa hrabiego i arcybiskupa. W zamian Villasse miał podzielić się z nią bogactwem, jakie zamierzał zgromadzić dzięki zawartym porozumieniom. Naciskał też na księcia, by mianował jej męża na stanowisko zwolnione w wyniku przedwczesnej śmierci hrabiego Ferrary.

Zmarszczyłam brwi.

- Więc to Lorenzo i Renaldo byli ludźmi, którzy zgodzili się dla pieniędzy splamić ręce krwią, jak pisał w liście ambasa-

dor. Ale co skłoniło Renalda do zabicia przyjaciela?

- Tu właśnie historia nieco się komplikuje.

261

Sięgnął po mosiężne lustro, którego używałam, i wpatrywał się przez chwilę w jego wypolerowaną powierzchnię.

- Ludzie, mój drogi Dino - rzekł wreszcie - przyjmują za prawdę to, co im się mówi, zwłaszcza jeśli wygodnie im jest w to uwierzyć. Jak sam widziałeś, hrabina potrafi nagiąć pewien rodzaj ludzi do swojej woli, tak że słuchają jej z radością, niezależnie od tego, co mają zrobić. Nasz przyjaciel Renaldo był nią zauroczony do tego stopnia, by uwierzyć, iż będzie go chroniła, a nawet zabierze ze sobą do Francji.

Parsknął z niesmakiem, odłożył lustro i znowu zaczął spacerować.

- Hrabina... Elena, jak pozwoliła się nazywać... powiedziała mu, że on i Lorenzo muszą zamordować hrabiego oraz arcybiskupa i na tym koniec. Kiedy po śmierci hrabiego Lorenzo przestraszył się konsekwencji, hrabina skłoniła Renalda do zabicia przyjaciela. Powiedziała mu, że jeśli tego nie zrobi, Lorenzo może zdać się na łaskę księcia i na nią zrzucić winę za morderstwo... sam zaś za to zeznanie uniknie kary. Renaldo się zgodził, obawiając się, że jeśli odmówi, straci hrabinę. Nie

przyszło mu do głowy, że po śmierci arcybiskupa on będzie tak samo winny.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziałam skonsternowana. -

Jeśli Renaldo i Lorenzo mieli zabić hrabiego, dlaczego hrabina zrobiła to sama?

- Jak już mówiłem, ona tak jak Renaldo, zaklina się, że nie jest winna tej zbrodni. - Leonardo pokręcił głową. - Złożyłem jej wizytę w celi... To znacznie wygodniejsze lokum niż zajmuje Renaldo, niemniej jednak cela. Nie obawiaj się, drogi chłopcze. Trzymałem się od niej na bezpieczną odległość i dbałem, by strażnik cały czas stał za drzwiami. Hrabina jest godną przedstawicielką Sforzów, istnym wężem, który potrafi niepostrzeżenie podać truciznę i bezszelestnie zaatakować. Jest groźną przeciwniczką, to nie ulega wątpliwości. I sprytną. Oczywiście wyparła się jakichkolwiek związków z francuskim posłem i twierdziła, że nic nie wie o spisku. Kiedy pokazałem jej list,

262

oświadczyła, że ktoś musiał go jej podrzucić. Chcesz słuchać dalej?

Skinęłam głową.

- Zapytana o obecność w ogrodzie, wyjaśniła, że przyszła tam, licząc na prywatną rozmowę z kardynałem, i że zawsze

nosi przy sobie nóż dla bezpieczeństwa. Ba, twierdziła wręcz, że Renaldo zaatakował cię, aby ją chronić, gdyż zagroziłeś jej mieczem. Mówi na tyle przekonująco, że ktoś, kto nie zna prawdy, może jej łatwo uwierzyć.

Poczułam dreszcz na myśl o tym, jaki byłby mój los, gdyby Mistrz nie przejrzał jej gry.

- A rękawiczka? Czy hrabina udawała, że ona także nie należy do niej?

- No tak, rękawiczka. - Mistrz sięgnął pod tunikę i wyjął zaplamioną krwią rękawiczkę. - To Renaldo ją znalazł, gdy poszedł do ogrodu i natknął się na ciało hrabiego. Leżała na trawie niedaleko bramy. Domyślił się, że właścicielka zdjęła rękawiczki po zabójstwie i przypadkowo upuściła jedną z nich, kiedy uciekała z miejsca zbrodni. Tak jak ty był pewien, że należy do hrabiny, więc ukrył dowód, aby wina nie spadła na nią.

- Ukrył rękawiczkę w mojej skrzyni, licząc na to, że ktoś ją tam znajdzie - dokończyłam z oburzeniem.

Mistrz skinął głową.

- To był prymitywny plan, ale mógłby posłużyć do odwrócenia podejrzeń, gdyby padły na hrabinę. Tyle tylko, że w tym przypadku zapewnienia hrabiny o jej niewinności wydają się szczerze. Bez wahania przymierzyła rękawiczkę w mojej obec-

ności i okazało się ponad wszelką wątpliwość, że została uszyta dla kogoś o znacznie większych dłoniach.

- A więc wciąż nie wiemy, kto zabił hrabiego Ferrary - jęknęłam z rezygnacją.

Opadłam ciężko na poduszki i przymknęłam oczy. Wprawdzie arcybiskup był bezpieczny, ale my nie wykonaliśmy zadania, które powierzył nam Il Moro. Chociaż wydawało się,
263

że powiązaliśmy wszystkie wątki tej skomplikowanej sprawy, znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Jak księżę przyjmie wieść, że zabójca wciąż pozostaje na wolności?

- Nie martw się, mój drogi Dino.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Leonardo uśmiecha się do mnie.

- Jeszcze nie wszystko stracone - rzekł. - Ambasador odjechał na tyle daleko, że nie może już wyrządzić żadnej szkody, a hrabina i Renaldo są zamknięci w lochu. To powinno zadowolić Ludovica. Pozwólmy mu myśleć, że ktoś z nich odpowiada za śmierć Orlanda.

- Ty zaś będziesz szukał prawdziwego mordercy? - spytałam słabym głosem.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Zostaliśmy zaszachowani, ale to jeszcze nie mat. Poproszę signora Luigiego, by podzielił się ze mną choć częścią swoich plotek, i może w ten sposób natrafimy na jakąś urażoną kobietę albo wystrychniętego na dudka mężczyznę mającego rozwiązać żonę. Tymczasem odpoczywaj i nabieraj sił.

- Miecz hrabiego - przypomniałam sobie. - Został w ogrodzie. Muszę go odszukać i odnieść do krypty.

- Miecz jest bezpieczny - zapewnił mnie Mistrz. - Kiedy wróciłem po mechanicznego człowieka, odszukałem go i zaniósłem do mojej pracowni. Teraz leży zamknięty w skrzyni, a jutro odniosę go na cmentarz.

- Proszę, Mistrzu, pozwól mi iść z tobą. To ja zabrałem miecz hrabiemu i powinienem sam go zwrócić.

Leonardo przyglądał mi się przez kilka chwil, aż w końcu skinął głową.

- Dobrze. Przyjdę jutro rano i jeśli uznam, że jesteś dostatecznie silny na taką wyprawę, wybierzemy się po raz ostatni do krypty Sforzów.

264

20

Upływ czasu może stępić ciało, ale często wyostrza umysł.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny della Fazia

Następnego ranka czułam się na tyle dobrze, że Luigi, acz niechętnie, przyniósł mi jeszcze jeden ze swoich specjalnych gorsetów. Pomógł go zawiązać, a potem włożył na niego prostą białą koszulę i lekki brązowy kaftan.

- W twoim stanie nie powinieneś włóczyć się po mieście - utyskiwał, wsuwając mi na nogi buty, abym nie musiała się schylać i naciągać szwów na gojącej się ranie. - Mimo licznych talentów nie jestem cudotwórcą. Nawet nasz szacowny chirurg powiedziałby ci, że powinieneś jeszcze kilka dni zostać w łóżku.

- Wyjdę tylko na godzinę - obiecałam. - Tyle czasu wystarczy, żeby dojść na cmentarz i wrócić. Nie obawiaj się, przecież będzie ze mną Leonardo.

- Właśnie dlatego się obawiam - odparł ponuro. - Twój Mistrz ma talent do pakowania się w niebezpieczne sytuacje i ciągnięcia cię za sobą.

Kiedy drzwi pracowni się otworzyły i usłyszałam głos Leonarda, Luigi pomógł mi wstać z łóżka. Uparłam się jednak, że wyjdę z sypialni bez pomocy. Wprawdzie wciąż nie trzymałam się pewnie na nogach, ale w głowie już mi nie dudniło, a rana na brzuchu przestała piec i zaczęła swędzieć - co było dobrym znakiem, jak zapewnił mnie krawiec.

- Ach, tu jesteś, Dino - powitał mnie z uśmiechem Mistrz. -

Wyglądasz prawie jak dawniej.

- To nie potrwa długo, jeśli będziesz ciągał go po mieście - mruknął Luigi, wydymając usta. - Mam już szczerze dość roli piastunki. Jeśli twój uczeń znowu zachoruje, leczenie go zostawię tobie.

265

- Nie martw się, drogi Luigi - odparł Leonardo. - Powziąłem pewne środki, aby nie zmęczyć go z nadto.

Otworzył szerzej drzwi pracowni i wskazał widoczną za nimi ulicę. W pobliżu wejścia stał mały osioł z derką na grzbiecie i mieczem hrabiego przytroczonym do boku.

- Pożyczyłem naszego czworonożnego przyjaciela od aptekarza i obiecałem, że odprowadzę go przed zachodem słońca - wyjaśnił. - Chodź, Dino, czeka na ciebie wspaniały rumak.

Podeszłam do osła i pozwoliłam, by obwąchał moją dłoń, dotykając jej wilgotnym nosem. Potem ostrożnie wdrapałam się na grzbiet łagodnego stworzenia.

- Tylko pilnuj, żeby nie spadł i nie rozbił sobie głowy! - zawołał krawiec, kiedy Leonardo poprowadził osła brukowaną ulicą.

Po chwili skręciliśmy za róg. Mistrz zatrzymał się nagle, osioł zaś posłusznie stanął obok niego. Spojrzałam ze zdziwie-

niem na Leonarda, a on pokręcił głową i rzekł:

- Zastanawiam się, jak to się stało, że ty i Luigi zostaliście tak dobrymi przyjaciółmi. Gdybym to ja zaniemógł, nie poświęciłby ani chwili na pielęgnowanie mnie, choć jestem jego patronem.

- Po prostu polubiliśmy się - odparłam, mając nadzieję, że to wyjaśnienie usatysfakcjonuje Mistrza.

Wyglądało jednak na to, że nie krawiec był jego głównym zmartwieniem. Sięgnął pod tunikę po listę, którą sporządziliśmy kilka dni wcześniej.

- Przez całą noc rozmyślałem o krokach, jakie podjęliśmy, żeby rozwiązać tę zagadkę, i obawiam się, że to z mojej winy przyjmowaliśmy nieuzasadnione założenia i ignorowaliśmy fakty - oznajmił, po czym zmiął kartkę i wrzucił ją do rynszotka. - Jest bowiem ktoś, kto nie znalazł się na liście... Osoba, z którą nie rozmawialiśmy, a która może mieć informacje, jakimi nie dysponuje nikt inny.

Kiedy spojrzałam na niego ze zdumieniem, wyjaśnił:

266

- Na pewno pamiętasz partię żywych szachów i krótką rozmowę, jaką odbyłeś z markizą d'Este, kiedy byłeś przebrany za białego biskupa. Gdy jej wyjaśniłeś, że hrabia nie może konty-

nuować gry, powiedziała: „Sam to na siebie sprowadził”.

- No tak, ale z pewnością myślała, że zachorował - odparłam.

- A kiedy Ludovico oznajmił na uczcie o śmierci kuzyna - kontynuował Mistrz, jakbym się w ogóle nie odezwała - na markizie nie zrobiło to żadnego wrażenia, mimo iż hrabia był jej stryjecznym wnukiem. Wtedy zlekceważyłem ją jako starą kobietę, która nie myśli już całkiem jasno. Ale przypomnij sobie jej zachowanie w czasie partii szachów.

- Przecież ktoś tak stary i wąty...

Urwałam, przypomniawszy sobie, że do dziś mam na ramieniu sińce po tym, jak zepchnęła mnie z pola na szachownicy. Owszem, jest stara, ale czy nie zdołałaby utrzymać noża?

- Czyżbyś sądził, że markiza zamordowała swojego stryjecznego wnuka? - spytałam.

- Nie, nie popełniła tej zbrodni - odparł Mistrz, ściągając wodze, by osioł znowu ruszył - ale może wiedzieć, kto to zrobił.

Chwyciłam się sztywnej grzywy zwierzaka, którego Leonardo skierował nie w stronę cmentarza, lecz z powrotem do zamku. Mistrz milczał, zatopiony w własnych myślach, a ja zastanawiałam się, co wie markiza. Hrabia był jej stryjecznym wnukiem, więc mógł się jej z czegoś zwierzyć. A może dzięki temu,

że znała go od urodzenia, dostrzegała rzeczy, których inni nie zauważali? Albo też lata doświadczeń dały jej mądrość, jakiej brakowało młodszym, którzy mniej w życiu widzieli.

Nie można również wykluczyć, że była po prostu zgryźliwą staruszką, która nie przepadała za stryjecznym wnukiem.

Moje rozważania zostały przerwane, gdy dotarliśmy do bramy zamku. Tym razem strażnicy byli bardzo grzeczni, wręcz pełni uwagi. Ten, którego zapamiętałam z wypraw do miasta

267

na polecenie Mistrza, skinął mi nawet głową, kiedy wjeżdżaliśmy na dziedziniec.

Skierowaliśmy się do stajni i tam zostawiliśmy osła. Leonardo zatknął za pas miecz hrabiego, po czym ruszył w stronę skrzydła zamku, gdzie mieściły się pokoje rodziny Sforzów. Po chwili obejrzał się na mnie i zwołał.

- Jesteś pewien, że dasz radę, drogi chłopcze? - spytał, zauważywszy, że idąc, osłaniam ranę rękami.

- To nic takiego, tylko trochę pobolewa - odparłam, zdecydowana mimo wszelkich przeciwności uczestniczyć w rozmowie z markizą. Rozwiązywanie tej zagadki kosztowało mnie za dużo krwi i potu, bym odmówiła sobie usłyszenia na własne uszy być może najważniejszej wskazówki.

Pokoje markizy były oddalone od reszty pomieszczeń. Po-
dejrzałam, że umieszczono tutaj starą damę, aby jak najrza-
dziej znosić jej obecność. Czy przynajmniej ma jakąś służbę?
Czy jeśli umrze w nocy, co kobiecie w jej wieku może się prze-
cież przytrafić, będzie leżała tu całymi godzinami, może nawet
kilka dni, zanim ktoś pomyśli, by jej poszukać?

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się na szerokość dłoni i ze
środką wyjrzała zasuszona niewiasta w stroju służącej, wygląda-
jąca na starszą nawet od markizy. Jej obecność stanowiła odpo-
wiedź na moje pierwsze pytanie. Ona natomiast nie odpowie-
działa na pytanie Mistrza o markizę, tylko zatrzęsnęła drzwi. Za-
mrugałam zaskoczona i spojrzałam na niego pytająco.

- Cierpliwości, mój drogi Dino - rzekł.

Tym razem czekaliśmy dwa razy dłużej niż poprzednio.
W końcu drzwi ponownie się uchyliły i stanęła w nich ta sa-
ma sędziwa służąca. Z wysiłkiem otworzyła ciężkie rzeźbione
drzwi na tyle, byśmy mogli przez nie przejść, po czym poczła-
pała w głąb pokoju i zniknęła za kolejnymi drzwiami.

- Wiem, cierpliwości - mruknęłam szeptem, wywołując
lekki uśmiech Mistrza.

Ponieważ mój zapas tej cnoty był już na wyczerpaniu, zabi-
jałam czas, spacerując po niewielkim pomieszczeniu. W odróż-

nieniu od większości pałacowych przedpokojów, z nielicznymi meblami i odpowiednio dobranymi gobelinami, ten przypominał raczej magazyn. Musiałam poruszać się ostrożnie, aby nie wpadać na stojące tu sprzęty.

Wzdłuż jednej ze ścian między rzeźbionymi i złożonymi stolikami różnej wielkości porozstawiano niedopasowane do siebie krzesła i ławy. Po drugiej stronie stały garderoby - z niektórych przez otwarte drzwi wysypywała się zawartość - i kilka dekoracyjnych kolumn zwieńczonych niewielkimi rzeźbami. Kolorowe kobierce w różnym stopniu zużycia leżały w nieładzie na kamiennej podłodze. Wełna stanowiła miękką powierzchnię dla nóg i - o ile służąca nie rozsypywała regularnie specjalnych ziół - przytulne siedlisko dla najrozmaitszego robactwa.

Przyszło mi do głowy, że ten pokój zawiera ślady dawnego życia markizy, kiedy była jeszcze panią własnych włości. Teraz, zesłana w najdalszy kąt, trzymała się kurczowo swoich staroświeckich mebli i ubrań, próbując zachowywać pozory wcześniejszego dostatku. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, zaczęłam żałować pochopnego zlekceważenia jej.

Właśnie wtedy wśród furkotu czarnych sukien nadeszła markiza. Wyglądała nieco inaczej niż w dniu szachowej rozgrywki.

Co dziwne, jej pierwsze słowa były skierowane do mnie.

- Pamiętam cię, chłopcze! - zawołała, celując we mnie sękatym palcem. - Grałeś w szachy, udając mojego stryjecznego wnuka Orlanda. Wiesz, że on nie żyje, prawda?

- T-tak, markizo - wykrztusiłam, gdyż nie spodziewałam się, że krewna księcia odezwie się do zwykłego pazia.

Spojrzałam na Mistrza, lecz jego uwaga była skupiona na czymś innym. Podążyłam za jego wzrokiem. Patrzył na kolejną dobrze nam znaną wysadzaną klejnotami szkatułkę. Błyskawicznie jednak zwrócił się do staruszki, składając jej głęboki ukłon.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi to najście, markizo - zaczął - ale muszę z tobą porozmawiać. Jestem Leonardo, główny inżynier księcia...

269

- Wiem, kim jesteś, młody człowieku - przerwała mu, tym razem celując palcem w jego kierunku. - Malujesz heretyckie obrazy i projektujesz maszyny, które do niczego nie są przydatne, a mój głupi bratanek słono ci płaci za te głupoty.

Przez twarz Mistrza przemknął cień irytacji, szybko jednak opanował się i mówił dalej:

- Możliwe. Lecz księżę powierzył mi także zadanie odkrycia, kto zamordował hrabiego Ferrary. Być może wiesz, mar-

kizo, że hrabia uwikłał się w pewne nieprzyjemne sprawy...
spisek, który miał doprowadzić do zamordowania pewnego
dostojnika Kościoła. Zapewne ucieszy cię wiadomość, że tuż
przed śmiercią zmienił zdanie i postanowił nie brać udziału
w tej części planu.

- Ha! On nigdy niczego nie kończył! - wykrzyknęła z nie-
smakiem. - Powiadasz więc, że twoim zdaniem jego zabójstwo
ma coś wspólnego z tym spiskiem.

- Tak właśnie początkowo podejrzewałem... ale teraz mam
powody przypuszczać, że ktoś inny zabił go, nim zdążył paść
ofiara swoich współników. I tę właśnie osobę musimy znaleźć.
A że ty, markizo, wiesz o wszystkim, co się dzieje na dworze,
liczyłem, iż wiadomo ci także o czymś, co pomogłoby nam roz-
wiązać tę zagadkę.

Markiza zachichotała.

- Jeśli potrzebujesz informacji, to dobrze zrobiłeś, przycho-
dząc do mnie, signor Leonardo - powiedziała, moszcząc się wy-
godnie na jednym z ogromnych krzeseł stojących pod ścianą.

Jej drobne stopy wisiały nad podłogą jak stopki dziecka, ale
w ciemnych oczach błyszczała złośliwa satysfakcja starej ko-
biety.

Uniósłszy dumnie głowę, mówiła dalej:

- Ludzie lekceważą mnie, ponieważ jestem stara i ekscen-

tryczna. Traktują mnie, jakbym była niewidzialna, i mówią w mojej obecności rzeczy, których nie powiedzieliby przy kimś innym. - Zaśmiała się znowu. - Bycie niewidzialną bywa bardzo użyteczne.

270

- Całkowicie się z tobą zgadzam, markizo. Powiedz mi zatem, proszę, czy słyszałaś, by twój stryjeczny wnuk wspominał ostatnio o kimś, kto mógłby żywić do niego urazę? Może dostawał jakieś dziwne listy... spotykał się z ludźmi niższego stanu... a może opuszczał zamek o niezwykłych porach?

- Przestań mnie zagadywać - warknęła, zaciskając sękaty palec na poręczach krzesła. - Jeśli naprawdę chcesz mojej pomocy, dlaczego nie zapytasz po prostu, czy wiem, kto zabił Orlanda?

- Dobrze, markizo. Czy wiesz, kto zabił hrabiego Ferrary?

Leonardo mówił spokojnie i uprzejmie, lecz słyszałam napięcie w jego głosie. Dobrze wiedziałam, co miała na myśli markiza, mówiąc o byciu niewidzialną... tak jak służby, kobiety w tym wieku łatwo się nie zauważa. Możliwe, że ktoś w jej obecności wspomniał jakieś nazwisko albo wyznał swój mroczny sekret, nie zdając sobie nawet sprawy, że markiza to słyszy.

Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, a złośliwe iskier-

ki w jej oczach rozpały się w prawdziwy płomień. W końcu pochyliła się i wypowiedziała jedno słowo:

- Nie.

Zauważyłam ledwie dostrzegalny grymas rozczarowania na twarzy Leonarda i też byłam zawiedziona. Mimo wszystkich jej sugestii i chichotów wyglądało na to, że markiza nie wie o tej sprawie więcej niż ktokolwiek inny.

Leonardo wziął się w garść i złożył dworny ukłon.

- Przykro mi, że zająłem twój czas, markizo - rzekł. - Proszę, nie wzywaj służącej. Sami trafimy do wyjścia.

Byliśmy już przy drzwiach, kiedy zatrzymał nas władczy głos.

- Zaczekaj! - zawołała markiza. - Pytałeś, signor Leonardo, czy wiem, kto zabił Orlanda. Jak ci powiedziałam, nie wiem. Ale nie zapytałeś, kogo o to podejrzewam.

Na dźwięk jej pierwszych słów Leonardo zamarł z ręką na klamce. Teraz odwrócił się powoli i spojrzał na starą damę, unosząc jedną brew.

271

- Masz rację, markizo. Czy jest ktoś, kogo podejrzewasz o tę zbrodnię?

Zamiast odpowiedzi zeskoczyła z krzesła i błyskawicznie

znalazła się przy stoliku, na którym stała dobrze nam znana szkatułka.

- Dostałam tę szkatułkę od Ludovica. Oczywiście podarował taką samą każdej kobiecie na dworze, ale i tak to był miły prezent. Trzymam w niej kilka drobnych skarbów. Powinieneś zapytać żonę Orlanda, hrabinę Ferrary, co ma w swojej szkatułce.

Wymieniliśmy z Mistrzem ukradkowe spojrzenia. Leonardo dotknął sakiewki przy pasie i lekko skinął głową, dając mi do zrozumienia, że wciąż ma klucz.

- Tak też zrobimy - odparł, po czym złożył starej damie kolejny ukłon i zwrócił się do mnie: - Chodź, Dino. Pora złożyć kolejną wizytę hrabinie.

- Jeżeli nie zastaniesz jej w jej pokojach, nadworny wynalazco, możesz odwiedzić jej zmarłego męża i zobaczyć, czego tam się dowiesz! - zawołała za nami markiza.

- Nie powinienem był tak łatwo odrzucać możliwości, że hrabiego zamordował ktoś z jego bliskich - mruknął Leonardo, kiedy kilka minut później staliśmy przed komnatami hrabiny Ferrary. - Kto prędzej zabije niewiernego męża niż zdradzana żona?

- Ale nóż, który tkwił w ciele hrabiego, mógł należeć do Renalda - powiedziałam cicho. - Przyznał przecież, że poszedł

do ogrodu z zamiarem morderstwa. Gdyby tam dotarł chwilę wcześniej, byłoby dokładnie na odwrót. To hrabina znalazłaby męża martwego, zanim zdążyłaby go zabić, a Renaldo byłby tym, kogo szukamy.

Wyglądało na to, że moje argumenty przekonały Mistrza, gdyż skinął głową z aprobatą, nim zastukał do drzwi. Kiedy przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał na pukanie, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się i ujrzelśmy pusty pokój.

272

Mistrz wskazał zamknięte drzwi, za którymi znajdowała się sypialnia. Jeśli hrabina tam była, ryzykowaliśmy, że może się obudzić i nas usłyszeć. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia, musieliśmy spróbować. Leonardo przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie, skinął, bym weszła z nim do środka, i cicho zamknął za nami drzwi.

Natychmiast zauważyliśmy, że szkatułki nie ma tam, gdzie ją widzieliśmy poprzednim razem. Przeszukaliśmy całą komnatę, ale nie udało nam się jej znaleźć. Hrabina zaniepokoiła się, kiedy mistrz zainteresował się szkatułką, i ukryła ją w jakimś bezpieczniejszym miejscu... na przykład w sypialni.

Tym razem to ja wskazałam najpierw siebie, a potem drzwi do drugiego pomieszczenia. Mistrz zmarszczył brwi, lecz po

chwili skinął głową. Gdyby ktokolwiek był w środku, ja w przebraniu służącego jakoś się wytłumaczę. Ale niespodziewanego pojawienia się nadwornego wynalazcy w sypialni hrabiny nie da się tak łatwo wyjaśnić.

Kiedy Leonardo ukrył się za wysokim kabinetem, w którym leżał komplet szachów, ostrożnie podeszłam do drzwi. Serce waliło mi tak głośno, że hrabina musiałaby je usłyszeć, gdyby była w sąsiednim pomieszczeniu. Położyłam dłoń na klamce, nacisnęłam i uchyliwszy drzwi, przyłożyłam oko do szczeliny, aby sprawdzić, co - lub kto - jest wewnątrz.

Sypialnia była pusta. Odetchnęłam i cicho zawołałam Mi-
strza, który wszedł za mną do środka i zamknął za nami drzwi.
Dopiero wtedy ostrożnie rozejrzał się po pokoju.

Jeśli szkatułka znajduje się tutaj, to musi być ukryta pod którymś z kamieni na podłodze, pomyślałam zaskoczona, gdyż sypialnia była surowa jak cela mnicha. Oprócz łóżka niewiele większego niż moje i malowanego cassone - tradycyjnej skrzyni, które kobiety dostają w posagu - nie było żadnych mebli

- Sprawdźmy skrzynię - szepnął Leonardo, podchodząc do niej i otwierając wieko malowane w sceny przedstawiające jakieś mityczne wesele.

Wyjmował jedno po drugim starannie poskładane ubrania, aż całkiem opróżnił cassone. Szkatułki w skrzyni nie było. Wciąż podekscytowana możliwością dokonania odkrycia, pomogłam Mistrzowi odłożyć wszystko na miejsce.

- Może łóżko - zasugerował.

Dokładnie przejrzelismy pościel, sprawdziliśmy nawet, czy coś nie zostało ukryte pod materacem, nasze wysiłki nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Leonardo pokręcił głową z rezygnacją.

- Musiała ją zabrać gdzie indziej. No cóż, zrobiliśmy wszystko, co było można. Wyjdźmy, zanim ktoś nas tu znajdzie.

Kiedy opuściliśmy pokoje hrabiny, wyszliśmy na zewnątrz i skierowaliśmy się w stronę stajni. Próbując nadażyć za Mistrzem, czułam, że zaczynam tracić siły i przypomniały mi się słowa signora Luigiego. Wlokłam się jednak z ponurą miną, zdecydowana nie rezygnować mimo osłabienia.

Na widok czekającego na nas wiernego osła omal nie rozpłakałam się ze szczęścia, ale kiedy już miałam wdrapać się na jego grzbiet, Mistrz mnie powstrzymał.

- Obawiam się, że będziemy potrzebowali szybszego wierzchowca, jeśli chcemy dotrzeć w porę na cmentarz - rzekł Mistrz. - Wprawdzie i tak zamierzaliśmy się tam udać, ale biorąc pod uwagę nieobecność hrabiny i słowa markizy, sprawa stała się znacznie pilniejsza.

Zostawił mnie przy ośle i wszedł do środka, aby zamienić kilka słów ze stajennym. Po chwili wrócił, prowadząc lśniącego czarnego konia, już osiodłanego.

Chociaż słyszałam, że przy swoich rozlicznych talentach Mistrz jest także świetnym jeźdźcem, nigdy dotąd nie widziałam go w siodle. Z właściwym sobie wdziękiem jednym płynnym ruchem dosiadł wierzchowca i wyciągnął do mnie rękę. Poczułam zakłopotanie, ale nie odważyłam się przyznać, że krótka przejażdżka na ośle była doświadczeniem najbliższym konnej jeździe w całym moim życiu.

274

Leonardo bez wysiłku podciągnął mnie w górę, tak że znalazłam się w siodle za nim, i kłusem ruszyliśmy przez dziedziniec. Gdy znaleźliśmy się za bramą, popędził nieco konia. Minawszy kamienisty trakt, który wybralibyśmy, idąc pieszo, skierował się wprost na łąkę dzielącą nas od cmentarza.

Nigdy nie zapomnę tej podróży. Leonardo jechał, jakby sam

przekształcił się w rumaka; wydawało się, że z góry przewidywał każdą przeszkodę i zakręt. Ja natomiast już przy pierwszym uderzeniu końskiego kopyta o ziemię zapomniałam o dumie i przyzwoitości i objęłam go w pasie. Gdy galopowaliśmy niczym biblijni jeźdźcy, zamknęłam oczy i modliłam się w duchu, by jak najszybciej dotrzeć do celu.

Ku mojej wielkiej uldze po kilku minutach znaleźliśmy się na cmentarzu. W pobliżu bramy Leonardo zwolnił, aby tętent nie zapowiedział naszego przybycia. Mimo to odważyłam się tylko nieznacznie zwolnić uchwyt, wciąż bojąc się, że spadnę z końskiego grzbietu na kamienisty grunt.

Zatrzymaliśmy się za kaplicą. Chwyciłam mocno rękę Leonarda, a on opuścił mnie na ziemię, zanim sam zsiadł z konia. Kiedy starałam się odzyskać równowagę, przywiązał rumaka do najbliższego drzewa i dał mi znak, bym szła za nim. Ukłękliśmy przy narożniku niewielkiej kaplicy i spojrzeliśmy na dobrze mi znaną kryptę pośrodku cmentarza.

- Nasuwa się pytanie: czy jesteśmy za wcześnie, czy też za późno? - mruknął Mistrz.

- Obawiam się, że nie rozumiem - odparłam szeptem.

Leonardo strzelił niecierpliwie palcami, ale wiedziałam, że zirytowała go sytuacja, a nie ja.

- Markiza dała do zrozumienia, że żona jej stryjeczne-

go wnuka ma coś do ukrycia i że odpowiedź możemy znaleźć w krypcie. Czy pamiętasz, Dino, co ci powiedziałem, kiedy byliśmy tutaj po raz pierwszy?

Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się chwilę.

- Powiedziałeś, Mistrzu, że ci, którzy dźwigają brzemię winy, nie potrafią utrzymać go zbyt długo i szukają przebaczenia.

275

Kiedy skinął głową z aprobatą, spojrzałam na niego skonfundowana.

- Czy to znaczy, że sądzisz, iż hrabina Ferrary jest teraz w grobowcu męża i prosi go o wybaczenie?

- Wkrótce się tego dowiemy - odparł cicho. Wstał, opierając dłoń na rękojeści pożyczanego miecza, i pomógł mi się podnieść. - Chodź, Dino. Najwyższy czas wrócić do planu, który niegdyś obmyśliłem. Podejźmy do krypty i posłuchamy, co dzieje się w środku.

21

Ogień niszczy wszelki blichtr, czyli oszustwo,
i utrzymuje samą prawdę, czyli złoto.

Ostatecznie prawdy nie da się ukryć.

Leonardo da Vinci Manuskrypt Windsor

LJrzwi krypty Sforzów stały otworem, jakby zapraszając każ-

dego do wejścia... albo wyjścia. Leonardo obrzucił je tylko przelotnym spojrzeniem i skinął, bym poszła z nim za kaplicę, gdzie metalowe ucho wciąż nasłuchiwało wszelkich dźwięków, jakie mogłyby dobiegać z wnętrza. Już zbliżając się do niego, usłyszeliśmy szmer rozmowy. Kiedy jednak Leonardo uniósł ucho i przez chwilę trzymał je między nami, zdałam sobie sprawę, że choć dźwięk wyraźnie się zmieniał, w krypcie rozlega się tylko jeden głos.

Zaskoczona, zakryłam ucho dłonią i szepnęłam:

- To brzmi, jakby hrabina z kimś rozmawiała. Ale nikt jej nie odpowiada.

- Bo nie może odpowiedzieć - odparł Mistrz również szepem. - Ona bowiem rozmawia ze swoim zmarłym mężem. Posłuchaj uważnie, a się przekonasz.

276

Hrabina mówiła bardzo cicho, więc nawet przez mechaniczne ucho słyszałam tylko po kilka sylab z każdego zdania. Brzmiało to jak niezobowiązująca rozmowa. Hrabina mówiła kilka słów, zadawała pytanie i milkła, jakby czekając na odpowiedź... choć drugą osobę słyszała tylko ona.

Musi być szalona, pomyślałam z niepokojem. Ale czy tak było zawsze, czy też wpadła w obłąd dopiero po zamordowa-

niu męża?

- Zostawimy hrabinę tutaj, aby mogła dalej rozmawiać ze zmarłym? - spytałam, nie mogąc dłużej znieść tej rozdzierającej serce sceny. - Może powinniśmy wyprowadzić ją na zewnątrz i jej pomóc?

- Obawiam się, mój drogi chłopcze, że nawet jeśli wyprowadzimy ją na światło dnia, nadal będzie tkwić w mroku. Ale masz rację, nie możemy jej tutaj zostawić.

Wstał i skierował się do drzwi krypty, ja zaś ruszyłam za nim. Widziałam migotanie płomyków pochodni w kręgu światła odciętych od zewnętrznego świata murem ciemności panujących w głębi grobowca. Nic jednak nie zatrzymywało odoru zgnilizny, którym czeluść grobowca zionęła niczym tchnieniem śmierci.

Natychmiast poczułam mdłości. Kolejny krok bliżej wejścia i przeszła mnie klinga strachu ostrzejsza niż nóż Renalda. Moje stopy stały się ciężkie jak kamienie, na których stałam, nie mogąc się poruszyć. Po prostu nie potrafiłam się zmusić, by jeszcze raz wejść do krypty.

Strach musiałam mieć wypisany na twarzy, gdyż Mistrz skinął głową ze zrozumieniem i szepnął:

- Nie musisz wchodzić do środka. Poczekaj tutaj, a ja sam wyprowadzę hrabinę.

Może dodałby coś jeszcze, lecz w tej chwili z krypty dobiegł

krzyk tak przeraźliwy, że oboje z Mistrzem zamarliśmy. Potem usłyszeliśmy wyraźnie słowa hrabiny:

- Ty mi to zrobiłeś! Błagałam cię, żebyś ze mną został, żebyś porzucił inne kobiety, ale ty tylko śmiałeś się ze mnie. Ja umierałam ze zgrzyoty, a ty się śmiałeś!

277

Głos jej się załamał, przechodząc w pełne udreki zawodzenie, na którego dźwięk miałam ochotę zakryć uszy rękoma, choć wiedziałam, że w ten sposób go nie uciszę. W końcu zawodzenie umilkło. Kiedy hrabina odezwała się znowu, mówiła zadziwiająco spokojnie, jakby nigdy nie pozwoliła sobie na tę chwilę rozpacz.

- Nie chciałam tego zrobić, przecież wiesz. Zamierzałam cię tylko nastraszyć, ale ty odwróciłeś się do mnie plecami. Właśnie wtedy zrozumiałam, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają i zawsze będziesz ze mnie szydził.

- Powiedz mi, ukochany mężu - w jej głosie zabrzmiała ostrzejsza nuta - czy to bolało, kiedy nóż zagłębił się w twoje ciało? Wtedy już się nie śmiałeś. Wyglądałeś tylko na... zaskoczonego.

Roześmiała się gorzko, a ten cichy dźwięk przyprawił mnie o dreszcz. Mistrz ma rację, pomyślałam. Duszę hrabiny ogarnął

mrok, którego nie da się rozproszyć. Śmiała się jeszcze, gdy Leonardo z ponurym wyrazem twarzy stanął na pierwszym stopniu schodów i ruszył w dół.

Kiedy pochłonęła go ciemność, zrozumiałam, że nie mogę pozwolić, by samotnie spotkał się z obłąkaną. Nie bałam się, że hrabina go skrzywdzi - choć dowiodła, że jest zdolna zabić - obawiałam się przede wszystkim, że jej szaleństwo może zostawić na jego duszy ślad, którego żadna modlitwa nie będzie w stanie usunąć... jak plamy zwiną na białej koronce, która nigdy całkiem nie znika, choćby nie wiem jak długo wybielać ją na słońcu.

Tak więc, stawiając jeden niepewny krok za drugim, weszłam do grobowca.

Zanim dotarłam do ostatniego stopnia, Mistrz był już na granicy mroku. Widziałam za nim kamienną ławę otoczoną płonącymi pochodniami, które rzucały głębokie cienie na owiniętą całunem postać. Hrabina stała tuż przy stopach męża, nie bacząc na to, że zwłoki są poczerniałe i tak napuchnięte, iż

278

omal nie pękły. Czy widziała go takim, jakiego zapamiętała... młodego i przystojnego?

A może napawała się widokiem rozkładu ciała, które nie-

gdyś było tak piękne?

Odgłos kroków zbliżającego się Leonarda najwyraźniej przedarł się przez spowijającą ją mgłę szaleństwa, gdyż nagle przestała się śmiać.

- Kto tu jest? - zapytała, a w jej głosie zabrzmiał zarówno gniew, jak i strach. Odwróciła się i osłoniła dłonią oczy, próbując wejrzeć w ciemności rozciągające się poza kręgiem światła. - Odpowiedz. Kim jesteś?

- Nie obawiaj się, hrabino, nie przyszedłem, by cię skrzywdzić - odparł łagodnie Leonardo, wychodząc z mroku. Byłam na tyle blisko, że widziałam, jak na potwierdzenie swoich słów powoli odpina od pasa miecz hrabiego. Broń zaślniła w świetle pochodni i jej widok najwyraźniej przykuł uwagę hrabiny.

Zrobiła krok naprzód, z jedną ręką przyciśniętą do piersi i drugą opuszczoną wzdłuż boku.

- To miecz, który dałam mojemu mężowi w prezencie ślubnym - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała nieufność. - Kim jesteś? Co tutaj robisz z mieczem Orlanda?

Zanim Mistrz zdążył odpowiedzieć, zachwiała się, jakby pchnięta niewidzialną dłonią.

- Orlando, czy to możesz być ty? - spytała głosem drżącym z przerażenia i padła na kolana. - Czy wróciłeś do mnie, mój mężu?

- Nie, hrabino - odparł Leonardo, odkładając miecz i zbliżając się do niej o krok. - Jestem...

Gdyby grobowiec był zrobiony ze szkła, przeraźliwy krzyk hrabiny rozbiłby go w drobny mak. Zerwała się na nogi i w jej dłoni błysnął nóż, gdy rzuciła się na Leonarda.

- Ty zawsze wszystko psujesz! Pragnęłam z tobą umrzeć, żebyśmy mogli być razem w grobie, a ty przychodzisz do mnie! - Wykrzywiła usta we wściekłym grymasie i zaczęła
279

wymachiwać nożem. - Ale ja nie chcę cię żywego, rozumiesz?! Nie mam więc innego wyjścia, niż zabić cię jeszcze raz!

Jej ostatnie słowa przeszły w nieludzki krzyk. Ja także wrzasnęłam, widząc odblask pochodni w zataczającym łuk ostrzu.

Mistrz uniósł rękę, by sparować cios. Patrzyłam z przerażeniem, jak nóż rozplatał rękaw jego tuniki z taką siłą, że musiał rozciąć i ciało. Rzuciłam się na hrabinę, myśląc tylko o tym, by ją obezwładnić, zanim zdąży znowu zamierzyć się na Leonarda.

Szczyśliwym zrządzeniem losu potknęłam się i runęłam u jej stóp w samą porę, by uniknąć kolejnego wściekłego cięcia, tym razem wymierzonego we mnie. Tak jak mechaniczny czło-

wiek Mistrza z hrabiną di Malvoral, zderzyłam się z nią z siłą, która powaliła ją na podłogę. Usłyszałam krzyk i przyprawiający o dreszcz głuchy odgłos, gdy uderzyła głową o kamienną posadzkę.

Nie obchodziło mnie, czy umarła, czy przeżyła; obchodził mnie tylko Leonardo. Podniosłam nóż, który upuściła, i wstałam, nie zważając na wcześniejszą ranę, która zapiekła, protestując przeciwko tak brutalnemu traktowaniu. Zatrwożona podbiegłam do Mistrza.

Stał w kręgu światła, trzymając się za rękę i patrząc na mnie z rozbawieniem.

- Czy jesteś ciężko ranny? - spytałam drżącym głosem.

Zamiast odpowiedzieć, podwinął rozcięty rękaw aż do łokcia i uniósł przedramię, abym mogła je obejrzeć. Zagryzłam wargi, spodziewając się widoku rozciętego ciała i płynącej krwi. Tymczasem, ku mojemu zaskoczeniu, gładka skóra jego umięśnionej ręki wydawała się nienaruszona. Ale jak to możliwe? Mistrz wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nic mi nie jest... Obawiam się jednak, że mój ręczny zegar nie da się już naprawić.

Odetchnęłam z ulgą i pomodliłam się w duchu, dziękując za metalowe pudełko, które najwyraźniej przyjęło całą siłę ata-

ku. Leonardo przez chwilę oglądał swój wynalazek z ponurą miną, po czym zwrócił się do mnie.

- Jestem twoim dłużnikiem, mój drogi Dino - powiedział. - Wprawdzie udało mi się uniknąć pierwszego ciosu hrabiny, lecz bardzo możliwe, że za drugim razem nie miałbym tyle szczęścia, gdybyś nie powalił jej na ziemię. Jeszcze raz wykazałeś się niezwykłą odwagą w obliczu niebezpieczeństwa. Jestem z ciebie dumny... i zabraniam ci kiedykolwiek zrobić coś podobnego z mojego powodu - dokończył, obrzucając mnie surowym spojrzeniem.

Uśmiechnęłam się niepewnie i odpowiedziałam potulnie:

- Oczywiście, Mistrzu. Następnym razem, gdy zobaczę, że ktoś cię morduje, obiecuję nie uczynić nic, by mu przeszkodzić.

- Dlaczego nie wierzę w tę obietnicę? - mruknął kpiąco. Opuścił rękaw i sięgnął po miecz hrabiego, wciąż oparty o kamienną ławę. Umieścił ozdobną broń na wzdętym ciele wielmoży, po czym poprawił całun, który odsunęłam, kiedy byłam zamknięta w grobowcu. Spodziewałam się nie całkiem stosownego komentarza z jego strony - na przykład wykładu o tym, jak przebiega rozkład ciała - lecz tym razem Mistrz okazał stosowną rewerencję wobec tak przejmującego dowodu

ludzkiej śmiertelności.

Jęk leżącej na podłodze hrabiny przypomniawszy nam, dlaczego się tu znaleźliśmy. Leonardo, wzięwszy jedną z płonących pochodni, podszedł do niej i przyklęknął.

- Żyje, jest tylko nieprzytomna - ocenił. - Pospiesz się, Dino. Potrzyмай pochodnię, a ja zwiążę jej ręce. Wprawdzie nie jest już uzbrojona, ale gdy się ocknie, może wpaść w szal.

Ja trzymałam pochodnię, a Mistrz oderwał pas koronki od sukni hrabiny i związał jej z tyłu ręce. Gdy poruszyła się gwałtownie, Leonardo, upewniwszy się, że węzeł trzyma mocno, pomógł jej usiąść.

Zamrugła, jakby budząc się z głębokiego snu. Spojrzała na Mistrza i uśmiechnęła się niepewnie.

281

- Znam cię. Nadworny wynalazca Ludovica, signor Leonardo. Ale gdzie jesteśmy? Zauważyła, że ma skrępowane ręce. - I dlaczego jestem związana?

- Wybacz, hrabino, ale to dla twojego dobra - odparł łagodnie. - Pozwól, że pomogę ci stąd wyjść i odprowadzę cię do zamku.

Kiedy jednak chciał podnieść hrabinę z kamiennej posadzki, odepchnęła jego ręce. Na jej twarzy pojawił się najpierw wy-

raz zrozumienia, a potem przerażenie.

- Mój Boże, jesteśmy w krypcie, prawda? - wyszeptała, rozglądając się. - Śniło mi się, że tutaj byłam, ale nie przypuszczałam...

Zaniosła się szlochem. Płakała dłuższą chwilę, w końcu wykrztusiła ochryplym szeptem:

- Powiedz mi, signore, czy przyszłam tu z własnej woli?

- Obawiam się, że tak, choć jestem pewien, że to rozpacz cię do tego popchnęła. A teraz proszę, chodźmy już.

Pomógł jej się podnieść, starając się stać między nią a ciałem męża leżącym zaledwie o metr od nas. Kiedy już wstała, wyprostowała się i zdobyła na smutny uśmiech.

- Tak, to była rozpacz - przyznała. - Proszę, signor Leonardo, zabierz mnie z tego miejsca.

Gdy znowu wyszliśmy na światło dnia, poczułam się jak nowo narodzona. Leonardo zgasił ostatnią pochodnię i zamknął drzwi krypty. Te proste czynności podziałały niczym potężny rytuał, który uwolnił nas od całunu śmierci i rozkładu, jakim wszyscy troje byliśmy spowici. Słońce nigdy nie świeciło jaśniej, a powietrze nie pachniało piękniej, pomyślałam, rozglądając się z uśmiechem.

Opuściliśmy cmentarz i wróciliśmy do czekającego przed bramą wierzchowca. Hrabina, teraz już całkiem uległa, pozwo-

liła Mistrzowi podsadzić się na szeroki grzbiet konia. Gdy już zajęła miejsce, zwrócił się do mnie:

- Chciałbym, żebyś ty pojechał z hrabiną - powiedział. -

Nie bój się, w tym stanie nie jest niebezpieczna.

282

Słyszając jego słowa, hrabina po raz pierwszy zwróciła na mnie uwagę. Przyjrzała mi się ze smutnym uśmiechem, po czym odezwała się do Leonarda:

- Masz taką piękną córkę, panie. Jakie to dla ciebie szczęście. Zawsze pragnęłam mieć córkę, ale już nigdy nie będę jej miała.

Jej uśmiech stał się znacznie cieplejszy, gdy zwróciła się do mnie:

- Powiedz mi, dziecko, czy umiesz grać w szachy?

22

Prawda i sprawiedliwość nie zawsze są tym samym; nie ma to jednak znaczenia, jeśli wszelkie zło zostanie ostatecznie naprawione.

Leonardo da Vinci Notatniki Delfiny della Fazia

I nie zostałam dopuszczona do rozmowy, którą Leonardo odbył z Jego Ekszelencją księciem Mediolanu jeszcze tego samego dnia. Mistrz odprowadził mnie do warsztatu signora Luigiego,

wcześniej jednak musiałam przysiąc, że zachowam milczenie o tym, co wydarzyło się w krypcie.

- Niech księżę zdecyduje, czy należy ujawnić prawdziwe okoliczności śmierci hrabiego Ferrary - rzekł. - Do tego czasu ty i ja nie piśniemy ani słowa o dzisiejszych wydarzeniach. Musisz mi to przysiąc, Dino.

Kiedy złożyłam żadaną obietnicę, zostawił mnie u krawca i polecił mu, aby nie wypuszczał mnie ze swej pracowni aż do rana. Nie protestowałam, wyczerpana porannymi przeżyciami. Ciesząc się rzadką okazją do próżnowania, słuchałam utyskiwań Luigiego na najnowsze uszkodzenia, jakich doznała garderoba Leonarda.

283

- Taka piękna robota - mruzczał, oglądając długie rozcięcie, jakie zostawił na rękawie tuniki nóż hrabiny Ferrary. - A twój Mistrz traktuje ubrania, które dla niego szyję, jak szmaty. Jak myślisz, co by powiedział, gdybym stanął na którymś z jego portretów albo wysikał się na ścianę z freskiem?

- Na pewno bardzo by cierpiał - odparłam z uśmiechem, leżąc wsparta na kilku grubych brokatowych poduszkach. - Ale to uszkodzenie nie powstało z winy Leonarda. To był wypadek. - Nie potrafiłam wymyślić innego wyjaśnienia, równo-

cześnie dotrzymując słowa danego Mistrzowi. - I tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu jemu samemu udało się wyjść z tego bez szwanku.

- Widzę, że idziesz w jego ślady - kontynuował Luigi zrędlwym tonem. - Twój gorset nie nadaje się do naprawienia, a tunika będzie wymagała mnóstwa pracy, żeby znowu można ją było włożyć. Wystawię twojemu Mistrzowi słony rachunek za moje starania.

- Proszę się nie martwić, signor Luigi, to się już nie powtórzy - zapewniłam go. - Czas walki z uzbrojonymi w noże napastnikami dobiegł końca.

Lecz ta świadomość, zamiast przynieść ulgę, wprawiała mnie w trudny do wytłumaczenia smutek. Gdybym nie była oszołomiona po nadmiernym wysiłku, na pewno potrafiłabym to wyjaśnić. Może brakuje mi emocji związanych z pościgiem, wymyślnych przebrań, okazji do przebywania z ludźmi wyższego stanu, których nie poznałabym w innych okolicznościach. Choć na razie mam dość zatechłych krypt i bezwzględnych morderców, fakt, że przeżyłam jedno i drugie, wzbudził we mnie poczucie dumy wykraczające ponad pospolitą próżność... upajające uczucie, którego - raz zakosztowawszy - nie sposób zapomnieć.

Nie to jednak było główną przyczyną mojego smutku. Tak

naprawdę chodziło o to, że skoro tajemnica zabójstwa hrabiego została rozwiązana, nie będą już miała okazji spędzać całych dni u boku Leonarda.

284

- No tak - mruknął krawiec, patrząc na mnie badawczo. - Widywałem to już wielokrotnie. Twój Leonardo wybiera sobie jednego z uczniów, aby pomagał mu w jakichś pracach albo po prostu zapewniał mu towarzystwo. Chłopak chodzi za Mistrzem, gorliwie spełnia jego prośby, patrzy na niego cielecym wzrokiem... bo któryś młody człowiek oparłby się urokowi takiego geniusza jak Leonardo?

Zawiesił głos i wydał wargi.

- Ale to nigdy nie trwa wiecznie - podjął po chwili. - Prędzej czy później Mistrz nudzi się chłopcem i odsyła go do normalnych obowiązków. Chłopak, który czuł się kimś wyjątkowym, znowu musi się zadowolić byciem jednym z wielu. A wtedy wszyscy wyglądają tak samo, jak szczeniaki wyrzuczone ze stajni na ulicę. - Zniżył głos do szeptu: - Zastanawiam się, czy byłoby inaczej, gdyby znał twoją prawdziwą płęć.

- Myślę, że wyolbrzymiasz sytuację, signore - powiedziałam, choć przed oczami stanął mi obraz strapionego Tommasa. - To oczywiste, że uczniowie go podziwiają... Czy inaczej

chcieliby się uczyć pod jego kierunkiem? I nie ma nic złego w okazywaniu temu czy innemu szczególnych względów. Co do mnie, tylko pomogłam Mistrzowi, gdy o to poprosił, tak samo jak tobie pomagają twoi terminatorzy.

- Ale ja nie wymagam, żeby moi uczniowie ryzykowali dla mnie życie - odparł z przekąsem. Po chwili zaś dodał niespodziewanie: - Twój Mistrz nie może nic na to poradzić. Przystojny i utalentowany Leonardo jest niczym jasny płomień dla was, młodych ciem. Nic dziwnego, że spalacie się na koniec dnia. Po prostu staraj się zbytnio nie przejmować, moja droga Delfino, jeśli nie będzie poświęcał ci już tak wiele uwagi, jak wcześniej.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż drzwi do pracowni nagle się otworzyły i Luigi popędził zająć się klientami. Opadłam na poduszki i podciągając koc pod brodę, zastanawiałam się nad jego słowami.

Oczywiście takie zakończenie będzie najlepsze dla wszystkich, tłumaczyłam sobie. Dostatecznie trudno było utrzymać

285

moją maskaradę w tajemnicy wśród innych uczniów. Zachowanie sekretu przed Leonardem, którego bystrości mało kto mógłby dorównać, wcześniej czy później stałoby się niemożliwe. Lepiej jeśli wtopię się w tło teraz, zanim zakiełkuje w nim

ziarno podejrzenia, i skupię na nauce.

Zadowolona ze zwycięstwa w tym sporze z samą sobą, przy-
mknęłam powieki, aby pozwolić sobie na chwilę zasłużonego
odpoczynku. Niestety, wiele wysiłku kosztowało mnie zignoro-
wanie wewnętrznego głosu, który nie zgadzał się, bym zasnę-
ła... głosu podpowiadającego, że chętnie podjęłabym ryzyko
ujawnienia, gdybym tylko dzięki temu mogła znowu spędzać
czas z Leonardem.

Następnego ranka signor Luigi uznał, że wydobrzałam na
tyle, by wrócić do pracowni. Rzeczywiście czułam się znacznie
silniejsza, przypuszczałam jednak, że jego pośpiech wynikał
po prostu z tego, że chciał odzyskać własne łóżko.

Koledzy powitali mnie z radością. Zwłaszcza Tommaso,
który moje szybkie wyzdrowienie najwyraźniej uważał za swo-
ją zasługę, skoro uratował mnie z krypty. Pamiętając o obietni-
cy złożonej Mistrzowi, pozwoliłam, by Tommaso opowiedział
pozostałym całą historię i swoją wersję wydarzeń w ogrodzie.

Dzień mijał mi spokojnie przy stole w pracowni, gdzie przy-
gotowywałam pędzle - dostałam tak łatwe zajęcie ze względu
na stan zdrowia - ale choć starałam się koncentrować na pracy,
nie potrafiłam się powstrzymać od zerkania raz po raz na drzwi
w nadziei, że zobaczę stojącego w nich Mistrza. Przecież nie
mógł zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło.

Kiedy nadeszła pora wieczornego posiłku, a Leonardo się nie pojawił, pogodziłam się z tym, że jestem tylko jednym z wielu, jak to ujął krawiec. Skupiłam się na dzieleniu pęczków włosów łasicy na mniejsze kępki, które miały posłużyć do sporządzenia delikatnych pędzli. Pochłonięta tym zajęciem, dopiero gdy usłyszałam głos, zauważyłam, że ktoś obok mnie stoi.

- Ach, tutaj jesteś, mój chłopcze.

286

Podniosłam wzrok i zobaczyłam przyglądającego mi się Leonarda.

- Może zechciałbyś zatrzymać się przy moim mieszkaniu, kiedy będziesz wracał z kolacji, wtedy opowiem ci, co się wydarzyło od naszego rozstania - rzekł.

- Oczywiście, Mistrzu - wykrztusiłam w odpowiedzi, tłumiąc uśmiech, dopóki nie wyszedł z pracowni.

Sama nie wiem, jak udało mi się zachować spokój w czasie posiłku. Wiem tylko, że ledwie przełknęłam ostatni kęs, wymknęłam się zza stołu i popędziłam do pracowni.

Kilka chwil później pukałam do drzwi Leonarda. Zastałam go siedzącego przy stole przed znajomą szachownicą. Tak jak niegdyś hrabina Ferrary, wydawał się grać sam ze sobą, przesuwając na przemian białe i czarne pionki. Bez słowa wskazał

mi ławę naprzeciwko i zastanawiał się nad następnym ruchem.

Wreszcie przesunął białego gońca o kilka pól po skosie, odsunął się od stołu i spojrzał na mnie.

- To są szachy hrabiny! - wykrzyknęłam ze zdumieniem. Skinął głową.

- Sama mi je dała, gdy odprowadziłem ją do komnaty. Powiedziała, że już nigdy nie będzie się mogła cieszyć ich widokiem, a chciała, by trafiły w ręce kogoś, kto doceni ich piękno.

- Więc co się z nią stanie? Czy zostanie ukarana za swoją zbrodnię?

Powinna ponieść karę, myślałam, choć zarazem miałam świadomość, że winę ponosi jej szaleństwo... i że być może to niewierność męża popchnęła ją jeszcze głębiej w ten przerażający stan.

Ku mojemu zaskoczeniu Leonardo pokręcił głową.

- Ludovico uznał, że nie ma dostatecznych dowodów jej winy, a to, że się przyznała, może wynikać z obłędu. Postanowił, że zostanie odesłana do swojej rodziny we Florencji i nigdy tutaj nie wróci.

- Kogo zatem obciąży winą za zabójstwo swego kuzyna?

Przecież nie hrabinę di Malvoral?

- Ach tak... hrabina di Malvoral. - Na jego ustach pojawił się cierpki uśmiech. - Jak się wydaje, ta dama osiągnęła to, do czego zmierzała od samego początku. Jej mąż został mianowany ambasadorem we Francji na miejsce Orlanda i rozumie się, że zabiera ze sobą małżonkę. O ile jednak hrabia może wrócić do Mediolanu, kiedy książę będzie potrzebował jego usług, o tyle hrabinie tego nie wolno zrobić... przynajmniej do chwili, gdy nadejdzie jej kolej trafić do krypty Sforzów.

- A co będzie, jeśli znowu porozumie się z monsieur Villasse'em? Następnym razem może im się udać zabić arcybiskupa... albo nawet samego Il Moro.

- O to nie musisz się martwić - odparł Mistrz. - Przewiduję, że francuski poseł wkrótce straci stanowisko... być może równocześnie z głową.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy wyobraziłam sobie tego człowieka z głową na katowskim pniu i opadające ostrze topora. Lecz monsieur Villasse sam ściągnął na siebie ten los, ośmielając się planować - jakkolwiek nieudolnie - zabójstwo arcybiskupa.

- Zatem zostaje tylko Renaldo. Co się z nim stanie?

- Obawiam się, że nie dołączy do swojej pani we Francji - rzekł Leonardo. - Po zapoznaniu się ze wszystkimi dowodami książę doszedł do wniosku, iż Renaldo kłamał, twierdząc, jako-

by hrabia był już martwy, kiedy go znalazł w ogrodzie. Ponieważ nikt nie potrafił dowieść, że tak nie jest, a Renaldo przyznał się do zamordowania młodego Lorenza, logika wskazuje, że jest jedyną osobą, która mogła zabić hrabiego Ferrary. Dlatego jutro poniesie konsekwencje swojego nikczemnego czynu.

Renalda nie zamierzałam opłakiwać, zważywszy na to, że omal nie zostałam jego drugą ofiarą.

- Nie ma większego znaczenia, że umrze za dwa morderstwa, choć jest winien tylko jednego - powiedziałam. - A może książę ma rację? Czy to możliwe, że przemawiało przez nią szaleństwo, a w rzeczywistości hrabina nie zabiła swego męża?

Leonardo pokręcił głową.

288

- Pamiętasz szkatułkę, której nie mogliśmy znaleźć w jej komnacie? Kierując się przeczuciem, wróciłem do krypty i tam ją odnalazłem. Zostawiła ją przy zwłokach męża niczym swego rodzaju ofiarę. Ponieważ przypuszczałem, że może zawierać coś innego niż klejnoty, otworzyłem ją.

Nagle domyśliłam się, co kryło małe złote pudełko. Mimo to przeszedł mnie dreszcz, gdy usłyszałam słowa Mistrza:

- W szkatułce, której strzegła tak zazdrośnie, znajdowała się brakująca żółta rękawiczka, także zaplamiona krwią. Do-

łożyłem do niej drugą, zamknąłem pudełko i zostawiłem przy ciele hrabiego. Co się tyczy klucza, wrzuciłem go do studni, kiedy wróciłem do zamku.

W ten sposób ostatni element układanki znalazł się na swoim miejscu. Westchnęłam i oparłam podbródek na dłoni, smętnie przyglądając się szachownicy. Nigdy już nie będę mogła patrzeć na szachową figurę królowej, by nie stanął mi przed oczami obraz nieszczęsnej hrabiny.

Przypomniałam sobie słowa, które powiedziała po wyjściu z krypty. Leonardo nie wspomniał o nich ani razu, niewątpliwie zaabsorbowany znacznie ważniejszymi sprawami, ja jednak wiedziałam, że muszę poruszyć ten temat, aby nie wzbudzić podejrzeń.

- Jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Jak hrabina mogła wziąć mnie za dziewczynę? - spytałam, starając się mówić jak urażony w swej dumie chłopak.

Leonardo patrzył na mnie przez dłuższą chwilę i już zaczęłam się obawiać, że popełniłam błąd. Może jego oko artysty dostrzegło prawdę, którą starannie ukrywałam przez tak długi czas.

- Rozumiem twój niepokój, mój drogi Dino. Mnie także uważano za dość ładnego, kiedy byłem chłopcem. Niestety, ludzie mają skłonność do przyjmowania pewnych... założeń...

kiedy ktoś jest urodziwszy od swoich kolegów. Ja wyszed-
łem z tej niefortunnej sytuacji cało i z tobą też tak będzie. -
Uśmiechnął się lekko. - I to właściwie ja powinienem czuć się
289

urazony, skoro hrabina uznała, że mogę mieć dziecko w twoim
wieku. Najwyraźniej nie jestem już tym pięknym chłopcem, ja-
kim byłem niegdyś.

- Ależ jesteś, Mistrzu, najprzystojniejszym mężczyzną na
dworze - zaprotestowałam i zarumieniłam się, gdy zdałam so-
bie sprawę, jak mogły zabrzmieć moje słowa.

Ten komplement musiał mu jednak sprawić przyjemność,
gdyż nie oponował. Ze stolika obok szachownicy wziął portrety
służących, które naszkicowaliśmy czerwoną kredą. Rozwinął
je i przyjrzał się krytycznie mojemu rysunkowi.

- Obawiam się, drogi chłopcze, że będziesz musiał popra-
cować nad tym, jak oddajesz na rysunku włosy. Powinny się
skręcać i falować jak fale oceanu. Twoje dzieło przypomina ra-
czej stertę jeżynowych gałęzi. Reszta jednak jest całkiem znoś-
na. Może chciałbyś zachować ten szkic.

Wzięłam rysunek, który mi podał, i zapytałam nieśmiało:

- A czy mógłbym dostać także twój szkic, aby mógł mi słu-
żyć jako przykład?

- Doskonały pomysł, mój drogi chłopcze. Weź je oba i przy-
łóż się do nauki jeszcze dzisiaj.

Po tych słowach zajął się ponownie szachami. Starannie zwi-
nęłam oba rysunki i włożyłam je za pazuchę, po czym wstałam.

- Pójdę już - powiedziałam cicho. - Dobranoc, Mistrzu.

- Dobranoc, mój drogi chłopcze - mruknął nieobecny
głosem, przesuwając znajomą białą królową na czarne pole.

Już trzymałam dłoń na klamce, kiedy odezwał się do mnie
jeszcze raz:

- Powiedz mi, Dino, czy chciałbyś nauczyć się tej królew-
skiej gry? - spytał, wskazując dłonią szachownicę.

Serce zaczęło mi bić znacznie szybciej, niż powinno w re-
akcji na tak niezobowiązujące pytanie. Starając się nie okazy-
wać podniecenia, wzruszyłam ramionami i odpowiedziałam:

- Oczywiście.

- Doskonale. - Skinął głową z aprobatą. - Możesz przyjść
jutro o tej samej porze i rozegramy partię albo dwie.

290

Od dawna nie czułam się tak lekko, jak tego wieczoru, kie-
dy wracałam do pracowni. Inni uczniowie byli już zajęci wie-
czornymi obowiązkami, więc dołączyłam do nich, by pomóc
przy lżejszych pracach. Kiedy jednak nadeszła pora rozrywek

przed snem, wzięłam świecę i oddaliłam się do sypialni, tłumacząc to osłabieniem.

Już na łóżku wyjęłam ze skrzynki mój notatnik, który leżał tam ukryty przez ostatnie dni. Ponieważ jeszcze nie zdążyłam opisać żadnego z najnowszych wydarzeń, poświęciłam kilka minut na notowanie wrażeń i przemyśleń. Dodałam nawet kilka pospiesznie nakreślonych rysunków na marginesach, jak uczyniłby Mistrz. Kiedy skończyłam, zdałam sobie sprawę, że zapisałam notatnik do końca. Będę musiała wybrać się na targowisko i zdobyć następny plik papieru, by zacząć spisywać drugi tom.

Zanim zamknęłam ostatnią stronę, wyjęłam zza pazuchy rysunki, które dał mi Leonardo. Jego szkic schowam w skrzyni, aby móc go studiować, jak mi zalecił. Natomiast mój...

Ostrożnie rozwinęłam kartkę i uważnie przyjrzałam się wizerunkowi brutalnego Renalda. Teraz, gdy zostało po nim tylko kilka linii nakreślonych czerwoną kredą, wydawał się postacią tragiczną. Może pewnego dnia ktoś znajdzie mój rysunek i zastanowi się, kim był ów młody człowiek o niemiłej powierzchowności... a może także- jaki artysta sporządził jego portret.

Złożyłam kartkę, umieściłam ją w notatniku i związałam go mocno tym samym sznurkiem, którym był zszyty. Wkrót-

ce zacznę zapisywać kolejny notatnik, a ten będzie spoczywał w ukryciu, abym tylko ja mogła go oglądać - może już za kilka miesięcy albo dopiero, kiedy będę stara i zechcę przypomnieć sobie życie na dworze Ludovica, gdzie przebywałam jako uczeń wielkiego Leonarda.

A może znajdzie go jakiś uczony wiele lat po mojej śmierci. Albo trafi w ręce handlarza starzyzną, którego zaciekawia, co mogą zawierać te stronice, i zajrzy do środka. Ktokolwiek 291

będzie go miał w rękach, niewątpliwie znajdzie szkic wykonany czerwoną kredą. A wtedy może zauważy także podpis artysty w rogu, nakreślony atramentem i do góry nogami, jakby dodany dopiero po dłuższym namyśle.

Jeśli przyjrzy się wystarczająco uważnie, może nawet uda mu się odczytać imię owego artysty: Delfina della Fazia.

Podziękowania

Jak większość książek, również ta nie powstałaby bez pomocy wielu ludzi. Dziękuję Martinowi Greenbergowi i Denise Little z Tekno Books, którzy wpadli na pomysł i byli na tyle odważni, by mi go podsunąć. Dziękuję moim przyjaciółkom - Carol, Kathryn i Pauli - które dodawały mi otuchy i dostarczały wszelkich informacji na temat Leonar-

da. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się mojej ciotce Mary Ann Panevsky, która tłumaczyła mi różne teksty z włoskiego na angielski; jeśli jakkolwiek z nich został błędnie użyty, jest to wyłącznie moją winą. Pragnę także serdecznie podziękować mojemu mężowi Gerry'emu, który przez cały miesiąc bez słowa skargi codziennie gotował obiad, kiedy zbliżał się termin oddania książki. Kocham Was wszystkich!

Od autora

Urodzony w 1452 roku w Toskanii, za życia był znany jako Leonardo Florentyńczyk, Leonardo da Vinci lub po prostu Leonardo (nigdy zaś nie skracano jego imienia do da Vinci, niezależnie od tego, co sugeruje pewien słynny bestseller). Jakkolwiek byśmy go nazywali, Leonardo był ucieleśnieniem człowieka renesansu. Jego słynne notatniki opisują oraz ilustrują ogrom jego wiedzy i zainteresowań, od anatomii po zoologię.

Leonardo był słynny nie tylko dzięki swym obrazom, ale również niezliczonym wynalazkom, z których wiele zapowiadało późniejsze urządzenia, takie jak samolot czy łódź podwodna. Z powodzeniem zajmował się też architekturą i kartografią, zupełnie nieźle grał na lutni. Ku konsternacji wielu osób był wegetarianinem i propagatorem praw zwierząt, a także pilnym badaczem ludzkiej i zwierzęcej fizjologii. Choć przeciwstawiał się prowadzeniu wojen, nie wahał się zaferować swoich usług w zakresie inżynierii wojskowej różnym wielmo-

żom i królom, między innymi Ludovicowi Sforzy, księciu Mediolanu. Ludovico przyjął tę ofertę i w rezultacie Leonardo pracował dla niego jako nadworny inżynier, malarz, rzeźbiarz i - najprościej mówiąc - złota rączka, od około 1482 do około 1499 roku.

Dzisiejszych czytelników, którzy znają Leonarda tylko jako starca, który namalował portret Mony Lizy (i przez wiele lat nie rozstawał się z nim, niczym ze zdjęciem noszonym w portfelu), może zaskoczyć to, że artysta był w młodości uważany za bardzo przystojnego mężczyznę. W ostatnim czasie dość modne stały się spekulacje na temat orientacji seksualnej Leonarda. Powagi tej debacie dodały opi-

294

nie Zygmunta Freuda, którego teorie o jego homoseksualizmie jeszcze do niedawna były powszechnie przyjmowane. Z dokumentów pochodzących z czasów artysty wynika, że jako dwudziestokilkulatek, wraz z kilkoma innymi młodymi mężczyznami, został oskarżony o odbycie stosunku seksualnego z rzekomą męską prostytutką, lecz następnie uniewinniony.

Duże znaczenie przykładano też do faktu, że ani się nie ożenił, ani jego notatniki nie zawierają wzmianek o kobietach, z którymi mógłby być związany. Można odnieść wrażenie, że miał obsesję na tle nagiego męskiego ciała, choć nie mamy pewności, na ile wynikało to z zainteresowań artystycznych, na ile zaś z bardziej cielesnych. Ale Leonar-

do malował też kobiety obdarzone zdumiewającym wdziękiem i urodą, nie ulega więc wątpliwości, że w jakimś sensie umiał je docenić. Dlatego, wobec licznych, sprzecznych teorii i braku rozstrzygających dowodów, postanowiłam pozostawić kwestię skłonności seksualnych Leonarda otwartą.

I jeszcze kilka uwag. Znacznik problematyki renesansu może założyć, że Ludovico Sforza, zwany Il Moro, formalnie nie był księciem Mediolanu w okresie, w którym toczy się akcja powieści. To prawda, od chwili gdy około 1480 roku pozbawił władzy swego małoletniego bratanka, aż do namaszczenia przez papieża w 1494 roku Ludovico nosił tytuł gubernatora. Jednak dla uproszczenia, ponieważ Il Moro był księciem pod każdym względem z wyjątkiem tytułu, zdecydowałam w mojej opowieści nieco wyprzedzić bieg wydarzeń.

Zamek Sforzów uległ w jego czasach równie gruntownej przemianie. Został zbudowany w połowie XIV wieku jako twierdza przez poprzednią rodzinę panującą, Viscontich, a później, również za rządów Ludovica, był przebudowywany. W Gambicie królowej wykorzystałam zamek z czasów Ludovica, odrobinę modyfikując jego plan, żeby dostosować go do potrzeb powieści. Warsztat Leonarda, ogród, w którym stracił życie nieszczęsny hrabia, i cmentarz z kryptą Sforzów są wytworami mojej wyobraźni.

W rzeczywistości Ludovico i jego krewni nie mieli rodzinnego grobowca aż do 1495 roku, kiedy to książę wybrał w tym celu klasztor

Santa Maria delle Grazie, gdzie byli pochowani poprzednicy Sforzów,
295

spowinowacony z nimi ród Viscontich. Jednak miejsce spoczynku Il Moro miało z czasem zyskać sławę, jakiej on sam nie był w stanie przewidzieć. Bowiem to jego nadworny artysta, Leonardo, otrzymał zamówienie na nowy fresk, który miał ozdobić ściany klasztornego refektarza. A żeby uprzyjemnić mnichom czas spożywania posiłków, jako temat wybrał inną sławną ucztę: Ostatnią Wieczerzę.